



VINCENT VILLEMINOT

U4

STÉPHANE



POL ARNY LIS

**VINCENT VILLEMINOT**

**U4**

**.STÉPHANE**

**PRZEŁOŻYŁ PAWEŁ ŁAPIŃSKI**



POLARNY LIS

# SPIS TREŚCI

Motto

Jeden

Dwa

Cztery

Przypisy

Podziękowania

[Jules – pierwszy fragment]

Yannis

Koridwen

*Zastanawiasz się, czy jesteś dziką bestią czy może raczej świętym*

*Ale jesteś i jednym, i drugim.  
I wieloma jeszcze rzeczami [...]*

*Oczekuj tylko na własne czyny,  
bo jesteś teraz nietykalny. Bo żyjesz.*

*Fauve≠, Blizzard*

*Nie wszystkie, prawda, umierały, ale*

*Zaraza wszystkich zesłabiła wcale.  
Jean de la Fontaine, Rada zwierząt*

# 1 LISTOPADA

Mija już dziesięć dni, odkąd atakujący opony mózgowo filowirus krwotoczny U4 – nazwany tak od Utrechtu, miasta w Holandii, w którym pojawił się po raz pierwszy, i czwartej generacji – sieje spustoszenie.

Piorunująco złośliwy, w czterdzieści godzin zabija wszystkich bez wyjątku: wywołuje osłabienie organizmu, migreny, astenię i paraliże, po których dochodzi do gwałtownego krwawienia, zawsze kończącego się śmiercią.

Rozprzestrzenił się już w całej Europie. Berlin, Lyon, Mediolan... Kolejne dzielnice, miasta, aglomeracje próbowano poddawać kwarantannie, aby powstrzymać epidemię. Na próżno.

Ponad dziewięćdziesiąt procent światowej populacji uległo zagładzie. Przy życiu pozostały jedynie nastolatki.

Zaczyna brakować pożywienia i wody pitnej. Połączenie z internetem staje się niestabilne. Istnieje obawa, że skończy się prąd i zerwą sieci komunikacyjne.

---

Warriors of Time (lub WOT – dla wtajemniczonych) była przed epidemią popularną grą komputerową w typie multiplayer. Gracze mogli w niej – w zależności od poziomu – podróżować między epokami w fikcyjnym świecie Ukraün, zmieniać bieg wydarzeń i w ten sposób wypełniać swoje misje. Uczestnicy regularnie spotykali się na forum, żeby wypracowywać strategie i wysłuchiwać rad doświadczonych wojowników – Ekspertów albo nawet samego mistrza gry, Khronosa.

Pierwszego listopada, przedostatniego dnia działania internetu, szeregi WOT liczyły około stu pięćdziesięciu Ekspertów pozostałych przy życiu na terytorium Francji. Ci z nich, którzy weszli na forum tego dnia, żeby zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości albo wymienić się informacjami na temat kataklizmu, otrzymali taką wiadomość:

*Od: Mistrz gry*

*Do: Eksperci*

*To z pewnością moja ostatnia wiadomość. Połączenia stopniowo rwą się na całym świecie.*

*Nie traćcie nadziei. Wciąż pozostajemy Warriors of Time.*

*Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.*

*Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.*

*Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.*

*Khronos*

—

Jules, Koridwen, Stéphane i Yannis to czworo Ekspertów. U4 jest historią o nich.

JEDEN

## 2 LISTOPADA

Jest ich około dwudziestu. Wyglądają, jakby byli w moim wieku, mają siedemnaście albo osiemnaście lat, dziewczyny i chłopaki. Stoją nadzy nad brzegiem rzeki, mają cudowne ciała – zdrowe, żywe, nienaruszone – w tej ogromnej kostnicy pod gołym niebem.

Myją się, nie żałując wody, na stopniach nabrzeża, pomimo chłodnego wiatru. W pobliżu na dwóch dużych ogniskach parują balie, w których przed myciem zagotowali zapewne wodę z rzeki. W innej balii wygotowują bieliznę i ubrania. Dwie młode dziewczyny rozkładają je na stopniach, żeby wyschły. Nie mogę oderwać wzroku od tego niecodziennego spektaklu. Obserwuję ich zza barierki mostu Guillotiére, który łączy brzegi Rodanu. Widzę stąd, jak się ochlapują, słyszę pokrzykiwania, kiedy któreś spryska resztę zimną wodą. Czasami się śmieją, nawołują. Zapomniałam już, jak brzmi śmiech.

Słyszę ich głosy, które jesienny wiatr niesie z północy – pierwsze odgłosy życia w umarłym mieście – ale nie rozumiem słów. Przypomina to scenę z życia ludzi pierwotnych: rzeka, w której się myją; ogień; bezwstydnie nagie ciała na brzegu rzeki i ten dziwny język. Można by się spodziewać, że zaraz znikną otaczające ich mosty, drogi, asfalt, budynki, całe miasto Lyon. Może tak właśnie będzie? Może są ostatnimi ocalonymi w całkowicie zdziczałym Lyonie i za kilka dni nie pozostanie już nic z cywilizacji, którą znaleźliśmy?

Jeden z nich nagle mnie dostrzega. Wyraźnie daje mi znaki, zaprasza, żebym do nich dołączyła. Potem kolejni obracają się w moją stronę, wołają mnie. Mimowolnie się uśmiecham, oparta łokciami o moją barierkę, ale czar pryska. Przechodzę na drugą stronę rzeki, zostawiając ich za sobą, schodzę z mostu pustego jak cały półwysep widziany z mieszkania mojego ojca. Miasto jest wyludnione. Poza uczestnikami tej cudownej kąpieli nie ocalał nikt.

Na ulicy Saint-Michel natykam się na dwa nowe trupy. Nie sposób ich ominąć, leżą na samym środku drogi. Trzymają się za ręce, dwoje tragicznych kochanków, których uścisku nie rozdzieliła nawet śmierć. Może tutaj, u stóp kamienicy, powaliła ich gorączka, kto wie? Albo może spotkali się w tym miejscu, żeby ze sobą skończyć? Mieli dwadzieścia czy sześćdziesiąt lat? Tylko ich ubrania skłaniają mnie ku pierwszej hipotezie. Z wyglądu ciał nie da się nic wywnioskować: oboje nie mają już twarzy, tylko strupy zakrzepłej krwi; ich ręce zaczęły się rozkładać. Romeo + Julia?

„Nie rozczulaj się, nie koloryzuj”.

„Co wiesz, Stéphane? Co rozumiesz? Analizuj...”

Krew. Strupy. Gorączka.

„Fakty. Jakie fakty?” Ludzie zaczęli krwawić jedenaście dni temu. Objawy za każdym razem były takie same: bóle głowy, migreny siatkówkowe, rozległe krwotoki – wewnętrzne i zewnętrzne. Krew sączyła się z oczu, nosa, uszu, przez skórę. Wszyscy umierali w mniej niż czterdzieści godzin. Nowy filowirus krwotoczny, typu ebola, bliższy szczepowi Utrecht, ale nieskończenie bardziej zjadliwy. Oficjalnie nazwany U4, od „Utrechtu 4. typu”. Zaraził dziewięćdziesiąt procent populacji, a wszyscy, których dopadł, umarli – wszyscy, tylko nie my.

Przeżyły wyłącznie nastolatki między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. A przynajmniej ich przeważająca większość. Tyle mogłam wyczytać z najważniejszych portali informacyjnych, przynajmniej na początku. Potem dziennikarze internetowi umarli – jak wszyscy dorośli, jak dzieci. Strony stawały się niedostępne jedna po drugiej. Awarie zasilania coraz częściej rozwalaly internet. Tylko na stronie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wciąż wyświetlały się dawno nieaktualne zalecenia: zachować spokój, nie panikować, nosić rękawiczki i maski ochronne, nie dotykać zarażonych, opuścić niezwłocznie domy lub mieszkania



zainfekowane przez wirus. Nie ruszać zwłok. Zgłosić się do Z-Punktów, miejsc zbornych zorganizowanych przez władze.

Potem internet zgasł. Wszystko zgasło.

Odtwarzam sobie po raz setny chronologię wydarzeń, żeby opanować wstręt podczas mijania ciał dwojga kochanków. Moja obecność przeszkodziła drapieżnikom żerującym na trupach, insektom, muchom i szczurom, setkom szczurów, które panują teraz nad całym miastem. Wszystkie one roją się, śmierdzą. Te pasożyty żywią się zmarłymi, tym, co z nas zostało.

„Analizuj, nie roztrzásaj. Wyprzedzaj fakty”.

Gryzonie przywloką inne epidemie. Umrą od nich nieliczni ocaleni – nastolatki. Cholera albo dżuma wydają się śmieszne w porównaniu z U4, ale również będą śmiertelne.

Podążając tropem własnych myśli, zostawiam za sobą dwa trupy. Ojciec zawsze mi mówił: „Podczas niesienia pomocy medycznej należy się skupić na informacjach naukowych, na tym, co się wie i czego nie wie, żeby nie poddać się emocjom”.

Powtarzał mi to, żeby nauczyć mnie panowania nad tremą przez egzaminami. Czy domyśla się teraz, gdziekolwiek jest, jak bardzo przydają mi się jego rady – dziś w tym umarłym mieście?

Porzucone samochody, powywalane bagaże; odpadki i śmieci. Aleję blokuje przewrócony, leżący na boku tramwaj. Jego motorniczy z pewnością wpadł w konwulsje podczas pracy, stracił kontrolę nad pojazdem... Pasażerowie zginęli w wypadku czy raczej mieli czas, żeby wrócić do domów i tam umrzeć? Unikam spoglądania w ciemne, zaporowane okna tramwaju.

Na ulicach nie leży zbyt dużo ciał, spodziewałam się, że będzie gorzej. Nie ma już nic, tylko pasożyty i cisza. W mediach mówiono o milionach zmarłych, oglądałam zdjęcia w internecie i widziałam niezliczone ilości zbiorowych grobów. Tutaj chorzy zapewne zostali w domu, żeby umrzeć godnie, dyskretnie, po lyońsku. A może wszyscy pospieszyli do szpitali, które stały się jednocześnie kostnicami i podstawowymi ogniskami rozprzestrzeniania się epidemii? Przez dwa pierwsze dni, kiedy myślano, że chodzi o zapalenie opon mózgowych albo płamicę piorunującą, chorzy z gwałtownie rosnącą gorączką i krwotokami byli zabierani przez pogotowie. Zwyczajowe środki ostrożności okazały się niewystarczające. Pacjenci zarazili personel medyczny, który dołączył do grona chorych.

Jednak nie wszyscy lekarze zachorowali.

Nie epidemiolodzy, którzy w swoich laboratoriach starali się stawić czoła wirusowi. Mój ojciec?

No to jesteśmy. Wreszcie docieram pod najwyższe budynki dzielnicy Gerland. Gula, którą mam w żołądku, dręczy mnie jak wrzód.

„Boisz się, Stéphane. Boisz się tego, czego się dowiesz”.

Dostrzegam wieżowiec P4 i na chwilę przystaję. Laboratorium, w którym pracował mój ojciec, jest pogrążone w ciemnościach. Zamykam oczy, biorę głęboki wdech. Trzeba iść dalej, sprawdzić to, zrobić jeszcze kilka kroków.

„Tato. Wyjechałeś, umarłeś?”

Gdyby pozostali jacyś badacze, byłby tu choć jeden generator, agregaty działałyby nawet w środku dnia. Nic nie byłoby ważniejsze dla przyszłości niż praca wykonywana w tych laboratoriach przez mojego ojca i zespoły naukowców, którymi kierował, jego kolegów badających śmiertelne wirusy, którzy starali się zwalczyć U4.

Wieżowiec jest pogrążony w ciemności, czyli pusty.

„Wyjechałeś, umarłeś? Kiedy wrócisz?”

Kilkaście metrów od wejścia widzę dwóch młodych ludzi. Pałą.

– Został tu jeszcze ktoś? – zagajam.

– To zależy. Kogo szukasz? – pyta mnie wyższy z nich z nieufną miną.

Ma tyle lat co ja i strzelbę pod pachą. Pokazuję na wieżowiec.

– Mój ojciec, doktor Certaldo, pracował w laboratorium P4.

– To możesz zapomnieć – odpowiada drugi z nich trochę uprzejmiej. – Wojskowi ewakuowali laboratorium drogą powietrzną dziewięć dni temu, razem ze wszystkimi naukowcami. Dwa najniższe poziomy są zaminowane, wstęp wzbroniony aż do powrotu wojska.

Za dużo informacji naraz... Słabo mi. Są jeszcze jacyś dorośli, wojsko, żołnierze.

Pozostali przy życiu. Ewakuowali badacze dziewięć dni temu. Ewakuowano ich, więc są żywi.

Polecieli. Mój ojciec poleciał.

„Wróć, kiedy tylko się da” – napisał mi dziesięć dni temu. I dzień później uciekł. Beze mnie. Nawet mnie nie uprzedził.

Może próbował?

– Liczyłaś na niego? – pyta grzeczniejszy z dwóch młodych palaczy. – Jak nie masz dokąd pójść, to możesz się zgłosić do strefy zaopatrzenia, czyli Z-Punktu. Tu niedaleko jest jeden, w kampusie uniwersyteckim. Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Do Liceum Parkowego.

– No to musisz iść i zarejestrować się w parku Tête d’Or. Powiedzą ci, gdzie możesz się ulokować.

– W porządku – dukam. – Dam sobie radę.

## NOC Z 2 NA 3 LISTOPADA

Zmrok prawie mnie zaskoczył, kiedy wracałam do domu. Wchodzę na czwarte piętro w ciemnościach, po omacku. To już dwadzieścia cztery godziny, jak nie ma prądu. Czy na zawsze? Najwyraźniej ocalonych jest za mało, żeby miał kto obsługiwać elektrownie...

Na schodach moje serce zaczyna bić szybciej. W momencie wkładania klucza do zamka ogarnia mnie niedorzeczna nadzieja. Wciąż jeszcze nie mogę jej porzucić, ręce mi drżą... Otwieram.

Pusto. Nie wrócił. Nie dziś. Nie ma go tu tak samo jak wczoraj. Zostawiłam dla niego kartkę przed ramką ze zdjęciem na stole w jadalni: „Poszłam Cię szukać w Gerland. Wracam za trzy godziny. S.”

Chwytam ramkę z portretem, oglądam go po raz setny. Zdjęcie zostało zrobione podczas jednej z jego Misji Ebola w Gwinei. Na zdjęciu doktor Philippe Certaldo jest brudny, zmęczony, z nagim, spoconym torsem pod rozpiętym białym fartuchem, ale się uśmiecha...

Dostrzegam swoje własne odbicie w szkle ramki. Ja też wyglądam na wyczerpaną, tylko że się nie uśmiecham. A jednak dalej go przypominam: ta sama wysoka sylwetka, szczupła i nerwowa, ta sama mocno pociągła twarz i siwe, krótko przycięte włosy o niesfornych kosmykach, te same kościste ręce, trochę zbyt blade jak na kogoś, kto lubi słońce. Ładny obrazek... Mówi się, że mam też jego oczy, szare oczy o inteligencji, która mnie u niego zawsze zdumiewała. Mój ojciec był uwodzicielskim mężczyzną, który miewał „przygody” z wieloma lekarkami i nie przejmował się moją matką. Ja jestem dziewczyną. Dziewczyną, której rodzice dali tak zwane dwupłciowe, durne imię Stéphane; dziewczyną, której włosy od dzieciństwa są siwe, jak by były oznaką przedwczesnej starości, i która przez swoją impulsywność przypomina chłopczycę. Próbuję otworzyć elektryczne rolety zasłaniające okna. Jaki sens wciąż się tak barykadować? Wdychałam dziś zepsute powietrze Lyonu pełnymi płucami i wciąż żyję.

Kiedy ostatecznie udaje mi się siłą odsunąć jedną z rolet za pomocą metalowej nogi krzesła, jest już noc. Mieszkanie pogrąża się w ciemnościach. Zapalam świeczkę, a jej płomień drga. Drugi listopada, Święto Zmarłych. Moja matka, Bretonka i praktykująca katoliczka, wierzyła w te rzeczy: w śmierć, zmartwychwstanie. Czy dane jest jej wciąż w to wierzyć, wśród ocalonych, czy otrzymała wreszcie ostateczną odpowiedź?

Gdzie jest? Gdzie jest cała trójka: tata, mama, Nathan? Razem?

Chwytam komórkę, prawie rozładowaną, jakbym miała potrzebę przeczytania tego raz jeszcze, żeby samą siebie przekonać. Jedenaście dni temu ojciec wysłał mi SMS-a: „Absolutnie nagły przypadek. Muszę Cię opuścić na trzy doby”. Potem kolejny SMS, dzień później, kiedy zaraza osiągnęła efekt progowy: „Nie wychodź z domu pod żadnym pozorem. Działaj tak, jak Cię nauczyłem. Wróć, kiedy tylko się da”.

Znam te wiadomości na pamięć.

Staram się uporządkować myśli, przyswoić to, czego się dziś dowiedziałam. Czy ojciec już nie wróci? Razem ze swoimi kolegami z wieżowca P4, jedyne miejsce we Francji, gdzie bada się śmiertelne wirusy, znalazł się na pierwszej linii walki z pandemią. Jeżeli nie zginął od wirusa w pierwszych godzinach, to został ewakuowany. Chwytam się tej myśli ze wszystkich sił: ojciec na pewno żyje. Ale dokąd go ewakuowano? I czy dotrzyma słowa, przybędzie tu po mnie? Czy po ewakuacji wyruszy najpierw do Bretanii po mamę i Nathana, mojego brata?

Muszę zostać, czekać na niego. Na wszelki wypadek.

Wykonałam szczegółowo wszystkie jego zalecenia, dokładnie tak, jak mnie nauczył w tych ostatnich latach, opowiadając o pandemiach. Lady Rottweiler, mój awatar, rozpowszechniła

jego rady na forum Warriors of Time, naszej gry sieciowej, już 24 października: zamontować filtry do wody i zawsze przegotować ją przed spożyciem, stłuc lufcik i zastąpić szybę filtrem z węglem aktywnym z kuchennego okapu, żeby zapewnić wymianę oczyszczonego powietrza. Pozatykać pozostałe nawiewy i klimatyzację bibułą, a potem regularnie ją zwilżać. Kilka razy na godzinę myć ręce roztworem alkoholu. Nie panikować.

Zasygnalizować swoją obecność, oczekiwać pomocy na miejscu.

Pomoc nie nadeszła. I nie nadejdzie.

Staralam się na forum dowiedzieć czegoś o tym, co dzieje się w Bretanii. Jednak nie sposób było otrzymać wiarygodnej informacji o sytuacji w Dourdu, kilka kilometrów od Morlaix, gdzie od tego lata mieszkali moja matka i mój brat.

Mieszkali... Nawet myślę o nich w czasie przeszłym.

Prawie nie mam już wody, pomimo wszystkich tych misek, które poustawiałam na balkonie i na dachu. Zero deszczu. Jutro będę musiała udać się do jednego z tych Z-Punktów, żeby zaopatrzyć się w wodę butelkowaną. Wolałabym się stąd nie ruszać, ale nie mam wyboru.

Dziś wieczór, jak we wszystkie poprzednie wieczory, szukam schronienia w gabinecie mojego ojca. W kącie piętrzą się kartony ze sprzętem z misji humanitarnych. Jutro zaniosę wyposażenie medyczne do Z-Punktu. Tam przynajmniej na coś się przyda.

—

Nie daję rady zasnąć. Nie śpię już od trzech dni.

Tata – ewakuowany?

Mama – wciąż żyje? Z nim i Nathanem?

A może udało jej się przeżyć razem z nowym mężem i moim bratem w ich nowym domu? Nie wierzę w Niebiosa, ale odmawiam za mamę i Nathana jedną z niewielu katolickich modlitw, które jeszcze pamiętam – matka nauczyła mnie jej, gdy byłam dzieckiem. Zaczyna się od słów, które kierują moje myśli również ku tacie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”.

### 3 LISTOPADA

Przed zdjęciem w jadalni zostawiam nową wiadomość:

„Poszłam do Z-Punktu Tête d’Or. Wrócę wieczorem. Stéphane”.

Idę przez ulice równie puste jak wczoraj. Do Tête d’Or trafiłabym nawet z zamkniętymi oczami: przez ostatnie dwa miesiące pokonywałam tę trasę codziennie. Park wychodzi na Liceum Parkowe, moje liceum, najlepsze w Lyonie. Nie wiem, jakim cudem ojciec mnie tam zapisał, w dodatku we wrześniu – co prawda miałam świetne wyniki z przedmiotów ścisłych, ale w poprzednim roku szkolnym zostałam wylana z dwóch innych placówek. Za agresywne zachowanie. Matka nie mogła tego znieść, więc zamieszkałam z nim... A teraz go nie ma.

Przemierzam półwysep. Dziś, podobnie jak wczoraj, na ulicy panuje martwa cisza. Nie przejeżdża żaden samochód, żaden tramwaj. Nie minęłam ani jednego pieszego. Brak tych codziennych odgłosów uświadamia mi, że to miasto tętniło kiedyś życiem. Żeby to usłyszeć, wystarczyło ściągnąć słuchawki iPod’a.

Nie można powiedzieć, że ulice są puste. Są raczej pełne – samochodów, zjaw... Przed każdym budynkiem stoją pojazdy zawalone bagażami. Ich właściciele myśleli, że wystarczy im czasu na ucieczkę. Niestety, drugiego dnia pandemii władze ogłosiły zakaz przemieszczania się. I nie mogłam wsiąść w pociąg do Morlaix, chociaż planowałam pojechać do mamy i Nathana z okazji Wszystkich Świętych.

Dzwoniliśmy do siebie wiele razy. Czwartego dnia pandemii żyli jeszcze oboje. Im też nakazano zostać w domu. Potem przestała działać łączność telefoniczna, a chwilę później poczta głosowa. Środki ostrożności podjęte przez rząd i tak nie zdały się na nic. Nikt nie nadązał za wirusem. Utrecht 4. generacji wsiadł już w pociąg, samolot, metro i rozprzestrzenił się w mgnieniu oka. Nie napotkał trudności w dobie otwartego społeczeństwa. Kiedy w całej Europie w tym samym czasie ludzie zaczęli masowo chorować, było już za późno.

Co się stało z mamą i Nathanem? Czy tata dojechał do nich na czas? Znalazł dla nich jakieś schronienie?

Przeglądam się fasadom budynków i przechodzi mnie dreszcz. Ile ciał skąpanych w zaschniętej krwi kryje się za tymi oknami? Żelazna krata, która osłaniała witrynę najbliższego marketu, jest powykręcana; ktoś ją wyważył. Zbieram się na odwagę i zaglądam do środka. Półki z napojami, te najbliższej wyjścia, są całkiem puste. Warzywa zaczęły się już psuć, wydzielają słodko-gorzki zapach pleśni. Ludzie musieli w panice zabierać stąd możliwie dużo jedzenia, jakby w oczekiwaniu na oblężenie. Ile ton żywności będzie teraz gniło, w ilu mieszkaniach?

Pospiesznie ruszam dalej.

Jeszcze kilkaset metrów. Widzę już Rodan. I nagle słyszę ogłuszający dźwięk silnika motoroweru w pobliskiej uliczce. Aż podskakuję ze strachu, ale to przypomina mi, że nie jestem sama w tym mieście. Daleko przede mną, na moście Winstona Churchilla widać trzy osoby. Ich sylwetki są jeszcze niewyraźne – czy to nastolatki jak ja? Czy cudownie ocaleni dorośli?

Zbliżam się do Z-Punktu, muszę tylko pokonać rzekę.

W tym momencie ciszę zastępuje piekielny łomot. Trzy masywne helikoptery wojskowe przelatują nad moją głową, rozrywając niebo wirnikami i zasłaniając jesienne słońce. Transportowany na wysięgnikach ładunek przechyla się z powodu prędkości.

Przepadnie mi dzisiejsze zaopatrzenie... Ruszam biegiem w kierunku Tête d’Or.

Ogrodzenie parku to granica Z-Punktu, miejsca zbornego dla ocalonych.

Ogromne wojskowe helikoptery właśnie odlatują, kiedy docieram na miejsce. Młodzi ludzie w odblaskowych kamizelkach krzątają się wokół kontenerów pozostawionych przez maszyny. Kontenery stoją na wielkim kwadratowym trawniku otoczonym ogrodzeniem. Przed nimi utworzyły się długie kolejki.

Setki nastolatków czekają na swoją kolej, a tymczasem inni, w odblaskowych kamizelkach, zaczynają dystrybucję. Nie zakładałam, że przeżyło aż tyle osób. Taka masa ludzi robi na mnie... dziwne wrażenie. No i oczekiwałam, że zastanę tu jakichś dorosłych organizatorów, ale nie widzę ani jednego. Ci, którzy przyjęli prowiant dostarczony przez helikoptery, są w moim wieku. A piloci? Kim są, skąd przylatują?

Waham się, podchodzę do pierwszej kolejki, ustawionej wzdłuż żółtych barierek. Każdy z oczekujących trzyma w rękach miskę. Jakaś dziewczyna, którą znam z widzenia, uczennica klasy maturalnej o profilu humanistycznym, dostrzega moje niepewne spojrzenie i puste ręce.

– Przychodzisz po raz pierwszy? Zapisiał się?

Wskazuje mi biały namiot kilkaset metrów stąd. Żeby trafić na listę i móc zgłaszać się po dzienną rację, muszę się zarejestrować.

– Tym zajmują się uczniowie z klas przygotowawczych<sup>1</sup> – wyjaśnia mi dziewczyna.

Idę w kierunku namiotu. Plakat przed wejściem informuje: „Rejestracja – Administracja tymczasowa”. Wchodzę, odkładam torbę. Kolejka nie jest długa. Rozglądam się, ale nie widzę ani jednego dorosłego. Za stołami siedzi dwóch chłopaków w moim wieku, może osiemnastoletnich. Po trzech minutach podchodzę do jednego z nich, podaję swoje imię i nazwisko.

– Masz jakiś dowód tożsamości? – pyta.

Nie, nie pomyślałam o paszporcie, nawet teraz taki pomysł wydaje mi się całkiem nie na miejscu. Uśmiecham się. Koleś wygląda na urażonego.

– Z której jesteś szkoły?

– Z Liceum Parkowego.

– OK, dobrze trafiłaś.

Ze stosu piętrzącego się na stole wyciąga dosyć grubą listę, a potem pyta mnie o numer klasy maturalnej. Szybko odnajduje moje nazwisko, wypisuje dla mnie kartonową fiszkę, podaje mi ją i ręcznie wpisuje mnie na listę.

– Chcemy uniknąć sytuacji, w której ludzie zaopatrywaliby się w kilku różnych miejscach albo po kilka razy ustawiali w tej samej kolejce – wyjaśnia mi. – Mieszkasz w liceum?

Przez krótką chwilę nie rozumiem pytania, z opóźnieniem dociera do mnie jego sens: wielu uczniów mieszkało w internacie. Wśród uczniów klas przygotowawczych była to wręcz norma. Zapewne zostali na miejscu, z braku transportu...

– Nie – odpowiadam. – Mieszkam u ojca.

Chłopak podnosi głowę, zaskoczony.

– Twój ojciec wciąż żyje?

– Nie wiem... Zniknął w przeddzień oficjalnego ogłoszenia epidemii. Jest lekarzem, specjalizuje się w wirusach.

Biorę swoją torbę i wysypuję jej zawartość na stół: bawełniane maseczki, lateksowe rękawiczki, roztwory alkoholu, odkażacze, saszetki z elektrolitami, zestawy przetrwania. Całe to „wyposażenie awaryjne” mojego ojca na misje humanitarne wydaje mi się dziś śmieszne. Teraz właściwie przydałyby się raczej kombinezony z mechanicznym przepływem powietrza z jego laboratorium P4. Ale te leki i materiały opatrunkowe to wszystko, co mam.

– To takie różności pierwszej potrzeby – mówię. – Mogą się przydać przeciwko

zakażeniom. Mam tego w domu ze trzy razy tyle...

Mój rozmówca przygląda mi się uważnie, z wahaniem: nie jestem już tylko nazwiskiem na liście. Co powinien zrobić? Odwraca się do innych chłopaków w namiocie i prosi, żeby zawołali Juliana.

– Możesz poczekać tu kilka minut? O tym musisz pogadać z jednym ze studentów medycyny...

Rzuca okiem na leżącą przed nim kartkę i zaczyna czytać zalecenia.

– ...Tu masz podstawowe informacje: znajdujemy się w strefie zaopatrzenia Tête d'Or, która obejmuje Liceum Parkowe, Herriot, Brossolette, La Trinité i Magenta oraz kilkanaście gimnazjów, a do tego trzy uczelnie. Nazywa się to Z-Punktem. W Lyonie znajdują się cztery takie strefy. Jeżeli pojawisz się tu między ósmą i piętnastą, każdego dnia otrzymasz posiłek i dwa litry wody. Studenci medycyny zajmują się opieką zdrowotną, uczniowie z klas przygotowawczych zarządzają strefą zaopatrzenia i strefami zbiorowego zakwaterowania.

– Studenci?

– Tak, z pierwszego roku... Cała reszta nie żyje.

Przesuwa w moją stronę kolejną zadrukowaną kartkę, zatytułowaną *SZZ, strefa zbiorowego zakwaterowania*, i stuka długopisem w mapę dzielnicy:

– Możesz się zakwaterować w internacie Liceum Parkowego, w sypialni nr 5 z dziewczynami z maturalnej. Tam każdego dnia otrzymasz drugi posiłek, gotowany dla nocujących na miejscu. Kolejną zaletą jest to, że mamy trzy agregaty, czyli światło przez całą dobę... Natomiast musisz zostawić kompa i komórkę na wejściu, żeby nie zżerać prądu. No i musisz brać udział we wspólnych pracach, ale to ci wyjaśni osoba odpowiedzialna za twoją sypialnię.

– Zadowolilibym się zaopatrzeniem – mówię.

Jego ręka na chwilę zawisa w powietrzu. Chłopak jest zaskoczony, bo zaczął mnie już wpisywać na listę „sypialni nr 5 dziewczyn z maturalnej”.

– Jesteś pewna? Nie mogę cię zmusić...

Czuję, że jednak by chciał. Na szczęście w tym momencie do namiotu wbiega młody mężczyzna w białym fartuchu i kieruje się prosto w moją stronę. Nowo przybyły ma sportową sylwetkę, dłuższe blond włosy i pięciodniowy zarost.

– Jestem Julien. To ty przyniosłaś ten towar? – pyta.

Ma łagodny, nieco figlarny wyraz twarzy. Z miejsca wzbudza moją sympatię.

– Od U4 to nas nie uchroni – odpowiadam. – Jednak za tydzień lub dwa zaczną się inne choroby, spowodowane zanieczyszczeniem wody, w której są odpadki i trupy. Czerwonka, cholera. W pierwszej kolejności trzeba by zacząć od palenia ciał i czyszczenia okolicznych ulic. Trzeba by mieć wapno. I znaleźć jakiś sposób na odprowadzanie ekskrementów, utrzymywanie bardzo ścisłej higieny.

Chłopak wygląda na zaskoczonego.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Mój ojciec, Philippe Certaldo, jest epidemiologiem. Przez piętnaście lat jeździł na misje humanitarne.

Chłopak notuje coś w notesie, który wyjął przed chwilą z kieszeni.

– Jak się nazywasz?

– Stéphane. Stéphane Certaldo.

Spogląda na mnie z wahaniem. Standardowa reakcja... Nie wie już, z kim ma do czynienia.

– Mam imię jak chłopak, ale jestem dziewczyną – mówię zblazowanym głosem, żeby

postawić sprawę jasno. – Wyglądam na dziewczynę, nie?

Uśmiecha się.

– Podobno masz więcej tych leków?

– Tak. Mogę wam przynieść. Jutro i pojutrze.

– Chcesz, żebyśmy kogoś przysłali? Nocujesz w liceum?

– Nie, przyniosę resztę na dwa razy, nie ma problemu. Mieszkam u ojca. Czekam, aż wróci.

Julien lustruje mnie wzrokiem. Wygląda na to, że uznał mnie za dość lekkomyślną, ale dostrzegam w jego oczach, że to niekoniecznie musi być wada.

– OK, jak chcesz. Dzięki, Stéphane. Z pewnością przyda nam się twoja wiedza.

Wpadniesz do mnie jutro do namiotu medycznego?

– Jasne. Wiesz może, co się stało z laboratorium P4 w Gerland? Mój ojciec tam pracował.

Domyślam się, że jest pod wrażeniem.

– Zostało ewakuowane, o ile dobrze słyszałem – odpowiada. – Twój ojciec bardzo by nam się przydał...

– No właśnie. Mnie też.



## NOC Z 3 NA 4 LISTOPADA

Dziś wieczorem jakimś cudem włączono prąd. Wykorzystałam to, żeby naładować baterie w iPodzie i kompie. Podniosłam wszystkie elektryczne rolety, nawet te dwie, z którymi ostatnio walczyłam. Otworzyłam szeroko okna, chociaż jest już chłodno. Nie mogę znieść zamknięcia.

Prześladuje mnie myśl o mamie i Nathanie. I myśl o ewakuacji ojca.

## 4 LISTOPADA

Stoję w kolejce w Z-Punkcie, przed strefą dostaw z helikoptera. W rękę trzymam moją „tymczasową kartę”. Podobnie jak wczoraj, rozpoznaję kilka twarzy, chociaż nikogo nie znam na tyle dobrze, żeby zagajać rozmowę. Kilka przypadkowych konwersacji, które do mnie dotarły, potwierdza jednak to, co słyszałam już wcześniej w mediach: prawie jedna trzecia nastolatków w naszym wieku także zmarła na gorączkę krwotoczną... A co stało się z uczniami z mojej klasy? Komu się udało?

Uczniowie z liceum w małych grupkach komentują sytuację w strefie zbiorowego zakwaterowania. Są dziwnie spokojni, jakby pogodzili się z już z nowymi okolicznościami. Po dwudziestu minutach oczekiwania wreszcie dostają przydzielone dwie butelki wody i porcję prowiantu. W drodze powrotnej słyszę ochryple, głębokie krzyki dobiegające z parku. Niecałe pięćset metrów stąd jest ogród zoologiczny Tête d'Or. Zwierzęta na pewno zdychają tam z głodu. Które tak przeraźliwie jęczą?

—

Po powrocie do domu pochłaniam moją porcję w kilku kęsach. Wydaje mi się jeszcze mizerniejsza niż ta wczorajsza. Kto o tym decyduje, kto je przygotowuje, transportuje? Na co liczą wojskowi? Chcą nas tylko utrzymać przy życiu? Co ich powstrzymuje przed ewakuowaniem nas, tak jak ewakuowali laboratorium mojego ojca?

Skoro jest jakieś bezpieczne miejsce, jakieś schronienie, to dlaczego nie możemy z niego skorzystać?

Ktoś na pewno zna jakieś rozwiązanie, znalazł wyjście, ma plan – dorośli, którzy pracują nad rozwiązywaniem problemów, jakaś organizacja... Musi przecież istnieć jakaś procedura! Nie wszyscy umarli: w Z-Punkcie Tête d'Or jest prawie tysiąc nastolatków, a gdzie indziej w Lyonie pewnie trzydzieści albo czterdzieści razy więcej. Ktoś wysyła helikoptery z zaopatrzeniem, gdzieś żyją zorganizowani dorośli, w tym mój ojciec i inni ewakuowani lekarze. Jeżeli żyją, to na pewno szukają teraz jakiegoś lekarstwa, szczepionki.

Czy wrócą? Czy zwierzęca chęć przetrwania z powrotem zamieni się w życie?

Światło znów gaśnie, z pewnością w całym mieście. Czy tym razem ciemności zapadły na zawsze?

## 5 LISTOPADA

Wczoraj szukałam Julienu, studenta pierwszego roku medycyny, w namiocie medycznym, gdzie mieliśmy się spotkać, ale go tam nie było. Dzisiaj podchodzi do mnie, kiedy stoję w kolejce po przydział. Towarzyszą mu jakiś chłopak i dziewczyna. Julien mi ich przedstawia:

– Ahmed... Émilie... Najzdolniejsi z grupy.

Ona ma bardzo jasne oczy, bardzo bladą skórę i ciemnofioletowe worki pod oczami. On najwyraźniej źle się czuje we własnym ciele, ma różowe i gładkie chłopięce policzki. Podaje mi rękę.

– Miło mi – mówi niezręcznie. – Chodziliśmy na zajęcia do twojego ojca, na wirusologię. Na pewno miał różne książki, dokumenty, prawda?

Tata... Nie wiem, do czego dąży Ahmed, ale zna mojego ojca. Émilie podchwytuje wątek.

– Studiowaliśmy nauki ścisłe na ENS, a teraz mieszkamy na kampusie w Z-Punkcie. Potrzebujemy dokumentów twojego ojca i jego kolegów, żeby móc walczyć z epidemią. Niestety, nie możemy wejść do laboratorium P4... Wczoraj Julien nam o tobie opowiedział. Chcielibyśmy pójść do ciebie do domu i sprawdzić, czy nie ma tam dokumentów, które by nam pomogły. Myślisz, że to wykonalne?

Kiwam głową, idiotycznie onieśmielona przez dwoje studentów, którzy przecież są ode mnie tylko o rok starsi. Może to dlatego, że mówią jak dorośli. Wiedzą, czego szukają. Nie wyglądają na zagubionych.

– OK, no to idziemy – podsumowuje Julien. – Wziąłem już twoją rację.

Wskazuje na trzy porcje prowiantu i cztery butelki wody. To znacznie więcej niż mi przysługuje. Zabieram tylko jedną porcję.

– Jak wolisz – uśmiecha się Julien.

– Macie tam w Z-Punkcie jakieś świece? – pytam go.

– Akurat to, dla odmiany, przysługuje tylko mieszkańcom stref zbiorowego zakwaterowania...

Przecinamy plac. Kierujemy się w stronę mostu Winstona Churchilla i półwyspu. Kiedy oddalamy się od parku, po raz kolejny dobiegają mnie krzyki zwierząt.

---

Gdy wchodzimy do mieszkania mojego ojca, Ahmed natychmiast zauważa filtr z węglem aktywnym, zamontowany w oknie naszego salonu. Gwizdże z uznaniem.

– Wyjątkowa z ciebie licealistka, Stéphane – komentuje Émilie.

– Po prostu trafiłam do dobrej szkoły.

Pokazuję im biurko i biblioteczkę mojego ojca. Wczoraj rano zaniósł im zapasy z ostatniego kartonu z wyposażeniem medycznym na sytuacje awaryjne, ale regały wciąż są pełne. Dwoje studentów ENS zaczyna spisywać tytuły oprawionych doktoratów. Szybko przestają rozumieć, o czym rozmawiają. Może i mają po osiemnaście lat, ale według Julienu to „najlepsi z najlepszych”.

– Kilkoro nastolatków z ENS, najbardziej błyskotliwi studenci biologii i chemii w całej Francji, zaczęło pracę nad hipotezami – tłumaczy mi Julien. – Na razie starają się zrozumieć, dlaczego przy życiu pozostaliśmy akurat my – czyli ludzie między piętnastym a osiemnastym rokiem życia.

– Myślicie, że możemy być zdrowymi nosicielami? – pytam.

Ahmed się odwraca.

– Rzeczywiście, to jedna z hipotez – odpowiada. – Jeśli tak jest, to przenosimy filowirusa i mogliśmy zarażać naszych bliskich. Inna hipoteza zakłada, że coś w naszym organizmie uodporniło nas przeciwko zarażeniu. W obydwu przypadkach musimy znaleźć wyjaśnienie, żeby wypracować podstawę leczenia.

Oceniam ambicję jego słów. „Leczenie...” To równie szalone – w pewnym sensie – co wiadomość zostawiona przez Khronosa na forum dzień przed tym, zanim siadły wszystkie połączenia. „Cofnąć czas, znaleźć leczenie...”

– A jeśli to tylko opóźnione działanie? – sugeruję.

Widzę na ich twarzach, że znów są pod wrażeniem mojej wiedzy. Podczas epidemii niektóre systemy immunologiczne odwołują działanie wirusa, a więc dwie osoby zarażone w tym samym momencie mogą zapaść na daną chorobę w różnym czasie, jeśli jedna z nich ma dłuższy okres inkubacji.

– To mogłaby być druga wersja – przyznaje Ahmed. – Ale nasze systemy odpornościowe nie są identyczne, nawet jeśli jesteśmy w tym samym wieku. Masowe przetrwanie akurat trzech roczników pod rząd nie pasuje do tej hipotezy...

– Zastanawialiśmy się nad tym – dodaje Émilie. – Przeżycie w tym przypadku zależało od roku urodzenia. Dotyczy to osób między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. Wszyscy przeżyliśmy, choć nie ma to uzasadnienia w naszej fizjologii. Coś musiało się **zdarzyć**, a my właśnie musimy to zidentyfikować.

Rozumiem ogólny zamysł: połączyło nas coś konkretnego, skoro jeszcze żyjemy, a jesteśmy niemal w tym samym wieku. Jakieś **wydarzenie**? Nie pomyślałam o tym.

– Jeżeli wasze **wydarzenie** istnieje – mówię, głośno myśląc – to z pewnością chodzi o coś medycznego. Leki, które byśmy wszyscy ostatnio dostali. Albo jakaś szczepionka przeciwko innej chorobie.

Przyglądają mi się i kiwają głowami. Doszli do tych samych logicznych wniosków.

– Nie wiemy, ilu lekarzy przeżyło epidemię – stwierdza Ahmed. – Tak czy inaczej, wszystkich ewakuowano i nie wiemy dokąd. Póki co, musimy szukać sami.

„Ilu lekarzy jeszcze żyje? Co byś dała za odpowiedź na to pytanie?”

Kiedy już skończyli zbierać dysertacje i przydatne książki – te, które sama im wskazałam, i inne, pod kątem ich hipotez – wypełnili nimi dwie walizki ciężkie jak kufry.

– Jakieś dwieście metrów stąd stoi kilka pustych wózków sklepowych – mówię. – Można by to w nich przewieźć. Pokażę wam.

Przed marketem Julien bierze mnie na stronę.

– Stéphane, nie powinnaś zostawać sama. Przydałabyś się nam w strefie zbiorowego zakwaterowania.

– No i zwariujesz tu – dodaje Émilie, która do nas podeszła.

– Wolę czekać na ojca, w razie gdyby wrócił.

## 6 LISTOPADA

„Zwariować”? Moja samotność jest nieskończona, nieukończona. Tak samo jak niepokój oraz niepewność. Ilu z nas ma jeszcze nadzieję, że ich rodzice żyją? Czy karmię tylko moje złudzenia, a ewakuowani umarli gdzieś indziej?

Z drugiej strony żyją przecież żołnierze, latają helikoptery, są pewnie jakieś władze. Czyli są też bezpieczne miejsca...

W poszukiwaniu jakiegoś życzliwego towarzystwa, po prostu kogoś do rozmowy, postanawiam pójść do Z-Punktu wcześniej niż poprzednio. Po drodze słyszę krzyki. Przez ostatnie dwie doby w dzielnicy było trochę strzałów – głuchych, stłumionych. Po Tête d’Or krążą plotki o szabrownikach plądrujących Lyon. Miejskie legendy? Mój ojciec mawiał, że w strefach zarażenia kradzieże, przesady i porachunki są często bardziej śmiertelne niż sama choroba.

Instynktownie zrywam się do biegu.

Dostałam już swoją porcję, ale przez kilkanaście minut ociągam się z opuszczeniem strefy zaopatrzenia. Wreszcie dostrzegam tych, na których liczyłam: trójkę uczniów z mojej klasy maturalnej.

Oni też mnie widzą.

– Stéphane! – krzyczy Marco Gallehault, podchodząc do mnie z otwartymi ramionami.

Na jego widok zalewa mnie fala radości. Miałam z nim dobry kontakt przez ostatnie dwa miesiące. Marco to dosyć zabawny chłopak, przystojniak szybko zjednujący sobie ludzi i to nie tylko tych najsłabszych czy nieśmiałych... Poza tym wysportowany, bardzo przeciętny w przedmiotach ścisłych, błyskotliwy w historii; świetny facet, kompletnie nie na miejscu w klasie maturalnej o profilu ścisłym. Od początku całkiem dobrze się rozumieliśmy. Dziś wygląda, jakby też szczerze się cieszył, że mnie widzi. Niestety, towarzyszą mu Jennifer i Anna, dwie członkinie klasowego gangu wytapetowanych łasek.

– W której sali śpisz, Stéphane? Myśleliśmy, że nie...

– Że nie żyję? Jak widać, żyję. Ale nie nocuję na miejscu, wpadłam tylko coś przegryźć.

Wskazuję na moją otwartą rację żywieniową.

– Pyszności, nawiasem mówiąc...

Oboje się krzywimy, a potem uśmiechamy. Jennifer i Anna stoją z boku i udają, że patrzą w inną stronę. Zawsze odnosiły się do takich dziewczyn jak ja ze znużoną obojętnością, ale dziś i one nie wyglądają najlepiej. Lustruję je wzrokiem.

– Jak leci, łaseczki? Da się jakoś przeżyć bez szamponu?

Obracają się na pięcie i odchodzą dwadzieścia metrów dalej, by poczekać na swojego opiekuna. Marco się uśmiecha.

– Nie musiałas tego robić, Stéphane. Teraz wszyscy trzymamy się razem.

– Oczywiście – odpowiadam. – Wystarczy porządny wirus i zapanowuje powszechna postapokaliptyczna miłość...

– Nic się nie zmieniłaś. Wiecznie wściekła, co? Dlaczego nie chcesz tu zamieszkać?

– Właśnie z powodu tych wszystkich ludzi – odpowiadam, wskazując Jennifer i Annę. –

To ponad moje siły.

Patrzy mi w oczy z mieszanką ironii i podziwu.

– Do diabła, prawdziwy z siebie uparciuch... Myślisz, że dasz sobie radę sama?

– Staram się. Zobaczymy.

Jego głos nagle się zmienia, przechodzi w szept spiskowca.

– Czytałem twoje rady na forum, Lady. Widziałas ostatnią wiadomość od Khronosa?

Lady Rottweiler... Prawie zapomniałam o tej wiadomości. „Nie traćcie nadziei. Znam sposób na cofnięcie czasu”. Zapomniałam, że Marco też grał w WOT. A przecież tyle o tym rozmawialiśmy: jego awatar, Long John Silver, też należał do grona Ekspertów.

– Nie wierzę w wehikuły czasu – odpowiadam mu. – Ani w Świętego Mikołaja. No dobra, Marco, zostawiam cię z twoją świtą.

– Odzywaj się czasem, Lady.

Wygląda, jakby szczerze ucieszył się z naszego spotkania. Muszę przyznać, że ja też. Chociaż wolałabym porozmawiać z Julienem, Émilie albo Ahmedem.

Po posiłku kieruję się w stronę zoo. Pierwszy raz byłam tam, kiedy mój ojciec przeniósł się do Lyonu. Miałam dziesięć lat, a Nathan siedem. Często chodziliśmy do zoo.

Pięć żyraf wyszło ze swojej zagrody, stoją na ogromnym wybiegu imitującym sawannę. Widać, że wychudły, ich cętkowana skóra zdaje się zwisać z wielkich ciał, które wyglądają przez to dość niezgrabnie.

Zwierzęta poruszają się wolniej niż zwykle, jakby chciały oszczędzać siły. Jedna z żyraf patrzy w moją stronę. Pod jej długimi rżęsami skrywają się załzawione oczy. Nagle zwierzę wydaje z siebie rozdzierający serce jęk – dotychczas nigdy nie słyszałam wołania żyrafy.

Nie mam sumienia stać tu i wciąż tak patrzeć, więc zostawiam je i idę dalej wzdłuż ogrodzenia.

Spora część wielkich afrykańskich roślinożerców zgromadziła się wokół wodopoju. Wszystkie są zatrważająco wychudzone, mają wystające zębra, jakby dotknęła je klęska suszy na sawannie. Oryksy i zebry Hartmanna leżą na piasku, tylko kilka samców jeszcze się nie poddało. Paśniki, w których zazwyczaj znajduje się pasza, są puste, a roślinność z wybiegu chyba nie wystarcza zwierzętom. Kiedy mnie dostrzegają, w ich oczach pojawia się nadzieja. Myślą, że przychodzę je nakarmić. Liczą na człowieka. A ludzi już prawie wcale nie ma...

Ten widok jest wstrząsający.

Nagle między dwiema kępami drzew dostrzegam kogoś, kto pcha taczka pełną paszy. Zaskoczona idę za nim, na wpół ukryta za kępami rododendronów. Nie wiem właściwie, dlaczego się kryję.

Kto to?

Chłopak kładzie na ziemi ogromną kulę siana, a potem gwizdże. Watussi wolnym krokiem podchodzi do ogrodzenia. Samozwańczy karmiciel bierze widły i przetrzuca swój ładunek przez barierkę, po czym przechodzi przez nią, wyciąga scyzoryk, przecina taśmę przytrzymującą kulę siana i niesie całe naręcza suchej trawy w stronę paśników. Bawoły o brunatno-żółtej sierści, z ogromnymi rogami koloru kości słoniowej, zbliżają się do nich ostrożnie.

Chłopak jeszcze mnie nie zauważył, więc mogę dobrze mu się przyjrzeć. Nosi bojówki w kolorze khaki i ciemną koszulkę z długimi rękawami. Ma czarne, mocno rozczochrane włosy. Wychodzi z zagrody watussi, a potem znika w przestrzeni zarezerwowanej dla personelu i po chwili wraca z nową taczka pełną siana. Na wierzchu położył szpadel. Śledzę go, wręcz zafascynowana.

Tym razem zatrzymuje się przed schronieniem kobów nilowych, drobnych antylop, po czym zaczyna powtarzać te same czynności. Rozkłada paszę w paśnikach i zwraca na nią uwagę zwierząt. Antylopy trochę się chwieją na zbyt cienkich nogach, ale w końcu łączą się w stado. Nieznajomy spokojnymi ruchami głaszcze brązowożółte samce i coś do nich mówi. Swobodnie porusza się wśród nich, jakby się dobrze znali. Tymczasem samice z dwójką młodych nie mają do niego zaufania i trzymają się na uboczu.

Nagle chłopak sięga po szpadel i podchodzi do jednego ze zwierząt, stojącego nieco z

tyłu. Bierze zamach i gwałtownie uderza antylopę w kark, tuż za rogami. Tryska krew. Zwierzę się ślania i ugina tylne nogi. Drugim, precyzyjnym uderzeniem chłopak rozcina mu kark do połowy.

Pozostałe przeżuwacze śledzą tę scenę z oddali, rozdarte między głodem i strachem. Tajemniczy zabójca antylopy odwraca się do mnie.

– Pomożesz mi zapakować ją na taczkę? To bydlę waży co najmniej z osiemdziesiąt kilo...

—

Alex chodził w liceum Herriot do klasy maturalnej o profilu ścisłym. Nie skomentował mojego męskiego imienia. Kiedy już załadowaliśmy jego ofiarę na taczkę, zakrwawionymi rękami wytarł sobie czoło i teraz szkarłatne smugi nadają mu wygląd mordercy. Podaję mu chusteczkę z gazy, którą wzięłam na wszelki wypadek. Alex wyciera się i upycha chustkę w kieszeni. Chyba nie zamierza mi jej oddać. Potem wskazuje na antylopę.

– Wyglądasz na miłośniczkę zwierząt – stwierdza. – Ten samiec powoli już zdychał, a nam się może przydać. Idziesz?

Posłusznie podążam za nim, o nic nie pytając. Alex pcha taczkę. Jeszcze ciepłe ciało jego ofiary podskakuje na każdym wertepie. Docieramy do głównej części zoo. Mijamy szklane i druciane klatki naczelnych, ptaków i drapieżców. Za szybami widać wychudłe zwierzęta, ale żaden gatunek nie wydaje się dotknięty przez U4. Oczywiście poza dużymi małpami – żadna z nich nie przeżyła. „To zrozumiałe w przypadku filowirusa” – powiedziałby mój ojciec.

Kotowate zostały zamknięte wewnątrz menażerii przez „ostatniego strażnika, który był tu przed śmiercią” – jak stwierdza Alex. Zrzuca antylopę na ziemię przed schodami prowadzącymi do budynku i za pomocą szpadla z naostrzoną krawędzią rąbie zwierzę na pięć wielkich, krwistych kawałów.

– Zajmę się tym sam – mówi. – To brudna robota.

Podnosi jeden kawał, pokonuje schody i wchodzi do menażerii, której drzwi zostały wyważone. Przez kogo, jeżeli nie przez niego? Alex wraca do truchła roślinożercy i odchodzi z kolejnym ochłapem mięsa. Wszystkie ubrania ma teraz poplamione krwią. Podążam tuż za nim, kiedy wraca na górę z ostatnim strzępem antylopy. W środku cuchnie, unosi się cierpki zapach, który szczelnie wypełnia płuca.

Alex podchodzi do klatki z lwami perskimi. Wyjmuje z kieszeni pęk kluczy, otwiera zakratowaną śluzę, wchodzi do środka. Dwójka kotowatych podniosła się i uważnie śledzi go wzrokiem. Samiec z brudną, obwisłą grzywą wydaje z siebie gwałtowny ryk. Alex nawet nie drgnie. Uśmiecha się.

– Kocury wyczuwają karmę.

Dwójka drapieżców podchodzi do kraty. Alex wrzuca im posiłek do środka, po czym wychodzi, pogwizdując. W jego śmiałości nie ma nic udawanego ani nieuważnego. Ze spokojem powtarza tę samą operację z lampartami amurskimi o oczach jak żółty lód.

Tygrysa bengalskiego zostawia sobie na koniec.

Przez ogrodzenie przerzuca mięso na trawę, po czym otwiera zwierzęciu wyjście na zewnątrz.

Siedzimy na ławce tuż za ogrodzeniem, twarzą do wybiegu, pod gołym niebem. Gdy dawniej tu przychodziłam, musieliśmy walczyć, przepychać się łokciami, żeby przyjrzeć się spektaklowi tygrysięgo posiłku, który przyciągał całe chmary dzieciaków z rodzicami, wycieczki szkolne, turystów. Co się z nimi wszystkimi stało?

A Nathan, który podobnie jak ja kochał ogrody zoologiczne?

Nie chcę o tym myśleć.

Tygrys wychodzi, ostrożny i nieufny. To jego pierwsze kroki na powietrzu od prawie dwóch tygodni. Dzieli nas od niego tylko głęboka fosa, prawie sucha. Tygrys najpierw obchodzi wkoło swoje terytorium. To przechadzka, którą wykonuje dwadzieścia razy dziennie, od kiedy urodził się w niewoli. Następnie zbliża się do mięsa, trąca je łapą, oddala się. Potem powraca i rzuca się na zad antylopy. Słyszymy pomruki zadowolenia i pękające chrząstki.

Słońce oświetla nam twarze. Alex siedzi z nogą na nodze, z rękoma w kieszeniach, i pyta zamyślony:

– Myślisz, że my też jesteśmy zwierzętami zagrożonymi wymarciem?

Spoglądam na przyczepioną do ogrodzenia tabliczkę, która informuje, że bengal został przyjęty do parku Tête d'Or w ramach konwencji waszyngtońskiej o ratowaniu gatunków chronionych.

– Trzeba by chyba pomyśleć o jakimś programie ochrony gatunku...

Jasne oczy Aleksa o turkusowym kolorze zniknęły w zmarszczkach uśmiechu. Taki czarny humor to wszystko, czego mi trzeba. Wyjmuje moją chustkę z kieszeni, ponownie wyciera sobie przedramiona i czoło, po czym oddaje mi strzępek zakrwawionej gazy.

– Trzymaj. Nie jestem pewien, czy jeszcze ci się przyda.

Z uśmiechem wsuwam gazę do kieszeni.

– Przyjdiesz znów jutro, żeby mi pomóc? – pyta Alex. – Zacząłem wczoraj, ale chyba będę potrzebował pomocnika weterynarza.

—

Przeszłam przez most Winstona Churchilla. Od niecałych trzech minut idę już półwyspem. Nagle z prostopadłej ulicy wyjeżdża samochód i wolno przesuwają się w moją stronę. Uciekać, chować się? Za późno, już mnie dostrzegli.

„Zachowaj spokój. Nie daj nic po sobie poznać”.

Idę w stronę samochodu. Kiedy podjeżdża bliżej, ktoś bezgłośnie opuszcza elektrycznie sterowane szyby. Ze środka przygląda mi się czterech gości. Są w moim wieku. Szabrownicy?

Przed chwilą naciągnęłam kaptur, ledwo można dostrzec w mroku moją twarz.

– Masz jakąś wodę? – pyta kierowca.

Kręcę głową przecząco. Gość pokazuje kierunek Tête d'Or.

– Tam już jej nie mają?

Tym razem potakuję.

– Zapomniałeś języka? Jak się nazywasz?

– Stéphane.

Staram się, aby mój głos był jak najbardziej mrukliwy. Przede wszystkim nie mogą się zorientować, że jestem dziewczyną. Stałabym się wówczas zwierzyną łowną.

– Nie powinieneś się tu kręcić, Stéphane, ulice nie są bezpieczne – rzuca do mnie kierowca.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Znów kiwam głową. Odjeżdżają. Jestem złana potem.

Po powrocie do „naszego” domu nerwowo przeszukuję wszystkie szafki, żeby znaleźć cokolwiek, co mogłoby posłużyć mi za broń. W głębi szafy odkrywam skrzynkę z narzędziami. Nie pomyślałabym, że z ojca taki majsterkowicz, ale w gruncie rzeczy tak rzadko go odwiedzałam przez kilka ostatnich lat... Biorę łom i mocuję go do plecaka, a potem wsuwam kuchenny nóż do jednej z bocznych kieszeni.



Ojciec mawiał, że w „czerwonych strefach” i ich okolicach pojawienie się szabrowników jest nieuniknione. Jak w strefach wojny w Ukrainie, w WOT. Tato, czy to już wojna? Jak długo jeszcze dam radę czekać tu na ciebie?

## 8 LISTOPADA

Nikt już nie kąpie się na brzegu Rodanu. Po stronie dzielnicy Gerland ulice wyglądają inaczej. Wypalone karoserie samochodów. Rosnące góry odpadków, nagromadzone przez wiatr albo porzucone. Miasto przybrało wygląd wysypiska, pola bitwy i cmentarza zarazem. Włóczą się po nim zwierzęta, dziczyły psy, koty, a przede wszystkim tysiące szczurów, które w ostatnim czasie powychodziły z kanałów. Na chodnikach dominują ptaki, całe eskadry kruków rzucają się z powietrza na tę trupiarnię i pożywiają się tym, co z nas pozostało, także naszymi trupami, wyklócając się o nie z drapieżnymi przybyszami ze wsi. Nawet gołębie zostały padlinożercami. A może zawsze nimi były? Czy jedzą ludzi? Ludzkie strzępy, ludzkie nieczystości? Kilka ciał, które mijam, wygląda ohydnie.

Dwa tygodnie po wybuchu epidemii Lyon cuchnie.

Wysoka sylwetka wieżowca P4 wciąż jest pogrążona w ciemnościach. Przed Z-Punktem ENS trzeba się wylegitymować. Mówię do jednego z uzbrojonych „wartowników”:

– Przyszłam do Émilie i Ahmeda. Tych geniuszy.

Nie znam ich nazwisk, ale strażnik zrozumiał i daje znak, żebym zaczekała. Nie ma opcji, żeby przedostać się do laboratorium badaczy. Wreszcie w drzwiach staje Émilie.

– Jakieś zmartwienie, kochana?

Domyślałam się, że zapomniała już, jak mam na imię, chociaż jest nietypowe. W końcu interesowało ją tylko moje nazwisko.

– Nie, przyszłam tylko zapytać o... O **wydarzenie**.

– Pracujemy nad tym. I udało nam się nawiązać kontakt z lekarzami...

– Z moim ojcem?

– Nie, z innymi lekarzami pracującymi dla wojska. Kiedy tylko będziemy wiedzieli coś więcej, damy znać Julienowi. Mieszkasz teraz w Z-Punkcie Tête d’Or?

– Nie, wciąż u ojca.

– Nie powinnaś tam zostawać. W mieście dochodzi do grabieży, gwałtów... Nie możemy cię tu wpuścić, przykro mi, ale zasady są bardzo surowe.

Szukają. Znajdą. Muszę tylko poczekać i pozwolić im pracować. Wracam do Tête d’Or. Za kogo ja się uważałam? Za równą im epidemiolożkę, błyskotliwą studentkę? Jestem tylko córką mojego ojca.

Dzielnica Guillotière nie różni się prawie od Gerland: te same śmieci, trupy, ta sama fauna. Trzy budynki w całości spłonęły. W jakich okolicznościach? Ich zwęglone bryły straszą szkieletem okien i metalowych konstrukcji pod szarym niebem.

## 10 LISTOPADA

Codziennie o świcie schodzę na dół, żeby przejść przez most po wschodzie słońca. Unikam nocy. Gdy słyszę odgłosy samochodów i motorów, wiem, że nocni łowcy urządzą sobie mniej lub bardziej brutalne polowania na ludzi. Wczoraj widziałam na asfalcie ciało jakiegoś chłopaka. Nie padł ofiarą wirusa – na jego twarzy widać było ślady ciosów, a na ciele dwie rany po kulach.

Dymy unoszące się nad Z-Punktem mieszają się nad Rodanem z jesienną mgłą. Dwa dni temu rozpoczęło się palenie trupów i usuwanie nieczystości z całej dzielnicy. Jeśli ktoś chciałby pogrzebać wszystkich zmarłych i uniknąć ryzyka kolejnej epidemii, musiałby mieć koparki i wapno. Na razie jednak mdlący dym z potwornych ognisk snuje się po całym mieście. Gdy docieram na skwer – po pierwszym kursie helikopterów – najpierw idę odebrać rację żywnościową. Witam się z daleka z Julienem, Markiem i jeszcze kilkoma innymi znajomymi. Julien przyszedł wczoraj, wypytywał o mnie. Teraz powtarza mi z poważną miną, że moje umiejętności przydałyby mu się w szpitalu. Ponownie odrzucam ofertę zamieszkania z strefie zbiorowego zakwaterowania.

Rzecz w tym, że moje rozmowy z dawnymi uczniami Liceum Parkowego wciąż kręciły się wokół trzech tematów, których nie miałam ochoty poruszać: nasze szanse na przeżycie, skromność posiłków i sposób, w jaki toczą się sprawy w Z-Punkcie... Dziwnym trafem akurat w chwili, kiedy powinnam doświadczać poczucia wspólnoty, czuję się coraz bardziej wyobcowana.

Nie chcę już rozmawiać z nikim z mojej klasy. Alex i nasza wspólna praca mi wystarczają. Czuję się przydatna i nie potrzebuję nikogo innego, dopóki nie wróci mój ojciec.

Kiedy przychodzę do zoo, Alex już na mnie czeka. Od czterech dni działamy według tego samego schematu. To prawie rytuał. Zaczynamy od zwierząt sawannowych, które najczęściej chowają się w swoich zadaszonych zagrodach. Znów zaczął padać zimny deszcz i prawie nie przestaje – ot, listopadowa pogoda. Zanosimy paszę żyrafom, czyli „wielkim dziewczynom”, jak je nazywa Alex. Potem jedzenie dostają watussi, antylopy i zebry. W takim deszczu ich siano szybko gnije. W pomieszczeniach trzeba wypełnić wodą poidła przeżuwaczy i usunąć gnój. Wodę nosimy w wiadrze, musimy z nią obrócić kilkanaście razy. Zanim Alex rozpoczął naukę w liceum, mieszkał w gospodarstwie, więc teraz daje mi rady, a czasem dyskretnie nabija się z mojej niezręczności. Ubrani w peleryny, ale mimo wszystko zmoknięci, biegniemy potem w kierunku klatek. Pandzie rudej wystarczają pędy bambusa rosnącego na jej wybiegu. Z braku źródeł pokarmu zaniedbujemy jaszczurki, krokodyle i żółwie; od dwóch dni rzucamy drapieżcom truchła tamaryn, zdziesiątkowanych przez dziwną przypadłość. Filowirus?

Alex sugeruje, żebyśmy spróbowali wydoić watussi. Jego zdaniem nie powinno to być bardziej skomplikowane niż dojenie krów.

– Najlepsze siano trzymam dla watussi i żyraf, bo kiedy nie będziemy już mieli więcej mięsa, to je właśnie zjemy – powiedział też wczoraj. – Taka żyrafa musi być smaczna, jak myślisz?

Zawsze tak sobie żartuje, na chłodno. Ma zgryźliwe poczucie humoru. To pewnie jego sposób na złapanie dystansu.

Zjadamy nasze spartańskie racje żywnościowe w domku, w którym mieścił się kiedyś posterunek policji, za żyrafiarnią. Alex tam właśnie sypia; umieścił swoje rzeczy w jednym kącie pomieszczenia i zmontował sobie z siana skromne posłanie. Nie ma ochoty spać z innymi w salach.

Nigdy nie rozmawiamy o epidemii ani o katastrofie, jakby w zoo czas się zatrzymał.

Podczas jedzenia siedzimy na ziemi naprzeciwko siebie, a nasze spojrzenia często się spotykają. Czasem Alex domyśla się, że jestem zmieszana tą milczącą bliskością, i rzuca jakimś nowym żartem. Moje zakłopotanie nigdy nie trwa długo. Co właściwie dzieje się między nami? Czy kielkuje jakiś rodzaj uczucia? Braterstwo? Tak, z pewnością. Dostrzegam w tym dziwne podobieństwo do zabaw, którym Nathan i ja oddawaliśmy się przez całe godziny. Nie mieliśmy wówczas potrzeby się do siebie odzywać. Lubię jasne oczy Aleksa i jego szczere spojrzenie, uśmiech. Lubię naszą pracę i fizyczne zmęczenie, gdy pod koniec dnia słaniamy się na nogach.

Po południu, kiedy przestaje padać, czasami odwiedza nas kilku mieszkańców strefy zbiorowego zakwaterowania. To ci najmłodszy, bez zajęcia, czasem jeszcze gimnazjaliści, którzy błąkają się po alejkach. Jeśli proponują pomoc, Alex odrzuca ich ofertę w kilku słowach. Nie zazdroszczę im – gdyby się czymś zajęli, chociaż na chwilę mogliby przestać myśleć o całym tym horrorze.

Pod koniec dnia ręce i nogi porządnie mi ciążyą, a głowę mam pustą. Kończę u żyraf, moich ulubienic. Szczotkuję je, żeby usunąć pasożyty, zgodnie z instrukcjami Aleksa. Zwierzęta pozwalają mi się do siebie zbliżać, nachylają szyje, mrugają długimi rzęsami. Są ogromne. Dobrze to widzę, kiedy stoję tak pod nimi.

W żyrafiarni znów staję się małą dziewczynką, która śni swój sen.

## NOC Z 10 NA 11 LISTOPADA

Wciągam kaptur bluzy, którą pożyczył mi Alex. Na Lyon spada drobny deszcz. Przyspieszam kroku. Dookoła panuje już półmrok. Na ulicę Hénon wjeżdża jakieś auto. Instynktownie nurkuję między dwa samochody. Przy samej ziemi cuchnie śmiercią; to pewnie jakiś trup w pojeździe, za którym się chowam. Kierowca jadącego auta hałaśliwie zgrzyta sprzęgłem. Pewnie nauczył się prowadzić najdalej dwa dni temu. Na tylnym siedzeniu dwóch chłopaków wychyla się przez otwarte okna, wrzeszczy i strzela w powietrze. To szabrownicy.

Kiedy skręcają na następnym skrzyżowaniu, odczekuję jeszcze minutę. Serce mi wali. Ponownie dostrzegam trupa chłopaka z ranami od kul w klatce piersiowej. Widzę jego napuchniętą twarz. „W mieście dochodzi do grabieży, gwałtów” – powiedziała Émilie. Na chwilę zamykam oczy, po czym ruszam dalej, zanim strach zdąży mnie sparaliżować.

Przyspieszam kroku, przemykając przy ścianach budynków. Myślę o Aleksie: znów mam kogoś, kogo mogę stracić...

Docieram już do mojej ulicy, kiedy dobiega mnie jakiś krzyk. Odwracam się. Jest ich dwóch. W półmroku dostrzegam ich nędzny wygląd i broń o długich ostrzach. Maczety czy szable?

Biegiem ruszają w moją stronę.

To już nasz budynek. Wyłamane drzwi, klatka schodowa.

Wspinam się po schodach z piętra na piętro w całkowitej ciemności. Goniący mnie bandyci nie krzyczą, biegną w milczeniu, tropią mnie jak zwierzę. Oddech mi się rwie, krew pulsuje w skroniach. Na trzecim piętrze żołądek podchodzi mi do gardła i muszę chwycić się poręczy. O ile dobrze szacuję odległość, mam dwa piętra przewagi. Cholera, szybcy są.

Maczety czy szable? Nie mają broni palnej?

„Nie myśl o tym...”

Muszę się zamknąć. Zabarykadować.

Popycham drzwi na czwartym piętrze i wbiegam na korytarz, z którego można wejść do pięciu mieszkań. Powinam się schować u siebie? Ujawnić im, gdzie mieszkam?

Nagle wpadam w panikę.

W ostatniej chwili dostrzegam uchylone drzwi na końcu korytarza. Rzucam się w tę stronę, wchodzę i staram się je zamknąć. Szlag. Zamki są zablokowane. Cholera...

W tym momencie oni wpadają na piętro.

Muszę się schować tutaj, w tym otwartym mieszkaniu... Nie mam innego wyjścia, chyba że uda mi się przemknąć między nimi i zamknąć się u siebie. Czy mogę liczyć na efekt zaskoczenia? Nie, nie zdążyłabym użyć kluczy. A jak zobaczą, że jestem dziewczyną, zrobią wszystko, żeby wejść. Mogą nawet podpalić drzwi.

„Jesteś całkiem sama”.

Nikt nie przyjdzie mi z pomocą, choćbym wrzeszczała godzinami.

„Nie masz wyboru”.

Cofam się w mrok nieznanego mieszkania ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Panuje całkowita ciemność. Chciałabym w niej zniknąć. Cicho odczepiam łom przypięty do plecaka, potykam się o coś i lecę do tyłu. Na czworaka macam podłogę w poszukiwaniu łomu, który wypadł mi z rąk. Natrafiam na coś kleistego i nagle atakuje mnie smród: to ciało, potknęłam się o ciało leżące na dywanie. Nagle przypominają mi się nasi sąsiedzi z piętra, elegancka młoda para przy kasie, z ośmioletnim synkiem.

Nie wymiotować. Nie. Nie mam na to czasu. Oni zaraz wejdą.

Znajduję wreszcie łom i wstaję. Energicznie wycieram o spodnie jedną, a potem drugą dłoń. Przyłgnał do mnie smród śmierci, tak samo jak kiedyś do Aleksa utytłanego krwią antylopy.

„Alex, proszę, pomóż mi”.

Cofam się po omacku w kierunku pomieszczeń w głębi. Przynajmniej znam układ mieszkania – jest taki sam jak u mojego ojca. Ale nie ma tu wyjścia awaryjnego, żadnej drogi ucieczki. Doskonała pułapka, matnia w ciemnościach? Jeżeli wejdą...

Jestem prawie na końcu korytarza, kiedy w końcu ich słyszę.

Dwóch gości wchodzi do mieszkania. Rozmawiają ze sobą cicho. Wślizguję się do ostatniego pomieszczenia. W całkowitej ciemności mam szansę się ukryć. Muszę znaleźć coś, co mnie zasłoni: szafę albo łóżko, pod które mogłabym się wsunąć. Nagle wpadam na nocny stolik. Lampka uderza o podłogę.

– Tam jest! – wrzeszczy jeden z nich. – Zapalaj!

W korytarzu pojawia się snop światła, a za nim kolejny. Już po mnie. Cofam się, wpadam na kolejny mebel, oni rzucają się w moim kierunku. Oślepia mnie blask latarki.

– O kurwa, to dziewczyna!

Chłopak krzyknął tak, jakby właśnie znalazł pod choinką bożonarodzeniowy prezent.

Mrużę oczy, lecz staram się im przyjrzeć. Mają pewnie po piętnaście lat. W świetle latarek wyglądają jak postacie ze świata Ukraïn. Chusty na głowach, maczety w rękach, nędzne ciuchy.

– Rzuć broń! – rozkazuje mi wyższy.

Opuszczam łom, ale wciąż go trzymam.

– Co robimy, zabieramy ją do Reggiego? – pyta drugi wysokim głosem, jakby falsetem. Widać jeszcze nie przeszedł mutacji.

– Nie. Tę zatrzymamy dla siebie.

Oczy błyszczą im z pożądania, ale wyglądają, jakby się wahali. Czuję, jak ogarnia mnie zimna wściekłość. Ta sama, której Matthieu z mojego poprzedniego liceum zawdzięcza złamaną szczękę. Niebezpieczny spokój Lady Rottweiler, najemniczki z Ukraïn.

– To wasz pierwszy gwałt zbiorowy, chłopaki?

Ten większy kiwa głową z uradowaną miną. Do drugiego najwyraźniej dotarła zimna stal w moim głosie.

– Rzuć to... – powtarza.

Mój łom trafia go prosto w twarz. Chłopak osuwa się na ziemię. Drugi z zaskoczenia albo ze strachu upuszcza latarkę, która toczy się po podłodze i mruga, ale nie gaśnie. Przez chwilę stoimy twarzą w twarz. Widać jedynie nasze nogi.

„Pierwszy, który uderzy, umiera, Lady...”

Chłopak unosi maczetę, ale zdradza go refleks światła na ostrzu. Mam czas, żeby uniknąć ciosu. Z całej siły uderzam go łomem w klatkę piersiową na wysokości ramion.

Ciągnę za łom, ale czuję opór. Mam gościa.

Teraz słyszę jakiś bulgot. Chłopak pada na kolana. Znow staram się zabrać moją broń, ale ta utkwiała głęboko w jego klatce piersiowej. Napastnik wciąż bulgotce, po czym pada twarzą na ziemię, a łom zostaje pod nim. Nogi drżą mu jeszcze przez chwilę.

Potem przestaje się ruszać.

Zabieram z podłogi latarkę, a następnie kładę mojego przeciwnika na wznak. Broń utkwiała w jego klatce piersiowej na wysokości serca. Pulsu brak. Nie żyje. Ta informacja nie wytrąca mnie z równowagi ani na sekundę, wszystko to wydaje mi się nierealne. Jest jak walka w świecie Ukraïn.

Tylko że w naszym świecie każdy ma jedno życie.

Drugi z nich, ten z dziewczęcym głosem, ma na czole głęboką ranę, która obficie krwawi. Wygląda, jakby był tylko ogłuszony. Biorę jego maczetę i zostawiam go na chwilę, żeby poszukać czegoś do odkażania. Muszę umyć ręce – wciąż jeszcze czuć mnie śmiercią.

W jednym z pokoi znajduję dwa trupy pokryte krwistymi strupami. Matka i syn. Ciało leżące w salonie należało do ojca.

W łazience nie ma żadnego odkażacza. Nagle dopada mnie gwałtowny głód. Zjadłabym konia z kopytami. Co się ze mną dzieje? Nie czas teraz na to! Otwieram wszystkie szafki w kuchni, ale są puste. W tym mieszkaniu ktoś już wcześniej był. Kto? Szabrownicy, tacy jak ci dwaj?

A jeśli dzisiaj dostali się też do nas?

Na szczęście nasze drzwi wciąż są zamknięte na klucz. W środku na stole leży dzisiejsza notka z informacją: „Tato, jestem w Z-Punkcie. Jest 10 listopada i wciąż żyję. Wracam wieczorem. S.”.

Z trudem ciągnę moją ofiarę aż do naszego mieszkania. Potem idę sobie zrobić kanapkę. Jestem głodna jak wilk. Chwilę później wymiotuję wszystko, co połknęłam, i zaczynam dygotać.

---

Na ulicy dostrzegam czerwonawe rozbłyski. Moja pierwsza ofiara wciąż jest nieprzytomna. Ostrożnie podchodzę do okna.

Widzę ich. Ze trzydziestu szabrowników na naszej ulicy, prawie u stóp budynku. Niosą płonące pochodnie i są ubrani tak jak ci, na których przed chwilą wpadłam. Cholera, czyżby szukali swoich współników?

Ich zebranie wygląda jak walne zgromadzenie piratów na wyspie Tortuga. Stoją wokół czterech samochodów zaparkowanych na środku ulicy, czarnych dżipów, niezdarnie pomalowanych w trupie czaszki. Na pace z tyłu jednego pick-upa jakiś bardzo wysoki facet z gęstą czarną brodą unosi karabin i przemawia do zgromadzonych. Czy on też ma osiemnaście lat? Musi ich mieć co najmniej z pięć więcej. I jest chyba przywódcą tej armii nastolatków.

„Ktoś starszy ocalał? Czy to możliwe? W jaki sposób?” – powiedziała by mój ojciec.

Brodaty olbrzym mówi coś, co wywołuje nagły entuzjazm w jego „oddziale”. Nie wiem, co im obiecał. Ile czasu zostaną po naszych oknach? Moje dwie ofiary poszły zapewne na zwiad. A jeżeli reszta ich szuka? Jeżeli przeszukają budynki, w końcu znajdą otwarte mieszkanie i łom. A potem znajdą mnie.

Czy o to im chodzi? Muszę się dowiedzieć.

Biorę z naszej łazienki spirytus salicylowy i wylewam go na ranę Falsecika. Ten niezbyt przyjemny zabieg szybko go budzi. Mruga dwa razy i ocenia sytuację. Nie daję mu czasu ani na jej zrozumienie, ani na krzyk, który mógłby zaalarmować jego kumpli: przyduszam go poduszką. Chłopak kręci głową i próbuje złapać powietrze. Na chwilę odsuwam jasek i daję mu znak, żeby się przymknął, a potem funduję jeszcze chwilę podduszania, żeby na pewno się uspokoił.

Wygląda na to, że odebrał przekaz, więc ostatecznie go puszczam. Otwiera szeroko oczy na widok ostrza swojej maczety tuż przed nosem.

– Zamknij się. I podnieś bez gwałtownych ruchów.

Chwieje się. Popycham go w stronę okna, każę mu uklęknąć i oprzeć się o framugę, z rękoma za głową. Ostrze ociera się lekko o jego gardło. Widzę wyraźnie, że chłopak zaczyna świrować.

– Ten facet to wasz przywódca? – szepczę do niego.

Chłopak kręci głową.

– My nie mamy przywódców.

– Ale to on cię tu przysłał na zwiad, zgadza się?

– Nie. Jesteśmy samodzielni. Reggie mówi nam, co mamy robić, tylko kiedy jesteśmy razem.

– Czyli nie ma szans, że dziś wieczorem będzie cię szukał? Tym gorzej dla ciebie, palancie.

Widzę, jak gryzie się w wargi. Już żałuje swoich przechwałek. To dla mnie jak zastrzyk adrenaliny.

– A wiesz, ile ten twój Reggie ma lat?

Przecząco kręci głową.

– To jemu zazwyczaj dostarczacie dziewczyny?

Tym razem Falsecik przytakuje bardzo szybko. Zsuwam ostrze maczety w stronę jego krocza.

– Już tylko za to zasługujesz na ucięcie jaj. Zresztą może i tak to zrobię...

Chłopak się załamuje.

– Ja... Chciałem przeprosić...

– Przeprosiny odrzucone. Jeżeli puszczę cię wolno, to musisz na zawsze przestać polować na młode dziewczyny. Inaczej znajdę cię ponownie i utnę ci te jaja. OK?

Nic nie mówi. Bardzo szybko przytakuje. Właśnie się dowiedział, że może niekoniecznie umrze. Ze strachu zasikał sobie spodnie. Jego smród miesza się z trupim odorem, którym dzisiaj nasiąkałam.

Przez dłuższy czas z moim więźniem u boku obserwuję szabrowników, którzy kręcą się po dzielnicy. Wrzeszczą, strzelają w powietrze, rzucają butelkami w ściany budynków. Samochody odpalają w zgiełku pijackich bełkotów, silniki huczą, hamulce piszczą. Rodeo przekształca się w popijawę. Słyszę ich wrzaski i śmiechy... Widzę czerwonawe smugi światła. Wreszcie około północy odjeżdżają, by kontynuować swój sabbat w jakiejś innej dzielnicy. Noc i miasto należą do nich.

Godzinę później postanawiam wypuścić Falsecika. Informuję go chłodno o mojej diagnozie: mój cios z pewnością spowodował uraz czaszki i czeka go śmierć, jeżeli nie pójdzie się porządnie zbadać.

– Tylko w Z-Punkcie mogą się tym zająć.

Widzę w jego oczach, że mi wierzy.

Później rozkazuję mu spadać. Wiem, że może mnie zdradzić i wskazać swojej bandzie, o ile ją odnajdzie, mieszkanie, w którym się ukrywam, ale jednak nie mogę zabić go ot tak, z zimną krwią.

– Zapomnij o tym miejscu. Znikaj! – rzucam na koniec, zamykając za nim drzwi.



## 11 LISTOPADA

Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Nie ma tu mojego ojca, który wziąłby mnie w ramiona i pocieszył jak po koszmarach w dzieciństwie, gdy śniła mi się Wilczyca. Mam przy sobie tylko maczetę tego szabrownika i jego latarkę, którą zapalam od czasu do czasu pod kołdrą, żeby dodać sobie otuchy.

„Alex ...”

Chciałabym go zobaczyć, ale powrót do Z-Punktu w tych ciemnościach byłby szaleństwem.

---

W Tête d’Or idę bezpośrednio do Julienu, żeby porozmawiać o tym dziwnym chłopaku, który najwyraźniej kieruje załogą szabrowników. Julien kiwa głową zatroskany.

– Tak, słyszeliśmy o nim. Reggie i jego piraci. Wygląda na to, że kręca się wokół Z-Punktu.

– Jest w nim coś dziwnego. Myślę, że ma więcej niż osiemnaście lat... Trzeba by go zbadać.

Julien patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Stéphane, musiałaś mieć dużo szczęścia, skoro natknęłaś się na Reggiego i możesz o tym opowiedzieć. A już szczególnie nie powinnaś go traktować jako przypadku medycznego. To raczej przypadek psychopatyczny.

– Masz jakieś wieści od Ahmeda i Émilie? Wiesz może, czy udało im się skontaktować ponownie z lekarzami ewakuowanymi przez wojsko?

Nie wie. Odpuszczam temat, idę odebrać swoją rację żywnościową i kieruję się w stronę zoo, do Aleksa. Pada deszcz.

---

Pod koniec popołudnia korzystamy z jednego z rzadkich przejaśnień i siadamy na kilka chwil na naszej ulubionej ławce, naprzeciwko zagrody tygrysa. Bengal wychodzi ze swojej kryjówki i trzy razy obchodzi wybieg dookoła. Zdejmuję pelerynę. Mój T-shirt i sweter są przemoczone. „Pan weterynarz” pomimo chłodu siedzi z gołym torsem i wyżyma swoją koszulę. Sama skóra i kości, do tego solidne mięśnie. Na myśl o nich czuję się trochę zmieszana.

– Julien widział, że przychodzisz tu codziennie. Mówił mi o tobie.

Alex oczekuje chwilę. Chce, żebym przetrawiła tę informację, albo może potrzebuje czasu, żeby dobrać dalsze słowa.

– Podobno twój ojciec jest specjalistą od tej choroby i cię porzucił. Dotąd nie chciałaś ze mną o tym rozmawiać. OK, twoja sprawa... Ale Julien się o ciebie boi, z uwagi na szabrowników.

Mówi spokojnym głosem, ale prawą ręką nerwowo poklepuje się po udzie, jakby onieśmiały go własne słowa.

– A ja też się o ciebie boję, Stéphane. Ci goście polują teraz wokół parku. Ograbiają tych, co się oddalają, z jedzenia i wody. A czasami dobierają się do dziewczyn.

– Ja niczym nie ryzykuję. Nie wyglądam na dziewczynę.

Alex nie krytykuje mojego wykrętu, nie żartuje, nie komentuje.

– Mogłabyś nocować u mnie – odpowiada. – Byłoby łatwiej, a ty byłabyś bezpieczniejsza.

Obraca się w moją stronę. Jego jasne oczy oczekują odpowiedzi. Czekają na moją reakcję. Zarumieniłam się? Nie mogę wydobyć z siebie ani słowa.

– To znaczy... Nie zakochałem się w tobie, Stéphane – dodaje Alex. – Mówię to bez podtekstów. Ale dobrze nam się razem pracuje, lubię z tobą przebywać. A tutaj byłabyś bezpieczna.

Mam ochotę mu powiedzieć, że ja też dobrze się z nim czuję i że gdyby się we mnie zakochał, w ogóle by mi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Ale milczę. Czy domyśla się, co mi chodzi po głowie?

– No i dzięki temu mogłabyś się umyć – uśmiecha się Alex. – Bo śmierdzisz dziś gorzej niż lemur.

Chciał zmienić nastrój, ale ja się nie uśmiecham. Bardzo mocno zamykam oczy, aż do bólu.

Powiem mu. Wszystko mu powiem.

– Słuchaj, ja... zabiłam jakiegoś szabrownika dziś w nocy. Zatłukłam go łomem. Chciał mnie zgwałcić.

Opowiadam mu wszystko monotonnym głosem. Potem długo płaczę. Alex szepcze jakieś słowa bez znaczenia, żeby mnie pocieszyć. W końcu wycieram łzy jego chusteczką i spoglądam na niego.

– Mój ojciec... Wcale mnie nie porzucił, wiesz. Musiał zająć się innymi, którzy przeżyli. I chorobą. I moim młodszym bratem. Nie mam do niego żalu.

Alex nie odpowiada. Wciąż się uśmiecha, wstaje i tarmosi mi włosy jedną ręką.

– No już, chodź.

Prowadzi mnie do domu, w którym śpi, daje ręcznik, kawałek mydła, suche i ciepłe ubrania. Cały swój skromny majątek. Potem wychodzi.

Kiedy ja się rozbieram, on bierze się za podgrzewanie deszczówki w wielkiej, co najmniej pięćdziesięciolitrowej balii. Przyglądam się naga swojemu ciału: bardzo blade, wygłodniałe i mało apetyczne. Do tego z zimna dzwonię zębami.

– Za dwie minuty woda będzie letnia – krzyczy Alex z zewnątrz. – Będę w pobliżu, żeby nikt ci nie przeszkadzał. Ale nie przejmuj się, Stéphane, nie będę podglądać.

Tym razem nie żartuje.

Wychodzę boso na zwirową alejkę, całkiem goła na jesiennym powietrzu. Myję się dokładnie pierwszy raz od tygodnia. Czuję, że usuwam ze skóry warstwę zmęczenia i strachu. Oczyszczam się po tej straszliwej nocy. Ciepła woda czyni cuda. Czy można tak po prostu narodzić się ponownie dzięki kąpielom? Energicznie się wycieram. Moja skóra jest zaczerwieniona od tarcia albo od listopadowego chłodu. Trzęsąc się, wracam do środka i szybko wciągam na siebie ubrania Aleksa. Jestem wysoka i równie szczupła jak on, więc ciuchy są prawie w moim rozmiarze. Trochę dziwnie się czuję w jego rzeczach. Jestem gotowa.

– Możesz już patrzeć, Alex – mówię nieśmiało.

Alex wraca, przygląda mi się ze śmiechem w oczach. Podchodzi i całuje mnie w policzek.

– Pachniesz mydłem, siostrzyczko. Prawdziwy postęp. To jak, zdecydowałaś się, zamieszkaż u mnie?

Potakuję bez słowa.

– Chcesz, żebyśmy poszli teraz po twoje rzeczy? – pyta.

– Nie. Zamierzam spędzić ostatnią noc w mieszkaniu mojego ojca. Jutro przyniosę torbę.

– Nie boisz się, że oni wrócą?

## 12 LISTOPADA

Bałam się całą noc. Bałam się, że wróca, że ten, którego wypuściłam, ściągnie mi na głowę Reggiego i jego bandę, a ten, którego zabiłam, nagle zapuka do moich drzwi.

Czułam strach, od którego można zwariować.

Cały czas miałam przy sobie maczetę szabrownika.

Teraz już świta, a ja odkładam broń na stół i odnajduję w sobie tę zimną złość, która zastępuje mi odwagę.

„Skończyć z tym, natychmiast. Wyruszyć, znaleźć cię”.

Pakuję się w gwałtownym pośpiechu. Czuję gułę w żołądku. Chcę być z Alekssem, teraz, jak najszybciej... Układam w plecaku ciepłe ciuchy, całą bieliznę, jaką mam, dwie pary adidasów, kosmetyki, latarkę – bez baterii, te będę musiała gdzieś sobie załatwić – podstawową apteczkę, a właściwie to, co mi z niej zostało; tylko niezbędne rzeczy. Piszę entą kartkę dla mojego ojca i kładę ją na stole. Z pewnością pozostanie nieprzeczytana, ale notuję: „Poszłam się schronić do zoo Tête d’Or, u Aleksa. Czekałam na ciebie długo. S.”. Dodaję datę i podpis. Czy ojciec zrozumie wyrzut, jeśli tu wróci? Ale czemu miałby wracać, skoro został **ewakuowany**?

Wsuwam iPoda do kieszeni bojówek, które pożyczył mi Alex. Póki co, bateria jest wyczerpana, ale kto wie, być może pewnego dnia będziemy mogli sobie czegoś posłuchać na nim we dwoje... Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, jaką muzykę lubimy. Wciąż jesteśmy sobie obcy. Jednak lubię mojego towarzysza. Jeśli mam żyć dalej, potrzebuję jego akceptacji.

„Alex”.

Nazwał mnie „siostrzyczką”. To nic nie znaczy.

Naciągam kaptur bluzy na głowę, zakładam plecak, chwytam maczetę Falsecika. Bez pośpiechu schodzę po schodach. Muszę uspokoić oddech. Będę biegła całą drogę do Z-Punktu. Być może od tego zależy moje życie.

—

Staję. Brak mi tchu. Opieram się o ścianę, żeby złapać oddech. Dostrzegam nagie gałęzie parku Tête d’Or, teraz już dobrze mi znane, i dymy unoszące się w oddali. Za dwie minuty będę na moście Winstona Churchilla.

Rzucam okiem za siebie: żadnych samochodów szabrowników w zasięgu wzroku. Gdyby jakaś bryka wyjechała teraz z prostopadłej ulicy, jeszcze mogłaby mnie dogonić. Oddycham głęboko dwa razy i idę dalej, chociaż ledwo się ruszam przez to klucie w boku.

Wtedy je słyszę.

A potem widzę. Trzy wojskowe helikoptery lecą nad półwyspem jak co rano. Podnoszę oczy w stronę tych niewidzialnych dorosłych, którzy pewnego dnia zjedną na ziemię w towarzystwie lekarzy, w tym mojego ojca. Kiedy już znajdą lekarstwo. Kiedy epidemia się skończy. Momentalnie opuszcza mnie niepokój, jakby z moich ramion zsunął się przyciężki płaszcz.

„Jestem cała i zdrowa, Alex”.

Ogromne maszyny przelatują tuż nad moją głową, jak na wojskowej paradzie. Pozdrawiam pilotów, wznosząc obydwie ręce do góry, w geście zwycięstwa, z maczetą skierowaną w niebo.

Znów ruszam biegiem w kierunku Tête d’Or, gonię helikoptery, z sercem lekkim i zwariowanym, z motylami w brzuchu. „Ocalałam. Ocalałam”. Jutro się zobaczy. Tak bardzo

bałam się śmierci tej nocy, dziś rano...  
Przechodzę przez most. Mijam kraty.

---

Wokół mnie trwa zamęt. Mijam dwa zmasakrowane daniele. Popalone namioty. Odruchowo spoglądam w kierunku zoo, gdzie czeka na mnie Alex. Widzę, że między drzewami, od strony żyrafiarni, biją w górę cztery kolumny dymu. Brudzą niebo.

Zbiera mi się na mdłości.

Rzucam plecak na ziemię i ruszam biegiem przez park w stronę zoo. Na wysokości rosarium doganiają mnie dwie osoby. Jedna ma biały fartuch. To Julien. Dopada mnie pod cedrami, chwyta za ramiona, odwraca do siebie.

– Nie, Stéphane, nie możesz...

– Stul pysk!

Wrzeszczę. Gwałtownie go odtrącam, robię dwa kroki w tył i wywijam młynka maczetą. Julien się cofa, z rozpostartymi rękami, i nadal próbuje mnie uspokoić.

– Stéphane...

– Stul pysk. Proszę.

Tym razem mój głos brzmi prawie błagalnie. Nie chcę go słuchać. Wiem, co chce mi powiedzieć, ale nie chcę tego słuchać. Mam oczy zamglone od łez, od piany, która zbiera mi się w gardle po zbyt szybkim biegu, zbyt wielkiej nadziei.

– Nie możesz... – powtarza Julien spokojnie.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Chciałabym po prostu ruszyć dalej biegiem, do utraty tchu, w stronę Aleksa, ale nagle opadam z sił. Ruszam truchtem w kierunku dymów. Julien biegnie trzy metry za mną.

– Nie idź tam, Stéphane... – powtarza mi jak upartemu dziecku. – To nic nie da.

Domek będący niegdyś siedzibą policji – **nasz** domek – w większej części spłonął. Ognia już nie ma, tylko kilka belek po lewej stronie wciąż dymi.

Widzę pozabijane żyrafy. Leżą na wybiegu w kałuży krwi. Watussi też nie żyją.

Gdzie jest Alex?

Idę dalej w kierunku klatek. Trzy szklane, te z małpami i mangustami, zostały rozwalone. Widzę ślady ogromnej ilości kul. Menażeria z drapieżnikami w połowie spłonęła.

– Dlaczego, dlaczego... – mówię cicho.

Gdzie jest Alex?

Chce mi się wymiotować, ale nie jestem w stanie. Ledwo trzymam się na nogach. Wokół zagrody ludzie przywarli do barierki. Odwracają się, gdy podchodzę. Sama wiem, że wykonuję jakieś nieskoordynowane ruchy, przecinam powietrze przed sobą, machając w ich kierunku. Rozstępują się. W ich oczach widzę oszołomienie. Na pewno wyglądam jak wariatka.

Tygrys przeżył, biega podenerwowany po swoim zakątku.

W głębi fosy leży Alex.

Jego ciało przypomina kukielkę z powyłamywanymi członkami. Leży na brzuchu, z twarzą w wodzie. Plecy ma podziurawione w trzech miejscach. Pochyla się nad nim dwóch licealistów, którzy spuścili się na dół po linie. Jeden z nich, nie mając jeszcze pojęcia o moim przybyciu, unosi głowę.

– Najpierw go zabili – mówi. – A potem próbowali rzucić tygrysowi...

– Dlaczego?! – wrzeszczę. Wszyscy wokół patrzą na moją twarz. Wyglądam jak wariatka, bo jestem wariatką.

Puszczam maczetę. Julien wyciąga rękę w moim kierunku, podchodzi ostrożnie, wolnym krokiem.

Wybucham płaczem, zginam się wół, jakby w głębi mojego brzucha płonęła lawa. A potem padam na kolana.

– Dlaczego? – pytam po raz ostatni, już szeptem.

Nic więcej nie pamiętam.

---

Budzę się w fotelu, w namiocie medycznym, zawinięta w koc. Szczypią mnie oczy, szumi mi w uszach. Mam suche, popękane wargi. Pali mnie w gardle.

– Chce mi się pić.

Julien jest obok mnie. Podaje mi szklankę wody.

– Daliśmy ci leki uspokajające. Przez kilka godzin będzie ci się bardzo chciało pić. Na razie nie próbuj wstawać.

Czuję w ustach smak wymiotów i żelaza. Julien przykłada mi do czoła zwilżoną szmatkę i orientuję się, że rozpala mnie gorączka. Chłód dobrze mi robi.

– Alex... – staram się coś powiedzieć.

– Wyciągnęliśmy go z fosy i pochowaliśmy. Musisz jeszcze pospać, Stéphane.

---

Marco Gallehault pcha mój wózek inwalidzki w stronę liceum. Tuż za bramą parku dostrzegam wysoką, surową sylwetkę budynku. Ostatnie piętra są już pogrążone w mroku: oto miejsce, w którym nie chciałam dać się zamknąć, a Alex też nie chciał tu żyć. Jednak to tu spędzę najbliższą noc.

– Poczekaj! – mówię do Marca, a on staje.

Odwracam się do mojej przeszłości, która miała się stać przyszłością. Nad zoo nie unosi się już dym. Niebo na wschodzie jest granatowe, a sylwetki drzew na tym posępnym tle wyglądają jak chude szkielety. Helikoptery odlatują po wykonaniu ostatniej dziś tury dostaw. Dziesięć, piętnaście zarzewi ognia połyskuje w całym mieście.

Marco rusza dalej. Patrzę daleko przed siebie, suchymi oczami. W drzwiach liceum jakiś nieznany mi chłopak pomaga Markowi wnieść mój wózek. Jeszcze inny, w odbłaskowej kamizelce, spogląda na listę i mówi, odhaczając moje nazwisko:

– Stéphane Certaldo, szpital dla dziewczyn.

## 15 LISTOPADA

Julien przyszedł przedwczoraj przed swoim „obchodem” odwiedzić mnie w pokoju, który dzielę z trzema innymi dziewczynami. Nie znam nawet ich imion. Opowiedział mi, co się stało. Atak szabrowników – Reggiego i jego bandy – na Z-Punkt, kradzież zapasów wody, paliwa, splądrowanie zoo.

– Ale teraz już wojsko nas obroni.

Kiwam głową. Nie mam siły powiedzieć mu, że już za późno, że na wszystko jest już za późno.

Philomène, odpowiedzialna za lecznicę dla dziewczyn, każdego dnia zmniejsza mi dawkę leków przeciwlękowych. Philo to dzieciak z dzielnicy Croix-Rousse. Przed katastrofą chodziła do pierwszej klasy, humanistycznej, w liceum Trinité. Obserwuję ją od dwóch dni, jej siła i cierpliwość mnie zdumiewają. Przywodzą mi na myśl opowieści mojego ojca o jego misjach.

A ja? Kiedy wyjdę z tego pokoju? Dokąd wtedy pójdę? Nie zapytałam o to Philo. O nic nie pytam. Leki uspokajające wytworzyły wokół mnie chemiczną zbroję, która łagodzi hałasy, emocje, wspomnienia.

Przerażająca myśl pojawia się w mojej głowie w tych rzadkich chwilach, kiedy odzyskuję trochę jasności umysłu. Gdybym miała przy sobie pistolet tej nocy, kiedy Reggie robił imprezę pod moimi oknami, i gdybym go zabiła na tym pick-upie, być może Alex wciąż by żył.

Dziś rano Julien znów przychodzi do mnie z wizytą. Jego głos, nastawienie są inne, prawie radosne. Z pomocą Philo, która mnie podtrzymuje, idziemy na koniec korytarza. Trochę chwieję się na nogach, ściskając dłoń mojej pielęgniarki.

Wszyscy troje wchodzimy do dyżurki, gdzie odpoczywa opiekujący się nami personel.

Stoi tam Émilie i wygląda na to, że na mnie czekała. Ona też się dziwnie uśmiecha.

Przyszła mi coś powiedzieć i od razu domyślam się, o co chodzi. Philo nas zostawia, a ja opadam na fotel i mówię w zwolnionym tempie, ciągle jeszcze pod działaniem leków uspokajających.

– Wydarzenie? Znaleźliście je?

– Tak – odpowiada Julien triumfująco.

Émilie pokasłuje dwa razy, po czym od razu rozwija temat.

– Z tego, co wiemy, tylko dwa wydarzenia dotyczą wyłącznie ludzi między piętnastym a osiemnastym rokiem życia: a dokładniej rzecz biorąc, dwa szczepienia. Szczepionka przeciwko meningokokom typu A i C, produkowana przez spółkę Baher pod nazwą Prio8, jest podawana od czterech lat wszystkim piętnastolatkom. To by się w dużej mierze zgadzało z wiekiem ocalonych. Drugi trop to MeninB-Par, szczepionka przeciwko meningokokom typu B, produkowana przez spółkę Sifano, systematycznie podawana dzieciom w wieku od jedenastu lat mniej więcej przez trzy lata. Potem Europejska Agencja ds. Leków umieściła ją na liście ryzykownych terapii, bo wystąpiły niepożądane efekty uboczne. Teraz stosuje się ją tylko w przypadku stwierdzonego zapalenia opon mózgowych... Jednak dzieci, które wówczas zaszczepiono, mają teraz od piętnastu do osiemnastu lat.

Pamiętam te dwa zastrzyki. Mój ojciec był naszym pediatrą, moim i Nathana. Zawsze starannie i dokładnie wyjaśniał nam wszystkie zabiegi i leczenie.

Kiwam głową.

– Przynajmniej w moim przypadku się zgadza. Dostałam obydwie.

Julien uśmiecha się do mnie. Émilie mówi dalej uradowana:

– W takim razie na nic nam się nie przydasz. Wyjaśniałam to Julienowi dziś rano: teraz nasze zainteresowania muszą pójść w kierunku zbadania, czy część tych, którzy przeżyli,

otrzymała tylko jedną z tych dwóch szczepionek. Oraz stwierdzenia, czy wśród zmarłych w naszym wieku były osoby zaszczepione. Być może to pozwoliłoby władzom odpowiedzialnym za ochronę zdrowia stwierdzić, która z tych dwóch szczepionek obroniła nas przed wirusem.

– Władze? To znaczy... że uprzedziliście lekarzy?

– Oczywiście, kiedy tylko zidentyfikowaliśmy dwie potencjalne szczepionki. Oni też doszli do takich wniosków.

– Mamy również kontakt z wojskiem – dopowiada Julien. – Po ataku sprzed trzech dni dostarczyli nam radiostacje do komunikacji na falach krótkich, żeby koordynować z nami obronę Z-Punktów. Słyszałaś tej nocy helikoptery szturmowe?

Ledwo go słucham, nie odpowiadam na tę uwagę. Teraz liczy się dla mnie tylko jedno pytanie.

– A wiecie, czy doktor Certaldo jest wśród tych lekarzy?

Julien obraca się do Émilie i znów się uśmiecha.

– Zadałam to pytanie w twoim imieniu – odpowiada Émilie. – Twój ojciec jest w Paryżu, w strefie chronionej od epidemii. Jest tam kilku lekarzy, którzy wszystko koordynują w porozumieniu z wojskiem. To oni przysłali nam zalecenia dla Z-Punktów.

– I mój ojciec jest wśród nich?

– Tak. Należy do ścisłego grona władz.

Julien patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

## 16 LISTOPADA

Marco wchodzi do mojego pokoju i podsuwa Philomène pod nos jakiś dokument. Przez ostatnie trzy dni próbował mnie odwiedzić kilka razy i był regularnie zbywany przez naszą szefową pielęgniarek. Jednak tym razem po chwili przekomarzania Philo pozwoliła mu przysiąść na moim łóżku.

– Mam tu twój wypis – mówi, pokazując mi papier. – Podpisany osobiście przez Julię. Kładzie u stóp łóżka mój plecak – ten, który porzuciłam w dzień śmierci Aleksa.

– Ale to ja cię stąd zabieram. Przyniosłem ci twoje rzeczy.

Potakuję. Kiedy wykonuję ten gest, łzy znów zaczynają płynąć, nieustająco, bezgłośnie.

– No już, ubieraj się – mówi Marco. – Wychodzimy. I zapomnij o tym.

Bierze tabletkę leku przeciwłękowego z mojego stolika i wywala ją do kosza.

– Alex nie... – mówię łamiącym się głosem.

– Nie żyje, tak.

Wstaje i podnosi głos tak, żeby wszyscy go słyszeli:

– Tak jak moja matka i moje trzy siostrzyczki. Wszystkie zmarły na moich oczach.

Większość ludzi w tej lecznicy widziała śmierć swoich bliskich.

Przeglądają nam się trzy dziewczyny z mojego pokoju. Zdaje się, że mają do mnie ogromne pretensje. Powraca Philo, zaniepokojona tymi hałasami.

– No dalej, ubieraj się, Lady – mówi Marco, nie podnosząc już głosu. – I ruszamy.

Czekam na ciebie przy drzwiach.

Kiedy wstaję, nogi się pode mną uginają. Chwytam się łóżka i ubieram powoli, śledzona przez wszystkich wzrokiem. Nagle zaczynam wstydić się swojego smutku. Czy jestem słabsza od nich? I czy naprawdę wszyscy musimy być jednakowo silni? Biorę mój plecak i stoję przed Philomène.

– Dziękuję, Philo. Za dwa dni, gdybyś mnie potrzebowała, mogę tutaj wrócić i wam... pomóc. Wam i...

– Masz prawo być smutna, Stéphane – ucina Philo ze spokojem. – Nie masz obowiązku być niezniszczalna.

– Ale ty to...

– Ja potrzebuję pracy. To po prostu mój sposób na oplakiwanie.

Spogląda na mnie ze szczerą dobrocią w oczach. Powracam myślami do historii ze *Złotej legendy*, które matka opowiadała mi, kiedy byłam dzieckiem: czy tak właśnie wygląda święta?

Wychodzę z lecznicy. Marco czeka na miejscu, jednocześnie uśmiechnięty i poważny. Ma w ręku dwie dymiące plastikowe manierki. Podaje mi jedną z nich.

– Poszedłem odebrać twój obiad. Musisz coś zjeść, Lady. Tu i teraz. Inaczej nie zrobisz więcej niż dwieście kroków.

Dwóch chłopaków w białych fartuchach wchodzi do hallu i patrzy na nas z dezaprobatą. Marco pokazuje im bezczelnie moje „talerze”, zabronione poza jadalnią albo pokojem w lecznicy.

– Siła wyższa...

Po czym dodaje cicho:

– Jesteśmy głodni, a głód uświęca środki.

Staram się uśmiechnąć i zanurzam łyżkę w czymś w rodzaju ragoût, dość treściwym, z mięsa i fasolki szparagowej. Muszę włożyć trochę wysiłku w uniesienie pierwszej łyżki do ust, potem jest już lepiej. Burczy mi w żołądku. Sos jest mdły, a fasolka rozgotowana i włóknista, ale



jedzenie sprawia mi dziką przyjemność. Marco nie spuszcza ze mnie wzroku.

– To z żyrafy – mówi.

Wypluwam przeżuwaną porcję, o mało się nie dusząc. Marco siłą kieruje moją rękę w stronę ragoût.

– Jedz.

Kręcę głową, żołądek podchodzi mi do gardła.

– Jedz, Stéphane!

To rozkaz. Kiedy moja manierka jest pusta, pokazuję mu ją, jak dziecko zmuszane do jedzenia przez rodziców.

– W porządku – stwierdza poważnym głosem. – Alex trzymał je przy życiu właśnie po to. A teraz chodź.

Marco bierze mój plecak na ramiona. Idę za nim korytarzem przez ogromny, ponury budynek. To chyba dawny klasztor albo szpital. Zbudowany z kamiennych bloków, ma bardzo wysokie stropy i kamienne schody. Pamiętam, że momentalnie znienawidziłam to miejsce, kiedy zjawiłam się tu na rozpoczęcie roku szkolnego. Spodziewałam się, że Marco zaprowadzi mnie do mojej sypialni na drugim piętrze, tej dla dziewczyn, ale on prowadzi mnie na dwór.

W poprzek bocznych ulic naprzeciwko liceum stoją palisady, których nie było tam jeszcze cztery dni temu. Kilka osób wita się z nami, kiedy przechodzimy obok. Wszyscy wydają się znać Marca.

Sam park też wygląda inaczej. Wzdłuż ogrodzenia i na wysokości bram ciągną się fortyfikacje. Podstawę tych „murów” stanowią samochody zaparkowane zderzak w zderzak. Nad nimi poukładano deski i kostkę brukową. Licealiści trzymają straż. Na szczycie dwóch zaimprovizowanych budek strażniczych (na każdą składa się pół tuzina krzeseł ogrodowych, ułożonych jedno na drugim i pospawanych) dwóch strażników obserwuje przez lornetki łuny dalekich pożarów.

Pośrodku dawnego pastwiska danieli pali się kilka flar wskazujących helikopterom nową strefę zrzutów.

Para z naszych oddechów unosi się w powietrzu. Marco idzie szybkim krokiem, lecz co jakiś czas zwalnia i czeka, aż go dogonię. Wygląda na to, że już przyszła zima, ale przynajmniej nie pada. Na pastwisku wykopano kwadratowy dół. Płonie w nim ogień, a nad nim piecze się mięso. Dostrzegam korpus jednej z pięciu „wielkich dziewczyn”. W powietrzu czuć zapach pieczenia. Idziemy w głąb parku, przechodzimy pod cedrami, mijamy zoo. Przechodzi mnie dreszcz.

– Zimno ci? – pyta Marco.

Przed chwilą, zanim wyszliśmy, poprawił mi kołnierz płaszcza, jakbym była dzieckiem wychodzącym do szkoły. Ale to nie chłód mnie dręczy. Wcześniej leki przeciwłękowe chroniły mnie przed rzeczywistością. Teraz niewidzialna lodowata ręka ściska moje serce. Marco obejmuje mnie ramieniem, jak gdyby chciał mnie podtrzymać albo popchnąć do przodu. Może tak właśnie jest? Schodzimy ze ścieżki. Dostrzegam dwie nowe grupki ludzi w kamizelkach odblaskowych. Patrolują teren ze strzelbami w rękach. Czy to już wojna domowa? Przechodzimy pod szpalerem nagich gałęzi i docieramy do dużego, białego, dość brzydkiego budynku, w którym często organizowano wesela. Między budynkiem i jeziorem widzę szmat świeżo rozkopanej ziemi. Jest tam około setki kopczyków i tyle samo krzyży.

Grób Aleksa jest przedostatni w szeregu. Na krzyżu wyryto jego imię i nazwisko: Alexandre Varlin. Widnieją tam również dwie daty: jego urodzin i śmierci. Kilka razy odczytuję te dwa słowa i kilka cyfr. Prawie nic o nim nie wiedziałam, nie znałam nawet jego nazwiska. To nieznane nazwisko stwarza między nami dziwny dystans, teraz już nostalgiczny. Właśnie ten

dystans pozwala mi się nie rozpląkać. Byliśmy dwojgiem nieznajomych, którzy na siebie trafili, których połączyła ta sama tragedia.

Wracam myślami do słów Marca: „Większość ludzi w tej lecznicy widziała śmierć swoich bliskich”. Większość. Tak. Ale nie ja, aż do chwili śmierci Aleksa. Nieobecność matki i brata, perspektywa ich prawdopodobnej śmierci nie poruszyła mnie tak bardzo jak zabójstwo Aleksa. Dlaczego? Bo trzymam się myśli, że mój ojciec zdażył ich uratować?

Mój ojciec żyje. To jedno mogę brać za pewnik. Tylko to...

Czuję na sobie wzrok Marca. Raz jeszcze przypominam sobie twarz Aleksa, nasze wymiany zmęczonych uśmiechów, jego brawurę, kiedy szedł karmić drapieżniki, spokojny wygląd kogoś igrającego ze śmiercią, śmiejące się oczy. Ten korowód obrazów jeszcze godzinę temu zwałiby mnie z nóg. Teraz czuję tylko słodczy smutku. Żegnaj, Aleksandrze Varlin i wszystko, co mogłoby...

Pochylam się, chwytam pełną garść ziemi z kopca i trzymam przez chwilę w dłoni. Potem odkładam na grób i się prostuję.

– Chodźmy już.

– Chcesz zobaczyć zwierzęta?

Kręcę głową.

– Została jeszcze połowa watussi – mówi Marco – i koby nilowe czy co tam jeszcze. Reggie i jego skurwysyny wystrzelali całą resztę: lemury, lwy, pantery. Zabrali nawet ćwierć żyrafy. Tygrysa zabiliśmy sami, inaczej długo zdychałby z głodu. Nie wiemy, jak długo krokodyle i żółwie przeżyją bez jedzenia... Póki co, wyglądają, jakby spały.

Wzruszam ramionami. Jaki sens miałby dla mnie powrót do tej pracy bez Aleksa?

– W liceum nagromadzono mięcha na całe tygodnie – wyjaśnia mi Marco w drodze powrotnej. – Pierwszą żyrafę zżarliśmy od razu, tylko po to, żeby podtrzymać morale załogi. Reszta mięsa musi poleżeć, żeby skruszała. Potem część zamrozimy. Dzięki temu tej zimy od czasu do czasu będziemy mogli zjeść coś ciepłego. W oczekiwaniu na szaszłyki ze szczura...

Wysłuchuję zamyślona tych wszystkich informacji. Może mają pozwolić mi wrócić do rzeczywistości? Zastanawiam się, po co Marco podaje takie szczegóły. Przed wejściem do parku pytam go o palisady.

– Trwa jakaś wojna? Jesteśmy oblężeni?

– W pewnym sensie. Po ataku na zoo postanowiliśmy się zabarykadować. Mamy mniej broni niż szabrownicy, ale wojsko panuje na niebie.

Wskazuje mi cztery helikoptery szturmowe, które latają nad miastem, dość daleko na północ od naszej dzielnicy. Są mniejsze niż transportowce, które codziennie dostarczają nam żywność. Przypominają duże, czarne i przerażające osy.

– Helikoptery szturmowe – mówi Marco ponurym głosem. – Wojsko jest teraz po naszej stronie. Zaprowadzić cię na pokoje?

## 18 LISTOPADA

Na trzecim piętrze liceum, gdzie urządzono szpital, po kolei zjawiają się mieszkańcy Z-Punktu. Muszą odpowiadać na precyzyjne pytania Julienu: czy mają ze sobą książeczkę zdrowia? Czy przypominają sobie szczepienie preparatem Prio8 albo preparatem MeninB-Par? Wciąż nie wiemy, czy molekula jednego z tych dwóch preparatów uodparnia zaszczone osoby przeciwko wirusowi, czy tylko blokuje rozwój choroby: nie da się stwierdzić, czy wirus wcale nas nie dopadł, czy jesteśmy jego zdrowymi nosicielami. Być może my też mieliśmy swój udział w rozprzestrzenianiu się choroby? Być może moi koledzy i koleżanki noszą w sobie powód śmierci swoich bliskich?

Żeby się tego dowiedzieć, trzeba poczekać na wyniki badań lekarzy chronionych przez wojsko. Takich jak mój ojciec.

Kiedy helikoptery szturmowe nie prowadzą operacji nad naszymi głowami, nasze patrole zapuszczają się do najbliższych dzielnic w poszukiwaniu dowodów szczepień licealistów – tych, którzy tam mieszkali, oraz tych, którzy nie żyją, ale znamy ich nazwiska lub adresy. Nasi wywiadowcy przemierzają się pieszo, w grupkach po kilkunastu, z tarczami wyciętymi z blachy. Ich zaimprovizowany sprzęt ochronny przypomina uzbrojenie szabrowników: osłony na twarz, kaski motocyklowe, żelazne pręty. Nawet wypadom po drewno i po benzynę odsysaną z samochodów porzuconych na ulicy towarzyszy eskorta złożona ze strażników o średniowiecznym wyglądzie.

Półwysep znajduje się teraz poza wszelką kontrolą i jest regularnie ostrzeliwany przez helikoptery. Mam to w nosie, bo doskonale pamiętam swoje szczepienia, a nie mam żadnego powodu, żeby wracać do domu, nawet gdyby wpadł mi do głowy taki szalony pomysł. Mojego ojca pocieszy wiadomość, że tu jestem, kiedy się o tym dowie, bo przecież to on razem z wojskiem organizuje Z-Punkty. Czy będzie się starał skontaktować ze mną bezpośrednio?

„Tata żyje”. Powtarzam to sobie bez przerwy jak mantrę. „I być może mama, i Nathan”.

Energia, którą dała mi wiadomość o ojcu, i nadzieja, której nabrałam, pozwoliły mi dwa dni po wypisie dotrzymać obietnicy danej Philomène. Należę teraz do „personelu medycznego” szpitala dla dziewczyn – mój ojciec, kiedy się dowie, także pochwali ten wybór.

Częściej raczej niesiemy chorym dziewczynom ulgę, niż faktycznie je leczymy. Myjemy je albo pomagamy dojść do umywalni, ulokowanej w połowie korytarza skrzydła szpitalnego. Wypełniamy codzienne żmudne obowiązki, żeby chore miały dostęp do „bieżącej wody” (w rzeczywistości to deszczówka albo woda z jeziora, którą gotujemy przed użyciem). Woda mineralna jest luksusem zarezerwowanym dla licznych pacjentek z chorobami jelit. Często zmieniamy bieliznę pościelową i osobistą. Opróżniamy też baseny, a ich zawartość wylewamy do latryn wykopanych w parku. Poza wypełnianiem zadań opiekuńczych pracuję również jako pielęgniarka. Trzymam się zaleceń Philo, Julienu i Pierre’a, kolejnego przedwczesnego studenta pierwszego roku medycyny. Pocieszamy, niesiemy ulgę, wysłuchujemy „pacjentek” – wiele z nich nie może znieść myśli o zwyczajnej gorączce albo widoku krwi. Dwie dziewczyny dostały ataku nerwowego, kiedy zaczął im się okres, a inne już go nie mają i się niepokoją.

Wszystkie zorientowałyśmy się, że jesteśmy śmiertelne.

Zaferowałam Philo, że wezmę nocne dyżury. Chciałam uciec ze zbiorowej sypialni na drugim piętrze, od ciszy wypełnionej szeptaniem, modlitwami za zmarłych i płaczem. Tutaj ciasnota mniej mi doskwiera. W ciągu dnia przez sześć godzin odpoczywam w dyżurce pielęgniarek, czyli de facto cieszę się luksusem dwuosobowego pokoju. Alice, moja towarzysząca z nocnych zmian, chodziła do liceum Herriot i podczas pracy ciągle żartuje, żeby podnieść

morale chorych. Płaczem wybucha wtedy, kiedy zostaje sama. Łka nawet przez sen i miewa koszmary.

Co do mnie, to najwidoczniej wyplakałam już wszystkie łzy, które mi pozostały. Świat wydaje mi się odległy, tak jak wtedy, gdy byłam na lekach uspokajających po śmierci Aleksa. Jednak tym razem to nie sprawa chemii, tylko mojej własnej woli. Muszę być silna. Jest nadzieja na wyjście z tego koszmaru. Mój ojciec mawiał: „Kiedy mamy lekarstwo, sprawa jest wygrana. Pozostaje tylko kwestia czasu i organizacji”.

Od kiedy deszcz zacina nieustannie, rozdawanie racji żywnościowych zostało przeniesione pod plandekę rozpiętą na dziedzińcu liceum. Najbardziej punktualni spożywają posiłki w jadalni, reszta grzeje się to tu, to tam wokół koksowników zmajstrowanych z grilli. Znaleźliśmy je w magazynie marketu budowlanego.

Spotykam Marca pod płachtą. Wczoraj wydawał mi się posępniejszy niż zwykle. Dzisiaj jest wściekły.

– Wiesz, co postanowili nasi przedstawiciele wczoraj wieczorem, bez konsultacji z nami? Będziemy ewakuować po jednym skrzydle z każdego piętra na przyjęcie „uchodźców”, tak żeby za nic w świecie się z nimi nie mieszać... Nigdy nic nie wiadomo, co nie? **Oni** mogliby być zarażeni.

– Uchodźcy?

Marco przygląda mi się przez chwilę, oszołomiony moją niewiedzą.

– Może powinnaś od czasu do czasu przyjść na walne zgromadzenie? Nie wydaje ci się, że to ważne, Lady?

– Niektórzy pracują nocami, pamiętasz?

– Racja, wybacz. No więc jest tak: wojsko zażądało od wszystkich Z-Punktów, żeby każdy przyjął po tysiąc osób przybyłych spoza miasta. Chodzi o to, żeby zgromadzić wszystkich młodych i zdrowych na ciele i umyśle w bezpiecznych miejscach, pod kontrolą. Nawet mnie nie pytaj, gdzie i w jaki sposób grupują tych uchodźców...

Nie pytam. Słucham strumienia słów, czuję rosnącą w nim złość. Tylko przeciwko komu?

– To znaczy, że w każdym Z-Punkcie będzie ponad dwa razy tyle ludzi co teraz – kontynuuje Marco. – Będzie też trzeba stworzyć nowe Z-Punkty. Tym lepiej. Ale nie domyślasz się, co się stało?

Nie, nie domyślam się, więc milczę.

– Justine powiedziała mi, że większość osób kierujących Z-Punktami chciała odmówić przyjęcia tych nowych pod pretekstem, że skomplikuje to organizację wewnętrzną. Do diabła, wyobrażasz sobie? Jeszcze trzy tygodnie temu czuliśmy ulgę, że możemy się tu schronić! A teraz odmawiamy tego prawa innym ludziom w naszym wieku, bo przecież dobrze się czujemy w swoim gronie!

– Ostatecznie nie odmówiliśmy – poprawiam go.

– Nie, ale mieliśmy czelność nad tym debatować. Widzisz, czym się stajemy, odkąd jest z nami wojsko?

## 19 LISTOPADA

Pierwsze dziewczyny właśnie przybyły – blade, wyczerpane, bez żadnych bagaży. Co widziały i co przeszły przez tych kilka tygodni? Ulokowano je po czterdzieści w każdej zbiorowej sypialni – o wiele gęściej niż pozostałe dziewczyny na drugim piętrze. Philo nalegała, żeby każda przeszła badanie lekarskie: prawie wszystkie mają jakieś źle zaleczone, zakażone rany i bez podania antybiotyków grozi im gangrena.

Zapada zmierzch. Za godzinę zaczynam nocny dyżur. Leżę na łóżku w dyżurce pielęgniarek z oczami utkwionymi w sufit i rozpamiętuję.

Byłam małą dziewczynką o włosach niesamowicie, tajemniczo, przedwcześnie posiwiałych. Nosila je rozpuszczone, a czasem zaplecione w warkocz. Mój ojciec wciąż wyjeżdżał i tłumaczył mi, że gdzieś na świecie są inni ludzie, którzy go potrzebują. I że to pilne. Całą siłą swojej dziecięcej woli zmuszałam się, żeby go nie zatrzymywać. Słyszałam, jak wchodził do mojego pokoju, żeby mnie ucałować na pożegnanie. Zaciskałam powieki aż do bólu, aby myślał, że śpię – bo mój ojciec był bohaterem, a ja nie mogłam zatrzymać go tylko dla siebie.

Nigdy nie miałam do niego o to żalu.

Dopiero dużo później poczułam się zdradzona. To było wtedy, kiedy rodzice się rozstali. Ojciec dostał posadę epidemiologa w laboratorium P w Lyonie, po latach spędzonych na misjach humanitarnych. W momencie, kiedy mógł się wreszcie ustatkować, wyjechał. My nie. Później matka powiedziała mi, że ojciec często ją zdradzał podczas swoich wyjazdów. Czy to prawda? Czy „ludzie, którzy go pilnie potrzebowali”, to po prostu kobiety inne niż mama? „Zachowałem się jak głupiec – wyznał mi tata pewnego dnia. – I was straciłem”.

Po co teraz do tego wracać?

Dzisiaj kona cały świat, śmierć dotyka wszystkich. A mój ojciec nie wyjechał, żeby od nas uciec albo wymigać się od swoich obowiązków. Jest razem z tymi, którzy walczą, aby ludzkość istniała dalej. Jeszcze kilka tygodni, kilka lat. Mam tylko nadzieję, że zdążył na czas do Nathana i mamy...

Mnie zostawił, bo potrafiłam sama przeżyć. Zaufał mi.

## 20 LISTOPADA

Pada śnieg, drobne płatki tańczą na listopadowym wietrze. Tymczasem dziesiątki mieszkańców Z-Punktu są na dworze. Przywarliśmy do ogrodzenia, stoimy na dachach samochodów tworzących wschodnią palisadę. Z niedowierzaniem patrzymy na jadące wzdłuż nabrzeża pojazdy opancerzone.

Dwa z nich zajęły pozycję na moście Winstona Churchilla. Dwa kolejne przemieszczają się powoli nabrzeżem Charles'a de Gaulle'a.

Dorośli zeszli na ziemię.

Patrzymy na kursujące transportery – ślepe, płaskie, kanciaste – i nie do końca wierzymy w to, co się dzieje. Kilka osób nieśmiało kibicuje. Jednak za każdym razem, kiedy pojazdy przejeżdżają przed nami, uchodźcy zajadle je wygwizdują. Dwóch czy trzech chłopaków rzuca w ich kierunku kamieniami.

– Dlaczego to robią? – pytam Marca, który stoi obok mnie.

– Wojsko urządziło polowanie na tych, których nazywamy uchodźcami. Brały w nim udział pojazdy opancerzone. Ci, którzy to przeżyli, nie są uradowani, że widzą je ponownie, możesz mi wierzyć...

Marco zeskakuje z barykady i odchodzi w kierunku rosarium, nie czekając na mnie.

Trawniki pokrywa już cienka warstewka śniegu. Płatki opadają bezgłośnie. Jeszcze przed katastrofą śnieg wywoływał we mnie poczucie nierealności, przejścia w świat baśni albo czarów, zachwiania zwyczajnym życiem, które po cichu skrywało się za inną rzeczywistością.

Dorośli zeszli na ziemię. Czyżby życie znów miało się zmienić? A może raczej odzyska swój normalny bieg?

Na Marca natykam się przy wejściu do liceum.

– Co się dzieje? Wyglądasz na zaniepokojonego.

– Sacha mówi, że kolejne pojazdy opancerzone są na bulwarze Belgów. Wojsko poustawiało też wartowników wokół całego miasta.

Znam Sachę, to jeden z naszych przedstawicieli, wybrany spośród chłopaków z liceum. I nie rozumiem, dlaczego te informacje miałyby nas niepokoić. Wręcz przeciwnie.

– Niektórzy uchodźcy opowiadają naprawdę przerażające rzeczy, Lady – precyzuje Marco, jakby przewidział moje pytanie. – Wojsko dokonuje selekcji, sami wybierają, kogo nam wysłać. I nikt nie ma pojęcia, co się dzieje z resztą. Jeżeli będą czyścić kolejne dzielnice, to uwierz mi, nie będzie zbyt pięknie.

– Wojsko eliminuje szabrowników – mówię spokojnym tonem.

– Tak, wojsko zabija również szabrowników. A my zadowolamy się całkowicie rolą „tych dobrych” i doskonale chronieni za murami Z-Punktu, wzywamy helikoptery, żeby strzelały do „tych złych”.

Co on wygaduje?

– Zapomniałeś już, co zrobili z Aleksem? Bez wojska bylibyśmy zdani na ich łaskę.

– Z kolei z wojskiem to oni są zdani na naszą. Nie słyszałaś ostatnio helikopterów?

Strzelają z broni szturmowej... Do diabła, tam są nastolatki takie jak my, Lady! To, że jesteśmy w samym centrum katastrofy, nie znaczy jeszcze, że trzeba godzić się na takie rzeczy.

Czuję rosnącą złość.

– Nie masz pojęcia o tym, co się dzieje na zewnątrz, Marco. Od trzech tygodni nie wyszedłeś z Z-Punktu. Niektórzy z tych „złych” naprawdę zachowują się jak zwierzęta, uwierz mi.

– I dlatego mamy ich tak traktować?

– Zabiłam jednego z nich. W kamienicy, w której mieszkałam z ojcem. Bo chciał mnie zgwałcić. Czy to czyni ze mnie szmatę?

Marco przygląda mi się, dotknięty. Nie sposób domyślić się, co dzieje się w jego głowie i jakie gwałtowne emocje targają jego sercem.

– Czyli wszystko jest w porządku na tym najlepszym ze światów? – pyta po dłuższym milczeniu, cedząc słowa. – Wszyscy powinniśmy wziąć z ciebie przykład. Niech każdy zabije swojego wroga.

Szlag. Nie to chciałam powiedzieć. Zdradziłam mu to, żeby mnie pożałował albo mi wyjaśnił, a nie, żeby... mnie oceniał. Dobrze o tym wie, prawda?

– Ale jeśli Reggie wróci, żeby pomścić szabrownika, którego zabiłaś, albo jeśli porzucą nas wojskowi, to nie przychodź z płaczem, Lady. Niech wygra silniejszy.

– Żałosny dupek – mówię najchłodniej, jak to możliwe.

## NOC Z 21 NA 22 LISTOPADA

Zaraz zaczynam kolejny nocny dyżur. Rozmawiam z Philo w dyżurce – dawnym pokoju opiekunów, na końcu korytarza w szpitalu dla dziewczyn.

Philomène wygląda na wyczerpaną. Od przybycia uchodźców, które zmusiło nas do zapelnienia wszystkich pokoi i przygotowania jeszcze jednej zbiorowej sypialni, nie zmrużyła oka ani na chwilę. Jedyne, co ją trzyma w pionie, to nerwy.

– Idź, prześpij się z dziesięć godzin – mówię jej. – Julien nad wszystkim czuwa, tej nocy poradzą sobie bez ciebie.

Patrzy na mnie, jakbym ją spoliczkowała. Łatwo ją urazić.

– Philo, potrzebujemy cię, żeby dać sobie z tym wszystkim radę, a ty za chwilę zejdiesz. Jeżeli opadniesz z sił, nie przysłużysz się już niczemu ani nikomu. Dlatego weź swoje rzeczy i idź się przespać na jakieś inne piętro. Zapomnij o nas na czas jednego nocnego dyżuru. OK?

Philo waha się, uśmiecha do mnie, stara się być dzielna, po czym szybko kiwa głową. Pomagam jej zebrać kilka przyborów osobistych. Musi oddzielić się od chorych kilkoma piętrami. Daję jej lek nasenny, który trzyma w zaciśniętej dłoni, po czym schodzę z nią i zostawiam w dobrych rękach na parterze, gdzie zarezerwowano osobiste pokoje dla kierownictwa.

Posłusznie pozwala mi się prowadzić.

Z dnia na dzień ją rozgryzam, odgaduję, czytam w niej – i w tylu innych – jak w otwartej książce. Wszyscy jesteśmy do siebie podobni w naszych nadziejach, obawach, upadkach. Zaczynam widzieć otaczających mnie ludzi z niespotykaną dotychczas wyrazistością. Czy to oko lekarza czy może efekt empatii?

Robię pospieszny obchód. Większość chorych już zasnęła. Dwie uczennice z maturalnej, Mathilde i Léa, potrzebują zmiany opatrunku na rękach. Zraniły się podczas wyprawy po opał. Philo zaordynowała im prewencyjnie zastrzyk przeciwțęzcowy, drugi będzie potrzebny za miesiąc. Miesiąc... za miesiąc będzie już prawie Gwiazdka. Być może wciąż jeszcze będziemy wtedy wśród żywych. Wszystko tak szybko się zmienia.

Podaję roztwór cukru Élise, która padła ofiarą czerwonki. Złapała amebę – z pewnością dlatego, że piła zanieczyszczoną wodę. Jej twarz w świetle latarki wydaje się wychudzona. Élise się odwadnia, ma krwawy, wodnisty stolec. Jej pokój śmierdzi gównem. Podmywam ją, po raz kolejny zmieniam pościel. Élise bełkocze jakieś przeprosiny.

Chyba udaje mi się patrzeć na ludzi z większą życzliwością, tak jak robi to Philo. Czy to współczucie skłania ją do tych wysiłków, czy przychodzi jej to naturalnie?

Współczucie? A przebaczenie?

Od wczoraj unikam Marca. Mam o to do siebie żal.

Godzinę później ruszam na kolejny obchód. Teraz śpią już wszystkie chore, czasem niespokojnie, ale bez bólu. Wracam do dyżurki i gaszę służbową latarkę. W zamian zapalam świeczki na świeczniku – baterie są warte więcej niż воск. Czytam przy blasku świec. Nie będę spać.

Kilka minut później przychodzi po mnie Julien:

– Jest tu jeden uchodźca, z którym musisz porozmawiać, Stéphane. Mówi, że zabił Reggiego.

Wzdrygam się. Przed moimi oczami jak w kalejdoskopie pojawiają się tamte obrazy: szabrownicy wokół pick-upa, pochodnie, brodaty olbrzym, którego powinnam była zabić... Alex w fosie.



– Nie mogę, mam teraz dyżur. Poza tym odesłałam Philo, żeby się przespalała, ledwo trzymała się na nogach.

– To ważne. Musimy się upewnić, że to ten Reggie, zanim przekazemy informację wojsku. Ty jako jedna z niewielu go widziałaś. Zastąpię cię na pół godziny. Ten chłopak jest w bibliotece.

To rozkaz. Opuszczam skrzydło dla dziewczyn ze świecznikiem w ręku. W tym budynku o wysokich sklepieniach cienie rzucane przez moje trzy świeczki przybierają fantastyczne kształty. Wchodzę do biblioteki. Uchodźca siedzi na wózku inwalidzkim przed kominkiem, w którym rozpalamy co wieczór, żeby umożliwić ludziom przebywanie tu do późna.

O tej porze jesteśmy sami.

Chłopak odwraca się w moją stronę i lustruje mnie wzrokiem. Po bardzo ciemnych włosach i śniadej skórze zgaduję, że to Arab – jest ich coraz więcej wśród niedawno przybyłych. Na jego twarzy zastygło przerażenie. Chyba jest dość wysoki, ale wydaje mi się niemal dziecięcy, rozczulający. Onieśmielony.

Proszę go, żeby opowiedział mi o Reggie. Trzeba z niego wyciągać każdą informację. Spotkał wielkiego faceta z czarną brodą i chciał go powstrzymać przed gwałtem na jakiejś dziewczynie. Podczas bójki Reggie zranił psa młodego Araba. To dlatego zginął.

Mglisty opis, w którym chłopak przedstawia mi swojego przeciwnika, dokładnie odpowiada szabrownikowi, którego widziałam z okien mojego mieszkania. Reggie. Zabójca Aleksa nie żyje i wywołuje to we mnie dziwne uczucia...

Chciałabym zadać mu inne pytania: o zoo i o Aleksa, ale ten młody uchodźca nie będzie nic o tym wiedział. Teraz zresztą siedzi i płacze.

To on, bardziej niż ja, będzie potrzebował tej nocy światła, kiedy zgaśnie żar. Zostawiam świecznik u jego stóp i bezgłośnie się wycofuję, podczas gdy on pociąga nosem z twarzą ukrytą w dłoniach. W kompletnej ciemności potykam się i posuwam do przodu po omacku, z wyciągniętymi rękami, jak niewidoma.

DWA

## 22 LISTOPADA

Nie rozmawiałam z Markiem od dwóch dni i mam o to do siebie żal. On całkiem nieoczekiwanie zachował się jak lojalny przyjaciel, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. A ja?

Robię pranie, wiem na sznurze w dyżurce nocne koszule chorych, a potem schodzę trzy piętra niżej. Na schodach spotykam grupkę hałaśliwych nieznajomych. Przez trzy dni z pewnością przybyło nowych twarzy. Marca nie ma w jadalni. Pod plandeką na dziedzińcu dostrzegam Jennifer i Annę z manierkami w dłoniach. Dzisiaj mnie rozczulają, z tymi swoimi szminkami, lakierem na paznokciach, starannymi fryzurami, jakby chciały udawać, że wszystko jest jak dawniej. Ale i tak muszę się jakoś przełamać, żeby do nich zagadać.

– Szukam Marca. Wiecie, gdzie go znajdę?

Dziewczyny są zdziwione, że się do nich odzywam. Patrzą na mnie teraz z czymś na kształt onieśmienia i szacunku, z pewnością z powodu plotki, która krąży po liceum – że należę do grupy tych, którzy pracują z władzami nad szczepionką. Anna pokazuje mi park.

– Marco rozdziela dziś żywność dla uchodźców obok dawnego pastwiska danieli – mówi, krzywiąc się, odrobinę zdegustowana.

Znów zaczął sypać śnieg. Jak ludzie mogą jeść na zewnątrz przy takiej pogodzie?

Obok punktu dostaw w dwóch namiotach rejestruje się uchodźców na bieżąco, tuż po przybyciu. Słyszałam, że przez dwa ostatnie dni przyjęliśmy ich pięciuset, ponad połowę przydziału wyznaczonego przez wojsko.

Dostrzegam Marca z daleka na pastwisku danieli. Ma na sobie jedną z odblaskowych kamizelek, pozbieranych z porzuconych samochodów. Takie kamizelki przysługują mieszkańcom Z-Punktu oficjalnie przydzielonym do wszelkich codziennych zadań na terenie obozu. Przed dwoma stanowiskami dystrybucji, wokół których ustawiono prowizoryczne wiaty, stoją dwie długie kolejki. Ludzie oczekujący na swoją dzienną rację żywnościową wyglądają na bardziej zaniedbanych, biedniejszych, bardziej wychudzonych i brudniejszych niż my. Większość przybyła bez bagaży, wczoraj urządziliśmy „wypad po ubrania”, żeby wyszukać dla nich jakieś rzeczy w mieszkaniach naszej dzielnicy.

Twarze uchodźców są ściągnięte, ich oczy zgaszone lub błyszczące od gniewu. Co takiego zrobiliśmy, żeby zasłużyć na tę wściekłość, której dopatruję się w ich spojrzeniach? Są zazdrośni o przywileje „miejscowych”, jak nas nazywają? Im jestem bliżej, tym głębszy wydaje mi się pomysł podejścia do Marca. Zwalniam kroku, szykuję się do odwrotu, ale Marco już mnie zauważył. Szepcze coś do swojego towarzysza w odblaskowej kamizelce, po czym podbiega w moją stronę.

Kilka metrów ode mnie waha się i staje.

– Dobrze, że jesteś, Lady. Uraziłem cię i zachowałem się jak skończony palant. Wybacz mi, proszę.

Stoję oszołomiona: Marco, który nigdy nie oddawał nikomu ani kawałka pola, teraz opuszcza przede mną broń na otwartym terenie?

– No więc? – pyta.

– Co „no więc”?

– Wybaczysz mi czy potrzebujesz jeszcze trochę czasu? Albo dużo? Zrozumiałbym, w końcu zachowałem się tak... w sumie brutalnie i po chamsku... A przecież ty...

Zaraz na dobre zaplączę się w tych przeprosinach. Muszę to uciąć.

– Przyszłam tu, Long John Silver. Wystarczy ci to za odpowiedź?

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Słyszałem, że twój ojciec żyje – mówi. – To dobrze.

– Kto ci o tym powiedział?

– Julien. Zdarza nam się o tobie rozmawiać.

Uśmiecha się tajemniczo, po czym od razu zmienia temat.

– A propos lekarzy, wiesz, co opowiadają niektórzy uchodźcy? Kiedy wojsko ich zgromadziło, część z nich została zmuszona do imiennego oddania krwi. Wygląda też na to, że w niektórych miejscach wszczepia się nastolatkom nadajniki, takie elektroniczne pluskwy pod skórę, żeby można ich było namierzyć.

– Daj spokój, to jakieś bzdury... Pogłoski.

– Samych pluskiew nie widziałem, ale sporo ludzi potwierdziło, że obowiązkowo pobierano im krew.

– W takim razie z pewnością ma to jakieś uzasadnienie medyczne. Tak czy inaczej, nikt ich nie zmusił, żeby udali się do Z-Punktów.

– Żartujesz sobie! Myślisz, że władze pozostawiają im jakiś wybór? Ze względu na ciebie mam nadzieję, że twój ojciec nie ma nic wspólnego z tym wszystkim...

No i proszę: wystarczyły mu dwie minuty, żeby znów mnie obrazić. Czy zdaje sobie z tego sprawę?

– Uchodźcy jedzą na dworze? – próbuję zmienić temat.

– Widziałaś? Widziałaś, jakie przyjęcie ośmielamy się im zaoferować?!

## 23 LISTOPADA

Dwa dni temu sytuacja się zaostrzyła. Zostaliśmy uziemieni w Z-Punktach, a ataki helikopterów na pobliskie dzielnice nie ustają, jakby wojskowi chcieli całkowicie „oczyścić” Lyon, tak jak zapowiadał Marco. Nie mam ochoty z nim o tym rozmawiać, nie chcę, żeby zadawał mi pytania o ukryte intencje władz. Nie wiem nic o prawdziwej roli mojego ojca. Ale jeżeli wojsko tak postępuje, na pewno nie ma innego wyboru.

Przed chwilą odwiedził mnie Julien. Powiedział, że jutro będziemy mogli skorzystać z osłony powietrznej, żeby udać się do ENS, gdzie odbędzie się spotkanie przedstawicieli wszystkich Z-Punktów Lyonu. Ponoć musimy skoordynować pewne akcje medyczne, a także przyjmowanie nowych uchodźców. Julien chce, żebym tam z nim poszła.

Nie wiem, co według niego mam reprezentować. Czy fakt, że jestem córką jednego z decydentów, uprawnia mnie w jego oczach do udziału w tym spotkaniu?

Póki co, moim przyjacielem jest również Marco. I rozumiem sporo z jego gniewu. Uchodźców jest więcej niż nas, są w każdej zbiorowej sypialni, a my nadal wydajemy im posiłki w parku...

Dziś spotykam się z Markiem wczesnym popołudniem. Właśnie skończył pracę związaną ze śniadaniem. Przyniosłam mu kawę. Siadamy nad brzegiem jeziora, na nabrzeżu dla kajaków, gdzie mieszkańcy Z-Punktu myją się co drugi dzień. Zaczynamy mieć przyzwyczajenia.

Trzymamy kubki w obu dłoniach i gadamy. Czarniawy płyn, czasem ohydny, kiedy trafia się porcja z samego dna, ma przynajmniej ten jeden plus, że nas rozgrzewa.

– Nie chcę czuć się jak więzień – zniecka oświadcza Marco. – Jeżeli zakaz opuszczania Z-Punktów się przedłuży, poważnie zastanowię się, czy nie wymiksować się stąd po cichu.

Milczę, zbyt zaskoczona, żeby jakoś zareagować. Marco mi się przygląda.

– Mogłabyś pójść ze mną, Lady.

Wygląda, jakby mówił to półserio.

– Ale dokąd i po co?

Marco wybucha śmiechem.

– Nie wiem – odpowiada, patrząc na mnie łobuzersko. – Na przykład do Paryża, na spotkanie z Khronosem... Co byś powiedziała na wigilijny wieczór pod wieżą Zegarową?

– Poważnie myślisz, żeby się stąd zmyć?

– Nie, wygłupiałem się. Wczoraj wieczorem uchodźcy wybrali mnie na przedstawiciela skrzydła chłopaków. Nie mogę ich teraz zostawić.

– Ciebie? Ale przecież nie jesteś...

– Nie jestem czym, Lady? Uchodźcą? Śpię w ich skrzydle, żyję z nimi, dlatego mnie wybrali. Z tej okazji wybieram się na wasze jutrzejsze spotkanie.

Marco na chwilę milknie, a potem mówi ostrożnie:

– Wiesz, to nie były plotki, ta historia z nadajnikami. Widziałem ze dwudziestu uchodźców, którym zaserwowano taki elektroniczny piercing.

– Na pewno jest jakiś powód, jestem...

– Przestań bronić wszystkiego, co robi wojsko. Nie jesteś odpowiedzialna za ewentualne błędy ojca, Lady.

– A ty nie musisz mi o tym mówić.

– OK, zawieszenie broni.

Marco od godziny opowiada mi historie uchodźców akurat przewijających się przez park. Każdą uzupełnia groteskowymi lub patetycznymi anegdotami. Zna ich wszystkich, a wielu się z nim wita. Jeśli prawdą jest to, co mówi, sporo tych ludzi miało skomplikowane kontakty z wojskowymi.

– Patrz, jeszcze jeden z twoich wyborców – mówię. – Temu akurat chłopaki z Z-Punktu uratowały skórę.

Właśnie dostrzegłam Araba, z którym rozmawiałam wczoraj w bibliotece – zabójcę Reggiego. Streszczam Markowi, co o nim wiem.

– Biedny koleś – odpowiada zamyślony. – No ale skoro szef szabrowników nie żyje, to może nasi „obrońcy” przestaliby wreszcie bombardować całe dzielnice?

Chcę coś odpowiedzieć, ale Marco patrzy na coś za moimi plecami i jego twarz tężeje.

– Dobra... Muszę już iść. Cześć, Lady!

Zostawia mnie. Odwracam się. Od strony wielkich szklarni w naszym kierunku podąża Julien.

– Stéphane, musisz z nim porozmawiać przed jutrzejszym spotkaniem. Marco cały czas nastawia uchodźców przeciwko nam. Mówi, że nie jesteśmy zdolni do podzielenia się władzą. I zachęca ich, żeby opowiadali o tym, jak byli traktowani przez wojsko, zanim zostali wysłani do Z-Punktów.

– Dzielenie się władzą? Nie szokuje mnie to.

– Posłuchaj, Stéphane, w naszej sytuacji nie ma miejsca na mataczenie. Uchodźcy mają swoich przedstawicieli...

– ...w tym Marca.

– Tak, w tym Marca. Nie możemy jednak dopuścić do podziałów. Miasto wciąż jest pełne szabrowników, trzeba wyplenić epidemię, a następnie zbudować całe życie na nowo. Naprawdę myślisz, że stać nas na luksus...

Nie kończy zdania. Odczekuję kilka sekund, po czym pytam:

– ...luksus czego, Julien?

– Powiedz mu – naciska, unikając odpowiedzi.

– Jeśli myślisz, że Marco mnie posłucha...

– **Naprawdę** dobrze byłoby, żeby tak zrobił.

Po raz pierwszy, odkąd znam Juliena, wydaje mi się, że dostrzegam w jego głosie cień groźby. Wskazuję mu trzech gości, którzy myją właśnie swoje manierki na trawiastym skwerze.

– W takim razie dobrze byłoby też, żebyście przestali podawać uchodźcom jedzenie na dworze... Nie wydaje ci się?

## 24 LISTOPADA, RANO

Ostatecznie na spotkaniu w ENS będzie nas ośmioro: Julien, Pierre i ja z części medycznej, czterech reprezentantów wybranych przez pierwszych mieszkańców Z-Punktu – Thibault, Sacha, Justine i Gaïa – plus Marco w imieniu uchodźców. Będzie też dwóch kierowców i dwóch „strzelców”, po jednym na każdy samochód. Będą mieć przy sobie karabiny maszynowe.

Kiedy docieram na spotkanie przy ulicy Tronchet po nocnym dyżurze, Marco jest sam.

– Przyszedłem kilka minut wcześniej – rzuca sarkastycznie. – To na wypadek, gdyby naszych „przyjaciół” kusiło, żeby o mnie zapomnieć...

Pozostali członkowie delegacji stopniowo do nas dołączają. Okazują Marcowi wyraźną nieufność. On sam wygląda, jakby raczej go to bawiło.

– Druga przedstawicielka uchodźców, Leila, nie przyjdzie – wyjaśnia mi głośno. – Z pewnością zrozumiała, że lepiej pozostać tutaj, kiedy w ENS będą debatować ludzie do tego uprawnieni. Leila potrafi się nie wychylać... Ale ja nie.

Dostrzegam poirytowanie Juliana, jeszcze większe niż wczoraj.

Dwa czarne land rovery metaliki z napędem na cztery koła podjeżdżają i parkują przed liceum. To nasze „taksówki”. Robią wrażenie. Są obciążone blaszanymi płytami, które chronią okna przed rozbiciem, na wypadek, gdyby ktoś chciał czymś w nas trafić. Zaimprovizowane szyberdachy, czyli dziury osłonięte przez ruchomy kawałek blachy, pozwalają strzelcowi na przyjęcie pozycji strzeleckiej w czasie jazdy. Przychodzą mi na myśl pick-upy Reggiego. To daje do myślenia.

– Wzięliśmy broń z komisariatu w 9. dzielnicy – wyjaśnia mi Julien.

Jeden z dwóch „strzelców”, z karabinem niedbale przewieszonym przez ramię, podchodzi do nas. W ustach ma papierosa, wygląda pyszałkowato i wcale mi się nie podoba.

– Kevin i Marc chodzili do wojskowej klasy przygotowawczej – dodaje Julien. – Jako jedyni potrafią się posługiwać tymi spluwami. Wyglądają trochę jak jeźdźcy Apokalipsy, ale...

– ...ale to właśnie jest apokalipsa – kończymy jednocześnie: on, Marco i ja.

Ta zbieżność poglądów dziwnie nas odpręża.

Wsiadamy do land roverów. Wsuwam się razem z Markiem na trzeci rząd siedzeń, jak najdalej od kierowcy. W chwili, kiedy mijamy barykady, żeby wyjechać z Z-Punktu, obok pojawiają się dwa wojskowe wozy, krótkie i szerokie humvee. Będą nas eskortować. Jeszcze nie widziałam ani jednego z tych dorosłych, nieustająco zamkniętych w swoich helikopterach albo transporterach, ale niektórzy uchodźcy opowiadają, że żołnierze noszą dziwne uniformy – kombinezony przeciwko broni atomowej, biologicznej i chemicznej, w których wyglądają jak kosmici.

Wyobrażam ich sobie, jak siedzą za chronionymi kratą oknami humvee w tych nieziemskich strojach.

Im głębiej zapuszczamy się w dzielnicę Guillotière, tym bardziej miasto zamienia się w pole bitwy. Ulice, które przemierzałam dwa tygodnie temu, teraz są nie do poznania. Pogorzelniska. Dziury po kulach. Leje po bombach. Dwa razy musieliśmy się cofnąć, bo ulice były zablokowane przez spalone samochody. Thibault wskazuje kierowcy alternatywne trasy powrotne i zaznacza na mapie wszystkie napotkane przeszkody.

Do czego doszło między szabrownikami a wojskiem?

Na niektórych samochodach, zgniecionych jak zepsute zabawki, widać ślady po gąsienicach czołgów. Czasem widać je również na rozkładających się trupach. Fasady budynków są zrujnowane przez wybuchy, które odsłoniły ich wnętrza; można obejrzeć tapety w pokojach,

kuchnie i łazienki – szeroko otwarte na ulicę, zawieszono dziesięć metrów nad ziemią.

To pole bitwy, tu była jakaś wojna.

– Lady... – zwraca mi uwagę Marco, szepcząc z trwogą.

Porzucam moje maleńkie okienko i przywieram do niego, żeby spojrzeć na to, co chce mi pokazać.

I wtedy ich dostrzegam.

Jest ich sześcioro. Wciąż stoją na chodniku, jak posągi z węgla, rodem z koszmaru.

Kilkoro z nich przypomina dzieci, tak bardzo ich ciała są chude i drobne. Dziewczyny czy chłopcy? Teraz nie sposób powiedzieć. Dwoje przyłgnęło do siebie, kiedy zrozumieli, że za chwilę umrą od miotacza płomieni albo amunicji zapalającej.

Nasze „taksówki” jadą wystarczająco wolno i przejeżdżają wystarczająco blisko, żeby nie umknął nam żaden szczegół.

Ciała wciąż tkwiące w pozycji, w której tych ludzi zastała śmierć, mają kolor błyszczącej czerni – z odcieniem węgla drzewnego. Jedna z postaci wciąż wykonuje, na wieczność, gest podnoszenia rąk na znak poddania. Gwałtowność i piekielne gorąco broni stopiły tkanki w kościach.

Te mumie przypominają mi smukłe rzeźby spacerujących ludzi Giacomettiego.

Wolałabym zwęglone trupy na ziemi. Wolałabym cokolwiek innego...

Ich oczy też się stopiły, w twarzach zieją czarne, głębokie otwory, które zdają się patrzeć za nami, gdy przejeżdżamy obok. Spaleni żywcem. Sprowadzeni do stanu mineralnego. Z trojga ust wydobywa się niemy krzyk. Ich błyszczące, emaliowane zęby, jedyne białe ślady na węglowej czerni, tworzą straszliwy kontrast, jeszcze jeden detal do tego horroru.

Impet eksplozji pokrył sadzą ścianę tuż za nimi.

– Napalm albo granat fosforowy – mówi Marco półgłosem. – Broń zakazana przez konwencję genewską.

– Wojsko eliminuje szabrowników – odpowiada Kevin, były uczeń klasy wojskowej. –

Naszyc żołnierzy jest bardzo mało, muszą stosować nadzwyczajne środki...

– Nawet w stosunku do poddających się dzieciaków? Nie wiem jak ty, ale ja nigdy nie widziałem, żeby ktoś uciekał z rękoma w górę...

– To jakiś błąd – broni się nasz snajper. – Zdarzają się ofiary cywilne, kiedy trzeba... zaprowadzić porządek.

Ostatecznie dociera do niego, że lepiej byłoby się zamknąć. Nasz pojazd wypełnia grobowa cisza. Przerywa ją Marco.

– Pokój waszym prochom... Nasi przedstawiciele z pewnością zagłosują, żeby wojsko zapewniło wam urny.

Skąd znalazł się na tę zgryźliwą ironię? Przez krótką chwilę ściskam go za rękę.

Odwraca się do mnie i lustruje mnie szorstko, prawie ze złością.

—

Spotkanie przedstawicieli odbywa się w auli wykładowej ENS. Siadam obok Marca. Czuję, że wciąż jest wstrząśnięty tym, co widzieliśmy. Émilie pozdrawia mnie z daleka kiwnięciem głową. Ahmed z pewnością mnie nie poznał albo już zapomniał.

To on otwiera spotkanie.

– Doszliśmy do takich samych wniosków co organy medyczne. To właśnie szczepionka MeninB-Par uodporniła nas na chorobę. Władze zamierzają ponownie uruchomić jej produkcję na skalę przemysłową – najszybciej, jak to możliwe.



Ahmed daje nam chwilę na przetrwanie tej informacji, a potem kontynuuje:

– Rozmawiałem bezpośrednio z doktorem Anthelmem, odpowiedzialnym za badania epidemiologiczne. Hipoteza, że są jeszcze wśród nas zdrowi nosiciele, jest obecnie bardzo słaba, chociaż za wcześnie, żeby zupełnie ją wykluczyć. Doktor Anthelme zachęcił mnie, żebym nadal badał historię medyczną ocalałych, w celu zgromadzenia dodatkowych danych, i zbierał imienne próbki krwi od większej liczby osób.

– Po co? – rzuca od razu Marco, nieufny. – Żeby nas skatalogować?

Teraz głos przejmuje już Émilie:

– Musimy pobrać po około 10 mililitrów krwi od maksymalnej liczby ochotników, żeby zweryfikować, czy nie ma żadnego zdrowego nosiciela. Próbkę będą zamrażane, a potem co dwa dni przekazywane wojskowym organom medycznym w Paryżu. To zadanie stanowi teraz priorytet dla zarządzających Z-Punktami. Przy wyjściu z auli znajdziecie sterylne sprzęt do pobrania, który nam dostarczono.

– Czy w ramach zbierania próbek krwi armia strzela też do nastolatków? – wtrąca znów Marco. – Może trzeba im wytłumaczyć, że ich celem nie jest wyłącznie pobranie krwi, lecz także zachowanie pacjentów przy życiu.

Jego prowokacja wzbudza kilka śmiechów. Ktoś z ENS stara się zaprowadzić spokój.

– Są ważniejsze kwestie do załatwienia – mówi. – Dobrze byłoby nie tracić czasu na dzieciadę. Dzisiejsze spotkanie zwołano z myślą o skoordynowaniu działań wszystkich Z-Punktów w Lyonie z prawomocnymi medycznymi i wojskowymi organami władzy.

– A jeżeli te władze nie działają legalnie? – naciska mój przyjaciel.

– Kto jest przeciw pobieraniu krwi?

– Wojsko nie czekało na naszą zgodę ani ich przyzwolenie, żeby pobierać krew od uchodźców.

– Kto jest przeciw?

W auli podnoszą się dwie ręce. Jedna należy do Marca, a druga do jakiejś młodej dziewczyny.

– Przegłosowane – podsumowuje przedstawiciel ENS wobec braku komentarzy.

Chłopak musi odkaslnąć. Wyraźnie to on przewodzi zebraniu. Teraz rzuca okiem na następny punkt w planie obrad. Ogłasza nam, że za tydzień na terenie całego kraju zostanie wprowadzony stan wojenny, co oznacza godzinę policyjną, obowiązującą w nocy we wszystkich miastach i miasteczkach. Wojsko wydało zakaz przemieszczania się pojazdami silnikowymi zarówno w dzień, jak i w nocy i będzie uznawać za szabrownika każdego, kogo znajdzie poza Z-Punktem od zachodu do wschodu słońca.

– A jak ktoś się nie podporządkuje, to co? Będzie strzelać bez ostrzeżenia? – prowokuje znów Marco.

Cisza, żadnego śmiechu.

– Musimy się spodziewać nowej fali uchodźców – kontynuuje jakaś dziewczyna, również siedząca przy stole prezydialnym. – Legalne władze proszą nas o otwarcie nowych miejsc w naszych Z-Punktach.

To ogłoszenie jest powodem poruszenia. Okrzyki i protesty wybuchają w całej auli.

– Musimy coś postanowić w tej kwestii – włącza się ponownie przewodniczący obrad.

– Chciałbym najpierw poprosić o głos – mówi Marco.

Chłopak z ENS wzdycha.

– Proszę, słuchamy cię.

Marco wstaje.

– Przedstawię się tym, którzy mnie nie znają: Marco Gallehault. Zostałem

przedstawicielem uchodźców z Tête d'Or, ponieważ w tym Z-Punkcie uznaliśmy za stosowne powołać dwie oddzielne komisje wyborcze.

Marco kpiącym gestem teatralnie pozdrawia pozostałych przedstawicieli z Tête d'Or, po czym kontynuuje.

– Mam trzy proste i szybkie pytania. Primo, chciałbym wiedzieć, przez kogo i z jakiego powodu może zostać wprowadzony stan wojenny.

Przewodniczący obrad odwraca się do młodej dziewczyny, która mu asystuje.

– Stan wojenny, zgodnie z artykułem 36. konstytucji, wprowadza prezydent Republiki na okres dwunastu dni. Może być on później przedłużany przez parlament tak długo, jak...

– OK, w takim razie mam dodatkowe pytanie: skąd wiecie, że prezydent tego kraju i wystarczające kworum parlamentarzystów jeszcze żyje? A jeżeli tak jest, jeżeli mogli gdzieś się schronić, pozostawiając wszystkich innych, w tym nasze rodziny, żeby zdechli, czy nie są winni zdrady i nie powinni natychmiast trafić przed Sąd Najwyższy, o ile oczywiście żyje jeszcze tylu sędziów, żeby przeprowadzić procesy?

Wystąpienie mojego przyjaciela wywołuje jeszcze większy gwar. W niektórych częściach auli jest on niemalże wrogi, ale tu i ówdzie również przychylny.

– Dobrze, domyślam się, że będzie to przedmiotem przyszłej debaty – wraca do głosu Marco. – Moje pytanie numer dwa dotyczy przyjmowania nowych uchodźców: czy stan wojenny zakłada, że niektórzy z nas będą traktowani jak obywatele drugiej kategorii? Mówiąc wprost, czy wszyscy są sobie równi?

– Marco, robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby... – wtrąca Sacha, jeden z przedstawicieli Tête d'Or.

– Bzdury – ucina Marco. – Spójrzcie prawdzie w oczy. Po prostu boicie się stracić swoje przywileje i tę odrobinę władzy, którą zyskaliście miesiąc temu. Mam nadzieję, że będziemy mogli o tym podyskutować publicznie w tej auli. Pytanie numer trzy: czy za tydzień, kiedy władze wprowadzą stan wojenny i godzinę policyjną, będą jeszcze częściej stosować w stosunku do ewentualnych opornych broń zapalającą, zakazaną przez konwencję genewską? Właśnie stwierdziliśmy, że użyto jej wobec sześciu nastolatków przy alei Jeana-Jaurès.

Ton wypowiedzi Marca jest naturalny, ale głos ma napięty. Ręką chwycił się pulpitu, żeby ukryć roztrzęsienie. Czeką krótką chwilę, wyzywająco patrzy w oczy po kolei każdemu z przedstawicieli okupujących katedrę. Ostatecznie siada z powrotem.

– To wszystko – mówi. – Skończyłem z pytaniami, szanowny panie przewodniczący obrad, wybrany demokratycznie przez równych mu demokratycznie wybranych.

—

Zebrani nie odpowiadają na pytania Marca. Zatwierdzają jedną po drugiej wszystkie decyzje umieszczone w porządku obrad. Zasadnicza część uchodźców zostanie przyjęta u nas, w Tête d'Or, ponieważ dysponujemy przestrzenią siedemnastu hektarów. Nowi najpierw przejdą przez sortownię zorganizowaną na stadionie Gerland i zarządzaną bezpośrednio przez wojsko. Tam żołnierze zidentyfikują uchodźców i pobiorą od każdego krew oraz oddzielą opornych, przestępców i osoby potencjalnie niebezpieczne.

– Władze wojskowe poinformowały nas, że „oznakowały” osoby potencjalnie niebezpieczne za pomocą pluskiew wszczepianych pod skórę. Być może nadajniki zostaną wszczepione wszystkim w celu identyfikacji elektronicznej – wyjaśnia przewodniczący obrad. Ma przed sobą kartkę z tekstem napisanym na maszynie.

– To już się dzieje – rzuca Marco. – No, chyba że wszyscy uchodźcy są potencjalnie

niebezpieczni.

Nikt go już nie słucha. Owszem, dochodzi do kilku protestów, ale nikt w gruncie rzeczy nie ma odwagi kwestionować decyzji wojska. Mój przyjaciel odwraca się do mnie z wymowną miną.

Zgromadzenie przyjmuje też, że każdy Z-Punkt dowolnie decyduje o sposobie wyłaniania swoich przywódców i ustala swój wewnętrzny regulamin. Marco bojowo żąda głosowania nad wprowadzeniem wszędzie i we wszystkich okolicznościach zasady „jedna osoba, jeden głos”.

W głosowaniu uzyskuje piętnaście głosów, w tym mój. Brakuje mu pięciu, żeby mieć za sobą większość.

Dwie godziny później jesteśmy już po głosowaniach nad kilkunastoma innymi kwestiami logistycznymi. Po zakończeniu dyskusji troje czy czworo młodych ludzi podchodzi do Marca porozmawiać, wyrazić swoją niezgodę na obecny stan rzeczy, dodać mu otuchy. Zostawiam go i zmykam. Chcę pogadać z Émilie, która szykuje się do wyjścia.

– Miałaś kolejny kontakt z organami medycznymi? Czy doktor Certaldo wie, że żyję?

– Nic o tym nie wiem – odpowiada. – Nigdy nie miałam do czynienia akurat z nim.

– Powiedziałaś, że pracuje bezpośrednio z wojskiem w Paryżu. Wiesz, za co jest tam odpowiedzialny?

Émilie wzrusza ramionami.

– Podejrzewam, że zajmuje się tym, czym zajmował się tutaj.

– I jak? Twój ojciec cię stąd zabierze? – pyta Marco, kiedy wychodzimy z auli.

Pewnie widział, jak rozmawiam z Émilie.

– Émilie nie wpadła na to, żeby go spytać – odpowiadam, krzywiąc się z dezaprobatą.

– No cóż, to nawet lepiej. Bo gdyby twój ojciec rzeczywiście miał możliwość załatwienia helikoptera, żeby po ciebie przylecieć, powinien był to zrobić już jakiś czas temu.

Zbija mnie z tropu ten dziwny koktajl finezji i brutalnej szczerości, który miesza się w mózgu Marca.

## 24 LISTOPADA, POPOŁUDNIE

Marco odwiedza mnie po południu w dyżurce pod pretekstem wypicia razem kawy przed moją sjestą.

Właściwie to przychodzi z konkretnym pytaniem.

– Lady, czy twoim zdaniem władze w Paryżu wiedzą, jak armia postępuje z uchodźcami i jakie działania podejmuje przeciwko szabrownikom tu w Lyonie?

– Nie mam pojęcia.

– Chodzi mi o to... Czy twój ojciec... Myślisz, że gdyby wiedział, co się dzieje, zgodziłby się na to wszystko? Miałby coś do powiedzenia?

– Zrozumiałam twoje pytanie za pierwszym razem, Marco. I powtarzam ci: nie mam pojęcia. Tak czy inaczej, nie mam żadnej możliwości, żeby się z nim skontaktować.

Staje mi przed oczami szóstka nastolatków spalonych żywcem, których widzieliśmy dzisiaj rano. Niemal słyszę ich niemy krzyk. Podczas spotkania przedstawiciele Z-Punktów powtarzali, że „organy medyczne pracują w pełnej zgodzie z wojskiem”.

No i to zdanie Kevina: „Zdarzają się ofiary cywilne, kiedy trzeba... zaprowadzić porządek”. Tato, czy naprawdę byś się na to zgodził?

---

Tym razem pół godziny przed początkiem mojej zmiany w dyżurce odwiedza mnie Julien.

– Dziś rano na spotkaniu Marco przekroczył granice – stwierdza.

– Dlaczego przychodzisz z tym akurat do mnie?

– Bo mogłoby go kusić, żeby się tobą posłużyć. Mógłby na przykład zasugerować ci, żebyś zaprotestowała w rozmowie ze swoim ojcem.

To proste zdanie przyprawia mnie o zawrót głowy. „Zaprotestować”? Bo mogłabym... Dotychczas nie miałam odwagi o tym pomyśleć.

– Myślisz, że to byłoby możliwe?

Julien jest zaskoczony, nie rozumie.

– Nie mówię o protestowaniu – precyzuję. – Ale jak myślisz, mogłabym porozmawiać z moim ojcem?

– Nie wiem. Łączność zależy od wojska, więc gdyby miało chodzić o to, żebyś ty też oskarżała wojskowych...

Ocenia mnie wzrokiem.

– Chciałabym tylko z nim porozmawiać, powiedzieć mu, że żyję, i dowiedzieć się, co u niego.

– Zobaczą, co się da zrobić w tej kwestii, Stéphane.

## 25 LISTOPADA

W bibliotece na trzecim piętrze rozpoczęto pobieranie krwi. Podałam się temu jako jedna z pierwszych. Jeżeli mój ojciec ma dostęp do rejestrów, powinien poświęcić szczególną uwagę próbkom z Lyonu i znaleźć tam moje nazwisko.

Co zrobi, jeżeli je znajdzie? Przybędzie tu po mnie?

„Gdyby twój ojciec rzeczywiście miał możliwość załatwienia helikoptera, żeby po ciebie przylecieć, powinien był to zrobić już jakiś czas temu” – powiedział Marco. Jasne, to nie takie proste. Doktor Certaldo ma inne, pilniejsze obowiązki: ratowanie życia, organizowanie odpowiedzi na epidemię. „Przywracanie porządku”?

Operację pobierania krwi koordynuje Julien, a Marco podburza wszystkich, żeby się uchylali. Podziwiam jego upór. W kilka dni stał się główną postacią w Z-Punkcie, skupiającą negatywne emocje i dyskusje. Mnie osobiście przeraża jego coraz większa bezkompromisowość. Ktokolwiek nie zgadza się z nim całkowicie, trafia w szeregi jego wrogów.

Widziałam go wczoraj przelotnie. Dość gwałtownie dyskutował z Thibault'em i Justine. Wszyscy uchodźcy muszą opuścić liceum do jutra, żeby zwolnić miejsce dla ewentualnych hospitalizowanych, a spodziewamy się takich wielu. Pierwsi mieszkańcy zostają w budynku. Marco ma paranoję, ale ma też rację w jednej kwestii: dopóki wszyscy nie będziemy równo traktowani, każde nowe zarządzenie wewnątrz Z-Punktu będzie nas coraz bardziej antagonizować.

—

Dziś wieczorem, osiem godzin po rozpoczęciu pobierania krwi, zaczęto przenosić uchodźców do sąsiednich budynków – chronionych przez palisadę, ale pozbawionych elektryczności. Widziałam kilka dziewczyn opuszczających swoje sypialnie. Brak jakichkolwiek bagaży był poruszający.

Nie tak powinien wyglądać początek odbudowy czegokolwiek.

Zapada wieczór, przez okna sączy się szare światło.

Właśnie zaczęłam nocny dyżur. Czuwam na pierwszej zmianie, Alice zastąpi mnie koło piątej nad ranem. Jesteśmy z Philo w dyżurce. Podsumowujemy sytuację chorych, zanim Philo pójdzie trochę pospać. Moja szefowa jest zatroskana.

– Już niedługo będzie tu dodatkowo pięć tysięcy uchodźców. Niektórzy na pewno będą bardzo chorzy. Szpital zacznie pękać w szwach – ocenia. – Trzeba będzie znaleźć dodatkowe pielęgniarki.

– Ci nowo przybyli... Jak pomieszczą się w budynkach Z-Punktu?

– To ty nic nie wiesz? – pyta Philo, krzywiąc się. – Kiedy nie będzie już miejsca, wojsko porozstawia namioty w parku.

Namioty pod koniec listopada? Już sobie wyobrażam, co o tym powie Marco. I będzie miał rację.

– Ale dalej będziemy przyjmować wszystkich do szpitala – pospiesznie dodaje Philo. – Ja...

Przerywają nam krzyki, które niosą się po całym skrzydle. Czyżby kolejna kłótnia? Biegniemy do pokoju, z którego dobiega hałas, z latarkami, chociaż nie zapadła jeszcze kompletna ciemność.

– Suka!

– Złodziejka!

Pięć pacjentek w koszulach nocnych osaczyło szóstą dziewczynę. Zapędziły ją w kąt pomieszczenia i wyzywają. Poznają: to Christelle. Przyjechała do nas wczoraj w gronie nowych uchodźców. Ma czarne, kręcone włosy i bladą cerę. Cierpi na ostrą czerwonkę i wygląda, jakby ledwo trzymała się na nogach.

Philo bez wahania staje między napastniczkami a dziewczyną.

– Wracajcie do łóżek!

– Ta suka ukradła mi iPhone'a! – jazgocze Jeanne, dziewczyna z mojej dawnej sypialni, od wczoraj zagrypiona.

Philo odwraca się do czarnowłosej.

– Christelle? Czy to prawda?

Młoda dziewczyna najpierw kręci głową, ale ostatecznie jej gest przekształca się w nieśmiało przytaknięcie.

– Daj – mówi Philo zdecydowanym, ale spokojnym głosem.

Christelle wyjmuje przedmiot sporu z kieszeni spodni i oddaje go Philo. Szefowa pielęgniarek kiwa głową, czeka. Wreszcie Christelle próbuje się usprawiedliwić.

– Tak czy inaczej, na nic jej się to nie przyda. Nie można już dzwonić ani słuchać muzyki...

– Złodziejka!

– Nie chcemy takich w naszym pokoju!

Jeanne podchodzi do Philomène, żeby odzyskać swój telefon. Philo odsuwa się na bok i chowa urządzenie do kieszeni.

– Oddawaj mi iPhone'a! – wrzeszczy Jeanne. – Jest mój, to prezent od ojca!

– Te szmaty nie mają tu czego szukać! – rzuca druga.

– Cieszę się, że wszystkie czujecie się dużo lepiej – mówi Philo. – A teraz...

– Mój iPhone!

– A teraz pójdziemy poszukać jakiegoś innego pokoju dla Christelle – kontynuuje szefowa pielęgniarek. – A wy się uspokójcie. Potem oddam ci twój telefon, Jeanne, ale nie chcę więcej słyszeć wyzwisk w moim szpitalu.

Przyglądam się całej scenie. Philo nie podnosi głosu, mówi łagodnie, ale stanowczo, czym budzi mój podziw. Napięcie powoli maleje. Nagle...

– Zgodnie z regulaminem Z-Punktu złodziejki są wydalane. Ona musi odejść. Zresztą wszyscy oni powinni odejść – rzuca Candice jadownicę.

Philo jest wstrząśnięta.

– Żadna z was nie opuści tego szpitala, dopóki będzie potrzebowała leczenia.

– Takie jest prawo – upiera się Candice. – Nikt jej nie kazał kraść.

– I nikt nie musi wiedzieć, co się tu wydarzyło – odpowiada Philo, której głos łamie się po raz pierwszy w mojej obecności. – Christelle trafi do innego pokoju. Ja na razie zatrzymam telefon. Jeżeli ktoś zostanie oskarżony o kradzież, to ja. Zgoda?

Dwie furie momentalnie zaczynają się drzeć. Jeanne podchodzi do Philomène.

– Suka!

I policzkuje ją z całej siły.

Widzę, jak do oczu Philo napływają łzy. Jeanne uczepliła się jej fartucha, żeby zabrać swoją komórkę. Widzę nienawistne spojrzenia czterech pozostałych, czuję strach Christelle. Odsuwam dziewczynę, chwytam Jeanne za włosy i ją odwracam. Uderzam raz, tylko raz – sierpowym w wątrobę. Jeanne sapie, wypuszcza powietrze, po czym upada na podłogę.

Nokaut techniczny.

Jedna z jej koleżanek rzuca się na mnie z pazurami. Odwracam się gwałtownie i strzelam ją w gębę. Słyszę odgłos własnych knykcii na jej policzku. Ogłuszona dziewczyna cofa się o trzy kroki. Następnie zakrywa twarz i zaczyna krzyczeć. Podcinam ją, żeby upadła pod nogi dwóch kolejnych, które już się zbliżają. Robię wielki krok nad leżącą Jeanne i ruszam w ich kierunku. Mogę je pobić, wszystkie po kolei, jak w jakiejś grze, jeśli tego chcą.

„Jestem Lady Rottweiler, jestem rottweilerem Philomène”.

Strach w ich oczach. Cofają się.

– Stéphane – mówi zwyczajnie Philo za moimi plecami.

Nie podnosi głosu.

Dwie z pseudomścicielek pochylają się nad Jeanne i starają się ją ocucić, opryskując wodą. Candice w ochronnym geście przyciska do siebie Jenny, którą uderzyłam w twarz.

Mój gniew – jak czerwony, czysty tlen we krwi – słabnie bardzo powoli. Słyszę, jak Philo mówi do nich:

– Jeanne uderzyła mnie, a Stéphane was... Zgodnie z regulaminem wszystkie trzy powinnyście opuścić Z-Punkt jeszcze dziś. Nie sądzę, żeby chciała tego... którakolwiek z nas.

Widzę, że Philo wyjmuje komórkę z kieszeni i przekazuje ją jednej z dziewczyn cucących Jeanne.

– Oddaj jej tego iPhone’a. I przeproś w moim imieniu za to, że chciałam go zatrzymać. Nie powinnam była. To wszystko moja wina.

Nie wierzę własnym uszom. Czy Philo przed chwilą przeprosiła?

– Zabieram Christelle do innego pokoju i przyślę do was Pierre’a, żeby opatrzył tę ranę na policzku Jenny – kontynuuje Philo głosem, który ma brzmieć spokojnie, ale jednak drży. – Na razie trzymaj wacik w tym miejscu, Candice. Mocno krwawi, ale to powierzchowne, mam nadzieję...

Philo wychodzi, delikatnie popychając przed sobą sprawczynię całego zamieszania. Christelle wzięła swoją torbę, a teraz przyciska ją do siebie, jakby od tego zależało jej życie. Przed wyjściem z pokoju patrzę Candice prosto w twarz.

– Piśnij chociaż słówko o tym, co się tu stało, a zajmę się tobą. Osobiście. Zrozumiałaś?

– Zdzira! – odpowiada.

Robię krok w jej stronę, Candice instynktownie się cofa i o mało nie przewraca.

Uśmiecham się ironicznie.

Zatroskany Pierre przygląda się zranionemu policzkowi Jenny.

– Co się tu stało? – pyta.

Mierzymy się wzrokiem, dziewczyny i ja. Nikt nie odpowiada. Pierre wzrusza ramionami.

Poczekam na Philomène w naszej dyżurce, dopóki nie załatwi przeniesienia Christelle. Jestem na nią wściekła. Dlaczego przed chwilą przeproszała? Przecież nie musi brać na siebie wszystkich grzechów świata!

Kiedy Philo wraca, jej lewa powieka wciąż jest zaczerwieniona – to ślad po niedawnym uderzeniu. Siada obok mnie na jednym z łóżek, ze sztywnymi plecami i oczami utkwionymi w pustkę.

– Stéphane, przykro mi, ale... Właśnie widziałam się z Pierre’em. Jenny ma złamaną kość policzkową.

Domyślam się, co powie, jeszcze zanim z jej ust padną jakiegokolwiek słowa.

– Po tym, co się stało, nie będziemy już mogli... To znaczy, nie będziesz już mogła...

Dopada mnie ogromne zmęczenie i dziwne zobojętnienie. Nie dbam już o to, co się wydarzy.

– Zdawało mi się, że potrzebujesz nowych pielęgniarek? Jeżeli będziesz zwalniać stare, to

nigdy ci się nie uda.

Philo odwraca się do mnie. Na pewno jej ulżyło, że nie musi nic więcej mówić.

– Nie możemy... dopuszczać do przemocy w szpitalu – mamrocze. – Nie wolno nam, nawet jeśli chorzy są agresywni.

– Nie jesteśmy w szpitalu. Tylko udajemy, że tak jest. Zejdź na ziemię, Philo.

Patrzy na mnie zasmucona. Prawie mi jej żal, chociaż to ona wygania mnie z jedyne­go miejsca, w którym mogłam być użyteczna.

„Odegraj się. Gryź”.

– Chcesz, żebym poszła sobie od razu, czy jestem zwolniona z okresem wypowiedzenia do jutrzejszego świtu?

– Nie musisz... To znaczy, jest mi... naprawdę...

– Jest ci przykro, jasne. Wszystkim zawsze jest przykro. Ale odpowiedz mi: mam sobie iść w tej chwili, czy jeszcze tej nocy biorę po tobie dyżur, żeby choć trochę zeszła ci opuchlizna, zanim wrócisz przebłagać za grzechy Jeanne i jej koleżanki?

Philo jest purpurowa i zalewa się łzami. Ja nie. Patrzę na nią wyzywająco, a ona odwraca wzrok.

– Nie, oczywiście, zostaniesz na tę noc – mówi. – Jeśli naprawdę chcesz.

– OK. W takim razie zabieraj się stąd. To ja mam teraz dyżur.



## 26 LISTOPADA, PRZED ŚWITEM

Piąta rano, koniec nocnego obchodu – a dla mnie koniec pracy. Nie poczekałam, aż Philomène przyjdzie mnie zmienić, zostawiłam skrzydło dziewczyn pod opieką Alice. Żegnajcie.

Nie mam ochoty iść do sali, w której śpi trzydzieści innych dziewczyn, więc siadam na schodach przed liceum i parzę sobie wargi pierwszą tego dnia kawą. Panuje przenikliwy chłód.

– Mogę z tobą pogadać, Lady?

Podskakuję na głos Marca. Co robi na zewnątrz o tej porze? Ma wychudzoną twarz i ziemistą cerę, jakby zaliczył parę zarwanych nocy.

– Robisz te nadgodziny coraz później, chciałoby się powiedzieć... – próbuję się z nim przekomarzać.

– Nie – odpowiada. – Zabijam ludzi. Idziesz, Lady? Jesteś mi potrzebna.

Zamęt w jego oczach podpowiada mi, że sytuacja jest poważna. Idziemy w stronę parku, wciąż pogrążonego w ciemności. Przechodzimy pod wielkimi cedrami. Marco prowadzi mnie w stronę zoo i zdaje relację z wydarzeń. Ostatniej nocy złamał zakaz opuszczania Z-Punktu i wyszedł razem z Yannisem, tym uchodźcą, który zabił Reggiego. Pomógł mu pochować ciało szabrownika, a w drodze powrotnej zaskoczył ich jakiś żołnierz w kombinezonie ABC, patrolujący okolice Z-Punktu.

– Miał miotacz ognia. Wycelował w Yannisa i zamierzał go usmażyć. Strzeliłem do niego dwa razy.

Marco wyjmuję z kieszeni broń przypominającą pistolety, których używaliśmy w WOT. Nie ogarniam tego.

– To ty... Masz spluwę?

– Już niedługo – odpowiada. – Ten żołnierz nie żyje. Muszę sprawić, żeby to zniknęło, inaczej trafię prosto przed pluton egzekucyjny.

Nagle mam wrażenie, że wpadam w całkiem inną rzeczywistość. Broń. Zabici. Sądy wojenne... Cholera, to już nie są sprawy wirtualne.

– Ktoś widział, jak strzelacie?

– Dwóch gości z barykady przy bulwarze Belgów. To moi kumple. Do diabła, byliśmy już prawie z powrotem! A teraz reszta każe mi za to zapłacić...

Czy on zdaje sobie sprawę z tego, co się stało? Nie dostrzegłam w tym wybuchu ani trochę żalu, raczej pewność, że to nieodwracalny błąd taktyczny. Marco nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Nie widział innego wyjścia.

– Potrzebuję cię – powtarza.

Nagle głos mu się załamuje. Przyglądam mu się, choć mrok zaciera rysy twarzy. Po policzkach spływają mu dwie łzy.

– Hej, no nie. Nie będziesz mi tu płakał, Long John Silver. Nie ty.

Chwytam jego twarz w dłonie, patrzę w jego trochę za mocno lśniąco oczy.

– Marco...

Nagle nachodzi mnie gwałtowna ochota, żeby go pocałować, złączyć nasze łzy i usta. „Ja też, Marco. Ja też zabiłam, pamiętasz?” Wstrząsa mną dreszcz, unoszę głowę.

– Daj mi tę broń – mówię krótko. – Zajmę się jej usunięciem. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, coś...

„Co zrobimy?”

– Jest jeszcze pies Yannisa... – mamrocze Marco. – Znaleźliśmy go przy trupie Reggiego. Zdechnie, jeśli ktoś natychmiast się nim nie zajmie.

Ukryli rannego zwierzaka w żyrafiarni. Nie było mnie tam od śmierci Aleksa. Czarno-biały kundel leży na słomie i warczy cichutko, kiedy się zbliżamy. Przemawiam do niego łagodnie.

– Gdzie jego pan?

– Powiedziałem mu, że ma wracać do pokoju, żeby jego nieobecność nie budziła podejrzeń.

Przyglądam się zwierzęciu: ma złamaną łapę z paskudnym zakażeniem. Śmierdzi gangreną.

– Trzeba ją amputować – mówię. – Jak najszybciej.

– Umiesz to zrobić całkiem sama? Nie możemy zwracać na siebie uwagi.

– Spróbuję. Jeżeli nic nie zrobimy, pies tak czy inaczej nie żyje dłużej niż kilka dni.

Ale będę potrzebowała piły i lekarstw, a właśnie straciłam posadę. Fatalnie się składa.

Głaszcząc psa, streszczam Markowi sytuację w szpitalu – i jej koniec poza szpitalem. Słucha, ale myślami jest gdzie indziej. Widzę to. Z pewnością zastanawia się nad człowiekiem, którego zabił, albo nad konsekwencjami swojego czynu.

– Ale nie martw się – podsumowuję. – Wrócę do szpitala, ukradnę coś znieczulającego, jakieś odkażacze oraz antybiotyki. Ty go zanieś na posterunek policji – ten, który częściowo spłonął. To dwa kroki stąd...

– Ta część, która przetrwała, jest zamknięta – odpowiada. – Już próbowałem.

– Klucz jest schowany pod kamieniem, przy samych drzwiach, po lewej stronie. To tam nocował Alex... Ułóż psa na słomie. W jednym z pomieszczeń znajdziesz narzędzia, na pewno jest tam piła, trzeba ją odkazić nad ogniem. Postaraj się też zagotować trochę wody i wygotować jakieś kompresy, zanim wrócę.

Marco potakuje.

– A w ogóle wiesz, jak on się wabi, ten pies?

– Tak – odpowiada. – Happy.

Spoglądamy po sobie. Marco wzrusza ramionami.

Niecałe dwadzieścia minut później wracam do domu Aleksa. Wciąż jeszcze jest ciemno.

– Marco?

– Marco, do cholery?! – podnoszę głos. – To ja!

Marco pojawia się w drzwiach. Pomimo chłodu ma na sobie tylko biały T-shirt, majaczący w ciemności.

– Jakiś problem, Lady?

– Nie – kłamię.

A przecież nie mogę, po prostu nie mogę wejść do tego domu bez niczyjej pomocy. Czy Marco to rozumie? Podaje mi rękę. Opieram się o jego ramię. Ten kontakt wywołuje we mnie dreszcz i przypomina mi, że przed chwilą o mało go nie pocałowałam. Litość? Sympatia? Coś innego? Co, jeszcze raz, znowu?

W środku Marco zapalił trzy pochodnie. Cienie przesuwają się po ścianach w rytm ich drgań. Happy leży na słomie, tam, gdzie przyszyłbym spać z Alekssem, gdyby wszystko się nie zawaliło. Pies głucho pojękuje. Piła leży na białej ścierce, na stole roboczym. Proszę Marca, żeby włożył ją do ognia i poczekał, aż szernieje, a potem wytarł wygotowanym kompresem. Staram się przypomnieć sobie opowieści mojego ojca o operacjach ratujących życie w strefach konfliktów. Delikatnie układam Happy'ego na podłodze, głaszczę go, żeby się uspokoił, a potem robię mu zastrzyk z morfiny. Pies łagodnieje, popada w otępienie, jego ruchy zwalniają. Serwuję mu znieczulenie na wycucie, modląc się, żeby mieszanka dwóch preparatów go nie zabiła. Happy wydaje z siebie przenikliwy skowyt w momencie drugiego zastrzyku. Mniej niż pięć

sekund później traci przytomność. Podnoszę trzy sprawne łapy i puszczam je, a one ciężko opadają na ziemię. Pies leży bez ruchu. Najpierw się waham, ale potem podnoszę zranioną łapę. Ona też opada na ziemię bez żadnej reakcji.

OK.

Zakładam na głowę czółówkę Marca, myję ręce przegotowaną wodą, którą mój przyjaciel przelał do manierki, wkładam lateksowe rękawiczki i bawełnianą maskę, które zwinęłam ze szpitala. Marco przygląda mi się z piłą w ręce.

– Chcesz, żebym ja to zrobił? – pyta.

– Jestem gotowa. I to ja tu robię za lekarza.

Uśmiecha się, podaje mi narzędzie. „Tato, pokieruj mną, proszę”. Klękam przy psie. Marco wsuwa porządnie umytą i opaloną deskę pod jego zmiażdżoną łapę. Zaczynam piłować tkanki i kość.

—

Odkaziłam, zszylałam, zabandażowałam ranę tuż ponad stawem. Wstrzyknęłam wciąż nieruchomemu psu dawkę antybiotyków, po czym wyszłam i zwymiotowałam, oparta o drzewo o nagich gałęziach.

Jestem zakrwawiona po łokcie. Przesiąknięta potem. Jednak czuję wewnętrzny spokój.

„– Najlepiej, jak mogłam.

– Nie! Najlepiej, jak to możliwe. Do tego musisz dążyć, Stéphane”.

W mojej głowie echem odbijają się lekcje ojca, nasze wieczorne rozmowy do późna. Wymiotuję jeszcze raz, tym razem żółcią. Marco mi się przygląda.

– Ten uchodźca, dla którego zabiłeś... Znasz go dobrze? – pytam. – Zaprzyjaźniliście się?

Nie. Yannis nie jest dla Marca nikim szczególnym, po prostu chłopakiem z Marsylii, który w Lyonie spotkał na swojej drodze Reggiego i zabił go w obronie własnej. Jest kimś, kogo prześladuje pech i kto postanowił wczoraj ruszyć dalej w drogę, opuścić Z-Punkt, żeby nie czuć się obywatelem drugiej kategorii.

– Nie wiem, dlaczego za nim poszedłem – ciągnie dalej Marco. – Może było coś w jego spojrzeniu, jakiś bardzo, bardzo odległy smutek. Albo dlatego, że chciał stąd uciec, a ja myślę, że to dobry pomysł.

Siadamy obok siebie na progu domu. Czuję jego ramię przy swoim.

– Wiesz, dlaczego chciał pogrzebać Reggiego, zanim się ulotni?

– Nie, pojęcia nie mam.

– A ty? Dlaczego, do cholery, zabrałeś ze sobą broń?

Marco się waha.

– Nie... Tego też nie wiem. Poza sztukami walki trenowałem też strzelectwo, pamiętasz? Po przybyciu do Z-Punktu nie oddałem pistoletu kierownictwu. Powiedziałem sobie, że lepiej, żeby jakaś broń pozostała w dobrych rękach, tak na wszelki wypadek. Schowałem ją. A dziś w nocy zabrałem ją ze sobą.

– To niezbyt pasuje do gościa, który miał mi za złe, że zabiłam szabrownika, co?

Nie mogę się powstrzymać, żeby mu nie wypomnieć tej sprzeczności. Marco się krzywi, a ja uznaję, że ma dość:

– Przepraszam... Ale...

Nie bardzo wiem, jak powiedzieć to, co myślę, żeby nie zabrzmiało zbyt chamsko.

– Posłuchaj. W kilka dni stajesz się przywódcą uchodźców z Tête d'Or, obrażasz wszystkich przedstawicieli Z-Punktów i ryzykujesz własną skórę dla jakiegoś pogiętego

chłopaka. Trenowałeś sztuki walki, masz spluwę i potrafisz strzelać, ale płaczesz, kiedy kogoś zabijesz. Nie rozumiem cię. Kim ty właściwie jesteś, Marco?

Spogląda na mnie. Dodaję mu otuchy poważnym uśmiechem. Marco robi jakąś niewyraźną minę.

– Pamiętasz WOT? Jestem Long John Silver – mówi z kpina. – A to jest koleś, który uważał się za Eksperta, sprytniejszego, silniejszego, dokładniejszego niż reszta w świecie ogarniętym wojną.

Wzrusza ramionami. Kładę mu rękę na kolanie. Marco nie ma odwagi albo nie chce mnie dotknąć.

– Zresztą Yannis też jest Ekspertem WOT – dodaje z czymś na kształt rozluźnienia. – Rycerz Adrial. Chce pójść na spotkanie z Khronosem w Paryżu. A ja podjąłem decyzję. Zamierzam mu towarzyszyć.

—

Yannis dołącza do nas trochę później. Przychodzi z jednym ze swoich przyjaciół, François, blondynkiem o dziecięcym wyglądzie. Relacjonuję mu, co zrobiliśmy, żeby uratować jego psa. Dostrzegam w jego oczach melancholię, o której mówił Marco. Na widok Happy'ego chłopak wydaje się wstrząśnięty, ale zachowuje niewzruszoną twarz i patrzy na mnie z rodzajem dorosłej powagi. Dziękuje mi.

Wygląda, jakby miał dziesięć lat więcej niż wtedy, kiedy widziałam się z nim w bibliotece. Dziwny gość.

Mówię mu, że jeszcze nic nie wiadomo: nie jestem całkowicie pewna, czy Happy się wybudzi. A jeżeli się wybudzi, trzeba będzie pilnować, żeby nie wdała się infekcja, i zmieniać opatrunki. Czekamy wszyscy razem, trochę zaniepokojeni. Kiedy wreszcie pies budzi się ze sztucznego snu, jest trochę otumaniony, ale bardzo cieszy go widok Yannisa. Potem stara się zerwać opatrunek z tylnej prawej łapy, kłapiąc pyskiem. Jego panu udaje się uspokoić go głaskaniem i komplementami. Pies z powrotem zasypia, a my go unieruchamiamy.

– Musicie już iść – mówi Marco.

Odprowadzam Yannisa i François na zewnątrz.

– Nie powinniśmy się tu kręcić w większej grupie, w końcu ktoś to zauważy. Posiadanie psa jest w Z-Punkcie zabronione, a ja ukradłam lekarstwa, żeby go wyleczyć. Jak wpadniemy, to wywalą nas wszystkich.

– Mam to gdzieś – odpowiada Yannis wyzywająco. – Tak czy inaczej spadam stąd, kiedy tylko Happy będzie mógł chodzić.

– Ach tak... Paryż, Khronos... Póki co, musimy zachować dyskrecję. Wiem, co się wydarzyło dziś w nocy.

– Marco ci powiedział?

– Poprosił mnie o pomoc, owszem. Dlatego musiał mi wszystko opowiedzieć.

Yannis kiwa głową z rezerwą, może nawet nieufnie. Jego kumpel blondynek ni w ząb nie pojmuje naszej rozmowy.

– Nikt inny nie może się dowiedzieć, OK? – dodaję. – Inaczej Marco naprawdę wpadnie w gówno po uszy, a ty razem z nim. Dlatego będziemy się starać, żeby nie widziano nas zbyt często razem. Przyjdiesz raz dziennie zapytać, jak się czuje Happy, dopóki psina nie stanie na nogi. Będę tutaj nocować, żeby nad nim czuwać.

Moje miejsce jest w tym budynku, postanowiłam tak dziś rano.

– Jeśli naprawdę chcesz zwać, nikogo nie wtajemniczaj w swoje plany, Adrialu...

Yannis patrzy na mnie oszołomiony.

– Znasz mojego... awatara?

– Tak. Marco mi powiedział. Ja jestem Lady Rottweiler. I na twoim miejscu nie liczyłabym zbyt na Khronosa.

## 27 LISTOPADA

Pomimo moich zaleceń Yannis już trzy razy zaglądał do domu Aleksa, żeby zmienić swojego psa opatrunek, wynieść odchody, nakarmić go albo umyć. Doceniam jego towarzystwo. Czy go onieśmielał? Najczęściej oboje milczymy i to mi pasuje. Natomiast przyglądam mu się: mówi o Happy'm długo, półgłosem. Ta ogromna powaga przypomina mi Nathana i jego cocker spaniela. Kilka chwil później Yannis nagle porzuca ten dziecięcy rys i mam naprzeciw siebie mężczyznę – tajemniczego, mrocznego, zahartowanego pomimo swoich piętnastu lat.

Domyślam się, że ma za sobą traumatyczne przeżycia. Nie jestem pewna, czy chcę, żeby mi o nich powiedział.

Dziś w południe korzystam z jego przybycia, żeby spotkać się z Markiem.

Szukam go pół godziny po całym Z-Punkcie. Nie ma go ani w jadalni liceum, ani wśród kierownictwa, ani na pastwisku danieli, gdzie rozlewa się kawę dla nowo przybyłych. Od grupki do grupki, od wskazówki do przeciwwskazówki... wreszcie kieruję się w stronę rosarium. Na głównym trawniku w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ustawiono kilkanaście dużych, białych, wojskowych namiotów. Trochę dalej załogi kopiają nowe latryny. Inni kończą zmianę i idą podtrzymywać ogień, wokół którego można się ogrzać i na którym zwykle gotuje się jedzenie. Niestety, akurat nowo przybyli muszą się zadowolić wojskowym suchym prowiantem. Wszędzie wokół walają się śmieci i ekskrementy, wisi suszące się pranie. Słychać krzyki, hałas, nawoływania, śmiechy. Wkrótce cały park stanie się jednym wielkim obozem dla uchodźców. Nie da się w nim zaznać spokoju.

Z daleka dostrzegam Julię i staram się go uniknąć, ale on skręca w moją stronę.

– Stéphane! Gdzie teraz śpisz?

– Gdzie mi się akurat zechce. Zostałam wyrzucona przez kierownictwo szpitala bez jednego sprzeciwu. Wszyscy to poparli, nawet główny lekarz. Teraz uznaję się za wolną od wszelkich zobowiązań.

Dociera do niego moje oskarżenie, ale nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Powinnaś wrócić i spać w liceum. Tak jest bezpieczniej.

– Pomyślę o tym kiedyś. Szukam Marca, nie widziałeś go?

– Był za małym rosarium, kiedy go ostatnio widziałem. On też powinien uważać na to, co robi nocami. A ty lepiej trzymaj się od niego z daleka.

Czyżby Julien wiedział o zabójstwie? Wolę nie drążyć tego tematu. Odpuszczam.

Pogoda jest przyjemna, ale powietrze mroźne. Odnajduję Marca, siedzi na ławce w zagajniku. Jest sam i najwyraźniej nic nie robi.

– Co porabiasz, Long John Silver? – pytam. – Napawasz się chłodem?

– Trafiłem na bezrobocie. Zwolniłem się dziś rano ze stanowiska przedstawiciela uchodźców.

Mówi to spokojnie. Chyba mu ulżyło.

– Dowiedzieli się?

– Tak. Julien, Sacha i Gaïa przyszli do mnie przed chwilą. Wiedzą, że zabiłem wojskowego. Na razie poprosili mnie o złożenie funkcji i rozsądne zachowanie. Będą milczeć w tej sprawie, o ile dochodzenie nie wskaże błędnie innego winnego. Ale ja nie jestem naiwny – wiem, że mnie sypną, kiedy tylko będą chcieli podliznąć się dorosłym.

– To czemu poddajesz się ich szantażowi?

– Z jednej strony lepiej, żeby uchodźcy znaleźli sobie innego przedstawiciela, zanim zostanę zatrzymany.

– A z drugiej?

– Z drugiej daje mi to dwa lub trzy dni wolności na dyskretne przygotowanie odejścia.

Pozostaje nam małe okienko, dopóki nie zadekretują stanu wojennego 1 grudnia. Wyruszymy najszybciej, jak to możliwe – kiedy tylko Yannis, jego kumpel i pies będą gotowi.

Marco przerywa, chyba w oczekiwaniu na reakcję z mojej strony. Nic nie mówię.

– Mają plan, który trzyma się kupy – ciągnie dalej.

Cóż, osobiście uważam, że plan jest raczej nędzny: zamierzają opuścić Z-Punkt od strony rzeki, żeby uniknąć uliczek patrolowanych przez wojsko, popłynąć w dół Rodanu, a potem w górę Saony. Następnie chcą dotrzeć na piechotę do Saint-Cyr-au-Mont-d'Or, na północnym zachodzie Lyonu, gdzie mieszkał François. Tam zamierzają wziąć samochód rodziców François i pojechać w kierunku Paryża ze zgaszonymi światłami. Yannis umie prowadzić. W Paryżu Marco ma potencjalny punkt kontaktowy przy stacji RER Gentilly, u jednego gracza WOT.

– Jak ostatni raz łączyliśmy się z forum, jeszcze żył. Byłem u niego latem rok temu, znajdę ten dom.

W ogóle tego nie komentuję. Marco czeka na moją opinię, a może zachętę? A może na coś jeszcze innego?

– Zasługiwałbym na zatrzymanie za to, co zrobiłem – dodaje wreszcie. – Jednak wojskowi są ostatnimi, którzy mieliby prawo mnie sądzić. Kto mi w ogóle zagwarantuje, że będę miał prawo do procesu?

W jego oczach czytam nowe pytanie: czy według mnie kwalifikuje się przed pluton egzekucyjny? Zaprzeczam ruchem głowy.

– Powinieneś zamieszkać u Aleksa razem ze mną aż do waszej wyprawy. Nikt nie będzie cię tam szukał.

—

Julien posłał po mnie, kiedy byłem w jadalni. Schodzę do niego na parter. Jest w biurze kierownictwa.

– Marco zabił wojskowego – mówi. – Wiedziałaś o tym?

– Chronił wtedy jednego z naszych. To była obrona konieczna.

– To wojsko ma nas ochraniać. I robi to. Musisz zrozumieć, gdzie leży interes grupy, Stéphane. Musisz stanąć po odpowiedniej stronie.

Zamykam się jak ostryga.

– Chodź ze mną.

Julien prowadzi mnie do biura obok.

Sacha siedzi przed radiostacją, która wygląda na wciąż niedokończoną. Słyszę trzaski.

– Twój ojciec chce z tobą porozmawiać – mówi Julien, patrząc na mnie. – Liczę na ciebie. Mamy umowę.

Siadam przed urządzeniem, ze słuchawkami na uszach. Świat wokół mnie wiruje.

Po kilkudziesięciu sekundach czekania przez trzaski dociera do mnie jego głos. Jego dawny głos, choć zniekształcony przez średniej jakości transmisję. Ta sama intonacja. To mój ojciec.

...działem twoją próbkę krwi... Tak się cieszę, że żyjesz, Stéphane... Zachowuj się rozsądnie... Wrócę, kiedy tylko będę mógł... Już kończymy badania. Twój przyjaciele wykonują wspólną pracę. ...dukcja szczepionki wkrótce ruszy na masową skalę...

– Tato, ja też brałam udział w poszukiwaniach, z Émilie i Ahmedem...

– Tak, tak. Przede wszystkim nie wystawiaj się na niebezpieczeństwo. Zostań w

Z-Punkcie. Nie podejmuj żadnego ryzyka.

– Tato... Nathan, mama, zdążyłeś?

– Damy sobie radę. Teraz już wszystko będzie dobrze, Stéphane. Obiecuję. Tylko nie podejmuj żadnego ryzyka. Zostań w Z-Punkcie, tam niczego nie ryzykujesz. Wojsko was obroni. A ja...

– Tato, wojskowi strzelają tutaj do ludzi. Musisz im powiedzieć, żeby...

Połączenie gwałtownie się urywa. Podnoszę głowę; Julien trzyma rękę na wyłączniku radiostacji. Jego wzrok nigdy nie był tak surowy.

– Połączenia zależą od wojska, Stéphane. Mówiłem ci o tym.

– Gdzie... Skąd on mówił?

– Sztab w Paryżu. Połączenie nawiązano przed chwilą.

Julien cedzi słowa, patrząc mi prosto w oczy.

– Zaufałem ci! Postawisz swojego ojca w niewygodnej sytuacji, jeżeli będziesz spotykać się z Markiem po tym, co się stało. Zdajesz sobie z tego sprawę, Stéphane?

—

Część popołudnia zajmuje mi szukanie Marca. Chcę mu o wszystkim powiedzieć, ale nigdzie go nie ma. Yannis i jego kumpel również zniknęli. Aż się palę, żeby opowiedzieć komuś o moim sekrecie, ale komu?

Philo? Uważałam ją za przyjaciółkę, ale poświęciła mnie w imię swojego szpitala. Poza tym wzięłaby stronę Juliana, zaczęłaby mnie pouczać.

Docieram do domu, kiedy zapada zmrok. Marca nie ma w środku. Przyjdzie dziś w nocy? Może szybciej ruszyli na swoją wyprawę?

—

Zdmuchnęłam ostatnią świeczkę, przykryłam Happy'ego kępami siana, po czym wsunęłam się do śpiwora. Dziś wieczór jest koszmarnie zimno. Mówię do psa, dzwoniąc zębami.

Ktoś puka do drzwi, kilka krótkich uderzeń. Wstaję.

– Marco? Wchodź...

Marco stoi w drzwiach, waha się przez chwilę. Potem wchodzi do środka, ale nie siada.

– Nie chciałem, żeby ktoś widział, jak tu przychodzę – wyjaśnia w ciemności. – Muszę być cały czas o krok przed nimi, w razie gdyby zmienili zdanie w kwestii zabójstwa.

Zapalam świeczkę, pomagam Markowi się umościć. Jednocześnie relacjonuję mu rozmowę z ojcem. Nie komentuje. Opowiadam, w jaki sposób Julien zakończył połączenie.

– Dupek... – szepcze Marco.

Uklepuje sobie poślanie z siana i całkiem ubrany wsuwa się do śpiwora. Odwraca się do mnie tyłem. Zdmuchuję świeczkę i kładę się z powrotem.

– A jednocześnie nieźle sobie z tobą pogrywają, Lady. Potrzebują wojska, a wojsko pracuje z twoim ojcem, który należy do ścisłego kierownictwa. Dlatego chcą cię mieć w swoim obozie. Poblązają ci i jednocześnie grożą.

Mija minuta w ciemności, w milczeniu. Mam oczy otwarte, wciąż czekam.

– Ale ciesz się z powodu twojej matki i brata, Lady – dodaje wreszcie Marco. – To naprawdę kurewski cud.



## 28 LISTOPADA

Dziś rano w jadalni robię wszystko, żeby nie wpaść na Julię. Nie chcę, żeby mi „pobłażano i grożono”, żeby ktoś mówił mi, co mam robić, do którego obozu należeć albo z kim się spotykać.

Mój ojciec, głos mojego ojca. „Wszystko będzie dobrze...” Moja matka i mój brat, bezpieczni. Wojsko, Marco, który jest zagrożony...

Co mogę dla niego zrobić?

Kiedy wracam do „domu” z kawą, zastaję tam Yannis. Oczy mu się śmieją, kiedy wskazuje mi scenę w głębi pomieszczenia. Happy po raz pierwszy podniósł się i chodzi na trzech łapach.

– Nie ma tu Marca?

– Nie – odpowiada.

– Być może powinieneś zrobić swojemu psu coś w rodzaju szyny przed ruszeniem w drogę. Nie dasz rady nieść go cały czas.

Pokazuję mu, jak się do tego zabrać. Yannis przygląda mi się z uśmiechem przyklejonym do ust.

– Powinnaś pójść razem z nami, Lady Rottweiler – mówi w końcu. – Naprawdę.

Yannis nigdy nie marnuje słów, używa krótkich zdań, wyraża się jak wyrocznia. Kręć głową.

– To całe spotkanie z Chronosem to idiotyczny pomysł. Nie wierzę w możliwość podróży w czasie.

– Z Markiem jest źle – draży Yannis, chociaż nie widzę związku. – Mam wrażenie, że nawiedza go duch.

– Duch?

Yannis na chwilę milknie, patrzy na mnie, waha się.

– Ja nie mogłem pochować moich rodziców – zwierza się po chwili. – Ani siostry.

Dlatego blakają się wokół mnie, nawiedzają mnie. A Marco też wygląda tak, jakby prześladował go ten zabity żołnierz.

Tak, to jeden ze sposobów na mówienie o tym wszystkim. Duchy, widma. Mieszkańcy naszych dusz. Myślenie o nich powstrzymuje nas przed rozpoczęciem życia na nowo.

– A ty mogłaś go pochować? Swojego ojca? – pyta.

– Nie.

Jego pytanie zaskakuje mnie prawie tak samo jak moja instynktowna odpowiedź. Jakbym się wstydziła, chciała bronić. Czy potrafiłabym powiedzieć mu prawdę? I jaką prawdę? Że jestem uprzywilejowana, bo mojego ojca ewakuowano, zadbano o niego, zapewniono mu schronienie? Że jego życie liczyło się bardziej niż życie rodziców Yannis? Nie zrozumiałby... Tak czy inaczej jutro, pojutrze zobaczymy się po raz ostatni. Po co niszczyć to delikatne porozumienie między nami?

– Miałaś jakichś braci? Siostry? – draży Yannis.

– Jednego brata, Nathana. To z powodu tych duchów chciałaś pochować Reggiego?

Yannis poważnie kiwa głową. Tym razem udało mi się skierować rozmowę na inne tory. Chociaż on nie wygląda mi ani na przesadnego dzieciaka, ani na tchórza...

– Nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia. Tak samo jak Marco. W gruncie rzeczy trwa wojna.

– Nie wiesz, jak to jest kogoś zabić – odpowiada.

– Wiem. Ja też to zrobiłam.

Yannis patrzy na mnie oszołomiony. Potem na jego twarzy pojawia się ból, ale w przeciwieństwie do Marca nic nie mówi.

– To był szabrownik – wyjaśniam. – Zabójca, tak samo jak ten twój. Było ich dwóch, chcieli mnie zgwałcić. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia... To znaczy, tak samo jak ty działałam w obronie własnej. I nie zamierzam pozwolić, żeby ten drań mnie nawiedzał.

Yannis nie odpowiada. Klęczy przy Happym, głaszcząc go, układa na słomie. Osądza mnie za pomocą tej ciszy? Ja też przyklękam.

Nie będę mu mówić o moim ojcu, nie zrozumiałby. Jest jednak coś, co mogę mu opowiedzieć. Być może ulży mu, kiedy dowie się, kogo zabił, od jakiego sortu zabójcy uwolnił ulicę?

Wyciągam się na sianie, pachnącym, choć lekko już zapleśniałym. Patrzę w sufit. Nie chcę widzieć tych poważnych oczu utkwionych we mnie, chociaż sama obecność Yannis'a wydaje się skłaniać do zwierzeń.

– Czuję się bardzo dziwnie w tym miejscu.

Czy widzi, że płaczę?

– Znałam kogoś, kto tu mieszkał. Alex... Razem doglądaliśmy zwierząt w zoo, kiedy wszyscy pozostawili je samym sobie. To było miesiąc temu. Potem Alex został zamordowany...

Podnoszę się, wycieram oczy.

– ...właśnie przez Reggiego. Tego, którego zabiłeś.

Yannis drży, odwraca wzrok, choć teraz to ja chciałam spojrzeć mu w oczy.

– Alex... Kochałam go, tak myślę. Będzie ze mną zawsze. Ale mnie nie nawiedza.

Czuję ulgę. Jak długo można powstrzymywać płacz? Łzy najwyraźniej czekały na to wyznanie. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, nawet Aleksowi. Nie zdążyłam mu powiedzieć.

Co za dziwną moc ma Yannis. Potrafi wywoływać duchy mieszkające w naszych sercach, żeby skuteczniej je przegonić? Czyżby był egzorcystą?

A czy on sam czuje się inaczej, skoro dowiedział się, że jest ktoś, kto nigdy nie będzie mieć mu za złe jego zbrodni? Nawet jeśli to tylko ja?

## 29 LISTOPADA

Przed świtem Marco, Yannis i François włamali się do bungalowu nad brzegiem jeziora, żeby ukraść dwa kajaki. Jeszcze we wrześniu wypożyczyli je spacerowicze. Schowaliśmy kajaki w krzakach pod ogrodzeniem osiedla Cité Internationale, na północy parku – jak najdalej od strefy zamieszkaney i kilka metrów od Rodanu.

Najpierw Yannis, a potem François przyszli do mnie zostawić zapasy i plecaki. Wykradli prowiant i wodę z magazynu w obozie uchodźców. Teraz razem z Markiem zajmują się pakowaniem wszystkich swoich rzeczy do plastikowych worków. Według planu wypływają jutro rano, tuż przed świtem.

Dziś wieczorem Yannis i François wracają na kilka godzin do swoich pokojów. Nasz zespół nie jest już tak idealny. „My” wypływamy, a „ty” zostajesz. Czasem czuję na sobie spojrzenie Marca, ciężkie od żalu. Ich plan wciąż wydaje mi się szalony, ale obiecałam pomóc. Za godzinę wybiorę się do szpitala, żeby wykraść leki do zestawu pierwszej pomocy. Tylko tak mogę ich chronić.

—

Zapada wieczór, a razem z nim pojawia się mgła, jak codziennie nad Tête d’Or. Jutro rano będzie ich sojusznikiem. Zadbaliśmy o to, żeby nikt mnie nie widział przy wyjściu z naszej kryjówki. To byłoby zbyt głupie – dać się złapać ostatniej nocy.

Przy bramie parku, tej położonej najbliżej liceum, panuje dziwne poruszenie. Ludzie stoją grupkami po troje lub czworo i żywo komentują jakieś wydarzenia, których natura nie dociera do mnie od razu. Wreszcie trafiam na Jennifer i Annę, wciąż nierozłączne. Wyglądają na otumanione albo podekscytowane.

– Widziałaś się z Julienem? – pyta Jennifer. – Wiesz już o Marcu?

Kręcę głową.

– Ponoć zatrzymała go żandarmeria wojskowa. Bo zabił żołnierza. Ale ludzie twierdzą, że Marco zdążył uciec. Tak czy inaczej, jego rzeczy zniknęły... A Julien powiedział, że trzeba cię pilnie odnaleźć.

Wzdrygam się. Czy Julien wie, że Marco ukrywa się ze mną?

Przed wejściem do liceum zaparkowany jest wojskowy humvee. Pierwszy raz widzę wojskowych na terenie Z-Punktu. Czytam biały napis na boku pojazdu: „Żandarmeria wojskowa”.

Ktoś doniósł na Marca. Kto? „Julien powiedział, że trzeba cię pilnie odnaleźć”.

Co robić? Czy wojskowi są tylko tutaj, czy jeszcze gdzieś indziej? Marco musi natychmiast opuścić Z-Punkt, z lekami lub bez, ale może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej. Byle nie natknąć się na Juliana.

Biegiem pokonuję schody na dziedzińcu.

Są tam, w głównym hallu, oświetleni lampą podłączoną do agregatu. Julien stoi twarzą do mnie. Rozmawia z pięcioma osobami ubranymi w dziwaczne czarne kombinezony ABC, o których nam mówiono. Żołnierze. Dorośli. Większość z nich stoi do mnie tyłem. Czytam napis: „Żandarmeria wojskowa”.

W tym momencie Julien mnie zauważa. Widzę, jak jego twarz się rozpromienia, kiedy mnie rozpoznaje.

– Stéphane!

Uśmiech zdrajcy... To on wydał Marca, domyślam się od razu. Jak może oczekiwać tego samego ode mnie?

– Chodź, proszę – mówi. – Panowie oficerowie chcieliby z tobą...

Odwracam się i zaczynam biec.

„Nie zatrzymuj się. Jeżeli będą chcieli zagrozić ci drogę, walcz”.

Wpadam po drodze na trzech licealistów. Słyszę za sobą jakieś krzyki.

---

Biegnę w stronę parku, ale nie docieram do dawnego budynku policji. Chcę się chwilę zastanowić nad sytuacją, schowana za małą szklarnią. Nie mogę zaprowadzić ich prosto do Marca. Muszę najpierw sprawić, żeby pogubili się we mgle. Wydaje mi się, że widziałam Juliena, jak wchodził do parku razem z wojskowymi. Po mojej lewej stronie padają jakieś rozkazy. Na razie chyba szukają mnie od strony rosarium.

Są uzbrojeni, mają karabiny. Szukają Marca, a ja teraz jestem jego współniczką, uciekinierką. Ten park całkowicie otoczony ogrodzeniem to pułapka i wojskowi w końcu nas znajdą. To tylko kwestia godzin...

Nagle sprawy stają się dla mnie jasne.

Marco to mój jedyny prawdziwy przyjaciel od śmierci Aleksa. Jestem z nim i będę z nim, także przeciwko innym, jeśli trzeba. Tak powinnam postąpić. Muszę im towarzyszyć aż do samego Paryża, muszę znaleźć ojca. Wszystko mu opowiem: co zrobił Marco, żeby ochronić Yannisa; co się dzieje w Lyonie; o błędach, których dopuszcza się wojsko.

Kto inny, jeśli nie mój ojciec, mógłby nas wysłuchać i przerwać to całe szaleństwo?

---

Biegnę we mgle z przekonaniem, że moje serce wali zbyt mocno, by żołnierze nie usłyszeli go w liceum, w rosarium czy gdziekolwiek są. Pukam do drzwi trzy razy, a potem dwa, ustalonym kodem. Marco otwiera z uśmiechem.

– Przyniosłaś piguły, Lady?

Na jego twarzy nagle pojawia się niepokój. Widzi, że nie mogę złapać tchu.

– Są w Z-Punkcie. Pięciu uzbrojonych wojskowych. Może więcej. Szukają cię!

– Zwijamy się od razu – dodaję. – Zmiana planów, Marco, wyruszam z wami.

Odwracam się do Yannisa.

– Znajdzie się dla mnie miejsce w twoim planie?

Chłopak o czarnych oczach się uśmiecha. Happy wydaje z siebie zaniepokojony skowyt.

## NOC Z 29 NA 30 LISTOPADA

Nasze oddechy, cztery oddechy, mieszają się we mgle. Biegniemy przez zagajnik. Park wokół nas spowija nieprzenikniona ciemność. Yannis i François zdają się znać każdy krzak.

Happy głucho pojękuje, przytroczony do pleców swojego pana.

Za naszymi plecami noc przeszywają krzyki żołnierzy. Wokół głównego trawnika, na południowym brzegu jeziora tańczy balet świateł. Właściwie to chce mi się śmiać.

„Szukajcie nas tam, jesteśmy gdzie indziej!”

Wspinamy się po schodach prowadzących na osiedle Cité Internationale. Musimy wnosić kajaki dwójkami. Na górze François prosi o przerwę. Zatrzymujemy się na chwilę, po czym ruszamy dalej.

Wszystko przewidzieli. Yannis wyciąga z plecaka liny, dzięki którym możemy bezproblemowo zwodować nasze kajaki. Najpierw schodzi Marco, stabilizuje pierwszy kajak, przejmuje psa. Potem François. Marco przechodzi do drugiego kajaka, a ja ześlizguję się z liny i siadam za jego plecami. Yannis dosiada się do swojego kumpla i Happy’ego.

Nasz kajak płynie gładko. Marco odwraca się, podaje mi wiosło.

– Wiosłujesz, kiedy ci powiem. Będę pilotować. OK?

Yannis, François i Happy są już gotowi. Marco manewruje, żeby ustawić się bok w bok.

– Od teraz ani słowa.

—

Ścieliśmy łuk Rodanu i w końcu dotarliśmy do półwyspu. Płyniemy teraz wzdłuż jego brzegu. Prąd rzeki cicho nas unosi. Niezauważeni przepływamy pod mostem Winstona Churchilla. Siedzę mniej niż dwa metry za Markiem i ledwo dostrzegam jego plecy. Mgła przy brzegach rzeki jest jeszcze gęstsza. Po prawej dopatrujemy się zboczy dzielnicy Croix-Rousse. Woda chlupocze pod kadłubem, a Marco w regularnych odstępach wykonuje dwa czy trzy ruchy wiosłem, żeby przypadkiem nie zbliżyć się do nabrzeży. Jak duchy płyniemy we mgle, od której, paradoksalnie, noc robi się jaśniejsza.

Przeszywa nas chłód. Czuję się dziwnie lekko. Dwa helikoptery przelatują nieopodal, słyszymy ich wirniki. Na pewno latają wysoko z powodu mgły.

Marco wiosłuje teraz bardziej regularnie, a ja dołączam do niego, kiedy wydaje mi takie polecenie. Czasami słyszę odgłos wiosła naszych dwóch towarzyszy. Są za nami, zbliżają się. Liczę mosty, pod którymi przepływamy. Naliczyłam już osiem. Zaraz za dziewiątym będzie Saona.

Nagle słyszę jakieś głosy po lewej stronie, ponad naszymi głowami. Przepływamy pod mostem Pasteura, ostatnim, na wysokości Z-Punktu Gerland. Po prawej widać już ujście Saony. Marco odwraca się do mnie ze zdeterminowaną miną.

– Jedziemy, Lady! – rzuca.

W tej samej chwili rozlega się za nami przeszywający krzyk. Potem drugi. Poznają głos François. Coś ciężkiego wpada do wody. Happy szczeka dwa razy. François znów krzyczy. Ktoś wali w wodę jak wariat. Jedna, dwie osoby? Znów rozlega się szczekanie, potem krzyk:

– Pomocy!

To François.

Marco zapala latarkę, rzuca mi ją pod nogi.

– Poświeć mi, Lady. Chłopaki się topią!

Mój przyjaciel wiosłuje już z powrotem.  
Nagle wpadamy na dziób ich przewróconego kajaka. Snop światła z mojej latarki oświetla François, który jedną ręką trzyma się łódki, a drugą stara się utrzymać łeb Happy'ego nad powierzchnią.

– Yannis? Gdzie jest Yannis?! – krzyczę.

François, z mokrymi włosami, już cały siny, rzuca mi spojrzenie topielca.

Nie zastanawiam się. Nurkuję z latarką w ręce. Od chłodu aż mnie zatyka. Nurkuję prosto w głębinę, szybko machając rękami.

Lodowate zimno. Zielona woda w snopie światła, resztki roślin, muł, jakieś papiery, jakieś... ciała? Plastikowa latarka mruga, ale nie gaśnie. Musi być wodoodporna.

„Boże, proszę cię”.

Jakaś sylwetka! Yannis? Czarny cień w czarnej wodzie, szeroko rozpostarte ramiona, dryfuje między dwoma prądami.

W tej samej chwili latarka mruga po raz ostatni. Gaśnie.

Płynąć, złapać go... W ciemnościach wyciągam do niego rękę. Chwytam coś. Żeby to tylko był on, a nie jakiś trup...

Dosięgam ubrania, moja dłoń trafia na rękę, nogę, a może ramię. Wczepiam się w tkaninę obiema rękami, przyciągam ciało do siebie. Nie może mi się wymknąć. To musi być on.

Chłód.

Kotłujemy się w czarnej wodzie. Nic nie widzę, zgubiłam się. Gdzie jest góra, a gdzie dół? Rozglądam się, dostrzegam gdzieś wysoko kulę światła i cień dwóch kajaków.

Ile jest metrów do powierzchni?

Zimno mnie paraliżuje.

Staram się odbić piętą, machać nogami. Jest mi za ciężko, jesteśmy zbyt... zbyt zimni. Moje przemoczone ubrania, buty, Yannis, wszystko ciągnie mnie w dół.

„Walcz!”

Cienie i rozświetlona powierzchnia oddalają się, opanowuje mnie zimno, spokój...

– Walcz, Lady!

Krzyczę pod wodą, otwierając szeroko usta. Haust lodowatej wody. Oczy zachodzą mi mgłą, dookoła ściana bąbelków. Trochę wody wypłułam, resztą się zachłysnęłam. Mam wrażenie, że w płucach rośnie mi sople lodu. Puszczam Yannisa jedną ręką, żeby płynąć w stronę powierzchni, a drugą ciągnę go, rozpaczliwie machając nogami.

„Płyn. Nie puszczaj. Płyn. Na powierzchnię”.

Przebijam powierzchnię wody dokładnie w środku świetlnego kręgu.

Ciągnę ciężkie ciało, głowa Yannisa wynurza się z wody. W świetle widzę białka jego oczu. Wyłącznie białka.

– Szybko! Dłużej nie dam rady. Zaraz...

Marco rzuca się na burtę kajaka, prawie wpada do wody. Chwyta nieruchomego Yannisa za ubrania. Słyszę jego głos, bardzo odległy.

– Trzymam go, płyn! Płyn, Lady!

Zimno. Zimno mi. Zaraz umrę z zimna, jeżeli nie... Marco chwyta mnie za włosy. Krztuszę się.

– Puść, ja...

Nagle pęka bańka ciszy. Wszędzie wokół nas słychać krzyki, a wyżej, ponad mgłą, która nas osłania, kręcą się łopaty helikoptera.

W mroku zapala się kilkanaście świateł. Zostaliśmy namierzeni. Padają trzy strzały, jeden po drugim. Strzelają do nas!

---

François wciąga Yannisa do naszego kajaka. Drugą ręką trzyma Happy'ego, który szczeka jak szalony. Marco wciąga mnie. Chyboczymy się.

François chwytą już za wiosło. Marco przykłęka w głębi kajaka i pochyla nad Yannisem. Próbuje mu robić sztuczne oddychanie. Odwraca się do mnie.

– Nie oddycha... – krzyczy. – Musimy dobić do prawego brzegu!

Biorę drugie wiosło, odwracam się.

– Wiosłuj, François!

Kajak się zanurza, suniemy w stronę brzegu i w końcu do niego dobijamy. François i Marco wynoszą nieprzytomnego Yannisa. Układamy go na trawniku.

Marco robi mu masaż serca. Jego ruchy są precyzyjne, błyskawiczne. Pochyla się nad klatką piersiową Yannisa, nasłuchuje. Kiedy unosi głowę, ma przerażone oczy.

Zaczyna ponownie masować, wali pięścią w klatkę piersiową po lewej stronie.

– Oddychaj! Kurwa, oddychaj!

Happy szczeka.

Stopy Yannisa podskakują, a on sam wymiotuje dwa razy. Pies z radości chce się na niego rzucić, ale go przytrzymuję. Yannis wymiotuje wodą, a potem treścią żołądka. Wreszcie zaczyna gwałtownie kaszeć i ponownie traci przytomność.

Zgiełk helikoptera oddala się we mgle. Musimy być czujni, może tylko zataczają koło. Marco ponownie nachyla się nad topielcem na kilka sekund.

– Jest puls! – mówi. – Weź mój plecak, Lady.

Marco bierze Yannisa na plecy.

– Gazu! Natychmiast! Dalej pójdziemy pieszo.

Biegniemy ciężko – przez czas, który wydaje mi się nieskończony – we mgle. Mijamy strefę hangarów, dzielnicę willową, puste ulice zawałone śmieciami, rojące się od pasożytów.

Yannis wciąż jest nieprzytomny. Regularnie ześlizguje się z pleców Marca i musimy go nieść we dwoje, na zmianę. Happy, podenerwowany, biega wokół nas. François i ja, wciąż przemoczeni do suchej nitki, szczękamy zębami. W ogóle nie ma wiatru, ale chłód nas przenika. Nie czuję już stóp ani rąk. Przy każdej przerwie zginam się wpół, żeby pozbyć się zadyszki i wyrównać puls, z żołądkiem podchodzącym do gardła. Przedzieramy się przez miejski labirynt na wycucie. Nie napotykamy żadnego szabrownika.

Wreszcie Marco odpuszcza, wyczerpany.

– Na dzisiaj wystarczy.

Mój przyjaciel kieruje się w stronę jakiegoś domku otoczonego drzewami. Układamy Yannisa na progu, z głową na plecaku François, a potem Marco wybija szybę w oknie, żeby wejść do środka. Minutę później otwiera nam drzwi.

---

Kładziemy Yannisa na kanapie w salonie, naprzeciwko pustego kominka.

– Przebierz się, jeżeli masz jeszcze jakieś suche rzeczy – mówi Marco do François. – I znajdź coś do rozpalenia ognia. Ja sprawdzę, co jest na górze.

Marco zaprasza mnie wzrokiem. Idę za nim na piętro. Zapala swoją latarkę, zostawia plecak w pierwszym pokoju, ale najpierw sprawdza, czy nie ma tam żadnych trupów. Dom wydaje się wolny od żywych i martwych. „Ale nie od duchów” – powiedziała by Yannis. Na

ścianach wiszą portrety dawnych mieszkańców: dwoje rodziców, dwójka starszych nastolatków, jakiś młodszy dzieciak.

Marco prowadzi mnie do łazienki i wyciąga skądś dwa ręczniki kąpielowe.

– Wytrzymaj się tym, Lady, i weź ciepłe ciuchy z mojego plecaka. Byłoby bez sensu umrzeć na zapalenie płuc, skoro już uniknęliśmy utopienia. Ja idę sprawdzić, jak François radzi sobie z ogniem.

Przebieram się w ciemności pustego pokoju. Podobnie jak miesiąc temu, znów mam okazję wkładać męskie ubrania. Tym razem są na mnie odrobinę zbyt duże i należą do chłopaka, którego znam dość słabo. Mam poczucie *déjà vu*.

Słyszę, jak Marco otwiera kolejne drzwi, a potem schodzi na dół.

Ciągle mi zimno, choć mam na sobie suche ubrania. Kiedy wreszcie dołączam do chłopaków, w kominku pali się ogień. François najwyraźniej porąbał jakieś krzesła i to im zawdzięczamy ciepłe, pomarańczowożółte światło. Nad ogniem dostrzegam garnek z wodą.

Marco właśnie delikatnie rozcina nożyczkami przemoczone ubranie nieprzytomnego Yannisa, ułożonego na kanapie. Potem odkleja od ciała kolejne warstwy tkaniny. Na brzuchu młodego Araba dostrzegam paskudną szramę, miejsce po niedawno szytej ranie.

Jestem głodna. Idę do kuchni i otwieram szafki. Większość z nich jest pełna. Moje oczy przyzwyczajają się do półmroku. Ostatecznie wybieram warzywa konserwowe, czekoladę i trzy butelki wody mineralnej.

Mamy szczęście czy ta strefa po prostu uniknęła grabieży? Zresztą, gdzie my właściwie jesteśmy?

Kiedy wracam do salonu, Yannis leży zawinięty w koce, twarzą do ognia. Wciąż jest nieprzytomny. François siedzi obok niego, a Happy śpi u jego stóp.

– Marco wrócił rozejrzeć się po piętze – mówi.

Wspinam się po schodach w całkowitej ciemności. W jednym z pokoiów dostrzegam blask świeczki. Dołączam do Marca, który przeszukuje szafy. Zdążył już powykładać na łóżko trochę rzeczy.

– Mamy szczęście – mówi. – Najwyraźniej nikogo tutaj nie było.

– Myślisz, że Yannis z tego wyjdzie?

– Nie wiem. Jego mózg z pewnością stracił zasilanie na kilka minut. Zrobiłaś wszystko, co było możliwe, Lady...

Robi dwa kroki w moją stronę. Ja robię jeden.

– Tak... Tak bardzo się o ciebie bałem – wydusza wreszcie.

Widzę jego wzrok w ciemności. Czuję jego dłoń na moich plecach. Powoli pozwalam mu się przyciągnąć. Czuję jego usta na moich. To bardzo delikatny pocałunek. A jednak odwracam głowę. Marco przygląda mi się zdziwiony.

– Ja... Przepraszam, Marco – mówię. – To Alex...

– Ciii.

Kładzie mi palec na ustach. Znów mi się przygląda i przesuwa ręką po moich włosach.

– Nie zależy ci na mnie?

– Nie w ten sposób. Przykro mi.

Widzę, jak opadają mu ramiona – jakby właśnie wziął na nie ciężar całego świata.

– Marco... Zamierzam wytłumaczyć wszystko mojemu ojcu. Załatwię ci uniewinnienie za tego żołnierza, to...

Marco nie pozwala mi dokończyć. Bierze kilka znalezionych rzeczy i wychodzi z pokoju. Słyszę, jak ciężko schodzi po schodach. Biorę świeczkę, osłaniam ręką chwiejący się płomień.

– ...po to z wami poszłam.



## 30 LISTOPADA

Bardziej lub mniej świadomie, ale wszyscy oczekiwaliśmy dziś rano, że zobaczymy czołgi otaczające naszą kryjówkę. Wygasiliśmy ogień w kominku na długo przed świtem, żeby nie zdradził nas dym. Mgła całkowicie się rozproszyła, powietrze jest zimne, ale suche, do domu wpada światło.

Spoglądamy przez okna: na zewnątrz nikogo nie ma.

Zostaję obok Yannisa. Mam nadzieję, że wybudzi się ze śpiączki. Ułożyliśmy go w pokoju dzieciennym. Pełno tam zabawek. Dzieciak, który się tu bawił, który tworzył tu własne światy, już nie żyje.

Uważnie przyglądam się Yannisowi: na głowie nie ma żadnego guza ani śladu po uderzeniu. Nic, co tłumaczyłoby natychmiastowe pójście na dno, a potem śpiączkę. François opowiedział mi, co się wydarzyło w ich kajaku: Yannis **zobaczył** w samym środku mgły swoje duchy. Miał obłąkane oczy, mówił coś, mówił do nich. François spanikował i zahuszał kajakiem. „A potem on poszedł na dno” – uzupełnił.

Yannis musiał stracić przytomność z powodu szoku termicznego. Czy w wyniku bezdechu, braku tlenu, mogło dojść do nieodwracalnych zmian w jego mózgu? Patrzę na tego dziwnego, śpiącego chłopaka, który rozmawia ze zmarłymi. Czasami coś mruczy, ale nie jestem w stanie zrozumieć, co mówi. Gdzie jest? Kogo widzi?

Marco mnie unika.

W salonie François zasiada do pianina. Wspaniale gra fugi, a potem jakiś nokturn Chopina. Od jak dawna nie słyszałam muzyki? Ja, która kiedyś nie wyobrażałam sobie bez niej ani jednego dnia?

Yannis znów płacze przez sen. Kiedy wycieram mu łzę, nagle otwiera oczy.

– No cześć! – mówię. – Witamy wśród żywych!

Yannis odwzajemnia mój uśmiech.

## 2 GRUDNIA

Yannis wraca do sił.

Powiedział mi, że nie przypomina sobie żadnego uderzenia w głowę. Nie wie, dlaczego zaczął tonąć po wypadnięciu z kajaka. Dokładnie obejrzałam ranę na jego brzuchu – tę, o której nie chciał mówić przed naszą ucieczką. Dostał nożem podczas bójki z szabrownikiem. Rana dopiero co się zabiłiżniła, widać kilkanaście ładnych szwów, założonych z pewnością przez Juliana lub Pierre'a w Z-Punkcie. Moje zimne ręce na jego rozgrzanej skórze sprawiają, że Yannis drży. Czuję jego zakłopotanie, kiedy odwijam opatrunek. Muszę jednak odkazić ranę, sprawdzić stan szwów i stopień zagojenia. Rozmawiam z nim cicho, żeby oderwać jego myśli od intymności tej sytuacji, chociaż mi osobiście wcale to nie przeszkadza. To medycyna czy narodziny przyjaźni? Sama nie wiem.

Yannis opowiada mi znów o spotkaniu z Khronosem, potem o Lady Rottweiler.

– Właśnie dlatego przyjechałem do Lyonu. Miałem nadzieję ją spotkać. Czytałem jej rady na forum.

– I jak? Zawiedziony?

Jego oczy nikną w szerokim uśmiechu.

– A jak myślisz?

Nie odpowiadam, pociągam łyk kawy.

– Tak czy inaczej, nie wyobrażałem sobie, że Lady uratuje mi kiedyś życie.

– Nie masz pojęcia, co ona jeszcze potrafi!

Yannis milknie, a po chwili pyta mnie z charakterystyczną dla siebie nagłą powagą:

– Stéphane, skoro wcale nie wierzysz w Khronosa, dlaczego chcesz pójść z nami na spotkanie 24 grudnia?

– Później ci wyjaśnię. Teraz odpoczywaj.

François dyskretnie wymknął się na zewnątrz i udało mu się zorientować, gdzie jesteśmy. Tylko kilkanaście kilometrów dzieli nas od jego domu, który miał być pierwszym punktem postojowym podczas naszej wyprawy. Narysował już na mapie trasę, którą musimy pokonać, i znalazł rowery w sąsiednim domu. Poza tym prawie się nie odzywa, spędza całe godziny przy klawiaturze. Muzyka przemienia go w nieobecnego, wspaniałego i poważnego wirtuoza. Jednak przez większość dnia siedzi przy łóżku Yannisa. W naszym towarzystwie jest raczej milczący. Pewnie czuje się winny przewrócenia kajaka.

Z kolei Marco albo się gdzieś wymyka, albo jest ponury i zakłopotany. Trudno mi wytrzymać te pełne rozpaczny spojrzenia, odkąd wiem, że jestem powodem jego nieszczęścia.

Od dwóch dni aglomeracja wokół nas jest dzień i noc patrolowana przez helikoptery. Wczoraj w całej Francji wprowadzono stan wojenny. Teraz żołnierze mogą legalnie i bez ostrzeżenia strzelać do wszystkich, którzy wychodzą w nocy lub jadą samochodem. Czy mój ojciec miał coś wspólnego z tym rozkazem? Oni wszyscy się mylą: przynajmniej ci, którzy starają się zaprowadzić dawny porządek. Siła nic tu nie zmieni. Khronos także się myli. Podróże w czasie nie istnieją.

Jednak Yannis ma rację. Trzeba żyć dalej razem z naszymi zmarłymi, nie zapominając ani jednego: ani Aleksa, ani tego chłopaka, którego zabiłam łomem, ani tych wszystkich, których spotkałam po drodze, począwszy od tych zakochanych leżących na ulicy i trzymających się za ręce w Zaduszki.

Nasz przyjaciel wreszcie może ruszać w dalszą drogę. Przygotowujemy plecaki i wypełniamy je znaleziskami z domku na przedmieściach.

Jutro zobaczę mojego ojca.

---

François nas prowadzi. Jedziemy za nim od godziny przez puste ulice. Czasem naszą drogę oświetlają łuny płomieni, które pochłaniają jakąś dzielnicę na drugim brzegu Saony. Wojskowych jest mało, nie są w stanie nadzorować wszystkiego w tym samym czasie.

Przypominają mi się przeczytane kiedyś opowieści o ruchu oporu. Rozmyślam też o łącznikach z listami w torbie, przemierzających wieś za wsią w blasku gwiazd. Czy tym się właśnie staliśmy? Ruchem oporu? Przeciwno komu skierowany jest ten opór? Przeciwno dorosłym, nieszczęściu, nieodwracalnemu zniknięciu tych, których kochaliśmy?

Dom François został ograbiony, splądrowany. Chłopak płacze, oparty o zniszczone pianino. Wydobywa z niego po kolei kilka nut – fałszywych, groteskowych, nieopisanie smutnych.

Żałoba, strata... Tylko mi tego oszczędzono. Jadę do swojej rodziny, podczas gdy moi przyjaciele stracili wszystkich bliskich. Dlaczego? Czym sobie zasłużyłam na ten przywilej? Czy to zasługa zawodu mojego ojca i jego związków z wojskiem, które przyszło aresztować Marca?

Albo jeszcze kogoś innego? Czegoś innego?

Dajemy François trochę czasu, by mógł pożegnać swą przeszłość przy klawiaturze. Nasze spojrzenia krzyżują się, zakłopotane. Nie dorośliśmy do tego wszystkiego, nikt nas nie nauczył składać kondolencji. Nigdy nie musieliśmy tego robić.

– François, trzeba jechać... – mówi wreszcie Marco.

Na szczęście intruzi nie włamali się do garażu, w którym stoi rodzinny samochód. François znajduje tam również noktowizor, własność jego ojca – to niespodzianka, którą obiecywał nam od dwóch dni.

Marco idzie ściągnąć paliwo z dwóch czy trzech samochodów stojących na ulicy, żebyśmy mieli wystarczający zapas. Wlewamy wszystko do baku naszego audi i odjeżdżamy. Yannis, jedyny spośród nas, który potrafi kierować, założył noktowizor. Ja zajęłam miejsce obok kierowcy, z Happy'm między nogami. Nasi dwaj towarzysze siedzą z tyłu.

François czasem pociąga nosem. Coraz rzadziej. To jedyny odgłos towarzyszący monotonnej pracy silnika. Przedzieramy się przez czerń nocy pozbawionej księżyca, dość wolno, ze zgaszonymi światłami.

Nasz kierowca jako jedyny widzi coś w tej ciemności. Mam wrażenie, jakbym zagłębiała się w wielką niewiadomą. Jedziemy w mroku i w milczeniu, sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

---

François przysnął, wyczerpany. My wciąż milczymy, ale nie ze względu na niego – raczej w nadziei, że uczyni nas to niewidzialnymi. Tak jakby właśnie milczenie pozwalało nam przemierzać noc. Samochód regularnie szarpie, skrzynia biegów czasami zgrzyta. Yannis co jakiś czas wpada na pobocze. Jednak ciągle posuwamy się do przodu. Lyon się oddala.

Happy i François śpią, a Yannis wciąż siedzi za kierownicą, w okularach cyborga. W końcu odwraca się w moją stronę, a następnie w stronę Marca.

– Przecież możecie rozmawiać – uśmiecha się. – Nie powinno to być głośniejsze niż silnik. Albo może włączymy jakąś muzykę?

Jak mogłam na to nie wpaść?

– Na rozkaz, panie kierowco!

Yannis pochyla się nade mną, grzebie w schowku na rękawiczki, wyjmując na chybił trafił jakąś płytę, którą wsuwa do odtwarzacza. Fauve.

– Może być? Nie przypomina wam czegoś przykrego?

Brak odpowiedzi, François się nie obudził. Rozbrzmiewa muzyka. To *Blizzard*.

Stawić opór nocy.

Kiedy słuchałam tych słów miesiąc temu, nie rozumiałam ich ukrytego sensu...

---

Jedziemy z otwartymi oknami.

Domyślam się, że droga prowadzi przez las – po jakości powietrza i zapachach, takich samych jak w parku. Daleko za sobą zostawiliśmy północne przedmieścia Lyonu, miasto i helikoptery. Jesteśmy na wsi. Podejmuję ryzyko i zapalam latarkę, żeby rzucić okiem na mapę, a przede wszystkim, żeby wybrać kolejne płyty. Puszczam kolejno Chinese Man i Portishead. To płyty starszego brata François, który miał dobry gust – a przynajmniej podobny do mojego. Podśpiewuję dwie czy trzy zwrotki z zamkniętymi oczami. Co za absurdałne przyzwyczajenie, przecież w tym momencie i tak nic nie widzimy. Dwa czy trzy razy Yannis pogwizduje jakąś znaną frazę.

Marco milczy.

W przerwach między kolejnymi piosenkami dobiega nas oddech François. W świetle latarki dostrzegam, że Yannis się uśmiecha, kiedy pochrapywanie staje się głośniejsze.

– Kiedy byłem dzieciakiem, jeszcze dwa miesiące temu – mówi – marzyłem, żeby się przejechać taką bryką jak ta.

Od jakiegoś czasu nie mijamy już spalonych samochodów. Na drodze nie ma też innych przeszkód, takich jak te, na które natykaliśmy się podczas jazdy przez przedmieścia. Jedziemy po pustej, prostej drodze.

Zdaje mi się, że mogłabym jechać tak bez końca: z towarzyszami mojej tułaczki i muzyką z płyt brata François, w tę głęboką noc, która uniemożliwia nam oglądanie okropności świata.

Jutro rano będziemy w Paryżu. Uściskam mojego ojca, matkę, brata. Wydaje mi się to takie nierealne. Chciałabym móc się z nimi podzielić moją niecierpliwością.

### 3 GRUDNIA, TUŻ PO PÓLNOCY

Yannis zaczyna jechać slalomem. Dwa razy w odstępie kilku minut skręca na pobocze. Niespokojnie rzucam na niego okiem.

– Zmęczony jesteś?

– Taaa, takie prowadzenie mnie wykańcza. Chyba zrobimy sobie przerwę.

Marco, jeszcze kwadrans temu nastawiony optymistycznie, cmoka z niecierpliwością. To trochę za wcześnie, planowaliśmy zatrzymać się w połowie drogi, a mamy za sobą dopiero jedną trzecią. Ale koniec końców, jeżeli będziemy potrzebowali dwóch nocy na dotarcie do Paryża, to nic się nie stanie.

Żwir zgrzyta nam pod kołami. Yannis parkuje audi na poboczu, jakbyśmy ryzykowali, że ktoś na nas wpadnie. Wyłącza silnik i cichnie też odtwarzacz.

– Chcesz się trochę przespać?

Marco nie daje mu czasu na odpowiedź.

– Poczekaj, Lady.

Otwiera swoje drzwi, wystawia stopę na zewnątrz. Teraz z kolei ja coś słyszę. Jakieś brzęczenie. Jakby lot dużego insekta albo może silnik. Silnik?

– Dron...

– Cholera, wojskowi! Są tutaj.

Nagle znów dopada nas napięcie. Marco poszturchuje François, Yannis wypuszcza Happy'ego. Uciekamy z samochodu. Przy wyciąganiu plecaka z bagażnika instynktownie wciskam głowę między ramiona, ale nikt do nas nie strzela.

Biegniemy przez pola, żeby maksymalnie zwiększyć dystans między nami a dronem. Marco wziął mój bagaż, a ja pomagam z plecakiem Yannisowi, bo sam nie daje rady. Widzę, jak powłóczy nogami. To przez ranę? Kiedy oceniamy, że jesteśmy już poza zasięgiem ostrzału, znajdujemy się przy linii lasu. Samochód został jakieś dwa kilometry za nami. Dron wciąż unosi się nad nim, Yannis widzi go w swoim noktowizorze. Spodziewamy się eksplozji albo odgłosu nadlatujących helikopterów szturmowych. Ale nie. Jak długo podążała za nami ta zwiadowcza maszyna? I gdzie są żołnierze?

– Co robimy? – pyta François, szczękając zębami.

– Nie wiem – odpowiada Marco.

Jednak odpowiedź jest jasna.

– Olewamy samochód – mówi w końcu Marco. – Może znajdziemy jakiś inny, kawałek dalej... W najgorszym wypadku szykuje nam się tydzień wędrówki, moi drodzy.

Marco chciał, żeby zabrzmiało to lekko, ale brzmi raczej ponuro. Happy szczeka cztery razy. Na kogo? Odwracam się do Yannisa, czarnej sylwetki w czerni nocy.

– Czujesz się na siłach iść kilka godzin?

– Chyba nie mamy wyjścia.

Oddalamy się przez pola. Ziemia jest grząska, przywiera do butów i spowalnia marsz. Co jakiś czas jedno z nas się chwiewa, ktoś inny podaje mu rękę. Była muzyka, nie ma muzyki, ale w mojej głowie nadal gra *mezza voce* trip hop Portishead.

## NOC Z 4 NA 5 GRUDNIA

Kiedy znów ruszamy w drogę tuż po zachodzie słońca, mamy za sobą dwa dni w trasie. Zagrożenie może nadejść z nieba – wydaje nam się, że gdy maszerujemy nocą, znacznie trudniej nas namierzyć.

Dziś wieczorem ryzykujemy i przed wyruszeniem rozpalamy ogień, żeby podgrzać dwie konserwy – no i trochę się rozgrzać. Yannis utrzymuje, że dieta na bazie fasoli i soczewicy wykończy nas szybciej niż drony czy Rodan.

– Ja to bym zabił dla prawdziwego steku – dodaje Marco.

Robi dziwną minę, kiedy uświadamia sobie, co powiedział. Wszyscy szczerze się z tego śmiejemy. Czyżby nasze duchy sobie poszły?

François bez przerwy coś mówi: wytycza trasę, ocenia naszą pozycję, liczy kilometry – albo te, które przeszliśmy, albo te, które pozostały nam jeszcze do przejścia. Podejrzewam, że jego gadanina to sposób na oszukanie ciszy i strachu. Przystaje nawijać tylko wtedy, kiedy rozbija obóz albo gotuje, najczęściej na kuchence gazowej. Jest niesłychanie pomysłowy, jeśli chodzi o znalezienie suchego terenu na rozłożenie śpiworów. W poprzednim wcieleniu musiał chyba być jakimś traperem.

Yannis coraz częściej krzywi się podczas marszu. Podczas postojów w kolejnych zagajnikach, które służą nam za tymczasowe schronienie, przyglądam mu się badawczo. On z kolei wpatruje się w las i kontempluje otoczenie – jakby chciał nasycić się abstrakcyjnym, prawie nierealnym pięknem zimowych pejzaży.

Patrzę, jak w milczeniu śledzi wzrokiem lot kruka. Chciałabym, żeby nauczył mnie widzieć to, co sam dostrzega.

Nadkładamy drogi przez pola i lasy. Starannie omijamy szosy. Marco boi się blokad. Według niego wciąż mamy jeszcze zapasy, żeby wytrzymać trzy albo cztery dni. Każdy nocny marsz – od ośmiu do dziesięciu wyczerpujących godzin – jest przerywany przystankami, podczas których dzielimy się marzeniami o jedzeniu i pięknych pałacach. To taka gra: nasze opowieści za każdym razem stają się jeszcze wspanialsze. Jeszcze trochę, a będziemy mieć marzenia jak arabscy szejkwowie.

Następnie podskakujemy w miejscu, żeby rozgrzać stopy. Trzymamy się za ramiona, François nazywa to „rosyjskim tańcem”.

Kiedy wchodzimy do lasu, zawsze spięci liną, posuwamy się śladem Marca, który ma noktowizor. Nie chroni nas to jednak przed potykaniem się o pieńki i zahaczaniem o gałęzie. Kiedy któryś z nas ląduje na ziemi, Marco odzyskuje swój ironiczny, pozbawiony złośliwości humor. Euforia, która ulotniła się podczas ostatnich godzin w samochodzie, na szczęście znów nam towarzyszy. Tak czy inaczej, w końcu dotrzemy do Paryża. I nawet jeśli spotkanie z Khronosem okaże się niewypałem, uda nam się, bo jesteśmy razem.

A potem? Potem się zobaczy.

Sielankowy krajobraz Burgundii, którą przemierzamy, każe nam myśleć, że powrót do normalnego życia jest możliwy. Chociaż bniemy przez zasy i zmagamy się z nawałnicami, przysypane białym puchem pola stają się jeszcze piękniejsze. Śnieg przykrywa łagodne pagórki żywej ziemi uprawnej. Któregoś dnia obserwujemy stado krów, które uciekły z obory albo zostały na łące po śmierci właściciela. Zwierzęta śpią na stojąco. Gdzieś na południowych zboczach pagórków spod śniegu wystają krzaczki winorośli. Marco proponuje, żebyśmy zaczekali do lata – właśnie tutaj – i przyrządzili dla każdego wielką porcję wołowiny po burgundzku.

—

Już dwa razy mijaliśmy kilka domów z rozświetlonymi oknami i dymem ulatującym z komina. Jesteśmy tak zmarznięci i głodni, że myśl o domowym ognisku budzi w nas niepohamowaną tęsknotę, ale nie możemy podejmować żadnego ryzyka. Obchodzimy szerokim łukiem wszystkie wioski, nawet te, które wydają się opuszczone.

Jednak Yannis już nie może dalej iść. To rana na brzuchu tak go osłabia. Musimy przenocować gdzieś w normalnych warunkach.

## 5 GRUDNIA

Rana Yannisa się otworzyła. Zdezynfekowałam ją i obandażowałam ciaśniej. Ukryliśmy się w chatce pasterskiej na końcówkę nocy. Yannis śpi.

Staram się przypomnieć sobie, co słyszałam od mojego ojca na temat ran ciętych. Kiedyś rozpowszechniałam takie rady wśród naszych awatarów na forum WOT.

Marco i François rozpalają ogień. Przez dwa dni naliczyliśmy kilkanaście dymiących kominów.

---

Kiedy Yannis się budzi, dzielę się z nim brzoskwiniami w syropie. Kiedy się kończą, mój podopieczny pyta, kogo z bliskich najbardziej mi brakuje. To pewnie efekt wspomnień z jego snu. Właśnie zamierzam mu oznajmić, że mój ojciec żyje, ale nagle słyszę:

– Może to głupie, co powiem, ale pociesza mnie fakt, że wszyscy doświadczyliśmy tej samej straty. Że wszyscy jesteśmy sierotami. To nam daje powód, żeby żyć dalej, razem.

Jak mogę po czymś takim powiedzieć mu, że to nieprawda?

Wpatrujemy się w las przez okno chatki. Siedzimy blisko siebie, ramię w ramię. Yannis jest wysoki, wyższy ode mnie. Milczy.

Staram się pójść w jego ślady, zjednoczyć się z pięknem i pokojem świata.

Nagle z gęstwiny wyskakuje lis, podchodzi aż do linii lasu, dostrzega naszych towarzyszy na zewnątrz i znika.

– To był mój lisi chrzest – rzuca Yannis z uśmiechem.

Rozśmiesza mnie tym sformułowaniem. Widzę, jak patrzy na mnie z uznaniem, jakby to mi zawdzięczał ten cud, to objawienie. Egzorcysta i cudotwórca?

---

Znowu go bandażuję. Szepczemy sobie jakieś głupstwa.

Kiedy wychodzę, Marco bierze mnie na stronę przy drzwiach naszej kryjówki. Oddaliśmy się kawałek, żeby nasi towarzysze nie słyszeli tej rozmowy.

– Musimy poruszać się szybciej, Lady. Myślisz, że Yannis da radę, czy jest ryzyko, że jego rana jeszcze bardziej nas spowolni?

– Nie wiem. Tak czy inaczej, trzymamy się we czwórkę, Marco. Nie możemy się rozdzielać.

– Jasne – odpowiada lakonicznie.

Domyślam się, że nie powiedział mi wszystkiego.

– Tak między nami... Myślę o tym bez przerwy. Nie wydaje ci się to dziwne – te drony, które leciały za nami, nie strzelając, jak gdyby nas śledziły?

Nie wiem, co odpowiedzieć.



## 6 GRUDNIA

Dziś będziemy iść w dzień. Śnieg pada wystarczająco intensywnie, żeby uniemożliwić helikopterom namierzenie nas z oddali, a musimy sunąć do przodu – szybciej albo dłużej.

Marco najczęściej zachowuje wobec mnie dystans, którego nie okazuje chłopakom. Jego smutek zapewne jest głęboki. Kiedy słyszę, jak się śmieje, szczerze, tym czystym śmiechem, który dzieliliśmy jeszcze kilka dni temu, odczuwam w duszy ukłucie.

Czy to moja wina, że nie kocham go mimo tego, co dla nas zrobił?

Z kolei każda godzina wędrówki u boku Yannisa scala naszą przyjaźń. Rozmawiamy cicho. Coraz częściej otaczają go duchy ojca, matki, siostry – przynajmniej tak mówi. Kiedy o nich wspomina, wykonuje pewien niewyraźny gest, jakby wskazywał coś albo kogoś tuż obok siebie. Chciałabym się dowiedzieć: co widzi? Obłok? Sylwetkę? Twarz? Czy ich słyszy? Może z nimi rozmawiać? Czuję jednak, że nie mam prawa pytać go o rodzinę – ja, która ukrywam przed nim prawdę o mojej własnej.

To milczenie kładzie się cieniem między nami.

Zaczęliśmy oszczędzać wodę pitną. François jest precyzyjny: jeśli będziemy iść dalej w tym tempie, nie dotrzemy do bezpiecznej przystani wcześniej niż za tydzień. Śnieżne zadymki ustały. Znowu trzeba będzie maszerować nocą.

– Robimy postój i ruszamy o zmierzchu – zarządza Marco.

Biorę pierwszą wartę. Chłopaki sprzeczą się o jedyny jasek, który zabraliśmy, jak grupka młodych szczeniaków.

Uśmiecham się.

Yannis śpi, obejmując swojego kulawego psa. Zazdroszczę mu tego ciepła. Mróz jest koszmarny. Trzeba by rozpalić ogień, ale za dnia to byłoby szaleństwo.

## NOC Z 6 NA 7 GRUDNIA

Jakaś głęboka, zamrożona z wierzchu kałuża chrupnęła pod moją stopą w chwili, kiedy ruszaliśmy w drogę po drugim postoju. Jestem przemoczona. Przebieram się pośpiesznie. Mój plecak przeturlał się w błocie, połowa jego zawartości nie nadaje się już do niczego... Czym zastąpimy pieczywo, które nie przeżyło tego wypadku? W dodatku trzeba poszukać czystych opatrunków na ranę Yannisa.

Tym razem to François idzie na zwiad. Marco, bez grymaszenia, postanawia skrócić naszą wędrówkę tej nocy. Ukrywa przed nami niepokój, czuję to.

Marco rozpała ogień pod jakimś kamieniem.

– Morale załogi tego wymaga – mówi z ponurą miną.

Zawinięci w śpiwory, skupieni wokół ognia, przytulamy się jedno do drugiego. Patrzą w niebo. Nie jestem w stanie zasnąć.

Yannis właśnie zmienił Marca na warcie. Ja wciąż nie śpię. Słyszę, jak oddech Marca dołącza do pochrapywania François.

Nagle czuję, że chce mi się sikać. Podnoszę się, wychodzę ze śpiwora. Yannis mi się przygląda.

– Jakiś problem, Stéphane?

– Nie. Muszę siusiu.

Uśmiecha się, podaje mi noktowizor.

– Z tym będziesz lepiej widziała.

Nie mogę przyzwyczać się do noktowizora. To, co w nim widzę, zbija mnie z tropu: zielone światło, mnóstwo poruszających się cieni, prawie nierealne przeszkody. Jakbym była w samym środku gry komputerowej albo w jednym z tych obrazów, które docierają czasem na nasze ekrany z drugiego końca świata – nocne bombardowania, odległe wojny.

Docieram na jakąś polanę, zdejmuję okulary, potem rozpinam spodnie. Nieopodal trzaska jakaś gałązka. Zwierzę? Wstaję, pośpiesznie ubieram się z powrotem. Kolejne trzaśnięcia, szelest liści... Jakieś zwierzę węszy tuż obok mnie. Czuję, jak rośnie we mnie niepokój, jakby imadło ścisnęło mi gardło.

– Yannis, to ty? – szepczę.

Światło księżyca oświetla konary drzew i liście wielkich paproci. Cała ta martwa natura bywała scenografią moich koszmarów już wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. Idiotyczny dreszcz. Wkładam z powrotem noktowizor. I już go widzę.

Najpierw jednego, a potem cztery kolejne – cienie w noktowizorze.

Wilki. Cała wataha – albo prawie cała. Jest ich pięć. Pierwszy jest duży, potężnie umięśniony. Pozostałe ostrożnie krocą za nim... albo raczej za nią. To samica.

– Wilczyca – mówię cicho.

Wilczyca warczy jak w moim koszmarze, ma takie same oczy, z pewnością pomarańczowe. „Yannis...” I tak samo jak w moim koszmarze nie jestem w stanie krzyknąć. Jednak to nie jest sen. Wilki otaczają mnie ze wszystkich stron. Krocą ostrożnie, wilczyca na przedzie. Zabijają mnie.

„Mamusiu...” Zaraz zginę. Wilki mnie zabiją.

Ponownie zapadam w „sen Stéphane”, jak go nazywał mój tata – ten koszmar, który śniłam prawie każdej nocy, kiedy on wyjeżdżał na misje, a nawet przez dłuższy czas po jego powrocie.

Zimno mi, tak mi zimno.

Nagle rozbrzmiewa dziwny, piskliwy gwizd, jakby ktoś grał na pile, a potem szczerzenie.

Wilki oddalają się w milczeniu.

Padam na kolana i wybucham płaczem. Zsikałam się w spodnie.

Ktoś ściąga mi noktowizor. Czyjeś ręce mnie przytulają, głaszczą. To męskie ręce.

„Tato, jesteś tu... Tato. Wróciłeś”.

– *Mama, mama gaya, bahdy chouilla, gayba halawouillettes* – nuci męski głos. To chyba jakieś starodawne słowa w odległym języku, którego nie znam.

Yannis mnie kołysze. Płaczę wtulona w niego.

– Co... cofnęłam się w czasie, Yannis. Tak daleko. Aż do dzieciństwa.

– Ja też, Stéphane – odpowiada poruszony.

– Wilki... To zjawy wychodzące z mojego koszmaru. Z mojego dzieciństwa.

– Moja wyliczanka... Kołysanka... Znam ją od matki.

Długo, długo wracamy do ognia.

– Obiecuj mi, że nic im nie powiesz – szepczę do Yannisa.

Yannis upewnia mnie uśmiechem, po czym puszcza moją rękę i kładzie się spać. Moja kolej na wartę. Jestem tak przerażona, że na pewno teraz nie zasnę. Marco cicho jęczy przez sen. Grzebię w moim plecaku w poszukiwaniu ostatnich suchych spodni.

## 7 GRUDNIA, ŚRODEK DNIA

Zniechęcenie dopada kolejno każde z nas.

François kuleje i narzeka za każdym razem, kiedy nadarza się okazja. Na postojach nikt już nie proponuje rosyjskich tańców na rozgrzewkę. Najczęściej milczymy, każde zagłębione we własnych myślach.

Czy zobaczę mojego ojca przed Gwiazdką?

Za bardzo spowalniają nas zmęczenie i kontuzje. Wydłużyliśmy marsz w dzień i zatrzymaliśmy się około piętnastej, żeby rozbić obóz w sosnowym lasku. Marco obudzi nas za pięć godzin do całonocnego marszu.

—

Kiedy Marco mną potrząsa, przyrzekłabym, że nie spałam dłużej niż dwie minuty. Powoli zapada już zmrok.

– Lady, chodź, zobacz – szepcze do mnie.

Podnoszę się, wciąż w śpiworze. Marco kładzie palec na ustach i wskazuje naszych dwóch towarzyszy, pogrążonych we śnie. Widzę, że założył plecak, na szyi ma lornetkę, a w ręce pistolet. Pistolet z Lyonu. Czyli się go nie pozbył?

Strząsam przykrywające mnie gałęzie, wychodzę z naszej kryjówki, wciągam swoje ostatnie dzinsy. Nakrywam Marca na gapieniu się na mojego gołe nogi.

Kiedy już jestem ubrana, mój towarzysz daje znak, żebym za nim poszła, wciąż nie mówiąc ani słowa. Na linii lasu jesteście wreszcie poza zasięgiem Yannis'a i François.

– Co się dzieje?

– Wojskowi, Lady. Myślę, że podążają za nami krok w krok.

Cofamy się o pięćset metrów, aż do pagórka. Tę trasę przebyliśmy dziś rano. Tam Marco kładzie się na ziemi i pokazuje mi w oddali trzy czarne sylwetki na śniegu. Nawet z tej odległości poznaję wojskowe kombinezony ABC. Żołnierze posuwają się powoli, wypatrując naszych śladów w śnieżnej pokrywie. Na wysokości przeprawy przez rzeczkę, którą pokonywaliśmy pół godziny przed postojem, naradzają się, po czym ruszają w kierunku lasu.

– To ci sami, których widziałeś w liceum?

– Nie jestem... nie jestem pewna. Chyba tak. Tam było ich pięciu.

– Być może pozostali jadą za tymi w transporterze.

Tak, to by tłumaczyło, czemu ci się nie spieszą – oni tylko wytyczają sobie dalszą trasę.

– Skąd wiedziałeś, że nas śledzą?

– Intuicja. Wrażenie, że ktoś cały czas depcze nam po piętach. Pamiętasz tego drona?

Chciałem się upewnić co do niego.

Podnoszę się i wzdycham zaniepokojona.

– Dotrą do naszej kryjówki za mniej niż pół godziny.

– Taaa. Musimy uprzedzić resztę.

Bez pardonowo budzimy Yannis'a i François.

– Wojskowi są tuż-tuż – wyjaśnia Marco. – Pakujcie plecaki. Musicie się stąd zmywać.

Szybko.

– Nie idziesz z nami? – wtrącam.

– Nie. To mnie szukają, to ja jestem winny morderstwa. Poczekam tu na nich – mówi, po czym pokazuje mi pistolet.

– Tak często, jak to możliwe, podążajcie trzema różnymi ścieżkami – rozkazuje. – Rozdzielajcie się, odnajdujcie dwa albo trzy kilometry dalej, i znów ruszajcie każdy swoją stroną. Stracą czas. A ja dam wam go trochę więcej.

– Nie ma mowy – odpowiada Yannis. – Trzymamy się razem.

– To twoją skórę ratowałem, kiedy musiałem zabić jednego z nich w Lyonie! – unosi się gwałtownie Marco. – To przez to nas szukają, to przez twój wypadek na wodzie straciliśmy dwa dni! Dlatego teraz bez dyskusji zrobisz, co ci mówię.

Yannis otwiera usta, mierzy się z Markiem wzrokiem, ale nic nie odpowiada.

– No już, pospieszcie się – naciska Marco. – Już was tu nie ma.

Rozdzielanie się. Konfrontacja z armią zamiast walki o uniewinnienie... Nic nie dzieje się tak, jak powinno. Nie boję się wojskowych, mam raczej poczucie, że popełniamy nieuchronny błąd. Patrzę Marcowi prosto w oczy.

– Zamierzasz ich zabić?

– Nie wiem. Mam kilka minut na decyzję. Spotkamy się przy stacji RER Gentilly, jeżeli uda mi się do was dotrzeć.

– Widzimy się wcześniej – poprawia Yannis. – Musimy się odnaleźć przed wkroczeniem do Paryża!

Nakłaniam ich do wyruszenia, jego i François. Zostaję sama z Markiem, który ma hardą minę.

– Będą tu za kilka chwil – mówi Marco. – Pospiesz się.

– Nie rób tego. Nie zabijaj ich i nie umieraj. Wyłumaczę wszystko mojemu ojcu, on nam pomoże. To zabójstwo w Lyonie to nie była twoja wina. To wina parszywych okoliczności.

– Okoliczności? – powtarza Marco z ironiczną miną.

To na nic, Marco nie chce mnie wysłuchać. Zachowuje się tak, jakby chciał mnie za coś ukarać.

Najpierw ostrzec resztę.

Wzruszam ramionami, odwracam się na pięcie, ruszam biegiem. Brzozowy lasek łączy się z zaśnieżonym polem kilkadziesiąt metrów dalej. Każdy może podążyć śladem François, Happy'ego i Yannisa, wyrysowanym jak trzy linie na dziewiczej stronie.

Yannis czeka na mnie pięćset metrów dalej.

– Uciekajcie, nie zawracając. Nie zatrzymujcie się, maszerujcie całą noc.

– Wracasz tam? – pyta. – W takim razie ja też idę.

– Nie. François sobie bez ciebie nie poradzi.

– To przeze mnie go szukają – protestuje Yannis.

– Ale jak ty tam wrócisz, Marco będzie zgrywał bohatera. Rozumiesz?

Kiwa głową. Patrzymy na siebie.

„Nie ma jednego bez drugiego. Yannis, przyrzekam ci. Zobaczymy się znów bardzo szybko”.

Yannis kolejny raz przytakuje, jak gdyby mnie usłyszał.

Ruszam w przeciwnym kierunku. Muszę przekonać Marca, żeby się poddał. Bronić go.

Zanim docieram do kępy drzew, rozlega się w niej, jeden po drugim, pięć kolejnych wystrzałów.

Ze świata zniknęła cała lekkość. Chociaż osłaniam twarz rękoma, gałęzie i tak mnie drapią.

Biegnę między drzewami.

Marco jest na miejscu, na polanie, na której rozbiliśmy obóz. Pochyla się nad jakimś gościem leżącym na ziemi. Wokół nich jest krew, dużo krwi na śniegu. Dwóch pozostałych wojskowych leży na plecach z rozłożonymi nogami, nieruchomo. Nie żyją?

Czy naprawdę on zrobił... to wszystko?

„Trenuję strzelectwo sportowe”.

Marco nie usłyszał mojego nadejścia. Celuje z broni w pierś wojskowego, ściąga gościowi maskę gazową, a potem kominiarkę. Mówi coś do niego. Z miejsca, w którym stoję, nie słyszę słów, ale widzę strach na twarzy żandarma, jego włosy mokre od potu, twarz wykrzywioną bólem. Na ziemi leży karabin. Za dużo krwi. To wszystko wygląda wręcz niewiarygodnie.

Zbliżam się jeszcze trochę. Marco gwałtownie się odwraca, celuje we mnie, poznaje – jego usta wyginają się w coś na kształt uśmiechu, ale twarz się nie śmieje.

– Staram się dowiedzieć, w jakiej odległości są pozostali gliniarze – mówi. – Ale ten sukinsyn nie chce mówić...

– Przestań... – szepczę tylko.

– Nie miałem wyboru, Lady.

Podchodzę bliżej.

– Przestań, proszę – powtarzam.

– Nie było wyboru... – powtarza on.

Marco zaczyna się trząść, jego ciałem wstrząsają spazmy. Potem się opanowuje, wierzchem rękawa wyciera z oczu łzy, które nie chciały popłynąć po twarzy. Chwytam go za rękę. On patrzy na mnie, waha się, potem zgadza się oddać mi swój pistolet.

Ranny się nam przygląda. Czy rozumie, że przed chwilą toczyła się gra o jego życie? Pochylam się nad nim, odrywam rękaw mojej bluzy, obwiązuję mocno ranne udo. Facet nadal przygląda mi się bez słowa.

– Stéphane Certaldo, prawda? – mówi potem. – Szukamy pani. Muszę panią zabrać do ojca.

## 7 GRUDNIA, ZMIERZCH

Wojskowy żandarm odpowiada na moje pytania cicho, jakby głośniejszy szept miał sprawić, że straci więcej krwi. Muszę się zbliżyć, żeby go usłyszeć.

– Rozkazy są ściśle – szepcze. – Musimy utrzymać panią przy życiu za wszelką cenę. I wyeliminować, jeśli będzie trzeba, elementy kryminalne, z którymi pani ucieka.

Powtarzam to Marcowi.

– Te rozkazy... – pyta Marco. – Kto je wam wydaje?

Ranny podnosi rękę do kołnierza kombinezonu, pyta mnie wzrokiem o pozwolenie. Kiwam głową, dając znak Marcowi, że wszystko jest pod kontrolą. Żandarm powoli wyciąga z wewnętrznej kieszeni jakieś małe urządzenie, coś w rodzaju tabletu. Potem kładzie się na zdrowym udzie, krzywi się, i zaczyna znów czegoś szukać. Wreszcie podłącza pendrive'a do tabletu i dotyka ekranu, żeby otworzyć jakieś foldery. Podaje mi tablet.

Na ekranie wyświetla się oficjalny rozkaz misji podpisany przez generalnego naczelnika Paryża, tymczasowo sprawującego władzę, oraz doktora Philippe'a Certaldo, generalnego nadzorcę.

Marco staje za moimi plecami, żeby spojrzeć na tablet, i nachyla się nad moim ramieniem.

– Te elementy kryminalne, które masz wyeliminować, to kto? – pyta agresywnie. – Ja, Yannis?

Nie daję wojskowemu czasu na odpowiedź.

– Co to znaczy: generalny nadzorca? Kim jest dla pana mój ojciec?

– Doktor Certaldo należy do kierownictwa organów medycznych, razem z organami wojskowymi odpowiada za wszystkie środki niezbędne do przywrócenia bezpieczeństwa i kontroli nad pandemią.

Marco gwizdże. Mój ojciec wydaje rozkazy wojskowym i kazał mnie odnaleźć.

Mój palec sunie po tablecie. Zamykam rozkaz misji. Są tam inne pliki, w folderze zatytułowanym STÉPHANE CERTALDO. Klikam. Moje zdjęcia, zdjęcia naszego pustego mieszkania, ostatniej kartki zostawionej dla ojca, Z-Punktu. Kopie moich ostatnich połączeń z internetem i wiadomość Khronosa. Moje dane, adresy wszystkich, z którymi się spotykałam, moja dokumentacja medyczna. Nawet profil DNA.

– Czyli to ją mieliście aresztować w Lyonie? – pyta Marco.

– Nie, nie aresztować...

Pięciu wojskowych żandarmów nie przyszło do Z-Punktu Tête d'Or zaaresztować Marca, tylko zabrać mnie – na rozkaz mojego ojca. Kiedy uciekłam, rozpoczęli poszukiwania. Poznali nazwiska moich towarzyszy i dowiedzieli się o ich udziale w zabójstwie oficera. Ich miejsce zajęła inna jednostka, wyspecjalizowana w poszukiwaniu kryminalistów. Namierzyli samochód ojca François w momencie, kiedy wyjeżdżaliśmy z Lyonu. Potem ich dron nas zgubił. Znaleźli nas ponownie dzięki śladom na śniegu.

– Kiedy się dowiedzieliśmy, kim są pani towarzysze, sprawdziliśmy również ich ostatnie połączenia internetowe. Ponieważ troje z was odebrało wiadomość od Khronosa, domyśliliśmy się, że udacie się wszyscy do Paryża, na spotkanie Ekspertów 24 grudnia. Dostaliśmy rozkaz, żeby przechwycić was wcześniej.

– Pokaż mi to – mówi do mnie Marco. – Musimy zobaczyć, co o nas wiedzą.

Wyjmuje mi tablet z rąk, nie pytając o zdanie. Nie tracę czasu na protesty, prostuję się i zaglądam mu przez ramię. Marco wraca do zawartości głównego folderu. Są tam cztery

podfoldery, od najświeższego do najstarszego: DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZA/LYON; PARYŻ/KHRONOS; BRETANIA/DOURDU; CERTALDO/LYON, a także kilka innych plików.

Dourdu.

Na widok nazwy bretońskiej wioski, w której zamieszkała moja matka z Nathanem, usta zaczynają mi drżeć. Marco klika już najświeższy folder: DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZA/LYON. Jeden podfolder nosi jego nazwisko, dwa pozostałe – nazwiska Yannisa i François. Ostatni jest zatytułowany VIERNAY/ZABÓJSTWO.

Widzę zeznania Juliena, Philo, Pierre’a, datowane na dzień po naszej ucieczce. Marco przegląda je pospiesznie. Wszyscy wyraźnie oskarżają jego i Yannisa o zabójstwo wojskowego.

Czuję, jak na moje ramiona spada nieznośny ciężar. To przeze mnie! To ja byłam obiektem poszukiwań, a wojskowi przeprowadzili śledztwo na temat moich przyjaciół. Gdyby nie ja, tamto zabójstwo być może przeszłoby niezauważone. Kucam ponownie, pytam rannego:

– I co się teraz stanie?

– Albo zgodzi się pani ze mną pójść, a ja zabiorę panią do ojca...

Facet patrzy na mnie uporczywie, jakby chciał mnie przekonać, po czym odwraca się do Marca.

– ...albo będzie pani dalej uciekać z nimi. W tym przypadku będziemy kontynuować poszukiwania, ale pani też zostanie oznaczona jako element kryminalny. I rozszerzymy na pani nazwisko nakaz aresztowania wydany w sprawie Marca Gallehaut’a i Yannisa Cefaïego, o których udziale w zabójstwie porucznika Viernaya w Lyonie została pani przez nas poinformowana.

Suche trzaśnięcie. Odwracam się. Marco właśnie jednym uderzeniem przełamał tablet wojskowego. Rzuca kawałki na ziemię.

– To był wypadek – szepcze. – Chciałem tylko uratować życie Yannisa. Z powodu jego psa...

– Marco Gallehaut – wtrąca wojskowy – przed chwilą stał się pan winny zabójstwa dwóch podoficerów. Strzelał pan z zimną krwią. Strzelił pan również do mnie. Tylko poddanie się w dobry i należyty sposób mogłoby pana tym razem...

– A gdybyśmy cię zabili? – ucina Marco, podnosząc głowę. – Gdybyśmy cię zabili w tej chwili, kto się o tym dowie?

– Oficerowie, którzy podążają za nami jako wsparcie, znajdą wreszcie moje ciało i ciała moich towarzyszy. To tylko kwestia godzin... Maksymalnie jednego dnia.

– Jednego dnia? To by znaczyło, że nie idą dokładnie za wami.

Żandarm się krzywi.

– Myślisz, że wytrzymasz jeden dzień bez pomocy po takim krwotoku? – pyta Marco. – Jeżeli zostawimy cię tu na śmierć i poczekamy na twoich kolegów, żeby ich też zabić, to co się stanie?

– Nikogo nie zostawimy na śmierć – mówię. – Nikogo już więcej nie zabijemy, Marco. Daj mi... daj mi pomyśleć.

– Masz rację. Musimy wymyślić jakiś plan, ogarnąć nową sytuację.

Spoglądam wokół siebie na tę „nową sytuację”: śnieg ubrudzony krwią, dwa trupy, ranny oparty o drzewo, zniszczony tablet z danymi ze śledztwa, rozkazami mojego ojca, wieściami o Nathanie i mamie.



Zapada wieczór. Ranny trzęsie się z zimna. Ma szarą twarz, tak jak my wszyscy w tym świetle. Na jego prośbę wyjmuję z wojskowego plecaka apteczkę i wstrzykuję mu dawkę morfiny.

– Wytrzyma pan?

Zamyka oczy. Podczas gdy Marco jest zajęty przeszukiwaniem plecaków dwóch pozostałych ofiar, ja podnoszę tabletki leżące na ziemi i dyskretnie zabieram pendrive'a. Kiedy się prostuję, żandarm patrzy na mnie w półmroku.

– Nie warto uciekać z tym osobnikiem – mówi napiętym głosem. – Może pani jeszcze wszystko zatrzymać.

Wszystko zatrzymać. Dla siebie? Dla nas wszystkich? Ten ogromny bałagan, do którego... sama doprowadziłam.

– Czy to... czy to pan po mnie przyjechał wtedy w Lyonie?

– Nie. To moi koledzy.

Znów zamyka oczy, łapie oddech, krzywi się.

– Nasza jednostka ma za zadanie poszukiwać zabójców żandarmów. Władze nie mogą tolerować żadnej agresji w stosunku do sił porządkowych.

– Zabilibyście ich? Yannisa i Marca?

– W obecnych okolicznościach nie możemy...

– A jeśli się poddam, porzucicie pościg?

Spogląda na mnie, mruga dwa razy, ale nie wiem, co to znaczy. Czy potwierdza, czy po prostu stara się nie zemdleć.

Marco pozbierał broń, odżywki, lornetki, latarki. Chwyta mnie za rękę.

– Musimy porozmawiać, Lady. Chodź.

Oddaliśmy się od rannego.

– Ten sukinkot blefuje – mówi Marco. – W ogóle nie łapie tu sieć, a ja nie znalazłem żadnego znacznika. Moim zdaniem ich kumple nie wiedzą, gdzie oni są. Musieli raportować im pozycję na bieżąco przez radio. Jeżeli nie będziemy tracić czasu, mamy cały jeden dzień, żeby rozplątać się we mgle, oboje.

Cofam się o krok.

– Nie ma mowy, żeby zostawić go w tym stanie. Zostanę tu i będę go doglądać. Ty musisz znaleźć Yannisa i François tak szybko, jak to możliwe, i powiedzieć im, że spotkanie w Paryżu jest spalone.

– Ale jeżeli z nim zostaniesz, to ryzykujesz, że...

– Zamierzam się poddać, Marco – ucinam. – Właśnie o tym ci mówię.

Mówię to kategorięcznym tonem. Marco patrzy się na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Pomyliłam się, uciekając z wami – wyjaśniam mu. – Gorzej, wpędziłam was w niezłe gówno. Uznam się za więźnia i wytłumaczę mojemu ojcu, co się wydarzyło, co zrobiliśmy. Załatwię wasze uniewinnienie.

Widzę, jak Marco zmienia się na twarzy. Jego usta poruszają się bezgłośnie, jak gdyby powtarzał moje słowa, żeby je zrozumieć. Nagle jego wzrok staje się twardy, już nie jest tylko zszokowany.

– Ty musisz się stąd zmywać i uprzedzić Yannisa – dodaję. – Musicie zniknąć. Oni chcą was zabić.

Marco się wzdryga, jakbym go spoliczkowała, ale wciąż nic nie mówi.

– Znajdźcie sobie jakąś kryjówkę. A ja was odszukam – kiedy będę pewna, że nic wam już nie grozi – w miejscu, które ustalimy teraz. Rozumiesz?

– Jasne...

Jego głos brzmi jak głos innej osoby. Jest metaliczny. Mówi, cedząc słowa.

– Jasne, że rozumiem. To o tym rozmawiałaś z tym draniem?

Kręcę głową.

– Nie, ja...

– Córeczka generalnego nadzorcy się podda i na pewno znajdzie się jakiś sposób, żeby ją uniewinnić. A potem, kiedy już umieści się ją w bezpiecznym miejscu, wszystko zostanie zwalone na nas.

Robi krok do przodu, jakby chciał mnie chwycić za ramiona albo spoliczkować.

– A ja myślałem, że... – szepcze sam do siebie. – To przez ciebie tkwię w tym gównie, Stéphane Certaldo! Przez ciebie! – krzyczy.

– To nie ja wtedy...

– Nie, to nie ty strzeliłaś. Ale gdybym ja nie strzelił, to myślisz, że co by dziś z nami zrobili? I z czyjego powodu?

Muszę się uspokoić. I uspokoić Marca.

– Tak, wiem – mówię najbardziej neutralnym głosem, na jaki mnie stać. – Właśnie to wyjaśnię mojemu ojcu. Wytlumaczę mu, że...

Marco podnosi karabin wojskowego.

– Nic mu nie powiesz, Stéphane.

– Marco!

Marco odwraca się, idzie w stronę rannego, puszcza serię.

Dym i zapach prochu. Ciało żołnierza wydaje się poruszać jeszcze długo, targane wstrząsami, jak w zwolnionym tempie.

– Twoje DNA jest wszędzie na tym gościu, Lady! Nawet z pomocą tatusia będzie ci trudno wmówić im, że nie masz nic wspólnego z jego śmiercią. Ten trup już ci nie pomoże oczyścić się z zarzutów.

Mówi to wszystko głośno, odwrócony do swojej ofiary. Potem rzuca mi ostre spojrzenie.

– A jeśli ze mną nie pójdziesz, nie uprzedzę Yannisa i François. Czy tego chcesz czy nie, wciąż jedziemy na tym samym wózku.

Bierze swój plecak, obciążony teraz wojskowym sprzętem. Chwyta dwa karabiny, po jednym do każdej ręki.

– Chodź, Lady. Poszukamy twojego Yannisa i jego kundla.

Zabieram swoje rzeczy jak lunatyczka i podążam jego śladem. To on ma broń.

## NOC Z 7 NA 8 GRUDNIA

Nie znaleźliśmy Yannisa i François. Ich ślady urywały się na poboczu drogi, nieco ponad godzinę marszu od miejsca naszego ostatniego spotkania. Wyglądało na to, że wyparowali. Odciski opon na śniegu wskazywały na niedawny przejazd pojazdu silnikowego. Jeśli kierowcami tego pojazdu byli inni żandarmi, tacy jak ci, których zabił Marco, to czy Yannis i François już nie żyją?

Na szczęście ślady opon nie wskazywały na pojazd opancerzony. Pomimo ryzyka Marco postanowił za nimi podążać.

Zmrożona droga jest twarda, a śnieg skrzypi. Zostawiamy mało śladów. Jednak pogoń już się nie zatrzyma. Coraz więcej osób będzie na naszym tropie.

Mój ojciec chciał mnie po prostu odszukać, a ja uciekłam z zabójcą. Kiedy podjęłam złą decyzję? Kiedy miałam jakiś wybór?

---

Noc już dawno minęła. Maszerowanie w ten sposób, na widoku, po drodze, to szaleństwo.

– Musimy się przespać i ukryć gdzieś na cały dzień – postanawia Marco. – Na pewno już znaleźli moich trzech zabitych. Wyślą helikoptery.

„Moich trzech zabitych”? To początek wyrzutów, jakiś żal za grzechy? Czyżby wreszcie uświadomił sobie, co zrobił? Nic nie odpowiadam. Na mroźnym powietrzu z naszych ust unoszą się obłoczki pary.

– Takie są okoliczności, Lady... Pamiętasz, okoliczności?

Wykrzywia twarz. Nie mam pojęcia, czy kpi ze swoich własnych słów, czy stara się w nie uwierzyć.

Na miejsce odpoczynku wybieramy jakąś stodołę, suchą, ale wychłodzoną. Stoi na wzgórzu, trzysta metrów od drogi. Jeżeli będziemy trzymać wartę, łatwo i z dość daleka zobaczymy zbliżającego się wroga. Ale kto jest teraz tym wrogiem?

## NOC Z 8 NA 9 GRUDNIA

– Lady, ja... jest mi przykro.

Marco siedzi przy moim posłaniu, kieruje wojskową latarkę na moją twarz. Gdzie jesteśmy? Która część mojego koszmaru była prawdziwa? Kilka razy mrugam oczami, starając się ustalić fakty. Nad stodołą zapadł zmrok. Jak długo spałam? Dlaczego jest mi przykro? Że zmusił mnie do wspólnej ucieczki czy że mnie budzi?

– Zapada noc, nie powinniśmy kręcić się po okolicy.

Siadam. Wstrząsa mną dreszcz, ubieram się w śpiworze. Nie chcę dać mu okazji, żeby znów mi się przyglądał.

– Ja... Jest mi przykro – powtarza.

– Spluwa... Ta, z której wczoraj zabiłeś dwóch pierwszych żandarmów. Ta z Lyonu.

Gdzie jest?

Marco grzebie w swojej kurtce, wyciąga pistolet.

– Daj mi ją...

Waha się, a potem podaje pistolet grzecznie jak mały chłopiec. Biorę go w rękę. Jest ciężki. Chowam go do kieszeni, patrząc Marcowi prosto w oczy.

– Jeżeli nas zatrzymają, znajdą ją przy mnie. Chcę być uznana za współodpowiedzialną śmierci dwóch pierwszych żołnierzy i jestem gotowa zeznawać. Natomiast...

Wskazuję na jego karabin.

– Natomiast za ostatnie zabójstwo odpowiadasz sam.

– Przykro mi – mówi po raz trzeci.

Mam to gdzieś. Chciałam tylko zabrać mu jakąś broń. Czy potrafiłabym się nią posłużyć?

Wstaję, biorę mój plecak i dodaję:

– Znajdziemy Yannisa i François, a potem pozwolimy ci pójść w swoją stronę. Zgoda?

Marco przytakuje. Nawet on sam nie wierzy w to przyzwolenie.

—

Posuwamy się do przodu tak jak wczoraj, idąc wzdłuż drogi powiatowej. Śnieg stwardniał, miejscami to wręcz gołoledź. Właściwie ślizgamy się po gładkiej powierzchni, chociaż mróz nie jest jakoś wyjątkowo ostry. Krajobraz jak pustynia. Ani śladu ewentualnej pogoni. Wydaje się, że wszystko wróciło na swoje miejsce, odzyskało swój porządek.

Wszystko poza moją duszą.

Mój ojciec był gotów wykorzystać swoje nowe uprawnienia i posłużyć się wojskiem, żeby mnie odnaleźć. Nawet wbrew moim przyjaciółom. Ja chciałam ratować moich przyjaciół i straciłam ojca. Co więcej, ściągnęłam na nas wszystkich zagrożenie.

Mam w kieszeni broń, broń Marca. On nie może już dłużej być moim przyjacielem – ale pozostanie sojusznikiem, dopóki nie znajdziemy Yannisa i François.

„Yannis...”

„Musimy utrzymać panią przy życiu za wszelką cenę”, „wyeliminować elementy kryminalne, z którymi pani ucieka”.

Skupiam się na myśli o odnalezieniu Yannisa. Z nim odnajdę odpowiedzi. Yannis obronił mnie przed wilkami. On nie może być martwy, to byłby dla mnie ciężar nie do uniesienia.

A mama? Nathan?

Czego dotyczy folder z tytułem wskazującym miejsce zamieszkania Nathana i mamy?

Może jest tam coś o tym, gdzie mogłabym ich znaleźć? To w ich ramionach chciałabym się wypłakać.

Nie rozmawiamy ze sobą. Maszerujemy w czarnym powietrzu, a nad nami wiszą martwe gwiazdy. Śnieg promieniuje nierealnym światłem, choć na niebie jest tylko cienki sierp księżyca. Marco założył jeden z dwóch noktowizorów ukradzionych żołnierzom. Ja idę po jego śladach. Czasami zatrzymujemy się na kilka chwil, żeby złapać oddech, i Marco pyta, czy jestem zmęczona. Chwilę później rzuca jakąś cyniczną uwagę i wydaje się równie obcy i nieobecny jak wtedy, gdy strzelał do nieuzbrojonego człowieka.

Gdzie teraz jest? W jakim nieosiągalnym wymiarze? Dlaczego chciał mnie zmusić, żebym za nim podążyła? Czy powinnam natychmiast oddać się w ręce władz, czy nadal uciekać razem z nim?

Jestem prawie pewna, że, gdybym sobie poszła, nie próbowałby mnie zrobić ani nawet zatrzymać. Muszę jednak odszukać Yannisa i François, uprzedzić ich, jeżeli jeszcze nie wpadli w ręce wojska. Oni muszą żyć. Muszę z nimi pomówić.

Dopiero potem być może się poddam.

---

Zjedliśmy odrobinę chleba z ostatnią konserwą pochodzącą z zapasów ojca François. To była wieprzowina w galarecie. Zasadnicza część prowiantu znajdowała się w plecaku naszych towarzyszy. Moglibyśmy zapukać do jednego z mijanych zamieszkałych gospodarstw, które obchodzimy szerokim łukiem, ale za bardzo boję się tego, co zrobiłby Marco.

Tym razem do południa nie znaleźliśmy żadnej stodoły na uboczu, żeby się gdzieś schronić. Staramy się, raz lepiej, raz gorzej, zmontować sobie jakiś szałas. Wykorzystujemy technikę François – dach z suchych gałęzi i strzecha z iglastych.

## NOC Z 9 NA 10 GRUDNIA

Marco obudził mnie w samym środku koszmaru pełnego gwałtownych śmierci. W półmroku jego oczy błyszczą jak u drapieżnika. Czy spał chociaż minutę od momentu dokonania tych trzech zabójstw? Wzdrygam się na myśl o tym, że Marco być może całymi godzinami obserwuje mnie, kiedy śpię.

Podczas gdy ja staram się obudzić, nacierając sobie twarz śniegiem, on mówi coś głośno za moimi plecami. Odpowiadam półsłówkami. Tak bardzo chce mi się pić, a nie mamy już wody pitnej. Ssać śnieg, sople zwisające z gałęzi? Dostaniemy od tego biegunki.

– Musimy znaleźć butelkowaną wodę – mówię. – Albo rozpalić ogień, żeby zagotować śnieg.

Marco orientuje się, że słuchałam go tylko połowicznie.

– Przemyślałem jedną rzecz, kiedy spałaś, Lady... Jak wytłumaczysz, że żandarmi odnaleźli nas z taką łatwością? I że Yannis oraz François ruszyli prosto w kierunku drogi, którą, jakby przez przypadek, akurat przejeżdżał jakiś pojazd?

Do czego dąży? Udaję, że nie słucham. Grzebię po plecakach w poszukiwaniu resztek czegokolwiek jadalnego. Marco kontynuuje swój monolog.

– Urządzałoby ich w Z-Punkcie, żeby się mnie pozbyć. Żadnego więcej przedstawiciela uchodźców. Tak łatwo zrobić dziś z kogoś kryminalistę.

Jego spokojny ton i pokręcona logika mrozą mi krew w żyłach.

– Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Twoim zdaniem to Yannis czy François nas zdradzili?

– Ani Yannis, ani François, żaden z nich! Odbija ci do reszty!

Odpowiadam zbyt żywiołowo pod wpływem wzburzenia. Przede wszystkim nie mogę go denerwować, wręcz przeciwnie, jak najmniej się z nim spierać... Ale jak mu wybić z głowy ten pomysł? Od kiedy o tym myśli?

– A gdybym to była ja, Marco? – pytam go spokojnie. – Pamiętasz? Mój ojciec jest z wojskowymi, a ja chciałam się poddać. Gdyby się okazało, że to ja was wszystkich wydałam? To byłoby logiczne, nie?

Przez chwilę patrzę na niego wyzywająco, potem mrugam. Marco zastanawia się przez moment, potem uśmiecha i kiwa głową.

– Taaa, masz rację, odbija mi. Z pewnością właśnie zaczynam wariować.

Przez moment widzę jego dawną twarz, tę z Z-Punktu – otwartą i ciepłą. Twarz człowieka zdrowego na umyśle. Wstaje, gotowy, by ruszyć w drogę.

– Ale powiedz, jeżeli jeden z nich nas zdradził, to który: François czy Yannis? Jak myślisz?

—

Przed ruszeniem w drogę podzieliliśmy się ostatnim prowiantem. Za kilka godzin nie będziemy już mieli wyboru. Trzeba będzie się zdecydować na szukanie zamieszkanego miejsca. Jednak nie to mnie martwi. Nie mogę się uspokoić po tym, co usłyszałam od Marca. Zdawało mi się, że będę w stanie przemaszerować z nim kilka dni, dopóki nie znajdziemy naszych towarzyszy, ale to był błąd. Jutro rano w miejscu, w którym będziemy szukać pożywienia, skorzystam z okazji, żeby go zostawić. Nawet jeśli będę musiała zagrozić mu pistoletem. Potem oddam się w ręce policji. Na razie muszę uważać: Marco nie może się niczego domyślić. Dopóki mi ufa, wszystko będzie dobrze.

Wyciągam z kieszeni pistolet Marca.

– Jeżeli François lub Yannis nas zdradzili, to ich pozabijam – mówię chłodno. –

Przysięgam ci.

Marco spogląda na mnie zaskoczony.

– Pokaż mi, jak się strzela.

Zgadza się natychmiast, spokojnie wykonuje moje polecenie. Objasnia mi z nauczycielskim zacięciem: odbezpieczyć pistolet, przeładować, potem nacisnąć spust, amortyzując odrzut. Kiedy Marco udaje, że strzela, widzę, jak jego twarz na chwilę tężeje. Widzi ponownie tę scenę? Podoba mu się to? Żałuje?

Z powrotem biorę od niego broń. Teraz jestem gotowa. Jeżeli Yannis i François nie zostali aresztowani, to ich odnajdziemy. A jeśli Marco będzie próbował zrobić im krzywdę – im albo komukolwiek innemu – to go zabiję.

—

Przez całą noc myślałam tylko o tym. Broń, Marco, ucieczka...

Marco zamordował cztery osoby, cztery istoty ludzkie. Jak to usprawiedliwić?

Czy to upoważnia mnie do tego, żeby zastanawiać się nad możliwością pozbawienia go życia?

W Lyonie uratował Yannisowi życie. W lesie też myślał, że nas uratuje. Zabił, bo niewystarczająco zaufałam mojemu ojcu. Ja też jestem winna.

Marco właśnie podniósł rękę, trzydzieści metrów przede mną. Daje znak, żebym podeszła do niego po cichu, i wskazuje dość stary budynek gospodarczy. Z komina unosi się dym. Na podwórzu stoi jakaś furgonetka. Podchodzimy bezgłośnie: ślady opon, za którymi idziemy wzdłuż drogi powiatowej od trzech dni, zataczają duży łuk i kończą się właśnie tutaj. Sprawa jest jasna: należą do białej furgonetki, która nie jest pojazdem wojskowym i stoi przed gospodarstwem. Marco zsuwa plecak z ramienia, odpina od niego jeden z karabinów. Nagle ogarnia mnie strach, że wszystko znów się zawali. Kręcę głową, pokazuję mu kilka drzew jakieś sto metrów od nas. To brzozy o białych pniach, oświetlane pierwszymi promieniami świtu.

Obserwujemy dom z tego zagajnika.

– Poczekamy na wschód słońca – szepczę – a kiedy będziemy wiedzieli, z kim mamy do czynienia, uwolnimy naszych kumpli.

Marco protestuje: chce skorzystać z efektu zaskoczenia, uwolnić Yannisa i François, przejąć pojazd i ruszać, szybko. Teraz. Natychmiast. Nawet za cenę strzelania na oślep.

– Zastanów się chwilę, Marco. To byłoby szaleństwo jechać w ciągu dnia.

Marco odwraca wzrok. Popadamy w przygnębienie.

Podczas gdy on obserwuje dom, zarządzam godzinną drzemkę najpierw dla siebie, a potem dla niego. Chcę, żeby odzyskał równowagę psychiczną.

– Nikogo nie zabijamy, Marco, OK?

Marco znów patrzy gdzieś indziej. Czy mogę zasnąć i zostawić go przed tym gospodarstwem? Samego i uzbrojonego?

## 10 GRUDNIA

Nie zmrzyłam oka ani na chwilę. Na zmianę obserwowaliśmy gospodarstwo przez potężną lornetkę ukradzioną jednemu z zamordowanych żołnierzy. Z naszego punktu obserwacyjnego doskonale widać tył budynku. To tu jest chyba najczęściej używane wejście. Wychodzi wprost na warzywnik. Nie ma żadnych zaciągniętych rolet, tylko zwykłe przeszklone drzwi, zasłonięte zasłoną. Nie sposób dostrzec, co dzieje się w środku.

---

Słońce weszło dwie godziny temu. Marco śpi, owinięty w koc ratunkowy. Widzę, jak François i Yannis wychodzą z domu. Żyj! Zamykam oczy i szepczę jakąś modlitwę dziękczynną.

Staram się zrozumieć sytuację. Najwyraźniej mają swobodę poruszania się, a jakiś dorosły chodzi z nimi w tę i z powrotem. Nie wygląda na to, że ich nadzoruje. Przyglądam się tej dziwacznej postaci: niskiego wzrostu, wbita w gruby płaszcz, w czapce, obszernych spodniach i śniegowcach. Długie blond włosy ściągnięte w koński ogon na plecach. Myślę, że to kobieta i w dodatku cywil. Jak to możliwe?

Nie budzę Marca. Kiedy dołącza do mnie godzinę później, podaję mu lornetkę.

– Na pewno tam są. I jest z nimi ktoś dorosły... Nie jestem pewna, czy to wojskowy.

Marco obserwuje, długo, w milczeniu, a potem oddaje mi lornetkę. Nasi towarzysze od dłuższej chwili są zajęci tajemniczym zadaniem: kopią dół w ziemi za gospodarstwem. Wykop jest dość głęboki, widzimy tylko czubki głów wystające z wielkiego dołu.

To grób, oczywiście...

Yannis wciąż chowa zmarłych. O kogo chodzi tym razem?

Dorośla postać pojawia się chwilę później.

– Ona nie przypomina wojskowego – mówię.

– Jak w takim razie przeżyła?

Nie znam odpowiedzi. Jednak to jest kobieta, bez wątplenia. Co więcej, w średnim wieku. Na pewno istnieje jakieś logiczne, naukowe wyjaśnienie.

Yannis i François spokojnie z nią rozmawiają. Nie widzimy żadnej broni, żadnych oznak przymusu.

– Wciąż myślisz, że Yannis i jego kumpel są tacy nieskalani? – pyta mnie Marco, cedząc słowa. – Jak na więźniów, zachowują się dość swobodnie.

Nic nie odpowiadam.

– I jak to się niby stało, że furgonetka tej cudownie ocalałej znalazła się dokładnie, idealnie w odpowiednim miejscu i czasie, żeby zabrać ich z lasu? – dodaje Marco podejrzliwie.

Na to pytanie także nie potrafię odpowiedzieć.

---

Okolo południa wszyscy troje jedzą posiłek na zewnątrz. Siedzą na drewnianych pieńkach i grzeją się w zimowym słońcu, tuż obok miejsca pracy. Mój pusty brzuch protestuje. Kręci mi się w głowie. Zmuszamy się, żeby jeszcze trochę zaczekać. Może dowiemy się czegoś więcej?

Kobieta najwyraźniej jest tu jedynym dorosłym i ani się nie kryje, ani nie wydaje się trzymać ich siłą. Czy to pułapka? Komin domu wciąż dymi. Na myśl o ogniu, ciepłe, suchych



ubraniach odczuwam mrowienie w zziębniętych członkach.

Kobieta oddała się od domu, nie zwracając uwagi na naszych przyjaciół. Odchodzi wystarczająco daleko, żeby zniknąć nam z oczu. François nadal siedzi na słońcu, Yannis stoi przed drzwiami. Gdyby chcieli, mogliby uciec w tej chwili. Dlaczego tego nie robią? Kiedy trochę później kobieta wraca do domu, przynosi ze sobą małe upolowane zwierzę, zapewne złapane w sidła, bo nie słyszeliśmy żadnego wystrzału.

Znów radośnie ze sobą rozmawiają.

Yannis wchodzi do domu, François z kobietą zostają na zewnątrz.

– Dobra, nie dowiemy się niczego więcej – postanawia Marco. – Są z nią sami.

Wstaje bez uprzedzenia. Zanim zdąży się zorientować, Marco jest już dwadzieścia metrów przede mną. Jeden karabin niesie w rękę, drugi ma przewieszony przez ramię.

Co zamierza? Biegnę za nim.

Happy zauważa nas jako pierwszy, zaczyna radośnie szczeekać. Kobieta nieruchomieje, zaskoczona. Coś mówi. François odwraca się do nas. Yannis wychodzi z domu, a ja czuję drgnięcie w sercu. Yannis się uśmiecha.

Chciałabym odpowiedzieć mu uśmiechem, dziękować niebiosom, ja też...

Marco nie daje mi na to czasu. Bez wahania rusza w stronę kobiety i celuje w nią z karabinu z trzech metrów.

– Ręce do góry! – rozkazuje groźnym głosem.

Na jej twarzy widzę oszołomienie, takie samo jak w spojrzeniu François oraz Yannis.

Happy wyczuł niebezpieczeństwo, szczeeka teraz inaczej. Trzymam rękę w kieszeni, zaciśniętą na kolbie pistoletu – broni, która zabiła już trzy razy. Kobieta patrzy na nas inaczej, jest teraz zdezorientowana.

Marco żąda kluczyków do furgonetki, naciska, zaczyna się robić nerwowy. Nasi przyjaciele starają się mu przeszkodzić. Na próżno. Marco zmusza się do panowania nad sobą, ale słyszę, że kipi ze złości. Traktuje obu chłopaków raczej jak zakładników niż sojuszników. Czy François rozumie sytuację? Podnosi ręce na znak zgody. Tak samo jak ta kobieta, która zgadza się oddać nam swój pojazd i obiecuje, że nikomu o nas nie powie.

– Kluczyki! Ruchy! – mówi Marco oschle.

Kobieta odpowiada ze spokojem, że czekała na nas i pomoże nam, żebyśmy mogli pojechać na spotkanie z „naszym Khronosem”.

– A ty skąd znasz Khronosa? Współpracujesz z wojskiem? Chcesz nas złapać w pułapkę?

Marco krzyczy i robi dwa kroki do przodu, ale Yannis się wtrąca. Staje przed kobietą jak żywa tarcza.

„Nie. Nie rób tego...”

– Odsuń się, Yannis! – nakazuje mu Marco.

– Nie – odpowiada Yannis chłodno.

Potem wyjaśnia, że to on opowiedział kobiecie o Khronosie. W jego głosie nie słyszę wzburzenia. Mówi, że ta kobieta, Elissa, jest ich przyjaciółką. Jego czarne oczy odnajdują mnie i błagają: „Proszę, zrób coś”.

Happy szczeeka w najlepsze i zaczyna biegać wokół Marca.

– Stul pysk, cholerny kundlu! – wrzeszczy Marco. – Stul pysk! To przez ciebie musiałem... musieliśmy...

W jednym przebiegu dociera do mnie, co się zaraz stanie. Marco zabije Happy’ego. Rozwali Happy’ego, potem kobietę. Mógłby zabić Yannis, nawet...

Oszalał.

Wyciągam spluwę z kieszeni. Yannis wytrzeszcza oczy.

– Opuść broń, Marco – mówię. – Jeśli nie opuścisz jej w tej chwili, to cię zabiję.  
Marco odwraca się twarzą do mnie. Jest tuż-tuż, o dwa kroki.  
– Lady, oszalałaś, doskonale widzisz, że...  
– Opuść tę broń, do cholery! Natychmiast, Marco!  
Wrzeszczę. Na litość boską, czemu mnie nie słucha?  
Marco spogląda na mnie rozbawiony.  
– Nie strzelisz. Tak czy inaczej, oboje stoimy po tej samej stro...  
Uderzam go z całej siły, prosto w głowę. Pistoletem. Marco pada na kolana, trzymając się rękoma za głowę.  
– Opuszczaj tę cholerną broń, natychmiast!  
Celuję w niego z broni. Cała się trzęsę. Marco podnosi wzrok, patrzy na mnie przestraszony. Ma nos cały we krwi.  
– Już dobrze, Stéphane – mówi Yannis.  
Jego głos przywraca mnie do rzeczywistości. Yannis podchodzi do mnie, kładzie swoją rękę na mojej i opuszcza w stronę ziemi pistolet wycelowany w Marca. Nagle czuję nadchodzącą falę mdłości. François schyla się i podnosi karabin.  
– Wszystko w porządku, Stéphane – szepcze Yannis. – Wszystko w porządku.  
Oddychaj...

---

François pomaga Marcowi się podnieść i usiąść na brzegu paki. Nos Marca krwawi. Co ja narobiłam?

Mój kolega z liceum chce się wytłumaczyć. Każę mu się zamknąć. Wycieram mu twarz i odkazam ranę alkoholem. Marco ma złamany nos i wydaje się trochę ogluszony. Lekko rusza głową, znowu stara się coś mi powiedzieć – coś o Yannisie, któremu uratował życie i którego wolę od niego, chociaż on powinien był...

– Zamknij się – mówię raz jeszcze.

Wstaję.

– Zwiąż mu ręce i nogi – proszę François. – A potem zamknij w furgonetce.

Nie chcę go więcej widzieć.

Nagle mam wszystkiego dość. Dość tych spluw, całej tej krwi. Chcę tylko dołączyć do Yannis i jego przyjaciółki Elissy w domu... Właśnie zobaczyłam kropelki krwi Marca na mojej ręce, na nadgarstku. Mdli mnie.

---

Wymiotuję na dworze, na kupę gnoju. Tylko żółcią, nic innego nie mam w żołądku. Potem Yannis przynosi mi chłodną wodę do picia oraz balię ciepłej wody i trochę mydła. Opłukuję się, myję twarz, suszę włosy. Frotowy ręcznik ładnie pachnie. Całe ciało, dla odmiany, wydaje mi się brudne i przesiąknięte potem. Moje ubrania zeszywniały od brudu.

Yannis przygląda mi się z niepokojem.

– Musiałam... Musiałam to zrobić, Yannis. Inaczej on zabiłby twoją przyjaciółkę i Happy'ego...

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu.

– Tak – mówi Yannis. – Widziałem. Zrobiłaś, co należało.

W domu panuje spokój, a w kominku buzuje ogień. Zapachy zupy, chleba i płonącego

drewna sprawiają, że do oczu napływają mi łzy. Z trudem je powstrzymuję. Kobieta krząta się w kuchni, dobiegają do nas znajome, domowe odgłosy – trzaskanie naczyńkami, szum wody. Scena sprzed katastrofy.

Siadam naprzeciwko Yannisa. François też siada przy stole, blisko kominka. Nalewa mi herbaty.

– Jestem głodna – mówię.

To prawda, dopada mnie prawdziwy zwierzęcy głód, jak po zabiciu szabrownika, jak po uderzeniu Jeanne i Jenny. Ale czy dam radę cokolwiek przełknąć? Yannis podsuwa mi chleb i konfitury.

– Co się stało tam w lesie? – pyta.

– Marco zabił trzech żołnierzy, którzy nas ścigali. Z zimną krwią.

Kobieta siada obok nas i przysłuchuje się.

– Ostatniego zabił na moich oczach.

Nie wracać do tych obrazów, zapomnieć o tych trzech ciałach na śniegu...

– Od trzech nocy was szukamy – dodaję tonem wyrzutu.

– Czekaliśmy na was. Zgodnie z planem – mówi Yannis niezmiernie.

Mam mu za złe tę odpowiedź. Nic nie poszło zgodnie z planem. Marco popadł w szaleństwo. Ja pograżyłam się w całkowitym koszmarze. Yannis zostawił mnie z Markiem, a sam sobie czekał w tym domu pełnym ciepła i konfitur, bezpieczny razem z tą nieznaną, tajemniczo ocalałą „przyjaciółką”.

Odwracam się do niej, żeby wreszcie wyjaśnić tę kwestię.

– Muszę wiedzieć, proszę pani: czy kilkanaście lat temu brała pani udział w programie badawczym dotyczącym szczepionki przeciwko zapaleniu opon mózgowych?

Kobieta nie pamięta już samej szczepionki, ale przyznaje, że bywała królikiem doświadczalnym. Nieźle za to płacili. No i proszę, jest logiczne wytłumaczenie. Standardowe testy na ludziach w każdym wieku, wykonane przed wprowadzeniem MeninB-Par do obiegu, jak w przypadku każdego nowego leku.

– Marco myślał, że pracuje pani dla wojska. Wśród dorosłych ocalali tylko wojskowi. To dlatego...

Nie kończę zdania, wstaję, odwracam się do Yannisa i François.

– Pozmywam. Chłopaki, zbierzecie swoje rzeczy w tym czasie? Powinniśmy się stąd w miarę szybko ruszyć.

Zanurzam ręce w letniej wodzie, przekładając brudne naczynia. Chłód, który mnie przeszywa, pochodzi ze środka. Padam ze zmęczenia.

Elissa stoi obok mnie, wyciera miseczki, talerze. Nalega, żebym się umyła, zjadła coś, trochę się przespała przed ruszeniem w drogę.

– Dziękuję, naprawdę, ale musimy już jechać.

Rzucam okiem, żeby sprawdzić, czy Yannis i François mnie nie usłyszą. Chłopaki pakują się w „swoim” pokoju.

– Przyjdą tu wojskowi, proszę pani. Wojskowi żandarmi... Koledzy tych, którzy ścigali nas w lesie, rozumie pani?

Elissa kiwa głową.

– Jeśli będą panią pytać, proszę powiedzieć im prawdę. Niech pani nie ryzykuje. Może im pani wyjaśnić, że wyruszyliśmy do Paryża na spotkanie z Khronosem. Oni już o tym wiedzą.

Widzę, jak w jej oczach przygasa blask.

– Nie poddawajcie się – szepcze. – Musicie dalej mieć nadzieję.

Teraz rozumiem, co Yannis i François tutaj znaleźli: zaufanie dorosłego. Znowu łzy

napływają mi do oczu. Szlag, jestem wyczerpana, całe to napięcie, zmęczenie...

Yannis i François wracają już do salonu.

– Niech pani wyraźnie powie żołnierzom, że tych dwóch nie było w zagajniku, kiedy doszło do masakry – szepczę pospiesznie do Elissy nad zlewozmywakiem. – Proszę im powiedzieć, że my, ja i Marco, dotarliśmy tutaj trzy dni później i zachowywaliśmy się, jakbyśmy oszaleli.

## NOC Z 10 NA 11 GRUDNIA

Chłopaki ściskają Elisę i odjeżdżamy, stłoczeni wszyscy troje razem z psem i plecakami w szoferce furgonetki. Yannis nie mówi ani słowa, skupiony na drodze albo zatopiony w swoich myślach. Mam wrażenie, że ma do mnie żal o cios, który zadałam Marcowi. Przemoc wkradła się między nas.

Wciśnięta między niego i François regularnie wykręcam sobie szyję, żeby rzucić okiem na naszego „więźnia” przez taflę pleksi, która oddziela nas od paki furgonetki. Kiedy Yannis zjeżdża z trasy, ciało Marca uderza o jeden z boków pojazdu. Marco, raz lepiej, raz gorzej, stara się osłaniać głowę związanymi rękoma.

Odwracam się do Yannisa, żeby powiedzieć mu, że musi uważać, ale w zapadającym półmroku dostrzegam, że on płacze. Całkowicie odruchowo wycieram łzę z jego policzka. Yannis patrzy na mnie zaskoczony. Uśmiecham się do niego.

François, który niczego nie zauważył, sugeruje, żebyśmy stanęli.

– Wiecie co? Happy czułby się tysiąc razy swobodniej z tyłu i... ja też. W ten sposób dotrzymam towarzystwa Marcowi, zobaczę, czy wszystko z nim w porządku. I przypilnuję go, jeśli będzie trzeba.

Otwieramy tylne drzwi furgonetki.

Nos Marca bardzo krwawi. On sam ma pełne usta krwi, przeszkadza mu to w oddychaniu. Zmieniam waciki, które tamują krwotok w jego nozdrzach. Wygląda na to, że całkowicie odzyskał przytomność, ale będzie potrzebował chirurga plastycznego, żeby naprawić przegrodę nosową. Wycieram go, pomagam się napić, sugeruję, żeby coś zjadł. Połyka trochę chleba i równie szybko go zwraca.

– Przepraszam – mówi.

Przez chwilę myślę, że chce znów zwymiotować, ale on podnosi głowę i zwraca się do dwójki pozostałych:

– Przepraszam. Chciałem was chronić.

Odgrywa przed nimi swój popisowy numer skruszonego zabójcy. Ja też prawie bym w to uwierzyła, gdybym nie widziała trupów, krwi na śniegu, serii z automatu, nieuzbrojonego żołnierza zabitego na moich oczach.

Yannis mimo wszystko nalega, żebyśmy uwolnili Marca.

– To nie zwierzę, Stéphane. Puściły mu nerwy i tyle.

Z nogami niech będzie, ale nie pozwalam rozwiązać mu rąk. Marco znów próbuje coś zjeść i tym razem nie zwraca. Sprawdzam mu źrenice za pomocą latarki. Wszystko wydaje się w porządku, żadnego wstrząśnienia mózgu.

François ponawia propozycję przeniesienia się na tył – ten niegdyś strachliwy dzieciak nie wygląda teraz na wystraszonego. No i ma Happy’ego do obrony, jak podkreśla. Mimo wszystko szukam w jednym z naszych plecaków jakiegoś pistoletu, jednego z tych, które zabraliśmy wojskowym. Pokazuję François, jak się nim posługiwać. Ten chwytą za broń bez wahania, słucha moich wyjaśnień. Czy aż tak zmienili się podczas krótkiego pobytu u Elissy, że François niczego i nikogo się już nie boi?

A Yannis, co takiego drgnęło w jego duszy? Skąd wzięły się te łzy?

Zapada zmrok. Yannis na pewno jeszcze widzi drogę i mógłby jechać bez przeszkód, ale woli założyć swój noktowizor. Siedzę obok niego, wyjmuję jeden z dwóch noktowizorów ukradzionych wojskowym i sama też zakładam gogle. Yannis pyta, co jeszcze przewozimy w plecaku.

– Dwie spluwy. Amunicję. Granaty. Wszystko, co udało nam się podebrać wojskowym. Są tam też dwa karabiny i spluwa Marca. Sam widzisz, prawdziwy arsenał.

Przysięgłabym, że nie uśmiechnął się na mój żart.

Księżyc rozświetla śnieg jeszcze bardziej niż tydzień temu, kiedy opuszczaliśmy Lyon w naszym audi. Byliśmy tacy pełni nadziei i złudzeń. Yannis już pół godziny jedzie w milczeniu.

– Myślisz, że Elissa coś ryzykuje? – pyta mnie nagle.

Mówi głośno, żeby zagłuszyć hałas silnika.

– Skoro wam udało się ją znaleźć, wojskowi mogą zrobić to samo, nie? – dodaje.

– Nie. Elissa jest sprytna... Poza tym dlaczego żołnierze mieliby zrobić jej krzywdę? Interesują ich tylko ci, którzy zabijają wojskowych. Marco. Ja, z uwagi na niego. No i ty...

Yannis jest zaskoczony, znów robi wielkie oczy.

– Ja nie zabiłem żadnego żołnierza!

– Tylko że oni mają to gdzieś. Wrzucają nas wszystkich do jednego worka.

Czy nasi towarzysze tam z tyłu, za przegrodą z pleksi, słyszą naszą rozmowę? Wsuwam kasetę do starego radia samochodowego Elissy. Rozlega się chrapliwy głos *a cappella*, piosenka napisana i wykonywana na długo przed naszymi narodzinami.

– Uznali cię za przestępcę, Yannis. Puścili za nami pogoń, będą nas ścigać – kontynuuję trochę ciszej. – I będą na nas czekać na spotkaniu z Khronosem, żeby was... żeby nas zabić.

Yannis ma prawo znać prawdę, choćby była dla niego bardzo przykra. Tylko prawda powstrzyma go przed pójściem na pewną śmierć. Opowiadam mu o pendrive.

– Mają foldery o każdym z nas. Osobny na temat Marca, François, mnie, ciebie. W ich oczach jesteśmy mordercami. Co więcej, znaleźli nasz wspólny punkt: wszyscy zmierzamy do Paryża na to samo spotkanie. Dlatego stało się ono w ich oczach spotkaniem kryminalnym. Rozumiesz?

– Skoro wojskowi na nas czekają, czemu chcesz tam jechać?

– Nie pomyślałam o tym... Chciałam stamtąd odjechać, żeby nie ściągnąć waszej przyjaciółce wojska na głowę.

Kłamstwo, wciąż to samo kłamstwo – na temat mojego ojca – jak kłoda leży między nim a mną. Ale zamierzam to zmienić. Najpierw znajdę ojca i wszystko mu wytłumaczę.

Yannis ponownie się zamyśla.

– Mimo wszystko nie rozumiem. Zaangażowali tyle jednostek, żeby przymknąć czworo nastolatków? To dość dziwne. Nie wydaje ci się, że chodzi o coś jeszcze?

Muszę mu zdradzić **naprawdę** wszystko, co znalazłam na tym pendrive: opowiedzieć o moim ojcu, który polecił mnie szukać, o mojej koszarnej pomyłce w Lyonie i przyczynach naszej wariackiej ucieczki, o moich błędach, złudzeniach, winach. Boję się. Boję się, że będzie miał do mnie żal, uzna mnie za odpowiedzialną za wszystko, będzie mnie oskarżał, tak jak to zrobił Marco.

– Nie mogli przewidzieć, że Marco dostanie świra – drąży dalej Yannis. – Skoro nas śledzą i interesują się spotkaniem z Khronosem, to może dlatego, że to poważna sprawa, nie? Wyobraź sobie, że naprawdę istnieje możliwość cofnięcia się w czasie... Może oni tego wcale nie chcą?

Nie, Yannis, to nie to. Jeżeli wojskowi interesują się spotkaniem 24 grudnia, to z mojego powodu, bo jestem córką mojego ojca, a teraz także dlatego, że nie udało mi się powstrzymać Marca przed zabiciem trzech wojskowych.

– Nie wydaje ci się? – naciska głośno.

– A ty myślisz, że można jeszcze komukolwiek zaufać, Yannis? – pytam go takim samym tonem.

– Ty możesz całkowicie mi zaufać. To mogę ci obiecać.

Dziewiąta wieczór. Parkujemy na północnym skraju lasu Fontainebleau, przy wjeździe do ogromnej aglomeracji paryskiej. W oddali widać jakieś budynki, fabryki, strefy handlowe i zjazdy z autostrady, otoczone zielonkawym połyskiem w naszych noktowizorach.

Ten miejski kolos zapewne nigdy wcześniej nie był aż tak ciemny.

Wysiadam z furgonetki, otwieram tylną klapę. Happy wyskakuje na zewnątrz, o mało mnie nie przewracając. Po nim z pojazdu wysiada François, trzymając się za dół pleców. Marco dalej siedzi w środku i patrzy na mnie, zobojętniały albo po prostu zbyt zmęczony, żeby się rozprostować.

Miałam sporo czasu, żeby przemyśleć nasze możliwości.

– Jeżeli będziemy dalej jechać furgonetką, wzrasta ryzyko namierzenia – mówię do Yannisa i François. – Jednak nie jestem pewna, czy wolałabym ruszyć na piechotę w nocy w nieznane miasto, nie wiedząc, gdzie możemy trafić na szabrowników czy na wojskowych. Jeśli z kolei wejdziemy do niego za dnia, jest duże prawdopodobieństwo, że zostaniemy zatrzymani. Co robimy?

Obydwaj wolą spróbować szczęścia od razu.

– Ale najpierw uwolnimy Marca – upiera się Yannis. – On jeden dobrze zna Paryż, potrzebujemy go. A jeśli trzeba będzie natychmiast porzucić furgonetkę, Marco musi mieć swobodę ruchów.

Jeśli Yannis rzeczywiście chce kontynuować wędrówkę z Markiem, kiedy już dotrzemy do Paryża, dam mu pendrive'a, żeby poznał prawdę o Khronosie. A sama pójdę odnaleźć mojego ojca, moją matkę i brata. Nic więcej nie mogę dla niego zrobić.

Marco ma wolne ręce. Robi kilka kroków, żeby się rozciągnąć. Przez chwilę spogląda na miasto pogrążone w ciemności, po czym wraca do furgonetki. Przechodząc, ociera się o mnie i staje. Patrzy mi w twarz z wrogością i ironią.

– Gotowa na rodzinne spotkanie, Stéphane? Zostaniemy zaproszeni?

– Co to ma znaczyć? – pyta mnie Yannis zaskoczony.

– On coś bredzi – mówię, wzruszając ramionami. – Nie zwracaj na niego uwagi.

Marco siada przy oknie. Wszyscy tłoczmy się na przednim siedzeniu. Yannis i ja zakładamy noktowizory, Marco ma trzeci w zasięgu ręki. Na razie przy świetle latarki sprawdza trasę, żeby pilotować Yannisa na każdym rozjeździe. Trzymam oba karabiny między kolanami i kładę stopy na plecaku z amunicją. Nie chcę, żeby Marco dotykał broni.

Jedziemy dość szybko, z otwartymi oknami, żeby wypatrywać nadlatujących helikopterów – bo jeśli dostrzeżemy je w chwili, w której ich wirniki ostatecznie przebiją się przez hałas zajechanego silnika, z pewnością będzie za późno. Przejeżdżamy przez most w Villeneuve-Saint-Georges. Otwierają się przed nami przedmieścia. Nie ma już domków jednorodzinnych, tylko ulice, wzdłuż których ciągną się bloki i magazyny.

Nagle napięcie na pokładzie wzrasta.

Porzucone, czasem spalone samochody. Odpadki i trupy. Przypomina to Lyon dwa tygodnie temu: ta sama katastrofa, ta sama kostnica pod gołym niebem, ale bez lejów po bombach i śladów pojazdów opancerzonych. Być może szabrownicy tu nie grasowali? Nie widzimy żadnej blokady. Nie ma tu żywej duszy. Żadnych odgłosów ani świateł. Mijamy kolejne osiedla. Wielkie, ciągnące się kilometrami bloki, betonowe budynki, tablice reklamowe z przedawnionymi obietnicami. Świętej pamięci społeczeństwo zbytku...

Celujemy raczej w uliczki, jak najwęższe przejazdy – żeby nie było zbyt łatwo dostrzec nas z powietrza – za cenę ryzyka wpadnięcia w zasadzkę. Z dwojga złego...

Z dziesięć razy zawracamy, bo uliczki są zablokowane przez różne przeszkody. Marco

wydaje krótkie, czasem sarkastyczne polecenia. Zmiana statusu z więźnia na pilota wydaje się go bawić.

– Zgaś silnik, Yannis – rzuca gwałtownie.

Yannis wykonuje polecenie, nie zadając pytań. Samochód przejeżdża jeszcze dwadzieścia metrów na luzie, po czym staje.

Chwilę później, bardzo nisko, tuż nad nami, przelatuje eskadra helikopterów. Wszyscy wstrzymujemy oddech.

Wypuszczamy powietrze prawie w tej samej chwili, w której maszyny się oddalają.

Oczekiwanie się przeciąga, jeszcze minutę. Nie wracają. Musieli nas przeoczyć wśród tych wszystkich pojazdów, stojących wszędzie od półtora miesiąca jak grobowce swoich właścicieli.

Yannis znów odpala.

– Mniej niż trzy kilometry do stacji RER Gentilly – ogłasza Marco. – Mniej niż dwa...

Yannis kręci się niespokojnie na siedzeniu. Jest zestresowany. Marco wychyla się przez okno. Czy poznaje te miejsca? Za chwilę przejedziemy pod wiaduktem obwodnicy i wjedziemy do Paryża.

– Cholera, podświetlili stadion Charléty! – krzyczy.

Mniej niż trzysta metrów od nas za wiaduktem pojawia się stadion, jak świetlisty latający talerz.

– Wjedź na rondo, zawracaj! – drze się Marco do Yannisa.

Wjeżdżamy na rondo tuż przed wiaduktem z taką prędkością, że furgonetka ledwo utrzymuje się na jezdni. W tym momencie rozlega się seria wystrzałów.

Kule trafiają w przednią szybę. Lusterko rozbłyska. Kolejne dwie serie. Ktoś do nas strzela.

Yannis dociska pedał gazu do podłogi, ale wygląda, jakby stracił kontrolę nad pojazdem.

– Opona! – drze się. – Rozwalili oponę!

Rozpaczliwie skręca. Znosi nas, obracamy się jak dziecinny bączek.

Rzuca mnie na Marca. Noktowizor wpija mi się w nos, rani w czoło. Furgonetka staje, przez chwilę wygląda na to, że przewróci się na prawy bok, ale ostatecznie opada na koła.

Chwila oszołomienia. Nagle oślepia nas światło trzech potężnych reflektorów. Jesteśmy unieruchomieni, samochód stoi na trawniku na środku ronda, tuż przy wojskowej blokadzie zagradzającej wjazd do Paryża.

Marco właśnie wyciąga jeden z dwóch karabinów.

– Nadchodzą – mówi bardzo spokojnie. – Wychodźcie powoli przez drzwi kierowcy.

Ściągam noktowizor, spoglądam przez okno: trzy sylwetki kierują się w naszą stronę.

Żołnierze idą ostrożnie, pod światło, co utrudnia ich rozpoznanie. Są jakieś sto metrów od nas.

Marco przykładą broń do ramienia. Chwytam za kolbę.

– Nie strzelaj. Zmywamy się.

– Znikajcie, ty i Yannis – odpowiada Marco. – I starajcie się przez cały czas mieć za sobą jakąś osłonę. Uciekajcie tak, żeby samochód był między wojskiem a wami. François?!

Prawie krzyczy, klepiąc w pleksi lewą ręką.

– Wyłaż przez tył furgonetki, François! No już!

Zimna krew Marca na wszystkich robi wrażenie. Yannis otworzył już swoje drzwi.

– Wychodźcie z pojazdu z rękoma do góry! – rozkazuje jakiś głos przez megafon. –

Złamaliście prawo o godzinie policyjnej.

Yannis dyskretnie wysuwa się na zewnątrz. François natomiast stara się usunąć taflę pleksi, żeby wyjść z przodu. Nic z tego.



– Daj spokój, François – mówi Marco, nie spuszczać wzroku z wojskowych. – Wsiądziesz z tyłu, kiedy zaczną strzelać. A teraz się nie ruszaj.

Odbezpiecza karabin. Czy nic już nie da się powiedzieć, żeby powstrzymać go przed zabijaniem?

– Stéphane! Chodź! Szybko – woła mnie cicho Yannis.

– Marco, ja...

Marco się nie odwraca, cały czas pozostaje skupiony na żołnierzach.

– Przepraszam, Marco.

Biorę plecak, teraz moja kolej, żeby prześlizgnąć się na zewnątrz. Yannis schowany za furgonetką wali w jej bok.

– François! – woła. – François, do cholery! Wychodź, natychmiast!

Słyszę, jak uchylają się tylne drzwi, i czekam na kanonadę, lecz wciąż panuje cisza.

Chwilę później Happy z wywieszonym językiem stoi u naszych stóp. Denerwuje się.

– Nie próbujcie chować się za samochodem, bo otworzymy ogień – rozbrzmiewa znów głos z megafonu. – Wychodźcie z rękoma podniesionymi wysoko do góry. Naruszyliście prawo stanu wojennego i godziny policyjnej.

Słyszę jakiś odgłos po prawej stronie. Marco jest obok nas.

– Na co czekacie? – szepcze. – Zmywajcie się. Daję wam dwie minuty zapasu. Po raz kolejny.

– Nie masz żadnych szans – protestuję. – To nic nie da.

– Będziemy strzelać, to ostatnie ostrzeżenie – ostrzega głos.

– Nic nigdy nic nie daje – odpowiada mi Marco.

– François, chodź!

François wreszcie zeskakuje – wprost w światło reflektorów, z rękoma wysoko w górze.

Co on wyprawia, odbiło mu?

– François, spadamy stąd!

Odwraca się do nas powoli. W jego oczach dostrzegam taki rodzaj strachu, który człowieka wprost paraliżuje.

– Teraz! – rzuca Marco.

Na ten rozkaz Yannis rusza biegiem w stronę Gentilly. Biegnie tak, żebyśmy jak najdłużej mieli furgonetkę za plecami. Biegnę za nim, ciężko dysząc, wyprzedzana przez Happy'ego.

Za naszymi plecami rozlega się strzał z broni automatycznej, a potem dwie, trzy serie.

Rzucamy się za jakiś samochód na rogu ulicy. Serca podchodzą nam do gardeł.

Spoglądam ponad maską.

– Marco!

Te kanonady to on.

Marco, z podniesioną głową, kroczy w stronę blokady i strzela. Idzie z karabinem przystawionym do ramienia, bez pośpiechu, jak gdyby był na strzelnicy albo grał w WOT.

Trafił już jednego żołnierza.

Z pewnością krzyczy w ostrym świetle, jego wzrok jest wzrokiem szaleńca...

Marco... W jakimś absurdalnym odruchu chcę do niego pobiec, ale Yannis mnie powstrzymuje.

W tej samej chwili rozlega się huk wystrzałów, kanonada z broni szturmowej. Wszędzie widać oślepiające rozbłyski. Siła uderzenia odrzuca Marca do tyłu.

Jego ciało, trafione kilkunastoma kulami, podryguje jak marionetka, po czym upada na plecy.

Marco.

Był moim przyjacielem.

Teraz znów staje się dawnym Markiem – w chwili, kiedy go tracę.

François ani drgnął, stoi z rękoma w górze. Schowani za samochodem, przykucnięci, powoli, spokojnie się wycofujemy. Trzymam rękę na ustach, żeby nie krzyczeć.

– Nie wykonujcie żadnych ruchów! Nie ruszajcie się, trzymajcie ręce w górze!

Żołnierze zbliżają się w półkolu i okrążają teren. Za późno dla François.

Przerażeni uciekamy w noc.

CZTERY

## 11 GRUDNIA

Zamieniliśmy ze sobą ledwie kilka zdań, przytuleni na pustym i mroźnym parkingu. Zabrakło nam słów.

Słońce weszło. Idę za Yannisem.

On prowadzi nas wzdłuż obwodnicy. Mijamy stacje metra Porte d'Orléans, Châtillon-Montrouge, Porte de Vanves. Pięć razy, dziesięć razy wchodzimy po schodach budynków, wspinamy się po drabinach pożarowych, żeby się dostać na dach. Najwyraźniej Yannis chce popatrzeć na miasto z góry. Z perspektywy kolejnych dachów przyglądamy się organizacji przestrzeni i próbujemy ją zrozumieć. Każda rogatka Paryża jest chroniona przez blokadę. Bez odpowiednich pozwoleń nikt nie może wejść do stolicy ani jej opuścić. Podobnie jak w Charléty, środki przeciw zamieszkom są spektakularne: specjalne ogrodzenia, worki z piaskiem, reflektory, ciężka broń. Co wymaga aż takiej ochrony?

Nastolatki z żółtymi opaskami na ramionach albo w odblaskowych kamizelkach, z bronią w rękach, wspomagają nielicznych wojskowych, kontrolują wejścia oraz wyjścia. Według jakich kryteriów?

Kiedy schodzimy na podmiejskie ulice, żeby wrócić do Happy'ego, mijamy innych młodych w naszym wieku. Niektórzy niosą plecaki, popychają wózki sklepowe, grzebią w śmieciach i pustych samochodach. Przyglądają nam się z daleka; unikamy się.

Wszędzie jest pełno cuchnących trupów. Roi się od szczurów.

Wszędzie na murach widać plakaty wzywające „młodych chłopców i młode dziewczęta” do zgłoszenia się na stadion Charléty w celu „uniknięcia nowych epidemii”: wszyscy zostaną tam „wyleczeni, nakarmieni i zidentyfikowani”. Nie widzimy natomiast śladów po wybuchach ani strzelaninach. Żadnych helikopterów na niebie. Z tym jednym karabinem, który nam został, choćby schowanym pod płaszczem, nie sposób nawet pomyśleć o podejściu do którejś z blokad. Nawet bez broni pewnie byłoby to szaleństwem – a jeśli jesteśmy tu aktywnie poszukiwani? Czy nasze rysopisy zostały rozpowszechnione?

Za stacją metra Porte de Versailles natykamy się na Sekwanę. Podnoszę z ziemi mapę połączeń autobusowych: żeby dostać się na drugą stronę, trzeba przejść któryś z trzech mostów. Wszystkie są strzeżone.

Yannis milczy, zatopiony we własnych myślach. Dlaczego za wszelką cenę chce się dostać do Paryża?

A ja, co zamierzam zrobić? Pójść do Z-Punktu? Porzucić Yannisa? Ta strzelanina w nocy utwierdziła mnie w przekonaniu, że przede wszystkim powinnam dołączyć do mamy i Nathana. Żeby tego dokonać, muszę przeczytać ich foldery na pendrivie, czyli znaleźć jakiś komputer.

Yannis, zniechęcony, postanawia zawrócić. Oddalamy się od blokad, zagłębiaamy w przedmieścia, gdzie łatwiej jest przechodzić z jednego dachu na drugi.

Happy podąża za nami ulicą.

Wracamy do punktu wyjścia.

—

Znajdujemy schronienie w małym budynku w Gentilly, niedaleko miejsca, w którym Marco spotkał się ze śmiercią. Na czwartym piętrze. Happy wbiega tam przed nami radośnie. Zajmujemy poddasze, na którym jest jakieś mieszkanie bez trupów. Musimy się przespać. Nie spałam już ponad czterdzieści osiem godzin.

Zanim pójdziemy spać, Yannis przez okno wymyka się na dach. Dołączam do niego. Mój towarzysz patrzy uważnie na miasto przymrużonymi oczami – wygląda jak indiański wartownik. O czym myśli?

Paryż jest pogrążony w głębokiej ciemności. Pada deszcz ze śniegiem, ale w tym roku nie będzie iluminacji i girland. Nieliczne wysepki światła przyciągają nasze oczy jak magnes: stadion Charléty i kilkanaście innych miejsc, z pewnością strzeżonych przez wojsko.

– Chcesz sprawdzić, czy Nathan schronił się w Z-Punkcie? – pyta Yannis. – To dla niego przybyłaś do Paryża?

Czy właśnie o tym myśli? Z pewnością rozpamiętywał dziś cały dzień uwagę Marca o „rodzinnym spotkanku”, zanim mnie o to spytał. Yannis z pewnością uważa, że tylko mój brat mógł przeżyć. Wyobraża sobie chłopaka w naszym wieku, a nie jedenastolatka. Nadeszła pora, żeby powiedzieć mu prawdę o moim ojcu.

– Wszystko ci wytłumaczę – mówię. – Dziś wieczorem.

Wracam do naszego prowizorycznego schronienia. Zapalam świecek. Znaleźliśmy dziś kilkanaście świeczek oraz dwie butelki wody. Kiepski łup. Yannis ociąga się chwilę, a potem też wślizguje się do środka przez okno dachowe. Patrzy na migające płomienie świeczek, a potem zdmuchuje cztery lub sześć – zapewne uważa mnie za niezbyt oszczędną.

– Prześpiemy się tu co najmniej dwanaście godzin. Co o tym myślisz, Stéphane?

Zgadzam się z nim całkowicie, ale nic nie odpowiadam, uśmiecham się tylko. Jestem szczęśliwa, że mogę na nim polegać. To dziwna i pocieszająca okoliczność – znaleźć się z nim tutaj sam na sam. Czy wciąż bylibyśmy przyjaciółmi, gdybym mu wszystko opowiedziała?

Zaciągamy do salonu dwa materace. Żadne z nas nie ma zamiaru zostać samo ani spać w pokojach, w których być może umierali ludzie. Rzucam na nasze nowe łóżka poduszki i koce.

Yannis przygląda się moim działaniom z zamyśloną miną, wciąż czymś pochłonięty.

– Trzeba odszukać François – wyrzuca z siebie gwałtownie.

Zaczynam podejrzewać, że raczej to go tak gryzło. Wzdycham i odwracam się.

– To szaleństwo. Jak chcesz go wyrwać z rąk wojska, skoro wojsko nas poszukuje?

Yannis wzrusza ramionami.

– Musimy spróbować – odpowiada po prostu. – Musimy pójść do najbliższego Z-Punktu, żeby uzyskać jakieś informacje na jego temat.

– Znam inny sposób, Yannis.

– Żeby uwolnić François?

– Żeby go uniewinnić. Żeby nas wszystkich uniewinnić. Ciebie, mnie, jego.

Siadam na swoim materacu, opieram się o ścianę, biorę głęboki wdech. Pod osłoną ciemności opowiadam mu wszystko naraz: o moim żyjącym ojcu, ewakuowanym do Paryża i wybranym do władz wojskowych; o tym, że ojciec walczy z epidemią razem z innymi naukowcami, a jako generalny nadzorca organizuje powrót do normalności; o tym, że moja matka i mój brat też na pewno gdzieś tu są, razem z nim, pod ochroną wojska.

Yannis przyjmuje te informacje z niedowierzaniem. Wygląda, jakby sprawiały mu fizyczny ból.

– Mówili, że nie ma żadnego miejsca wolnego od epidemii – stwierdza gorzko. – Oczywiście to nie mojej rodzinie zaproponowałiby ocalenie, ale założę się, że rodziny wszystkich wpływowych ludzi w tym kraju zostały umieszczone w bezpiecznym miejscu, prawda?

– Nie wiem, Yannis. Nie wiem więcej niż ty. Ale masz rację, to niesprawiedliwe. Co więcej, ścigano nas na rozkaz mojego ojca.

Opowiadam mu wszystko. Wszystko.

– Dlaczego to przede mną ukrywałaś? – pyta wreszcie po kolejnej długiej chwili ciszy.

– Czułam się taka uprzywilejowana w porównaniu z tobą. Nie znałam cię, bałam się, że będziesz miał mi za złe, że moja rodzina żyje, podczas gdy wszyscy twoi bliscy umarli. W Lyonie myślałam, że zaraz stracimy kontakt, więc wołałam skłamać. Potem, kiedy z wami wyruszyłam, zaplatałam się we własne kłamstwa.

Gdybym widziała jego twarz, co bym z niej wyczytała? Zamykam na chwilę oczy. Moje powieki stały się takie ciężkie w chwili, kiedy zrzuciłam z siebie brzemię tym wyznaniem.

– Wiesz, co mnie boli najbardziej? – przerywa milczenie Yannis. – Że podczas całej tej przeklętej oblawy myślałem, że to moja wina! Marco powiedział mi, że to przeze mnie jesteśmy w niebezpieczeństwie!

– Nie wiedziałam, że to mój ojciec kazał nas ścigać, dopiero ten wojskowy w lesie mi o tym powiedział. Yannis... Marco też nie mógł o tym wiedzieć.

Yannis spuszcza wzrok. Jest wściekły? Zniesmaczony? Pełen goryczy?

– Znajdę mojego ojca i powiem mu, że jesteś niewinny. Że François jest niewinny. On załatwi uwolnienie François, obiecuję ci!

Yannis dalej milczy, ale kręci głową. Nie chce takiej pomocy czy w nią nie wierzy?

– Nigdy więcej mnie nie okłamuj – mówi po dłuższym milczeniu. – Nigdy więcej. To zbyt... Zbyt poważne, dla nas obojga.

– Przyrzekam ci, Yannis. Nigdy więcej cię nie okłamię.

– No to teraz chodźmy spać.

Opadam na poduszkę z wdzięcznością, naciągam na siebie koc, szczelnie zawijam się w szorstką wełnę. Jest lodowato. Zaraz pochłonie mnie sen. Zamykam oczy.

Yannis narzuca na mnie jeszcze jeden koc.

Czuję jego obecność tuż obok. Po raz pierwszy od czterech dni pozwalam sobie na spokojne, letnie łzy. Chciałabym, żeby jego palce starły je z moich policzków takim samym gestem, jakim ja otarłam jego twarz wczoraj wieczorem w furgonetce. Gestem Aleksa...

Jednak Yannis na pewno ma do mnie żal, a może nie ma odwagi?

Przez kilka chwil wsłuchuję się w jego oddech. Potem pozwalam się pochłonąć czarnej dziurze snu.

## 12 GRUDNIA

Kiedy otwieram oczy, słońce jest już wysoko. Zimowe światło wlewa się przez uchylone okno dachowe. Obudził mnie głód. Która godzina? To już popołudnie?

Yannisa nie ma w salonie, zapach kawy kieruje mnie do kuchni. Postawił kafetierkę na ognisku, w którym płoną drewniane skrzynki. Całe pomieszczenie wypełnia się dymem.

– Znalazłeś jakąś kawę?

Odwraca się z uśmiechem na ustach.

– Poszedłem rano przejść się po dzielnicy i znalazłem nawet coś lepszego – mówi, machając rękami, żeby rozgonić dym. – Zmienimy kryjówkę i sprezentujemy sobie kilka nocy w trzygwiazdkowym komforcie, co ty na to?

Nie ma już do mnie żalu. A jego optymizm jest zaraźliwy.

Dziś rano Yannis szedł po dachach, ale tym razem powinniśmy pójść ulicami, żeby Happy mógł nam towarzyszyć. Pies idzie przodem, goni za szczurami, wraca do nas. Yannis wskazuje wejście do jakiegoś małego budynku. Drzwi do mieszkania na ostatnim piętrze są otwarte, okno w kuchni wybite – to właśnie tędy mój przyjaciel dostał się tu za pierwszym razem.

Yannis oprowadza mnie po nowym lokalu. Ma minę dumnego zdobywcy.

Z balkonu rozciąga się niewiarygodny widok na Paryż. W ostrym, metalicznym, grudniowym świetle widać morze dachów. Jakież to miasto musiało być przedtem piękne...

Yannis otwiera szafki w kuchni: konserwy, płatki, pasztety, owoce w syropie. Prawdziwy skarbiec. W łazience stoi apteczka pełna leków przeciwbólowych, opatrunków, odkażaczy.

– Poczekaj, nie widziałas najlepszego – mówi z błyszczącymi oczami.

Przesuwa drzwi do garderoby. Właściciel najwyraźniej miał obsesję na punkcie wystąpienia gigantycznej awarii zasilania albo wcześniej niż inni zrozumiał rozmiar tego, co się nam przydarzyło. Zmagazynował kilkadziesiąt paczek baterii, trzy ładowalne lampy elektryczne i solarne podgrzewacze wody do kąpieli.

– Wystarczy nam wszystkiego, żeby doczekać tu beczynnienie do 24 grudnia – podsumowuje Yannis.

Dwudziestego czwartego? Nadal nie chce tego odpuścić?

Moja reakcja go nie zachwyca.

– Zamierzasz zostawić mnie wcześniej, tak? – pyta. – Chcesz znaleźć swojego ojca?

Nie odpowiadam mu.

Nie mam ochoty niszczyć tego kruchego szczęścia, które dziś stało się naszym udziałem. Zimowe słońce wkrótce skryje się za domami, a ja chcę skorzystać z ostatnich promieni, żeby umyć się w naszym „pałacu”. Gospodarz tego domu przygotował sobie także ogromne kanistry wody, więc mogę się wreszcie wykąpać. Woda jest lodowata, ale jakoś mi to nie przeszkadza, szczególnie że mam pod ręką także pachnące mydło i grube, czyste, frotowe ręczniki.

Owszem, moglibyśmy tu zostać przez kilka dni.

Yannis rzucił na kanapę ciuchy wyszukane w garderobie i sam też się przebrał. Przymierzam po kolei w łazience różne ubrania, wszystkie za duże albo za małe, a potem dołączam do Yannisa, żeby dać pokaz mody w salonie. Śmiejemy się nawzajem ze swoich strojów. Śmiejemy się szczerze pierwszy raz od... od kiedy?

– No, no, przystojniak z ciebie w tym stroju – komentuję, wstrzymując oddech.

Yannis rumieni się po same uszy, a ja nagle czuję się zakłopotana. Czy to dlatego, że po raz pierwszy jesteśmy sami we dwoje na tym świecie? Że relatywny komfort tego mieszkania

przypomina nam o dawnym życiu – jego normach, kompleksach, porywach?

Czy może dlatego, że tego wieczoru Yannis podoba mi się szczególnie?

Mój towarzysz odwraca głowę, zmienia temat.

– Musisz sobie znaleźć czapkę, Stéphane... Twoje włosy zbyt mocno rzucają się w oczy.

Jego rzeczowa uwaga wytrąca mnie z ponurych rozmyślań.

Opadam na fotel. Yannis idzie przygotować kolację. Zapada zmrok. Mój kolega wraca z talerzem w rękach i stawia go na stole. Grzebie w kieszeniach i wyjmuje ulotkę, którą dziś rano podniósł na ulicy.

– Spójrz... Jeżeli stąd wyjdziemy, możemy w każdej chwili wpaść na wojskowych.

To ogłoszenie o zastrzeniu stanu wojennego od 15 grudnia.

*Począwszy od 15 grudnia dla zapewnienia bezpieczeństwa powszechnego i ograniczenia przemocy, która nasila się w naszym kraju, wszystkie osoby mieszkające poza Z-Punktami na terenie Francji będą traktowane jak przestępcy.*

– Przynajmniej za dwa dni wszyscy ludzie żyjący poza Z-Punktami będą w takiej samej sytuacji jak my – żartuje Yannis. – Dwoje wyjętych spod prawa zgubi się wśród tylu innych!

– I co zamierzasz potem zrobić? Czekać tu grzecznie do 24 grudnia? W nadziei, że wojskowi urządzą szpaler honorowy aż do samej wieży Zegarowej, a ty stawisz się na swoją wielką wyprawę wehikułem czasu?

– Nie wiem. Co by mi poradził twój ojciec, jak sądzisz?

Chciałam być ironiczna, no to się odgryzł. Remis.

– Chodź – mówi już innym głosem.

Wychodzimy na korytarz z nowiutkimi latarkami. Yannis wspina się po drabince i otwiera kłapę, żeby wyjść na dach. Wygląda na to, że od chwili naszego przybycia do Paryża czuje się dobrze tylko na wysokości.

Dziś wieczorem nie pada. Dostrzegam kilka gwiazd, które kiedyś pewnie były tu niewidoczne – w czasach, kiedy Miasto Światel lśniło przez całą noc.

– Czemu spędzasz tyle czasu na dachach?

– Sam nie wiem. To się zaczęło, kiedy tylko opuściłem Marsylię. Być może różne rzeczy widziane z góry mniej mnie przerażają.

Nic o tym nie wiem – tak jak o jego życiu przed naszym spotkaniem w Lyonie.

– Opowiesz mi?

– Dziś wieczorem. Obiecuję.

Leżymy na dachu i patrzymy na pojazdy opancerzone przejeżdżające po wiadukcie obwodnicy. To tylko kilka kwartałów od naszego lokum. Ktoś wciąż ogłasza coś przez megafony, ale tu nie słyszymy żadnych słów. Podejrzewam, że wojskowi namawiają młodych, by udali się do Z-Punktu. Taka dźwiękowa wersja plakatów albo ulotek. Tutejsze wojsko jest chyba bardziej cywilizowane niż to w Lyonie. Nieugięte, ale nie brutalne. Czyżby tam doszło po prostu do wypaczeń?

Yannis też myśli o wojskowych. Znów mówi mi o François. Odpowiadam mu, argumentuję: za duże ryzyko. Jednak on nie chce liczyć na mojego ojca. W pewnym sensie go rozumiem. Doktorowi Certaldo zawdzięczamy tylko nieszczęścia.

Pojazdy opancerzone w końcu odjeżdżają.

Siedzimy kilka centymetrów od rynny, nogi zwisają nam z dachu, a pod nami widać tylko pustkę.

– No to jaki masz teraz priorytet? – pyta Yannis.

– Nie wiem. Co ty byś zrobił na moim miejscu?



Yannis milknie. Pewnie nie chce przyznać – jeszcze nie teraz – że tylko w jeden sposób oboje możemy zostać uniewinnieni. Wyruszę na poszukiwanie mamy i Nathana. Razem z Yannisem. Potem wszyscy czworo spotkamy się z moim ojcem.

Muszę go jakoś przekonać.

– Mam przy sobie tego pendrive’a, o którym ci mówiłam – przerywam ciszę. – Gdybyśmy znaleźli działający komputer, być może moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o miejscu, w którym są moja matka i mój brat. No i o Khronosie.

– Czyli ruszamy na poszukiwania jakiegoś komputera z naładowaną baterią. A potem?

– Potem?

– Potem pójdziemy na spotkanie 24 grudnia, żeby spróbować ocalić Ekspertów – mówi Yannis.

– Potem pójdziemy razem odszukać mojego ojca – mówię w tym samym czasie.

Patrzymy na siebie. Oboje trochę osłupiali.

– A nie możesz...? – próbuję.

– A ty nie możesz...? – odpowiada Yannis pytaniem.

Nie potrafię wyobrazić sobie naszej rozłąki – nie, teraz już nie. Ale co sobie właściwie myślałam? Że Yannis porzuci swoje własne plany, żeby iść dalej ze mną?

– Wrócisz do rodziny, Stéphane. A ja spotkam się z Khronosem.

Coś w jego głosie przeczy tej spokojnej oczywistości, którą próbował udawać.

– Przyrzeknij mi jedną rzecz – mówi do mnie Yannis trochę później. – Uprzedzisz mnie, zanim sobie pójdziesz.

– To mogę ci obiecać.

Siedząc nad pustką i nocą, uśmiechamy się oboje.

---

Schodzimy z powrotem i zawijamy się w śpiwory.

– Opowiesz mi o chodzeniu po dachach?

– Jednak nie dziś wieczór. Chce mi się spać.

Ile nam jeszcze pozostało takich wspólnych wieczorów?

Słyszę, jak jego oddech staje się ciężki. Zapalam latarkę, żeby popatrzeć, jak śpi. Powieki trochę mu drżą, jak gdyby coś mu się śniło.

## 13 GRUDNIA

Spałam bez koszmarów. Po raz pierwszy od dwóch dni mam wrażenie, że odzyskałam siły. Kiedy wstaję, Happy podbiega, żeby oblizać mnie w ramach porannej toalety. Śmieję się. Po rodzaju ciszy, która mi odpowiada, od razu orientuję się, że jestem sama.

Gdzie jest Yannis? Wyruszył na poszukiwanie komputera? Myśl o nim biegnącym po dachach przyprawia mnie o uśmiech. Jak huzar z powieści Jeana Giono.

Ubieram się, dobudzam, zastanawiam nad ponownym prysznicem. Trzeba oszczędzać wodę, nie wiadomo, jak długo tu zostaniemy.

My? Planuję spędzić z Yannisem jeszcze kilka dni. Dlaczego? Bo naprawdę mam nadzieję, że przekonam go, by ruszył ze mną na poszukiwanie mojej rodziny. Albo po prostu dlatego, że nie mam ochoty na rozłąkę z moim huzarem.

Odkładam prysznic na później. Happy idzie za mną do kuchni. Yannis przed wyjściem poświęcił chwilę, żeby zostawić na stole zeschnięty chleb pod celofanem i butelkę soku owocowego. Napisał mi też kartkę:

*Poszedłem uwolnić François.*

*Proszę, czekaj na mnie.*

*Yannis*

Przez dłuższą chwilę stoję ogłupiała, czytając w kółko jego wiadomość.

Dlaczego to zrobił? Dlaczego poszedł na śmierć?

Skrajnie wkurzona miotam się po całym mieszkaniu. Głaszczę Happy'ego, mówiąc mu, że jego pan to palant i pyszałek, wariat pełen złudzeń, który nie chce posłuchać rozumu i zapłaci za to życiem.

Czy chociaż zabrał ze sobą broń?

Gorączkowo wykładam na stół nasze karabiny, granaty, pistolety. Staram się ustalić, czy brakuje tego automatycznego. Z niepokoju i złości tracę już rachubę. François został złapany ze swoim, a Marco miał tylko karabin. Być może brakuje jednego pistoletu, sama już nie pamiętam. Ale czy Yannis potrafi się nim posługiwać? Czy był obok, kiedy pokazywałam François, jak się go używa?

Marco nie żyje. François jest aresztowany, być może też już nie żyje. A teraz Yannis? Na co on liczy? Dlaczego nic mi nie powiedział? Jasne, zrobiłabym wszystko, żeby odwieść go od tego pomysłu. Widział tak samo jak ja, co żołnierze zrobili z Markiem.

—

Czekać, tak jak mnie o to prosił, czy jednak sobie iść?

Właściwie nie mam wyboru. Wczoraj wieczorem kazał mi przyrzec, że go uprzedzę, zanim odejdę. Czy wiedział już wtedy, że dziś rano sam wymknie się bez uprzedzenia?

Oczywiście.

Wczoraj wieczorem mówił mi też o zaostreniu stanu wojennego. Liczy na to, że zdąży z powrotem przed wprowadzeniem permanentnej godziny policyjnej? Jeżeli wojsko wzmacnia kontrole, to znaczy, że wciąż są tu szabrownicy. Czy Yannis ma jakiegokolwiek szanse w potrzasku

między nimi a wojskiem?

Daję jeść Happy'emu. Sama przeżuwać swój posiłek powoli, starannie.

Słońce już wschodzi. Która to godzina?

Prowiantu i wody pitnej dla mnie i psa wystarczy na ponad tydzień. Mogę go przeżyć w warunkach lepszych niż wszystko, czego zaznałam przez ostatnie tygodnie. Yannis o tym wiedział i tego właśnie szukał – miejsca, w którym mógłby bezpiecznie mnie zostawić. Mam do niego o to żal – może nawet bardziej niż o resztę. Czy ja wymagam ochrony? Czy to nie ja uratowałam mu skórę w Rodanie, nie ja stanęłam twarzą w twarz z Markiem, kiedy ten zwariował?

Za kogo on mnie bierze? Za małą, wrażliwą dziewczynkę?

---

Trzeba będzie wyprowadzić Happy'ego. Od rana kręci się w kółko, a teraz zaczął jeszcze ujadać pod drzwiami. Pewnie chce mu się sikać. Ale jak to zrobić? Drzwi do naszego pałacu nie otwierają się od zewnątrz.

Happy jest taki jak jego pan – nie potrafi pozostać zamknięty w czterech ścianach. Mimowolnie uśmiecham się na myśl o Yannisie łażącym po dachach. Nie potrafię wybrać między złością, strachem o niego i tym uśmiechem.

Przez chwilę waham się, czy zabierać broń. Którą wybrać?

Jeżeli ktoś zauważy mnie z karabinem, ściągnę na siebie uwagę. Z drugiej strony zbyt dyskretna broń nie odstraszy natrętów. Stawiam na perswazję, biorę karabin, układam plecak w poprzek drzwi, żeby się nie zamknęły i nie odcięły mnie od całego naszego dobytku. Potem schodzę na dół. Happy kręci mi się pod nogami jak szalony.

---

Za chwilę zapadnie noc.

Czekam u stóp budynku, siedząc na progu. Happy biega po ulicy za śmieciami, które wiatr podrywa w powietrze. Czasem goni szczury. Z dziesięć razy moje serce zabiło szybciej na widok czyjejś sylwetki na rogu ulicy, ale nie doczekałam się Yannisa. Czy ci goście dostrzegli karabin leżący na moich udach? Tak czy inaczej, nie podeszli bliżej. Przyglądają mi się zza okien? Śledzą mnie?

Słyszałam helikoptery. Czym się tutaj zajmują? Transportem pożywienia czy zabijaniem szabrowników? Ściganiem kryminalistów, zabójców wojskowych? Dostyc już tego!

Wstaję i gwizdzę na palcach, żeby wezwać Happy'ego. Nie reaguje, więc go wołam.

– Happy! Chodź, mój piesku!

Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu Happy podnosi łeb i wraca do mnie swoim dziwnym, kulejącym krokiem.

– Dobry pies!

Dobry pies, „mój pies”? Czy zwierzęta wiedzą, kiedy zmieniają pana? Czuję głupie łzy napływające do oczu.

## NOC Z 13 NA 14 GRUDNIA

Po raz enty wracam na balkon rzucić okiem: na ulicy nie ma nikogo. Potem znów podchodzę do drzwi, otwieram, nadstawiam ucha w oczekiwaniu na jakikolwiek odgłos na klatce schodowej. Nic, poza tym wrażeniem, że nagle wszystko milknie. Przeszkadzam szczerom?

Nie powinnam była wychodzić z karabinem. To było głupie. Karabin szturmowy to rarytas, z łatwością może przyciągnąć uwagę donosicieli i kryminalistów. Zamykam drzwi na klucz i opuszczam rolety. A jeśli Yannis wróci dziś w nocy przez dach? Jak wejdzie?

Co mam robić?

Czuwać, czekać, spać? Idę do łazienki, żeby spryskać sobie twarz, spróbować się obudzić. Z oczami utkwionymi w lustrze wracam myślami do tego, jak Yannis zarumienił się wczoraj wieczorem, po naszym pokazie. Dlaczego nie został? Dlaczego nie zostaliśmy tutaj oboje na kilka dni, żeby poprzyglądać się zza naszej rynnny, jak świat stara się podnieść po klęsce? Dlaczego nie mogliśmy przestać na chwilę stawiać czoła innym niebezpieczeństwom niż to zakłopotanie między nami?

Po powrocie do salonu siadam w fotelu, twarzą do drzwi, z kocem na nogach i spluwą w zasięgu ręki. Dopada mnie kolejna seria pytań. Czy pozostając w tym mieszkaniu, znajdę się w niebezpieczeństwie? Czy powinnam uciekać, jeżeli Yannis nie wróci do jutra rana? Czy powinnam dołączyć do mojej rodziny? Może mogłabym pokręcić się po okolicy, spróbować namierzyć gdzieś komputer, żeby dowiedzieć się wreszcie, gdzie są mama i Nathan?

Wołam Happy'ego, który nerwowo kręci się w kółko. Pies obwąchuje materac Yannisa, po czym przychodzi położyć się przy mnie. Biorę go na ręce i czuję, jak szybko oddycha pod brudną sierścią. Jest ciepły. Żyje.

„A ty, Yannis? Żyjesz?”

Jak mogłabym wyruszyć i nie wiedzieć, czy ostatecznie udało ci się przeżyć?

Muszę wiedzieć, że żyjesz. Po prostu. Muszę wiedzieć, że gdzieś na tej planecie, na której tyle osób ostatnio zmarło, jest taki Yannis. Muszę wiedzieć, że gdzieś tam, nawet daleko ode mnie, będziesz sobie żył, śmiał się, unosił brwi, kontemplował lisa wychodzącego z zagajnika.

Muszę też wiedzieć, że wszystko, co zrobię, żeby powstrzymać wojsko od przyjscia na spotkanie 24 grudnia, ma jakiś sens. Bo ty tam będziesz.

Muszę wiedzieć, że będę mogła cię odnaleźć pewnego dnia”.

„Proszę, czekaj na mnie...”

—

Happy mnie obudził. Kręci się po pokoju.

Cholera, przysnęłam.

Zrobiło się zimno. Która godzina? Dziesiąta wieczór, północ czy już prawie świta?

Gazowa lampka, którą zostawiłam zapaloną, połyskuje białym, bezcieniowym blaskiem. Co się dzieje?

Słyszę coś znowu za swoimi plecami – dyskretny, ale wyraźny, powtarzający się odgłos przy roletach. Nie ma wątpliwości: ktoś puka. Ktoś puka w roletę!

Kto by zaryzykował coś takiego, jeśli nie Yannis?

Happy, podniecony, za chwilę wyjdzie z siebie.

Szabrownicy czy wojskowi z pewnością wybraliby wejście siłowe. Ale nigdy nie wiadomo. Chwytam jeden z pistoletów – robi mniejsze wrażenie niż karabin, ale tym

przynajmniej potrafię się posługiwać. Gaszę lampkę gazową, zapalam czołówkę. Zamkniętą szklaną tafelę oświetla snop niemalże fioletowego światła. Uchylam okno. W tej samej chwili słyszę, jak Yannis szepcze za zamkniętą roletą.

– Stéphane, to ja!

Sam? Odkładam spluwę, otwieram rolety. Happy nie może się doczekać. Ta znajoma długa postać, w nocy. Yannis balansuje na poręczy balkonu, ze zmrużonymi oczami, oślepiiony przez moją czołówkę.

– Wchodź szybko.

Gaszę latarkę, a on wślizguje się do środka. Zapalam świeczkę. On się uśmiecha, choć być może jest nieco przestraszony. Dlaczego?

– Żyjesz – mówię głosem, którego nie poznaję.

Robię dwa kroki w jego stronę. Żeby go pocałować czy spoliczkować? Sama nie wiem. Ostatecznie się cofam, opadam na kanapę.

Tak wielki mam do niego żal, teraz – tuż po.

– Ty żyjesz, Yannis – powtarzam, prawie z bólem.

Coś w moim głosie brzmi nieczysto. Albo wręcz pęka.

„Tak bardzo się bałam, Yannis, że więcej cię nie zobaczę, że straciłam cię tak, jak straciłam Marca, Aleksa, tych wszystkich, którzy się do mnie zbliżyli”.

Happy jakby zrozumiał to szybciej niż jego pan. Podchodzi i zwija się przy mnie. Ten gest pokrzepienia sprawia, że wybucham płaczem.

Yannis podchodzi do mnie niezdarnie. Chciałabym, żeby wziął mnie w ramiona i pocieszył.

– Zostań tam, gdzie stoisz.

Nie chcę, żeby to robił. Jeszcze czego.

Yannis nieruchomieje metr ode mnie, odrzucony, podczas gdy ja zwijam się w kłębek i wypłakuję cały swój strach.

Mój towarzysz obraca fotel, w którym czekałam na niego przed drzwiami wejściowymi i siada naprzeciwko mnie. Czeka, aż skończą mi się łzy, ale one nie chcą przestać płynąć.

– Udało mi się przedostać do Paryża i odszukać François – mówi. – Żyje, ale nie chciał ze mną iść.

Dlaczego znów płaczę? Liczy się tylko to, że Yannis żyje.

– Był przesłuchiwany przez żandarmerię. Uniewinnili go. Natomiast nas szukają. Miałaś rację, oni myślą, że to spotkanie 24 grudnia to spisek przeciwko wojsku.

Gdyby Yannis wiedział, jak bardzo mam gdzieś to ich pieprzone spotkanie!

– Powinieneś być mnie uprzedzić, Yannis. Obiecaliśmy sobie, że...

Znów się zaczyna. Płacz i cały ten strach. Wypłakuję wszystkie łzy tego świata.

Idę do łazienki. Potrzebuję zimnej wody, żeby się uspokoić. Happy idzie za mną. Czy ma żal do swojego pana? Przed chwilą witał go tak radośnie...

Gdy wracam, palą się wszystkie świece. Yannis patrzy na mnie bardziej z niepokojem niż z poczuciem winy. „Jak się masz, Stéphane, po tych wszystkich łzach?”

– Rozmawiałeś bezpośrednio z François? – pytam go. – Mówił ci, gdzie go przesłuchiwali i kto to był?

– Odnalazłem go w Z-Punkcie Salpêtrière. Nie mogliśmy za długo gadać. François był zamknięty w celi, ale teraz, kiedy został już uniewinniony, powinni go uwolnić bardzo szybko.

– Mówił ci coś o moim ojcu? Mój ojciec go przesłuchiwał?

– Nie wiem.

Nagle robi zmęczoną minę. Albo zakłopotaną.

– Uważasz, że za bardzo na niego liczę?

Yannis grzebie w plecaku i odpowiada dopiero po chwili.

– Już za późno, Stéphane... Za późno dla nas i dla ciebie.

Rozkłada jakiś plakat. Musiał go zerwać ze ściany. To, co widzę przy blasku świec, zdecydowanie mi wystarcza: to twarze naszej czwórki. François, Marco, Yannis i ja. Nasze twarze. Nasze nazwiska. I te słowa wytłuszczonym drukiem: „Terrorysty”, „Poszukiwani żywi”.

– Daj mi to!

*Ci osobnicy są NIEBEZPIECZNI i UZBROJENI.*

*Poszukiwani za ZABÓJSTWO dokonane na przedstawicielu władz członkowie gangu przestępców planujących spisek TERRORYSTYCZNY. Jeśli zobaczysz te osoby, nie próbuj ich zatrzymać. Natychmiast zawiadom siły wojskowe albo kierownictwo w twoim Z-Punkcie.*

– Wojskowi wiedzą, że byłeś w lesie razem z Markiem – mówi Yannis. – Przesłuchiwali Elisę. Mnie nadal szukają za zabójstwo tego wojskowego w Lyonie. Poza tym wszyscy Eksperci WOT są teraz podejrzani o terroryzm.

– To niemożliwe. Mój ojciec nie mógł... Nic nie rozumiesz, Yannis. Rozkleili te plakaty, żeby nas odnaleźć żywych. Tu jest napisane: „Poszukiwani żywi”.

Yannis składa plakat, kręci głową.

– Nic nie rozumiesz... – upieram się. – Ja go znajdę. Wytłumaczę mu.

Yannis gwałtownie wstaje.

– OK, no to idź! I wierz sobie, w co chcesz. Ja pewnie jestem za głupi, żeby zrozumieć... Więc wierz sobie, w co chcesz.

Yannis idzie do kuchni zrobić sobie coś do jedzenia. Mam ochotę do niego dołączyć, Chciałabym czuć, że jest ze mną, nie przeciwko mnie. Chciałabym zapytać go o François, o to, co przeżył przez kilka ostatnich godzin. Ostatecznie jednak tego nie robię.

Drzemię, czekając na niego na kanapie. Oczy wciąż jeszcze palą mnie od łez.

## 14 GRUDNIA

Kiedy się budzę, ciągle jest noc. Która godzina?

Yannis śpi na swoim materacu, z Happy'm u boku. Plakat leży na kanapie obok mnie. Czytam go ponownie w świetle czołówki. Mój ojciec przykleił moją twarz na murze, razem z twarzami moich przyjaciół. Generalny nadzorca Philippe Certaldo, członek wojskowego zarządu Paryża, pozwolił na rozwieszenie twarzy swojej córki na murach całego miasta. I wezwał innych, by na nią donosili.

„Nakaz ścigania”. „Terrorysty”. Kiedy Marco zmusił mnie, żebym została z nim po zabójstwach, liczył na to, że władze uznają mnie za współwinną. Widzę znów jego oczy, kiedy mówił: „Twoje DNA jest wszędzie na tym gościu, Lady! Nawet z pomocą tatusia będzie ci trudno wmówić im, że nie masz nic wspólnego z jego śmiercią. Ten trup już ci nie pomoże oczyścić się z zarzutów”. Ale mój ojciec? Jak mógł pomyśleć, że mam coś wspólnego z tymi morderstwami?

Napisali: „Poszukiwani żywi”.

Czy ten plakat to naprawdę ostatni środek, jakim dysponował mój ojciec, żeby mnie odnaleźć? Sama już nie wiem.

Chciałabym być z mamą i Nathanem. Mama mnie wysłucha. Uwierzy mi, nie pozwoli oskarżać mnie bez dowodów. Muszę skupić się na tym celu: znaleźć komputer, przejrzeć zawartość pendrive'a i ich odszukać.

Następnie uniewinnię Yannisa. Sam zobaczy, huzar jeden, czy żyję złudzeniami.

---

Yannis budzi się o wschodzie słońca. Przygląda mi się badawczo, zaniepokojony, stara się wyczuć mój nastrój. Sama nie wiem, jaki jest.

Pijemy razem kawę, którą podgrzałam na ogniu podsycanym fragmentami drewnianych skrzynek. W czasie długiej włączki nauczyłam się już swobodnie czuć w towarzystwie Yannisa – ale teraz chcę, żeby ofiarował mi swoje zaufanie. On nie zrozumie politycznych rozgrywek na wysokim szczeblu ani sposobu myślenia czy postępowania mojego ojca. Jeśli jednak ojciec wciąż stara się mnie uratować, tak jak mi się zdaje, znajdę jakiś sposób, żeby oszczędził też Yannisa.

„Zobaczysz, przyjacielu...”

Yannis w kilku zdaniach opowiada mi o swojej wyprawie do Salpêtrière. O mało co go nie złapali, musiał uciekać pod ostrzałem.

– W drodze powrotnej widziałem w tej dzielnicy pełno żółtych kamizelek – mówi. – To ludzie na usługach wojska. Będziemy musieli się stąd ruszyć.

– Chcesz się przedostać do Paryża?

– Nie wiem. Co o tym myślisz?

– Najpilniejszą sprawą jest komputer.

„A potem ja z kolei zostawię cię na dwa albo trzy dni – potrzebuję tego czasu, żeby odszukać moją rodzinę i załatwić twoje uniewinnienie. Uniewinnienie nas wszystkich. Przed 24 grudnia, niezależnie od tego, czy tam ostatecznie pójdziesz, czy nie”.

Rzucam okiem przez kuchenne okno. Na zewnątrz nie widzę nikogo, w każdym razie żadnych wojskowych. Ale od chwili przebudzenia coś mnie trapi.

– Zrobiłam wczoraj głupotę. Kiedy wyszłam na dwór, żeby czekać na ciebie, zabrałam ze sobą karabin. Każdy mógł mnie rozpoznać i donieść władzom.

– OK – mówi Yannis. – Czyli nie mamy wyboru, zwijamy się stąd od razu i znajdujemy jakieś bezpieczne schronienie przed nocą. Potem, najpóźniej jutro, poszukamy gdzieś komputera.

W jego głosie nie ma ani śladu wyrzutu. Zaskoczenia zresztą też nie. Tak jakby myślał, że kiedy zostanie sama, mogą zrobić coś głupiego.

– Przedtem musimy ukryć gdzieś broń, leki, prowiant, wszystko, co nas obciąża i może przeszkadzać nam w poszukiwaniach. OK?

W pośpiechu wkładamy najcenniejsze rzeczy do czterech toreb i dwóch plecaków. Karabin przewieszam sobie przez ramię pomimo protestów Yannisa. Nie chcę rezygnować z tego środka odstraszenia.

Na zewnątrz panuje gorączkowa atmosfera: dziesiątki nastolatków, grupkami, po dwie czy trzy osoby, również przenoszą swoje skarby z jednej kryjówki do drugiej. Niosą materace, kanistry, pchają przed sobą wózki sklepowe z prowiantem. Ostatniego dnia przed permanentną godziną policyjną przyszli wyjęci spod prawa organizują się, żeby przetrwać, zabunkrowani, i ta myśl w jakiś przedziwny sposób napełnia mnie nadzieją. Bez powodu czy zbieżności z moimi planami. Mnie, która liczę na mojego ojca i wojsko, żeby uzyskać dla nas uniewinnienie.

Po dwóch godzinach poszukiwań, czyli prób sforsowania zamkniętych drzwi na klatki schodowe, zagładania do pozajmowanych lub splądrowanych budynków, omijania bram pilnowanych przez uzbrojonych i nieufnych młodych ludzi, ostatecznie znajdujemy kryjówkę w pustym budynku przy ulicy Benserade. Chowamy tam, w szybie windy, nasze najcenniejsze rzeczy: broń i amunicję, leki, baterie, lampki.

W ramach ostrożności postanawiamy poczekać tu godzinę. Musimy mieć pewność, że nikt nie widział, jak wchodziliśmy z pełnymi torbami, i nie zobaczy, jak będziemy wychodzić z pustymi rękoma.

Yannis siada, otwiera butelkę wody, podsuwa Happy'emu ciasteczko. Patrzy na mnie poważnie.

– Gdybyśmy się zgubili i chcieli znów odnaleźć, umówmy się, że tutaj będzie punkt kontaktowy, OK?

Yannis nie pójdzie ze mną. Pójdzie do wieży Zegarowej – pomimo niebezpieczeństwa. Nie chce odpuścić.

– Dlaczego tak kurczowo trzymasz się tego spotkania, Yannis? Wiara w Khronosa jest równie absurdalna jak wiara w Świętego Mikołaja!

– Akurat ty nie powinnaś wypowiadać się na ten temat! Sama myślisz, że twój ojciec załatwi wszystko jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki.

Mierzmy się wzrokiem przez krótką chwilę. Czy ten pieprzony plakat i te dwadzieścia cztery godziny nieobecności Yannisa mogły rozwalić cudowne, niewymagające słów porozumienie, które między nami zaistniało?

– Listy gończe rozwieszono z powodu Marca – mówię. – To przez niego jestem poszukiwana za morderstwo. Mój ojciec doskonale wie, że nigdy...

– No nie, weź się posłuchaj! Pozwól tylko, że ci przypomnę: Marco wtedy, przy stacji Gentilly, uratował nam życie!

Nigdy nie widziałam, żeby się tak złościł.

– I poświęcił swoje. A jeśli strzelał do tych wojskowych w lesie, to też po to, żeby nas ratować – bo twój ojciec kazał nas ścigać.

– A kiedy zastrzelił żołnierza w Lyonie, żeby ratować twoją skórę? To też była wina mojego ojca?

– Prawdziwa z ciebie *khamja*, Stéphane!

Padła obelga. Nie trzeba znać arabskiego, żeby się domyślić.



– To przez twojego ojca jesteśmy ścigani, Stéphane. Wiesz to równie dobrze jak ja. Jeżeli nawet do niego dotrzesz i on ci pomoże, poważnie myślisz, że będzie się przejmował jakimś dzieciakiem z marsylskiego blokowiska?

– Przestań zgrywać ofiarę, bo w końcu się nią staniesz.

– A ty przestań bez przerwy gadać o swoim ojcu...

Nagle Yannis gwałtownie milknie. Chcę mu się odciąć, ale on kładzie mi palec na wargach.

– Ciii, zamknij się. Słyszę jakiś hałas...

– Nie powstrzymasz mnie przed...

Yannis przywiera do mnie, kładzie mi rękę na ustach. Staram się brutalnie go odepchnąć, ale docierają do mnie jakieś głosy z zewnątrz. Potem kroki. Bardzo blisko, tuż obok, na ulicy.

Czuję rękę Yannisa na moich ustach. Jego ciało przy moim. Jego ciepło. Jeszcze chwilę temu byłabym go spoliczkowała, ale teraz, teraz... Cholera! Gwałtownie się uwalniam.

– Pospieszmy się, trzeba znaleźć jakąś kryjówkę i komputer. A potem...

A potem *inszallah*, prawda, Yannis?

## NOC Z 14 NA 15 GRUDNIA

– Są też na równoległej ulicy! Całe dziesiątki! Przyjeżdżają ciężarówkami!

Yannis wraca biegiem do hallu, w którym się ukrywam.

Dziś wieczorem w całym Gentilly jest zdecydowanie za dużo ludzi w żółtych kamizelkach. Już trochę wcześniej o mało co na nich nie wpadliśmy. Wchodzą grupkami do każdej klatki schodowej, otwierają drzwi na każdym piętrze, krzyczą do ocalałych, żeby udali się do Z-Punktów pod groźbą naruszenia stanu wojennego. Straszą, że niepokorni od jutra zostaną uznani za kryminalistów. Nie wiem, czy wszędzie jest ich aż tylu, czy może pojawili się dlatego, że jakiś sąsiad zauważył mnie wczoraj na dworze. Jest ich ze dwudziestu na ulicy, przy której stoi nasz dawny pałac, teraz już niedostępny.

– OK – mówię. – W najgorszym wypadku poczekamy tu do nocy.

Ukryci w bramie, o mało co nie wpadliśmy na trzech takich chłopaków. Czy są uzbrojeni? Nie mam ochoty wykorzystywać naszych spluw... Ale musimy znaleźć sobie jakąś kryjówkę, i to szybko.

– Co robimy? – pyta Yannis po raz drugi.

– Na razie nie ruszamy się stąd. Idealnie byłoby, jakbyśmy znaleźli jakichś innych „terrorystów”, którzy zgodziliby się nam pomóc. Co ty na to?

Przed chwilą ulicą Lecoq przeszła jakaś dziewczyna. Niosła torbę, nie miała kamizelki, potajemnie weszła na podwórko fabryczki naprzeciwko. Stoi tam zaparkowany traktor. Nie było czasu na reakcję. To jedyna żywa istota, którą widzieliśmy od trzech godzin, poza pomocnikami wojska. Za godzinę zacznie się permanentna godzina policyjna. Zostaniemy bez prowiantu i bez wody – nie mamy nawet pewności, czy uda nam się wrócić do szybu windy przy ulicy Benserade bez niepożądanych spotkań po drodze.

Czuję, jak rośnie we mnie złość na moją wczorajszą nieostrożność i na Yannisa. Złość bez powodu.

Happy warczy: jakiś gość pojawia się na końcu ulicy. Przyspiesza kroku, pewnie chce zdążyć przed nocą. Jest ode mnie o głowę wyższy i dwa razy szerszy w barach, ma sylwetkę tragarza, ale mam to gdzieś. On też idzie w kierunku metalowych drzwi fabryczki.

I wygląda na to, że stara się być dyskretny. Puka dwa razy.

Nie ma czasu na uzgodnienia – taka okazja już się nie powtórzy.

– Nie ruszaj się. Bądź cicho.

Lufa mojego pistoletu jest tuż przy jego skroni. Chłopak drży i zawiesza swój gest.

– Jak się nazywasz? Odpowiadaj cicho.

– Jules.

– Jesteś praworęczny, Jules?

Przytakuje. Chwytam go za lewą rękę i wykręcam mu ją na plecy. Podciągam bardzo wysoko. Prawie ją łamię. Chłopak krzyczy z bólu.

– Widzisz, nawet jeśli zrobisz coś głupiego, nie złamię ci najbardziej potrzebnej ręki, przynajmniej nie na początku. Masz broń?

– Przy pasku... – mamrocze.

Obmacuję go. Znajduję długi wojskowy nóż, odwracam się i podaję go Yannisowi, który zdążył już do mnie podejść. Twarz mojego przyjaciela jest nieprzenikniona. Następnie podnoszę rękę mojego więźnia. Ten znowu się spina, ale już nie krzyczy.

– Wiesz, czy ta dziewczyna w środku jest sama?

– Ja... wydaje mi się... – bąka.

– Ma komputer?

– Nie wiem.

– Dobrze... Teraz znów zapukasz do drzwi. I ani słowa.

Chłopak puka trzy razy, płaską dłonią. Nadstawiamy uszu. Nikt nie podchodzi do drzwi, ale chciałoby się powiedzieć, że słysząc... jakiś śpiew.

– Zapukaj jeszcze raz! Mocniej!

– To ja, Jules, otwórz mi! – próbuje.

Ostatecznie ktoś nam otwiera – dziewczyna w czarnej czapce. Na nasz widok na jej twarzy pojawia się chwilowy wyraz zaskoczenia. Znam tę twarz. Gdzie ja już spotkałam tę dziewczynę?

– Wybacz, wzięli mnie z zaskoczenia... – dyszy Jules.

Dziewczyna wciąż stoi w drzwiach.

– Cofnij się!

Wrzeszczę, popychając jednocześnie Jules'a do środka. Chłopak potrąca naszą gospodynię, która robi dwa kroki w tył. Wchodzimy do budynku fabryczki zlikwidowanej na długo przed pandemią. Jedną czwartą wolnej przestrzeni między maszynami zajmuje ogromna przyczepa, podobna do tych, których używa się do transportu bydła.

– Zamknij za nami, Yannis. A ty odsuń się dalej!

Dziewczyna nie reaguje. Wygląda, jakby szukała naszego słabego punktu.

– Do tyłu, no już!

Teraz wreszcie niechętnie robi, co mówię. Czy to jej duma wymaga, żeby z opóźnieniem wykonywać rozkazy? No gdzie ja widziałam tę twarz? Na pewno nie w Gentilly, to musi być coś starszego... Przyjaciółka? Wróg? Przez tę czapkę na głowie i w półmroku nie widać za dobrze jej rysów. Yannis popycha ją w stronę maszyn, ale ona się nie spieszy, protestuje.

– Coś się stało Maksowi? – pyta Jules'a.

– Jest z nim pewien kłopot. Odmawia...

Podnoszę lewe ramię mojego więźnia. Chłopak zaczyna krzyczeć. Jednocześnie wymachuję pistoletem w stronę dziewczyny.

– Dobrze się czujecie? Nie przeszkadzamy wam?

Dziewczyna robi dwa kroki w bok, ale nie spuszcza ze mnie wzroku. Do stu diabłów, nie mogłaby choć przez chwilę poudawać – tylko poudawać – że się boi?

– Masz broń?

Mam ochotę ją spoliczkować. Czy Yannis to czuje? Podchodzi do mnie, podaje mi karabin.

– Trzymaj ich na muszce – sugeruje. – Ja ich obszukam.

Związuje im ręce, a potem zmusza, żeby usiedli w kącie hali, pod ścianą. Klękam obok, z karabinem w poprzek ud.

– Dobra, teraz pora na wyjaśnienia – mówię. – Żandarmeria poszukuje nas za morderstwo. Terroryzm, jak mówią. Pewnie macie gdzieś, że jesteśmy niewinni. A my mamy gdzieś to, że nam nie wierzycie. Potrzebujemy miejsca na noc i trafiło na was. Macie coś do jedzenia i picia?

Dziewczyna kiwa głową.

– W przyczepie. Tam są zapasy moje i mojego kuzyna.

– A komputer masz?

Tym razem zaprzecza.

– Trzeba będzie jakiś znaleźć. A na razie skorzystamy z waszego prowiantu.

– Później odejdziemy, nie zrobimy wam krzywdy – dodaje Yannis.

– To niemożliwe – odpowiada nasza więźniarka. – Mam chorego kuzyna. Muszę...  
– Niczego nie musisz – wtrącam. – Twoje plany właśnie się zmieniły. Będziesz nam całkowicie posłuszna, kapujesz? Przykro mi, ale na zewnątrz jest zbyt niebezpiecznie.

Dziewczyna powoli wstaje. Czy nie mogłaby jednak być posłuszna jak Jules? Taki niby mięśniak, a wygląda, jakby robił pod siebie. Z trzaskiem przeładowuję karabin.

– Spoko, Stéphane – łagodzi Yannis, sam spięty.

– Stéphane... – powtarza dziewczyna. – Byłam prawie pewna. Znam cię. Jestem Kori, córka rolników z Menesguen w pobliżu Dourdu.

Teraz to ja wstaję, szczeka mi opada. Kori? Sąsiadka mamy?

Ściągam jej czapkę lufą karabinu. Długie rude włosy opadają na ramiona. Kori, tak, przypominam sobie... Spotkałyśmy się dwa czy trzy razy w poprzednie wakacje.

To nieprawdopodobne, wpaść na nią niespodziewanie tuż pod Paryżem.

Twarz Yannisa nagle się rozluźnia, twarz Jules'a też. Opuszczam karabin. Czy Kori wie coś o ewakuacji mamy i Nathana?

– Nie żyją. Twój brat i matka, razem z twoim ojczymem. Wszyscy troje.

Co ona opowiada?

– Jedna z moich przyjaciółek widziała ich ciała. Ja... tak mi przykro.

To niemożliwe. Tata mi obiecał, że damy sobie radę, oni nie mogą...

– Zamknij się. Kłamiesz.

Kori przygląda mi się, nic nie rozumiejąc. Otwiera usta.

– Zamknij się, wyraźnie ci mówię. Siadaj!

Krzyczę. Odwracam się do Yannisa. Widzę w jego oczach litość, współczucie, również niezrozumienie.

– Jest tu piwnica, jakiś skład?

Kori wskazuje brodą na jakieś drzwi po lewej stronie.

– Yannis, uwolnij mnie, proszę, od tej kłamczuchy i jej kumpla.

Yannis rozwiązuje naszym więźniom ręce przed zamknięciem ich w schowku. Wraca i siada obok mnie.

– Stéphane... Najpierw coś zjemy, a potem przeanalizujemy naszą sytuację. OK?

Mój towarzysz przeszukuje przyczepę, otwieramy pudełka. Kiedy pochłaniamy zapasy Kori, Yannis co chwilę rzuca na mnie niespokojne spojrzenia. Nie podoba mu się to wszystko.

– Ta dziewczyna kłamie o Nathanie i mamie – mówię. – Mój ojciec zapewniał mnie, że wszystko będzie dobrze.

– Powiedział ci, że twój brat i twoja matka żyją? Jesteś pewna?

– Nie wiem... Sama już nie wiem. Powiedział tylko, że wszystko będzie dobrze, kiedy już będziemy razem.

Racja, ojciec nie mówił nic konkretnego. Czy to możliwe? Jeśli jednak nie pojechał po mamę i Nathana, co robił po ucieczce z Lyonu?

Nie chcę rozmawiać o tym z Yannisem. Tymczasem on opowiada, jak wyobraża sobie świat, który trzeba będzie zbudować, „jeżeli Khronosowi się nie uda albo jeśli go nie ma”.

Yannis chce opuścić miasto, żyć jak Elissa na wsi i odbudowywać wszystko inaczej.

– Marzyciel z ciebie, Yannis.

Właściwie miałam powiedzieć „niepoprawny marzyciel”. Ja sama czuję się bardziej niż kiedykolwiek niezdolna do myślenia o **potem**. Potem, czyli kiedy? Z kim? Z moim ojcem, mamą, Nathanem? Chciałabym, żeby w moim planie było miejsce dla Yannisa. Nie wiem, czy to będzie możliwe.

– Mam nadzieję, że świat będzie należał do marzycieli – dodaję przed zgaszeniem lampki.

Uśmiech, którym obdarza mnie Yannis, wyraża zaskoczenie i jest pierwszym naprawdę szczerym od jego powrotu od François.

## 15 GRUDNIA, ŚWIT

Zimno panujące w fabryczce nie dawało nam spać. Drzemaliśmy tylko przez krótkie momenty. Yannis przynajmniej ma psa, który go grzeje. Około szóstej rano mój towarzysz sugeruje, żebyśmy wypuścili więźniów ze schowka.

– Są tam już od dwunastu godzin.

Jak dla mnie, mogą tam posiedzieć dwie godziny dłużej.

– Kto wie, może w tej ciemności zastawili na nas pułapkę? Kori jest zapewne zdolna do wszystkiego.

Mój przyjaciel odpuszcza. Mam wrażenie, że patrzy na mnie inaczej, w nowy sposób, jak gdyby całkiem przestał mnie rozumieć.

Yannis uwalnia ich, kiedy tylko zaczyna świtać. Wyglądają na zmęczonych i zziębniętych – oni też z pewnością nie zmrużyli oka.

Yannis bierze moją broń i trzyma ich na dystans. Pozwala im umyć się w tutejszej łazience. Oczywiście nie ma bieżącej wody, ale Kori ma zapas w kanistrach. Podczas gdy oni są zajęci poranną toaletą, ja przeszukuję przyczepę, prawdziwy wojenny łup dla szabrowników.

Wracam do łazienki i orientuję się, że Yannis pozwala naszym więźniom rozmawiać bez nadzoru. Wydieram się na nich, a mój towarzysz bierze ich w obronę. Czuję, że zaczynam łapać schizę. W co on gra, do cholery?

Yannis prowadzi naszych więźniów w stronę koca rozłożonego na ziemi. Maczają teraz kawałki suchego pieczywa w gorącej kawie i zamieniają kilka słów. Happy stara się załapać na jakieś resztki z ich śniadania.

– Wiem, że wczoraj nie musiałam mierzyć do was z broni – mówię do nich gwałtownie. – Jednak mam zamiar używać przemocy tak długo, jak będzie to konieczne.

Moja tyrada brzmi fałszywie nawet w moich własnych uszach, ale oni podnoszą na mnie wzrok.

– Uprzedzam was, żebyście nie mieli złudzeń. Nie polubimy się tylko dlatego, że kiedyś byliśmy sąsiadkami. My z Yannisem nie chcemy ryzykować. Zrozumiano?

Nasi więźniowie kiwają głowami.

– OK. To słuchajcie. Wygląda na to, że mamy całkiem sporo zapasów jedzenia, ale potrzebujemy jeszcze jakiegoś laptopa z naładowaną baterią. Ktoś z was musi wyjść i znaleźć takiego kompa. Kto pójdzie?

Patrzą po sobie. Oczywiście jako pierwsza reaguje Kori.

– Chyba wiem, skąd wziąć laptopa.

– Skąd?

– Moi... Mam przyjaciół, którzy zajmują się kontrabandą.

– Tak. Domyślam się. Wydajesz się konkretnie ogarnięta jak na Bretonkę w Paryżu.

– Kiepski plan – wtrąca Yannis bardzo celnie. – Jaką mamy gwarancję, że nie zaprowadzisz nas do swoich dwunastu przyjaciół handlarzy uzbrojonych po zęby?

Kori próbuje czegoś innego.

– OK, można jeszcze spróbować w szkole. Jest tam sprzęt, ale nie wiem, jak z bateriami.

– To mi się bardziej podoba – przytakuje.

– Mnie też się podoba – mówi Yannis. – Możemy tam dojść tak, żeby nikt nas nie widział?

Schylam się już po plecak, ale Yannis mnie powstrzymuje.

– Ja z nią pójdę.

Nie pozostawia mi pola do dyskusji. Proszę bardzo. Muszę się tylko upewnić, że Kori rozumie zasady gry.

– Jak sądzisz, Kori, ile czasu zajmie wam ta wycieczka?

– Najwyżej półtorej godziny.

Przykładam lufę karabinu do głowy naszego więźnia. Chcę, żeby to było jasne dla wszystkich.

– Wiesz, Jules, gdzie jest chory kuzyn Kori, prawda? Twój przyjaciele się nim zajmują, tak?

Chłopak kiwa głową. Odbezpieczam broń, Jules podskakuje.

– Jeśli Kori i Yannis nie wrócą za półtorej godziny, wskażesz mi, gdzie mieszka ten niepełnosprawny kuzyn?

Kori rzuca mi mroczne spojrzenie. Doskonale zrozumiała mój przekaz.

– Półtorej godziny – powtarzam, patrząc jej prosto w oczy.

Yannis się krzywi. Niech sobie myśli, co chce, teraz liczy się tylko to, żeby Kori nie wywiodła nas w pole. Jakoś nie ufam tej dziewczynie. Coś mi mówi, że za tą śliczną buźką kryje się umysł gotowy na wszystko.

Ustalamy kod rozpoznawczy. Kori i Yannis wychodzą, z Happy'm podążającym za nimi krok w krok.

Zaraz potem przesuwam jedną ze skrzyń w pobliże metalowych drzwi, żeby je zablokować, i wracam do mojego więźnia, który siedzi oparty o ścianę hangaru, obok przyczepy.

Jules popatruje na mnie niespokojnie.

Jak na gościa o takiej posturze nie jest chyba zbyt pewny siebie.

– Boisz się mnie? – pytam.

Kiwa głową.

– Tym lepiej. To cię powstrzyma przed robieniem głupstw. Nie mam ochoty zrobić ci krzywdy, rozumiesz?

– Nie boję się o siebie, boję się o Alicję.

Odpowiada rzeczowym tonem, bez agresji.

– To twoja dziewczyna?

– Nie, Alicja jest moją młodszą siostrą. Ma tylko siedem lat. Ona... mnie potrzebuje.

– Kłamiesz. To niemożliwe. Nie mogła dostać szczepionki.

Tym razem to on patrzy na mnie, jak gdybym oszalała. Potem się odgryza:

– Nie kłamię – upiera się spokojnie. – Alicja ma siedem lat i żyje...

Pomyliłam się co do niego. Ten gość nie ma w sobie nic z tchórza. Jednak to, co próbuje mi tutaj wmówić, nie ma żadnego sensu.

Czy to w ogóle możliwe?

Jules dotyka lewego przedramienia już trzeci raz w ciągu kilku minut, a potem się krzywi. Wydaje mi się, że to właśnie tę rękę oglądał w łazience razem z rudą.

– Co ci się stało w rękę? Pokaż.

Waha się. Nie ufa mi.

– Pokaż – naciskam. – Mój tata był lekarzem. A ja pielęgniarką w Z-Punkcie w Lyonie.

Chłopak wyciąga do mnie rękę. Paskudna sprawa. Całe ramię ma pokryte świeżymi bliznami. Co mu się stało? Boli go jakaś rana w kształcie litery V, spuchnięta, pulsująca i prawdopodobnie ropiejąca.

– Wdało się zakażenie – informuję go. – Wydaje mi się, że masz coś pod skórą. Byłoby lepiej to usunąć.

– Naprawdę jesteś lekarką? A więc usuń mi to.

Najwyraźniej tylko na to czekał. Rozglądam się dookoła. To hala fabryczna. Kurz, brud. Zimno. Naturalne, zbyt słabe światło. Mam odpowiednio wyposażoną apteczkę, ale warunki nie pozwalają zrobić tego jak trzeba.

– Operowałam tylko raz, psa – mówię. – I musiałam mu amputować łapę.

Powinno go to przestraszyć, ale nie, upiera się dalej. I zdradza mi wszystko: pod skórą ma jedną z tych pluskiew, które wojsko wszczepia nastolatkom, żeby ich nadzorować.

„Oznakowano” go bez jego wiedzy. Kori uświadomiła mu to dziś rano.

– To o tym rozmawialiście w łazience?

Tak. Przypominam sobie, że niedawno zaparzałam tu kawę. Mamy palnik. Rzucam okiem na nasze plecaki. Nie będę się tak wahać przez półtorej godziny.

– OK, OK. Zrobię to, o co mnie prosisz.

Wyjmuję z plecaka apteczkę. Są tu leki, które miały przy sobie ofiary Marca, a także inne, zabrane z naszego „pałacu”. Otwieram futerał ze skalpelem.

Jules drży.

– Nie bój się, teoretycznie wiem, co zrobić... A spróbuję tylko pod warunkiem, że się zgadzasz.

Jules patrzy na mnie błyszczącymi oczami, zdeterminowany.

– Uprzedzam cię, że zaboli.

Nastawiłam wodę do zagotowania. Zanurzam we wrzątku kompresy, a potem wyciągam je zdezynfekowaną pęsetą.

– Wiesz może, czy Kori ma morfinę? Albo środki przeciwbólowe?

Kręci głową. Trudno.

– Mam tylko aspirynę. Weźmiesz ją po zabiegu; nie teraz, bo rozrzedza krew. Zrobimy to starym sposobem.

Staram się do niego uśmiechnąć. Cały czas coś mówię, żeby podnieść go na duchu. Jules milknie. Widzę, że jego klatka piersiowa zaczyna unosić się trochę szybciej, ale chłopak nie pęka.

– I jeszcze coś, Jules... W czasie operacji odłożę broń. Ważysz pewnie ze dwadzieścia kilo więcej niż ja i mógłbyś zabić mnie gołymi rękami. Jeśli jednak zamierzasz cokolwiek spróbować, nie zapominaj, że będę miała w ręku skalpel. To tak, jakbym była uzbrojona w brzytwę. Rozumiesz.

Tym razem chłopak uśmiecha się szeroko i nagle robi mi się trochę głupio. Najwyraźniej nawet o tym nie pomyślał.

– No dobrze. Biermy się do roboty. Usiądź na ziemi obok tej skrzyni, połóż rękę na tej wygotowanej szmatce.

Przecieram jego rękę płynem antyseptycznym, a potem dezynfekuję przyrządy. Następnie biorę wyparzony głęboki talerz i wlewam do niego odkażacz. Rozkładam i moczę w płynie kilkanaście gazików. Używam do tego pęsety. Pamiętam, że mój ojciec tak robił – wtedy, kiedy rozwaliłam sobie kolano na rowerze i musiał wyjmować mi żwir ziarenko po ziarenku.

Myję ręce, wkładam lateksowe rękawiczki. Cholera, nie mogę tak się trząść.

– Chcesz coś między zęby? To stara, barbarzyńska sztuczka, ale dzięki temu nie będziesz krzychał...

Jules blednie, ale odważnie chwytając pasek i wyciąga go ze spodni. Wgryza się w skórę, zamyka oczy.

– Nie, Jules, musisz mi poświecić, żeby cień rzucany przez rękę mi nie przeszkadzał – mówię spokojnie. – Myślisz, że dasz radę?

Podaję mu swoją czołówkę. Chłopak wykonuje moje polecenie. Twardziel. Zbliżam



ostrze do jego ręki.

– Bardziej z boku, światło...

Ostrze skalpela ociera się o jego skórę. Muskam skórę, wyobrażając sobie długie cięcie. Tym razem Jules drży.

– Spróbuj się nie ruszać, dopóki nie skończę. Wszystko idzie dobrze.

Płynny i zdecydowany ruch. Skóra otwiera się pod niewiarygodnie cienkim ostrzem, krew płynie, wylewa się żółta ropa. Jules szybko oddycha i zaciska zęby. Czołówka spadła na ziemię, ale nie zgasła. Przyciskam kwadratową gazę do jego przedramienia.

– A teraz to...

Odkładam skalpel na talerz, z drugiego biorę gaziki.

– Tylko nie zemdlej... I postaraj się jak najmniej ruszać.

Jest biały jak prześcieradło. Zaciska zęby na skórze paska, w oczach ma łzy. Klękam przed nim ponownie, z czołówką na głowie.

– Będę liczyła kompresy, żeby żadnego nie zostawić wewnątrz rany. Rób to samo, dobra? Będziesz myślał o czymś innym.

Nasze spojrzenia się krzyżują. Jules wykrzywia się w uśmiechu.

– Ruszamy, teraz będę wyciągać pluskwę.

Chwytam pęsetę i grzebię w ranie. Wyraźnie widzę mały prostokątny obiekt, posrebrzany i zapaćkany krwią. Mam szczęście, wyciągam go za pierwszym razem i rzucam na ziemię. Szerokim strumieniem wylewam na ranę płyn antyseptyczny, nakładam betadine i przykładam kompresy, żeby złagodzić krwotok.

– Zostań ze mną, stary. Najgorsze za nami, trzeba już tylko zszyć ranę. Możesz teraz puścić pasek i napić się miętówki.

Podaję mu butelkę. Jules pociąga solidny łyk.

Jego policzki z powrotem nabierają kolorów.

Moje palce doskonale mnie słuchają – dziękuję ci, tato. Wiążę supełek, który trzeba będzie odciąć za dziesięć dni. Jules klnie, kiedy pierwszy raz przekłuwam mu skórę. To pierwsze słowo, które padło z jego ust od chwili, kiedy wyjęłam skalpel z futerału.

Zszywam dwa brzegi rany, białe i czerwone tkanki znikają pod skórą.

Dopiero w tej chwili zaczynam się pocić. Strużki potu płyną mi po plecach. Mam mokre włosy. Ciągnę za nić, Jules znów syczy przez zęby, a potem szepcze coś niezrozumiałe. W ucho wpadają mi tylko dwa imiona: Maïa i Alicja.

– No proszę. Prawie skończyłam. Wszystko będzie dobrze.

Jules przełyka ślinę, żeby nie krzyzczeć. Kończę szycie, wycieram czoło, zdejmuję rękawiczki i wyrzucam je do kosza.

Stoję w kącie hali i patrzę wokół siebie: na skrzyni leży zakrwawiony kompres, na którym Jules położył rękę. Na ziemi poniewiera się pluskwa. Zużyte gaziki leżą na jednym talerzu, skalpel i pęseta na drugim.

– Już po wszystkim, Jules. Jeszcze tylko ostatni raz przeliczę wszystkie gaziki.

Jules wypuszcza powietrze, jak gdyby trzymał je w płucach przez całą operację, po czym spogląda z ulgą na swoją zszytą rękę.

– Dziękuję. Jesteś prawdziwą Specjalistką – mówi słabym głosem.

– Za dziesięć dni któryś z twoich przyjaciół przetnie supełek i pociągnie za nić z jednej strony. Będziesz o tym pamiętać?

– W naszej komunie jest Aptekarka...

Co to za historia z tą komuną? Inni Eksperci? Inni „terroryści”?

Ślaniając się na nogach, Jules poszedł usiąść w kącie hali. Wygląda na wyczerpanego bólem i emocjami. Ja też jestem wykończona.

Grzebię w plecaku i wyciągam czysty T-shirt. Zdejmuję przepocone ubranie, myję się ciepłą wodą pod pachami i zakładam świeżą koszulkę. Widzę, że Jules ukradkiem mi się przygląda. Nie jestem już taka wstydliva jak kiedyś, ale mimo wszystko nie będę brać przy nim prysznic.

Rzucam okiem na broń leżącą na naszych plecakach. Gdyby spróbował przejąć pistolet, mógłby go chwycić szybciej niż ja. A w walce wręcz byłby górą. Jednak wiem, że tego nie zrobi. Zawarliśmy przymierze krwi: nie zabija się kogoś, kogo dopiero co się wyleczyło; nie zabija się kogoś, kto cię przed chwilą pozszywał.

Mój pacjent przez kilkanaście minut wygląda jak ofiara potężnego nokautu, a potem zaczyna powoli dochodzić do siebie.

– Mówiłaś coś o szczepionce à propos Alicji? Wiesz, mojej młodszej siostry – pyta z odrobiną wahania w głosie.

– Tak. Gdy mieliśmy po jedenaście lat, wszystkich nas zaszczepiono przeciwko zapaleniu opon mózgowych. Ta szczepionka, MeninB-Par, uodporniła nas na filowirusa krwotocznego. Dlatego właśnie przeżyliśmy.

Opowiadam mu wszystko, co wiem: potem MeninB-Par uznano za produkt niebezpieczny i od tej pory podawano go wyłącznie osobom o stwierdzonym zapaleniu opon mózgowych. Zaszczepione nastolatki to jedyne osoby, które przeżyły bez dodatkowych zabezpieczeń. Masowa produkcja szczepionki miała zostać wznowiona, z pewnością jest w toku i prawdopodobnie położy kres epidemii.

– Nie wiem natomiast, jak przeżyła twoja siostrzyczka.

Jules przysypia, a ja bawię się pistoletem – to chyba ten, który należał do Marca. Yannis z Kori wyszli ponad godzinę temu, jeśli wierzyć zegarowi wiszącemu na ścianie w fabryczce. Mam nadzieję, że mój przyjaciel jakoś sobie poradzi. Nie ufam tej dziewczynie.

Odwracam się do mojego „więźnia”.

– Kuzyn Kori też ma siedem lat, prawda?

– Nie, ale jest... – Jules zawiesza głos – niepełnosprawny. No, dziwny.

Chyba go sobie przypominam. To taki wielki osiłek o twarzy dziecka, który wszędzie towarzyszył rudej ostatniego lata. Jules i Kori, oboje, wzięli na siebie ciężar opieki nad kimś słabszym... O dziwo, ta myśl mnie pociesza, choć jednocześnie zawstydzają.

– Wiesz – ostrożnie ciągnie Jules – ona nie kłamała. Jest pewna, że twoja mama i brat zmarli w Bretanii.

– Nie sędzę, nie...

– Dlaczego miałiby z tego wyjść, są zaszczepieni?

Waham się chwilę, ale po co ukrywać prawdę? Za dużo już nakłamałam.

– Ojciec na pewno umieścił ich w bezpiecznym miejscu. Pracuje w armii. Jest jednym z lekarzy wojskowych, którzy walczą z epidemią.

Jules patrzy na mnie oszołomiony.

– A ty jesteś...?

– Terrorystką, tak. To zwariowana historia.

Przy „terrorystce” zrobiłam w powietrzu znak cudzysłowu. Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Jules to rozumie.

15 GRUDNIA, 10.45

Trzy uderzenia. Potem dwa. Potem trzy.

Jules podskakuje, brutalnie wyrwany ze swojego letargu, a ja budzę się oparta o przyczepę. Też przysnęłam. Spoglądam na moją broń. Warto mieć ją przy sobie na wszelki wypadek. Wsuwam pistolet automatyczny pod prawe udo. Yannisowi z pewnością by się to nie spodobało, ale ja wolę być przygotowana.

– Popchnijcie drzwi! – krzyczę. – Są otwarte, ale trochę ciężkie, zablokowałam je.

Dlaczego Yannis wchodzi pierwszy? Cholera, Kori jest za nim i to ona trzyma spluwę. Co za dureń! Jestem pewna, że dał się omamić tą jej śliczną buźką!

– Niespodzianka – mówi ona, uśmiechając się chłodno.

– I nawzajem!

Ja też wyciągam spluwę. Teraz mierzymy się wzrokiem. Broń kontra broń. Yannis jest między nami, ale na razie Kori ma przewagę: jeżeli wystrzelę, zasłoni się Yannisem jak żywą tarczą, a jeżeli ona postanowi strzelać pierwsza, też trafi w niego – bez dwóch zdań.

No, chyba że... Czy ona w ogóle potrafi posługiwać się pistoletem?

Yannis wydaje się kompletnie nie rozumieć powagi sytuacji. Rozgląda się wokół siebie wystraszonymi oczami, po czym odwraca do mnie.

– Stéphane... Co tu się działo?

Sceneria niewątpliwie pasowałaby do jakiegoś horroru: półprzytomny Jules, gaziki w talerzu, krew i zakrwawiony kompres na ziemi, skalpel i pęseta.

– Torturowałaś go!

– Chory jesteś? Och, Yannis, wróć na ziemię! To ja, Stéphane! Właśnie usunęłam mu nadajnik. Tymczasem ty dałeś sobie odebrać broń jak jakiś głupek.

– Wszystko OK... – potakuje Jules. – Ona jest... OK, Kori.

Czy powinnam wziąć na muszkę mojego „więźnia”, żeby przywrócić równowagę?

Nie. Nie chcę. Teraz już nie. A poza tym on nie jest aż tak ważny dla Kori. Jestem tego pewna.

Odzyskać przewagę. Pieprzony karabin! Szukam go po omacku wolną ręką, cały czas mierząc się z Kori wzrokiem.

Ona jakby przejrzała moją strategię.

– Cóż, cóż, cóż – rzuca fałszywie wyluzowanym głosem. – A może byśmy się trochę uspokoiły, droga Stéphane? W głębi duszy wiemy to obydwie. Nikt nie ma tu ochoty nikogo zastrzelić.

Potem mówi, że to wszystko przypomina jej grę komputerową i że w WOT z pewnością sama sprowokowałaby strzelaninę. „Och, nie”. Zamykam na chwilę oczy. Cholera, to niemożliwe, a jednak domyślam się, co się zaraz stanie.

– Grywałeś w coś, Yannis, przystojniaku, przed katastrofą? My z Jules'em byliśmy fanami WOT, nawet Ekspertami! Ach, mówi ci to coś, Yannis?

„Przystojniak Yannis” przykładła pięść do piersi – poważny jak sam papież.

– Rycerz Adrial – mówi.

– Spider Snake – odpowiada Jules.

– Koridwen.

Kori patrzy na mnie z drwiącym uśmiechem na ustach. Nie chciało jej się nawet wymyślić imienia dla swojego awatara, użyła własnego pełnego imienia. Nigdy wcześniej go nie słyszałam.

Wszyscy patrzą na mnie. Są tutaj z tego samego powodu, czekają na spotkanie 24 grudnia. A niech to, w życiu nie wymyśliłabym bardziej groteskowej sytuacji – ja, która chciałam odwiedzić Yannisą od spotkania z Khronosem.

– OK, w grze nazywałam się Lady Rottweiler.

Przyglądam się im po kolei. Czuję ulgę pełną zaskoczenia, niemalże rozbawienia. To już drugi zbieg okoliczności w mniej niż dwadzieścia cztery godziny, z udziałem tych samych osób – Yannis z pewnością nazwałby to znakiem. Czy to pułapka? Raczej nie. Jak niby wojsko miałoby zaaranżować coś tak szalonego?

Nagle Kori kładzie broń na ziemi. Huzar jest bezpieczny. W jego oczach widzę prośbę.

– OK – mówię – koniec z wygłupami.

„Niech ci będzie, Yannis, przystojniaku”.

Wsuwam pistolet do kieszeni kurtki, wstaję.

– Yannis, miałeś czas, żeby znaleźć jakiegoś kompa, czy tylko dałeś sobie odebrać pistolet?

Yannis uprzątnął skrzynkę, na której operowałam Jules’a, i położył na niej komputer. Wyciągam pendrive’a z kieszeni. Yannis klęczy przed ekranem. Cud! Laptop odpala. Podłączam pendrive’a i odsuwam Yannisą, żeby zająć jego miejsce. Na plecach czuję trzy oddechy: niespokojnego Yannisą, zainteresowanej Koridwen i Jules’a.

Klikam.

*DOSSIER: ŚLEDZTWO W SPRAWIE STÉPHANE CERTALDO*

*STATUS: RODZINA PHILIPPE’A CERTALDO*

*PRZEGRUPOWANIE W TRAKCIE. DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZA*

*STAN: ZBIEG, ŻYWI*

*PRIORYTET: WYSOKI*

Marco kliknął wtedy podfolder zatytułowany DZIAŁALNOŚĆ PRZESTĘPCZA/LYON. Robię to samo. Jest tam jeden dokument o Marcu i jeden o Yannisie. Przeglądam pobieżnie ten drugi, klikam nazwisko: fiszka z danymi osobowymi, elementy życiorysu. Kilka zdjęć, w tym to z plakatu. Zdjęcia jego rodziców i siostry. I jeszcze jeden dokument:

PODPALENIE/MARSYLIA. Zdjęcie całkowicie zwęglonego budynku.

– Stéphane... – mówi Yannis za moimi plecami.

Znów na niego spoglądam. Wygląda na wstrząśniętego. Zamykam ten plik.

Drżącą ręką klikam dokument BRETANIA/DOURDU. Jest tam plan sytuacyjny, zdjęcia domu, notatka wskazująca, że mogę próbować dotrzeć do mojej rodziny ze strony matki. Są też zdjęcia mojej matki, Nathana i mojego ojczyma oraz notka o każdym z nich.

*CATHERINE LAURETTE, była żona PHILIPPE’A CERTALDO. Status nieznan.*  
*Prawdopodobny zgon.*

*NATHAN CERTALDO. Status nieznan. Prawdopodobny zgon.*

Ta wiadomość jak lód ścina mi krew w żyłach. Moja dusza umiera, a mózg płonie. W brzuchu czuję potwornie ciężki kamień.

Przeczytać, muszę ponownie przeczytać tych kilka słów.

Yannis kładzie mi rękę na ramieniu. Podrywam się gwałtownie.

– Stéphane – powtarza tonem nieskończenie łagodniejszym niż chwilę temu.

Nie chcę jego litości! On nie może wiedzieć, jak... Odwracam się. Koridwen patrzy w ekran, a potem na mnie. Nie odwraca oczu. „Mówiłam ci. Przykro mi”.

Nie mogę się załamać. Nie teraz.

Przełykam ślinę, gorzką jak żółć. To niemożliwe. Niemożliwe. Tata powiedział mi przecież, że teraz już wszystko będzie dobrze.

Klikam folder o nazwie PARYŻ/KHRONOS. Według śledztwa wojskowych Khronos to silnik gry, coś w rodzaju sztucznej inteligencji. Wiadomość od niego była zaproszeniem do resetu systemu i ponownego rozpoczęcia gry od pierwszej kampanii. Tamta kampania zaczęła się właśnie 24 grudnia w Paryżu. Kiedy wojsko odkryło, że Marco, Yannis i ja byliśmy Ekspertami WOT, wydedukowało, że 24 grudnia w Paryżu prawdopodobnie odbędzie się wywrotowe, kryminalne spotkanie.

– Sztucz... Sztuczna inteligencja? – bełkocze Yannis.

Khronos nie istnieje. Khronos to tylko aplikacja, silnik gry.

Czytam dalej na głos. Koniec złudzeń. Koniec nadziei i kłamstw. Kiedy w końcu się odwracam, wszyscy mają oczy wlepione w ekran. Mogłabym triumfować, powiedzieć im, że od samego początku miałam rację, bo nigdy w to nie wierzyłam. Jednak mam to gdzieś. Mam gdzieś, że daliby się oszukać. Nie cieszy mnie, że wyprowadziłam ich z błędu. Nic już nie jest ważne.

– Nie cofniemy się w czasie, chłopaki! Koniec marzeń!

– Nie masz o tym pojęcia, Stéphane – odpowiada Kori.

– Właśnie wam przeczytałam. Wiadomość Khronosa została wygenerowana przez silnik gry, to po prostu wiadomość o reseście. Ktoś z was grał w WOT od początku?

– Ja – przytakuje Jules niemrawo.

– Wojna Kłamców zaczęła się 24 grudnia pod wieżą Zegarową?

Jules kiwa głową.

– No właśnie.

– Nie tylko Khronos przenosi się w czasie – replikuje Kori.

Nie zamierzam się z nią kłócić, nie chcę się denerwować. Chcę tylko uniknąć tej absurdałnej rozmowy. Chcę być sama albo z Yannisem, chcę razem z nim przeżywać nasze smutki i rozczarowania. Ale co zrobić z Happy, który znów się denerwuje? Szczeka bez opamiętania przy wyjściu z fabryczki.

– Czy Rycerz Adrial mógłby powiedzieć swojemu psu, żeby się zamknął? Ujada tak już od pięciu minut.

– Co się dzieje, Happy? Co cię niepokoi?

Yannis stara się uspokoić psa, a potem otwiera drzwi.

– Patrol! – krzyczy. – Na końcu ulicy! Tym razem z żołnierzami...

15 GRUDNIA, 11.25

– Mamy najwyżej dwie minuty.

Kori rzuciła tym stwierdzeniem jak rozkazem i biegnie już w kierunku przeszklonego pomieszczenia, w którym leży jej materac. Yannis wciąż próbuje uspokoić Happy'ego, ale pies ujada jak szalony. Zabrać tylko to, co najpotrzebniejsze. Zniknąć. Przeprowadzam błyskawiczną selekcję naszych rzeczy. Yannis wsunął komputer i pendrive'a do plecaka. Ja upycham w moim leki i czołówkę. Zostaje trochę miejsca... Woda? Prowiant? Amunicja? Chwytam karabin, ale Yannis kładzie mi rękę na nadgarstku.

– Stéphane, zostaw to.

Nie ma czasu na awantury. Pochylam głowę, biorę spluwę Marca.

– Idźcie za mną – krzyczy Kori. – Spadamy!

W głębi hangaru znajduje się wyjście ewakuacyjne.

Podążam krok w krok za Koridwen, która chyba ma jakiś pomysł. Yannis podtrzymuje Jules'a, który chwieje się na nogach.

Wymykamy się na podwórze, potem na opustoszałą uliczkę.

Kiedy już zdaje nam się, że im umknęliśmy, wpadamy na dwóch chłopaków z żółtymi opaskami i bronią w rękę.

– Stój! Poddaj się!

Kori i ja podnosimy ręce, nie wypuszczając spluw. Jules, który został trochę z tyłu, nagle bez ostrzeżenia rzuca się na jednego z rekrutów.

Dugi nie ma wyboru. Strzela do nas. Odpowiadamy – Koridwen, Yannis i ja – wszyscy troje w tej samej chwili. Trzy wystrzały.

Chłopak osuwa się na ziemię.

Yannis ogłusza przeciwnika Jules'a kolbą pistoletu.

Pochylam się nad chłopakiem, którego zabiliśmy. Śmierć na miejscu, jedna z kul trafiła prosto w tętnicę szyjną. Ma zaskoczoną minę. Kto spośród nas tym razem jest zabójcą?

Nie ma czasu na rozmyślanie. Wystrzały na pewno zaalarmowały patrol. Znow ruszamy – w przeciwnym kierunku. Kolejny zabity, a my uciekamy dalej. Czym się staliśmy? Jakimi potworami?

Kori prowadzi nas do zrujnowanego budynku. Przechodzimy po zwęglonych resztkach maszyn. Wszędzie widać pogiętą blachę. Nasza przewodniczka rozgarnia gruz i odsłania jakiś kanał, szeroki na metr, a długi na piętnaście – rozcięcie w ziemi, niewidoczne pod gruzem.

Po kolei włączymy do tej dziury i zasuwamy arkusze blachy nad głowami. Między nimi prześwituje trochę światła.

Kucamy na dnie. Słyszać tylko nasze oddechy i dyszenie Happy'ego.

– Ani słowa – rozkazuje Kori.

Nawoływania, krzyki. Nastolatki, dorośli. Szukają nas.

W kanale panuje ciemność, rozpraszana tylko przez cztery cienkie promienie światła. Nad betonowym podłożem unosi się mdlący zapach paliwa.

Koridwen musiała się tu już kiedyś ukrywać. Przy jakiej okazji? Przed pożarem, który wszystko spustoszył? Happy cicho warczy. Nie lubi przebywać w zamknięciu. Yannis go uspokaja, żeby nie zdradził naszej kryjówki.

Słyszę, jak krew pulsuje mi w głowie, czuję jej słabnący powoli rytm. Zaskoczona twarz zabitego chłopaka pojawia się w moich myślach.

Potem twarz mamy, Nathana...

Głosy na zewnątrz już dawno ucichły, ale my wciąż zachowujemy milczenie. Jak długo już tkwimy w tych ciemnościach? Dwadzieścia minut? Godzinę? Moi towarzysze wzdychają, czasami pochrzają. Nikt nie chce zabrać głosu jako pierwszy.

– Jest mi... jest mi przykro – szepcze wreszcie Jules. Siedzi dość daleko ode mnie. – Gdyby nie pluskwa, oni by nie...

– To nie ma nic do rzeczy – ucina Kori. – Pewnie przeszukiwali ulicę po ulicy.

Nie mówi nic więcej – właśnie straciła przez nas wszystkie swoje rzeczy, ale w jej głosie nie słyszę pretensji. Po omacku zbliżam się do Jules'a.

– Wszystko dobrze z twoją ręką?

– Boli.

– Trudno się dziwić, aspiryna przestała działać... Mimo to powaliłeś tego młodego...

Poczekaj...

Przeszukuję moją torbę, wyciągam czołówkę, mocuję ją i zapalam. Yannis i Kori robią to samo. Trzy snopy światła przecinają ciemności. Pospiesznie oświetlam Jules'a: jest szary na twarzy.

– Pokaż!

Zdejmuję bandaż. Rana mocno krwawi, na pewno od tej bójki.

– Stary, naprawdę nie zaleca się robić takich ćwiczeń dwie godziny po założeniu szwów.

Ale spróbujemy jakoś temu zaradzić.

Wyciągam odkażacz, czyszczę ranę, sprawdzam, czy wszystkie szwy wytrzymały. Jules z trudem poddaje się badaniu. Kładę mu rękę na czole. Przechodzi go dreszcz, bo ręka jest lodowata, ale chłopak nie ma gorączki – czyli na razie brak oznak zakażenia. Tak czy inaczej, jest jeszcze za wcześnie. Zakładam mu opatrunek, wydaję aspirynę i butelkę wody.

– To powinno uśmierzyć ból. Masz zegarek?

Nie, nie ma.

– Czy ktoś z was będzie mógł dać mi znać, kiedy miną trzy godziny?

Słyszę jakiś ruch. To Yannis wyjmuję komputer z plecaka.

– Na kompie jest dwunasta dwadzieścia – mówi. – Jeżeli z BIOS-em wszystko w porządku, to jest prawdziwa godzina. Baterii wystarczy na pięć godzin.

– O wpół do czwartej będziemy mogli dać ci kolejną tabletkę, Jules.

Gaszę czołówkę i siadam obok niego, ramię w ramię, opierając się plecami o ścianę.

– Wszystko gra? – szepczę. – To dzięki tobie wywinęliśmy się z tego.

– Gra.

Jules zagryza zęby, ale ręka go boli, słyszę to w jego głosie.

– Mam bardzo skuteczny, naturalny środek uspokajający – wtrąca Koridwen, wciąż niewzruszona – jednak może on wywołać halucynacje. Wypróbowałam go na sobie.

– Wolałbym nie – odpowiada Jules.

– Jest w płynie. Myślę, że działa również na psy.

Oboje z Jules'em parskamy śmiechem, ale Kori z pewnością nie żartowała. Zapalam czołówkę i kieruję światło w jej stronę. Jest od nas oddalona mniej więcej o dziesięć metrów. Opiera się o przeciwną ścianę, tuż obok Yannisa. Siedzą dokładnie tak jak my – Jules i ja.

– Wyłącz latarkę – mówi, wzruszając ramionami. – Po co marnować baterie.

– Która godzina?

– Wpół do drugiej – odpowiada Yannis.

Czekają nas jeszcze co najmniej cztery godziny w tej piwnicy. Jules, który wciąż siedzi obok mnie, znów wzdycha i się kuli. Boli go.

– Dokąd pójdziemy, jak już uda nam się stąd wyjść? – pyta Yannis.

– Jeśli Jules się zgodzi, pójdziemy schronić się u jego przyjaciół. To możliwe, Jules?

Nie będzie to łatwe. Jules mówi, że członkom jego komuny będzie grozić niebezpieczeństwo, jeśli przyjmą u siebie terrorystów. Jednak postara się ich przekonać do tego kroku. Musimy tylko przyrzec, że nic nie powiemy ani o plakatach, ani o prawdziwej tożsamości Khronosa. A już szczególnie o tej pluskwie w ręce...

Głos Jules'a staje się radośniejszy. Chłopak wraca do życia. Na to właśnie miałam nadzieję, gdy powierzałam mu odpowiedzialność za naszą przyszłość.

– Być może powinieneś spróbować leku Kori... – szepczę do niego, tak żeby reszta nie słyszała. – Kim jest ta dziewczyna? Znachorką?

– Sam nie wiem – odpowiada. – Jest... trochę dziwna, ale fajna. Uratowała moją Alicję.

– Zażyj środek. Z pewnością ci nie zaszkodzi.

– Nie, wolę nie próbować. To by się nie spodobało naszej Aptekarce... Maia...

Wymawia to imię z lekkim westchnieniem. Domyślam się, że jest zmieszany, tak jak rano. Sprawa jest jasna jak słońce, Jules jest zakochany.

Zakochany? Słyszę, jak Yannis i Kori rozmawiają cicho dziesięć metrów od nas. Koncentruję się na moim pacjencie.

– To ona zajmuje się teraz twoją siostrzyczką?

– Tak. W rzeczywistości Alicja nie jest moją siostrą. Trzy tygodnie po rozpętaniu się tego... tego wszystkiego... znalazłem ją w mieszkaniu jej dziadka, który mieszkał w mojej kamienicy.

Jules nie jest pierwszą osobą, która odmawia wypowiedzenia tych prostych słów: filowirus, gorączka krwotoczna, pandemia. Te naukowe terminy z pewnością wydają nam się niewystarczające do wytłumaczenia „tego wszystkiego” – śmierci naszych bliskich, końca naszego świata.

– Przy... przykro mi z powodu twojego brata... – ciągnie cicho Jules – mamy...

Tak. Mnie też. Jest przykro.

Jestem zdruzgotana. W ruinie.

W tej ciemności i ciszy w końcu zdaję sobie z tego sprawę.

Wreszcie mogę pozwolić sobie na rozpacz. Słyszę, jak Koridwen i Yannis grzebią w swoich plecakach, śmiejąc się cicho.

Ciemności nigdy nie wydawały mi się bardziej nieprzeniknione.

—

Yannis opowiada wszystkim o François. Po co?

Może przysnęłam. Sama już nie wiem.

—

Gdy ponownie otwieram oczy, kuca przy mnie Yannis i delikatnie puka mnie w ramię.

– Stéphane, Jules musi wziąć aspirynę, już pora...

– OK.

Staram się w miarę szybko oprzytomnieć. Macam dookoła, aż trafiam na latarkę. Znajduję aspirynę, znów kładę rękę na czole Jules'a. Aż podskakuje.



– Czas wziąć tabletkę, stary...

Jules połyka aspirynę.

– Zastanawiam się... Czy jeśli Alicja nie została zaszczepiona, może jeszcze zachorować?

Z pewnością godzinami zadawał sobie to pytanie, kiedy spałam.

– Nie wiem. Ale nie ma powodu, żeby zachorowała właśnie dzisiaj. Porozmawiamy o tym później. Teraz odpocznij.

– Teraz ja się nim zajmę – szepcze mi Yannis na ucho.

– Dlaczego?

– Nie sądzisz, że Kori należą się przeprosiny?

W ciemności domyślam się, że na mnie patrzy. Od kiedy to Yannis mówi mi, jak powinnam się zachowywać?

– No to sam ją przeproś – odburkuję.

– Ja już to zrobiłem.

Być może ma rację. Być może powinnam być wdzięczna tej dziewczynie, dzięki której poznałam wreszcie prawdę, całą prawdę. Zgięta wpool, żeby nie uderzyć w blachy naszego „sufitu”, idę w kierunku nowej przyjaciółki Yannis.

Siadam obok Kori tak, żebyśmy się nie dotykały.

– Dziękuję – mówię w ciemności. – Uratowałaś nam życie.

– Nie mieliśmy wyboru – odpowiada Kori bez emocji.

– Przykro mi – mówię. – Straciłaś swoją kryjówkę i wszystko, co miałaś. W pewnym sensie z naszego powodu.

– Tak, gdybym była całkiem sama, z pewnością by mnie nie namierzyli.

Robi krótką pauzę, po czym kontynuuje:

– Ale z drugiej strony, gdybyście do mnie nie wpadli, prawdopodobnie zostałabym aresztowana albo zabita razem z Jules'em. I co by się wtedy stało z Makssem?

Zrobiła już bilans zysków i strat, bez sentymentów – same fakty.

– Max to mój kuzyn – wyjaśnia.

– Wiem. Jules mi o nim wspomniał.

– Ach? Co ci powiedział?

Po raz pierwszy odpowiedziała z ożywieniem. Uwaga, pole minowe!

– Prawie nic. Tyle, że jest upośledzony. Uważam, że to w porządku, że się nim zajmujesz.

– To mój kuzyn.

Kurtyna. Koniec aktu z emocjami. Czy powinnam rozwijać temat, powiedzieć jej, że miała rację, informując mnie o śmierci moich bliskich, chociaż nie chciałam tego słuchać? I podziękować za znalezienie kompa, dzięki któremu zdobyłam potwierdzenie? Powiedzieć jej, że nie mam o to żalu, że była tylko posłańcem mojego nieszczęścia?

Nie jestem pewna, czy chciałaby to usłyszeć.

– Stéphane? – słyszę głos Yannis w mroku. – Jules może jeść?

– Tak. Niestety, nie mogłam mu dać znieczulenia ogólnego w hangarze! Myślę zresztą, że to zauważył.

Dwa krótkie śmiechy. Szelest przeszukiwanych plecaków, prowiantu wyciąganego w snopie słabego światła czołówki. Przyciągam do siebie swój plecak.

– A ty nie chcesz czegoś zjeść? – proponuję Koridwen.

– Mam wszystko, czego mi trzeba.

Każde z jej słów zdaje się kończyć naszą rozmowę. Kori nie ma ochoty pogadać, w każdym razie nie ze mną. O czym myśli?

Nie zniosę jej milczenia tuż obok mojego. Muszę rozmawiać: o wszystkim, o czymkolwiek, bo inaczej będę myśleć tylko o Nathanie i mamie.

– Czyli wciąż wierzysz, że można cofnąć się w czasie?

– Czemu nie? I niekoniecznie musimy z góry brać za prawdziwe informacje, które pochodzą od władz. One również mogą kłamać albo próbować nas zwodzić.

Pauza. Co by tu powiedzieć?

– Jak powstają sny, Stéphane?

Po raz pierwszy to ona zadaje mi pytanie. Jeżeli dobrze rozumiem, to, co mi opowiada, przyśniło jej się pewnego dnia. W tym śnie widziała wieżę Zegarową, zanim zdążyła obejrzeć ją w naturze. Twierdzi również, że spotkała dwie bardzo stare kobiety, których nie uśmiercił filowirus. Co mam odpowiedzieć?

W obliczu mojego sceptycyzmu Kori zmienia temat i opowiada mi o Dourdu, Nathanie, ostatnich wakacjach. Teraz wolałabym, żeby się zamknęła. Chcę wiedzieć tylko jedną rzecz.

– Wiesz, gdzie znajdują się ciała Nathana i mojej matki?

– Moja koleżanka powiedziała, że były w lasu za ich domem, razem z ciałem twojego ojczyma. Mam nadzieję, że zrobiła coś, żeby ochronić je od padlinożerców.

Znów zapada między nami krępująca cisza.

– Yannis uważa, że powinnam cię przeprosić.

– Ja na twoim miejscu zachowałabym się tak jak ty – ucina.

---

Zapada noc. Kori wstaje i wychodzi z kanału. Chce sprawdzić, czy droga na zewnątrz jest wolna. Kiedy wraca pięć minut później, ma złe wieści: mniej niż pięćset metrów od nas stoi sporo pojazdów opancerzonych, wszędzie myszkują patrole. Nie wiemy, czy to nas szukają, czy po prostu przeczesują dzielnicę, ale Kori proponuje, żebyśmy wyruszyli dopiero o świcie.

Za czternaście godzin.

Tym razem mój pęcherz gwałtownie protestuje. Wstaję i idę za potrzebą na sam koniec kanału, tam gdzie wszyscy inni. Kiedy wracam, Yannis rozciera właśnie ramiona Koridwen i stara się ją rozgrzać. Bretonka drży z zimna, a Yannis chyba woli zajmować się nią niż Jules'em – albo mną.

„Yannis... Czy to dlatego tak oddaliśmy się od siebie z każdą godziną?”

Chwytam jeden z naszych śpiworów i rzucam go w ich stronę. Sama siadam trochę dalej. Dopada mnie ogromne zmęczenie. Pograżam się w czarnej studni bez dna. Twarze Nathana i mamy, ich zdjęcia na ekranie spoglądają na mnie z ciemności.

## 16 GRUDNIA

Wyszliśmy z kanału o świcie. Przemierzaliśmy puste ulice, podążając za Koridwen. To ona wzięła na siebie przeprowadzenie nas przez miasto.

– Schodzimy tutaj.

Jako ostatnia wchodzę do kanału i po szczeblach zagłębiam się w podziemną sieć. To tutaj jest moje miejsce – pod ziemią. „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodziście”. To Dante, o tym właśnie pisał. Jestem w piekle.

Czy właśnie zaczynam wariować?

Skąd Kori zna te miejsca?

Jestem otumaniona, idę jak dziecko we mgle. Zadowolam się utrzymaniem dystansu do Jules'a, który jest przede mną. Gdyby ktoś coś do mnie powiedział, chyba załapałabym się łzami. Yannis idzie dwadzieścia metrów przede mną, razem z Koridwen. Ta odległość między nami staje się przepaścią.

Przechodzimy jakimś niedawno wydrążonym tunelem i wydostajemy się na powierzchnię. Jesteśmy na cmentarzu – tysiące grobów bez kwiatów. Idę jak automat, z pustką w głowie. Prześladowuje mnie jedna jedyna myśl: mój brat i matka nie żyją. Tylu zmarłych dla tak niewielu żywych. Na widok grobów wracam myślami do słów Koridwen o padlinożercach. Moi bliscy nie mają nawet przyzwoitego grobu.

Znów schodzimy do kanałów. Panuje w nich kloaczny smród. Szczury roją się wokół nas, ale wobec Koridwen zachowują dystans, jakby je zaczarowała. Kim jest ta dziewczyna? Szczurołapem z Hameln? „Niektórzy specjaliści twierdzą, że baśń braci Grimm to świadectwo bardzo starej epidemii dziecięcej, Stéphane”.

„Widzisz, tato, pamiętam lekcje, które mi dawałeś. Nawet jeśli porzuciłeś nas wszystkich, mnie, Nathana i mamę też”.

Czy to jakiś czarnomagiczny urok przyciąga Yannisa do Koridwen?

Wciąż mam poczucie nierzeczywistości, ale Jules wyrzywa mnie z zamyślenia. Chce mi opowiedzieć o Alicji: swoją „siostrzyczkę” znalazł w mieszkaniu pewnego pediatry, jej dziadka. Po ziemi walały się zużyte strzykawki i ampułki. Jules chciałby wiedzieć, czy na pewno chodzi o MeninB-Par. Czy są jeszcze inne leki, które też mają takie działanie? Nie może przestać o tym myśleć. Jeżeli Alicja nie została zaszczepiona odpowiednim preparatem, to trzeba ją zaszczepić – najszybciej, jak to możliwe. Rozumiem go. Dałabym wszystko, żeby Nathan był z nami.

– OK, Jules, pójdziemy do tego twojego pediatry. Jutro. A jak twoja ręka?

Dwie minuty później wychodzimy z kanałów i zanurzamy się w labirynt podziemnych parkingów. Jules prowadzi nas w kierunku wieżowca ateńskiego, w którym mieszkują jego przyjaciele. Tam jest jego komuna, jego Aptekarka i Alicja. Chciałoby się powiedzieć: prawdziwa rodzina. Czego ja tu szukam? Ja, która nie mam już rodziny i nikim nie chcę jej zastępować?

Okolicę kontrolują nastolatki o azjatyckim wyglądem. Rozmawiają między sobą po chińsku, ale Jules bez problemu załatwia nam na każdym piętrze przejście przez ich blokady.

Wejście na parter otwiera nam jakiś solidnie uzbrojony gość. Wygląda na Europejczyka. Kiedy dostrzega Jules'a, na jego twarzy pojawia się ulga. Wchodzimy do ogromnego hallu budynku. Na ścianie wisi plan ewakuacji: jesteśmy w wieżowcu ateńskim, jednym z dwudziestu wysokościowców na osiedlu Olympiades, w 13. dzielnicy Paryża.

Jules wszedł na górę, żeby uprzedzić przywódcę całej komuny. Musieliśmy też oddać naszą broń. Kori poszła razem z nim, przyjaciele Jules'a ją znają. Ten chłopak, który trzymał

straż na dole – Vincent – może mieć z piętnaście lat. To przyjaciel Jules’a, razem z nami czeka na decyzję Jérôme’a, przywódcy, który oficjalnie zatrzaśnie nam drzwi przed nosem albo zaprosi do środka.

Gdyby wiedział, jak bardzo mam gdzieś, czy zostanę „zaakceptowana”! Osuwam się na ziemię, oparta plecami o ścianę. Yannis siada obok mnie.

– Być może wreszcie znaleźliśmy bezpieczną kryjówkę na jakiś czas – mówi.

– Na jaki czas?

– Sam już nie wiem. Khronos nie istnieje, ale przypadek postawił na naszej drodze dwoje Ekspertów. A Kori wciąż w to wierzy.

– No, skoro Kori w to wierzy, pozostaje ci tylko poczekać tu do 24 grudnia razem z nowymi kumplami.

Od razu żałuję mojej ironii, ale jestem rozgoryczona: Yannis zostawił mnie samą w ciemnościach. Czy jedyne, co się dla niego liczy, to 24 grudnia? I Kori?

– A ty? – pyta.

– Ja chyba nie mam już na co czekać. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym tu zostać.

– Chcesz dalej szukać swojego ojca?

– Tak. To właśnie zamierzam zrobić.

– Ale on stoi po stronie wojskowych, pamiętasz?

– Uda mi się wszystko mu wytłumaczyć, nie bój się.

Oczekuję na coś, co nie nadchodzi. Yannis nie mówi, że pójdzie ze mną. Nie prosi mnie też, żebym została.

Do hallu wraca Jules – w samą porę, żebyśmy mogli uniknąć zakłopotania. Kiedy wchodzimy razem z nim na górę, wyjaśnia nam, że na pierwszym piętrze zainstalowali agregat i że jego komuna zajmuje część trzeciego piętra. Reszta wieżowca jest pusta.

Na schodach widzę kable.

Jérôme, przywódca, przyjmuje nas na korytarzu trzeciego piętra. Ma uważne, ruchliwe oczy, osadzone głęboko w oczodołach. Jules przestępuje z nogi na nogę. Przedstawia mnie jako specjalistkę od wirusa, żywo zainteresowaną przypadkiem Alicji. Dziś w nocy wymógł na nas przyrzeczenie: ich przywódca nie może się dowiedzieć, że jesteśmy poszukiwani za „terroryzm”.

– Mogę natychmiast zobaczyć dziecko? – przerywam ceremonialne powitanie.

Jérôme i Jules prowadzą mnie do dwupokojowego mieszkania, miejscowej izby chorych. Wchodzę. Pierwszy pokój jest pusty. Na półkach w kuchni widzę pełno pigułek, roztworów, flakoników.

– Alicja jest tam, w głębi – mówi Jules.

Idę za nim do drugiego pokoju. Jakaś niewiarygodnie piękna dziewczyna w moim wieku, z bardzo kręconymi i bardzo czarnymi, prawie kruczymi włosami odwraca się, kiedy wchodzimy. Jules siada na łóżku obok niej.

Dołącza do niego dziecko i zwija się w kłębek na jego kolanach. Tylko przez sekundę patrzyłam na Maię, Aptekarkę, która wstała, żeby ucisnąć mi dłoń. Mój wzrok jak magnes przyciąga Alicja.

Mój Boże, ile lat ma ten dzieciak? Siedem, najwyżej osiem. Chociaż przygotowywałam się na ten widok, nie wierzę własnym oczom. Wstrząsa mną jej intensywne, niebieskie spojrzenie spod grzywki. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy widzę dziecko w tym wieku.

Dziewczynka zdaje się nie rozumieć, dlaczego tak jej się przyglądam, i wtula się w swojego „starszego brata”. Cud.

– Jules mi powiedział – Maia przerywa moje zapatrzenie – że jesteś „specjalistką od

wirusa”.

– Mój tata jest wirusologiem i epidemiologiem. Specjalistą od epidemii. To wszystko.

– Rozumiem. Moja mama była aptekarką.

Rozdrażniłam ją. Lekko załamał jej się głos, kiedy użyła czasu przeszłego, by powiedzieć o swojej matce. Czyżby zauważyli, że ja mówię o swoim ojcu w czasie teraźniejszym?

– Zostawisz nas samych? – prosi Maïę Jérôme.

Widzę, jak Jules się spina. Nie lubię tego Jérôme’a. Ta niechęć jest instynktowna, związana z tym, że chłopak jest przywódcą.

– Lepiej, żeby została – mówię. – Alicja musi czuć się bezpiecznie, inaczej nici z naszych badań.

Mierzymy się chwilę wzrokiem, potem Jérôme odpuszcza.

– A zatem ja wyjdę. Będę na was czekał na korytarzu. Mam pytania.

– Tak zrobimy.

Dziewczynka wciąż leży zwinięta w ramionach Jules’a. Chciałabym dodać jej otuchy, ale nigdy nie potrafiłam dogadać się z dziećmi. Poza Nathanem.

„Nie myśl.

Działaj tak, jak oczekują, że zadziałasz”.

– Znalazłeś ją u dziadka, prawda?

– Tak, był lekarzem. Doktor Dionée. Przeżyła trzy tygodnie zupełnie sama w jego mieszkaniu.

– A kiedy to było dokładnie?

– Osiemnastego listopada.

To się nie klei. Właśnie wtedy dowiedzieliśmy się, że to MeninB-Par uratował nam życie. Trzy tygodnie wcześniej nikt nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Alicja nie mogła zostać zaszczipiona.

Pochyliłam się w stronę dziecka. Muszę się zachowywać jak lekarz.

– Alicjo, nazywam się Stéphane. I muszę wiedzieć, co ci się przydarzyło.

Alicja odwraca się powoli. Patrzy na mnie z zamkniętą buzią i zmarszczonymi brwiami.

Nerwowo macha nogami.

– Rozumiesz mnie? Czy przypominasz sobie szczepionkę?

Widzę, jak nagle się chmurzy.

– Zastryk, Alicjo? Czy ktoś zrobił ci zastryk? Twój dziadek? Kiedy ludzie... zaczęli umierać?

Alicja nadal milczy, ale wygląda, jakby szukała odpowiedzi. I nagle otwiera buzię.

– Śnieżka... – mówi. – Królowna Śnieżka.

Jules się uśmiecha.

– Właśnie nadała ci imię. Od kiedy ją poznałam, żyje w świecie Dory Małej Podróżniczki. Nie zbadasz jej? – pyta Maïa.

– Nie, to niepotrzebne.

Wstaję. Wszyscy tracimy czas. W ten sposób nie przejrzymy żadnej tajemnicy. Czy najważniejsze nie jest po prostu to, że ona żyje?

Jules widzi, że się poddaję.

– Idziemy do pediatry, pamiętasz? – stara się mnie zatrzymać. – Nadal się zgadzasz?

Idź. Tak. Teraz. Zwijać się stąd. Nie nawiązywać nowych więzi, nowych zobowiązań, nie robić sobie znów nadziei. Nie wierzyć, że ci, których kochamy, nas uratują...

– Pójdziemy tam, kiedy zechcesz. Nawet zaraz. Jestem gotowa.

– Potrzebuję czasu, żeby wyjaśnić Alicji. Zaraz przyjdę...

Wychodząc, spoglądam na nich przez chwilę. Stoją tam całą trójką. Są jak rodzina. Cudownie ocalona dziewczynka, były wojownik WOT i Aptekarka, którą on kocha, chociaż ona o tym nie wie, a może nawet on sam o tym nie wie. Ja też chciałabym wierzyć w cuda. Ale z tym już koniec.

Jérôme i Vincent, przywódca i jego przyboczny, czekają na mnie na klatce schodowej. Wymijająco odpowiadam na ich pytania o szczepionkę. Jules podchodzi do mnie z Maïą i Alicją. Prosi, żebym chwilę poczekała. Potrzebuje trochę czasu, żeby znaleźć opiekę dla dziewczynki.

Idę za nim do innego mieszkania. To lokum jest obszerniejsze, umeblowane w stylu luksusowego minimalizmu. Wygląda jak wyjęte z wnętrzarskiego magazynu.

Z kuchni dobiegają jakieś głosy.

Kiedy wchodzę tam za Jules'em, trafiam na kolejny rodzinny obrazek: Kori siedzi ze swoim kuzynem, słynnym Maksem. Poznają tę sylwetkę niezdarnego niedźwiedzia. Jest z nimi Yannis. Ukradkiem obserwuję, jak mój przyjaciel przygląda się Kori. Do czego doszło między nimi wczoraj, kiedy poszli szukać komputera? Happy leży u stóp Yannisa i właśnie obwąchuje jakiegoś kotka, co wywołuje salwy śmiechu. Kiedy Max dostrzega Alicję, oboje zaczynają klaskać i piszczeć. Dziewczynka wspina się na kolana wielkoluda.

Yannis wreszcie zauważa, że stoję w drzwiach, i zmienia się na twarzy. Marszczy brwi. O co ma do mnie pretensje? Czego by chciał? Żebym ja też odgrywała tę parodię szczęścia?

„Nie mam już rodziny, Yannis. Czy mam jeszcze przyjaciela?”

– Pójdziemy do dziadka Alicji, ja i Jules – mówię z fałszywą beztroską.

„Muszę stąd spadać, proszę. Idziesz?”

Yannis odwraca wzrok, zakłopotany, jak gdyby moja determinacja i potrzeby przerażały go do głębi. Jego spojrzenie prześlizguje się po Koridwen, zatrzymuje, waha, wraca do mnie.

„OK. Zrozumiałam, przyjacielu”.

– Nie proponujemy ci, żebyś poszedł z nami, Yannis. Masz inne priorytety, prawda?

Yannis bez słowa przyjmuje ten cios poniżej pasa. Czy byłoby inaczej, gdybym zapytała go na głos: „Idziesz?”, tak jak zamierzałam to zrobić?

—

Na klatce schodowej Jules podaje mi półautomatyczny pistolet Marca.

– To dla ciebie. Vincent wolał ci oddać, na wypadek, gdybyśmy mieli nieprzyjemne spotkanie.

Po chwili wahania biorę pistolet. Trzy, a może cztery osoby zginęły już z tej broni. Lepiej, żeby nie zostawała tutaj. Trzeba dopilnować, aby nie znaleziono jej w rękach niewinnych osób.

A czy ja jestem winna? Jeśli tak, to czego?

Ponownie schodzimy na podziemny parking. Musimy wydostać się z betonowej platformy, na której stoi dzielnica Olympiades. Jules najwyraźniej zna uzbrojonego Chińczyka, który przepuszcza nas w podziemiach. Zdaje się też znać wszystkie trasy pozwalające ukryć się przed wzrokiem wojskowych. Ponad godzinę wędrujemy wąskimi uliczkami, unikając szerokich bulwarów. Maïa jest zła. Z pewnością mi zazdrości. W końcu w dziedzinie medycyny mam większą od jej wiedzę, a poza tym „zoperowałam” jej chłopaka. Chciałabym jej powiedzieć, że nie interesuje mnie ani Jules, ani tym bardziej jej pozycja Aptekarki w komunie. Nie robię tego. Odwracam się do Jules'a.

– Twoi kumple, Vincent i Jérôme, też są Ekspertami WOT?

– Nie, ale byli graciami.

– Powiedziałeś im o spotkaniu Ekspertów 24 grudnia?  
– Tak, też chcą się na nim zjawić. Uważają, że uda im się pozyskać do komuny innych ocalałych, którzy chcą żyć poza Z-Punktami.

– To ma sens. Ale nie powinniście tam iść. Wieża Zegarowa to pułapka... Stawia się tam oddziały antyterrorystyczne poszukujące Khronosa. Będą na was czekali.  
„Was”.

– Ty nie idziesz? – pyta zdezorientowany Jules.

– Nie. Za dużo by wyjaśniać, ale to przeze mnie zainteresowali się Khronosem i uznali spotkanie 24 grudnia za działanie wywrotowe. Teraz na pewno zjawia się pod wieżą Zegarową.

– Nie ma co spodziewać się po nich litości, prawda? – pyta Jules, jakby z niechęcią.

– Będą bezlitośni, obowiązuje prawo wojenne.

Maïa po raz pierwszy wtrąca się do naszej rozmowy:

– Może trzeba zrezygnować z tego spotkania, Jules.

Zatrzymujemy się przy alei Obserwatorium, u stóp jakiegoś budynku z kamiennych bloków. To tu mieszkał Jules. Nie przyszło mi do głowy, że jest typowym paryskim mieszczuchem.

Jules stara się ukryć emocje.

– Muszę was uprzedzić – mówi tylko – że może tu roić się od szczurów.

Wchodzimy po kamiennych schodach. Gryzonie wyniosły się chyba gdzie indziej, tutaj czuć tylko słaby i mdlący zapach odkażacza.

– Cholera, czyściciele musieli już posprzątać – narzeka Jules i wyjaśnia mi, że zespoły nastolatków pod kierownictwem wojska zaczęły czyścić budynki i ulice Paryża.

Na drugim piętrze wchodzimy do mieszkania, na którego drzwiach wisi miedziana tabliczka z napisem: „Doktor J.-M. Dionée, pediatra”. Tutaj z kolei na podłodze rozsypano trutkę na szczury. Przechodzimy przez poczekalnię i wchodzimy do gabinetu.

– Wynieśli ciało doktora Dionée – mówi Jules ze ściśniętym gardłem.

Już go nie słucham. Rozglądam się wokół, podnoszę z ziemi zużytą ampułkę, a potem dwie kolejne. Czytam na głos etykiety. Szczepionka przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, szczepionka przeciwko wirusowi brodawczaka ludzkiego. Obydwie podawane w okresie dorastania. Trzecia ampłka zamyka temat.

– Oto wyjaśnienie – to jest szczepionka MeninB-Par. Dziadek Alicji się domyślił. To był doskonały lekarz.

– W takim razie dlaczego nie uprzedził władz? – pyta Maïa.

Znajdujemy jeszcze cztery puste ampułki: dwie z Prio8, którą również braliśmy w Lyonie pod uwagę, kolejną ze szczepionką przeciwko zapaleniu wątroby i ostatnią przeciwko brodawczakowi. Ale nie ma drugiej z dawką MeninB-Par.

– Doktor Dionée zapewne nie znalazł rozwiązania – mówię – a jedynie się go domyślał. Wypróbował na dziewczynce wszystkie szczepionki przepisane nastolatkom w ostatnich latach, ale nie wiedział, która jest właściwa.

Otwieram lodówkę, która nie działa od dwóch miesięcy. Leżą w niej inne szczepionki, przeznaczone dla dzieci i niemowlaków. Staram się wyobrazić sobie przebieg całego zdarzenia. Czy doktor Dionée trzymał u siebie dawkę, która uratowała życie Alicji? Mało prawdopodobne.

– Prawdopodobnie poszedł do jednej z całodobowych aptek. Tam zawsze jest kilka ampulek każdej szczepionki w razie nagłego wypadku.

To oznacza, że zaryzykował i wychodził z domu pomimo groźby zarażenia. W aptecę dostał tylko jedną ampułkę MeninB-Par, ponieważ z powodu skutków ubocznych tę szczepionkę zapisywano tylko w przypadku potwierdzonego zachorowania na zapalenie opon mózgowych.

Doktor wraca i robi dziecku zastrzyk, tym samym ratując mu życie. Próbuje też innych szczepionek – i na Alicji, i na sobie. Zawsze najpierw na niej. Tak, to się trzyma kupy.

– Spójrzcie, większość pustych ampulek jest podwójna. Najwidoczniej sobie też wstrzykiwał surowicę... Ale znalazłam tylko jedną ampulkę MeninB-Par. W sytuacji zagrożenia wołał zaszczepić dziecko niż siebie.

Maia szepcze coś do Jules'a. Coś o poświęceniu, tak sędzę.

– Gdyby się uratował – komentuję – uchroniłby tysiące innych istnień.

– Ale Alicja by umarła! – odpowiada Jules.

Patrzmy sobie w oczy. Jules jest wzburzony, nie mogę wytrzymać jego spojrzenia. Nagle ogarnia mnie coś mrocznego. Nie wiem, jak nazwać to uczucie, które nie jest ani żalobą, ani rezygnacją, ale kładzie się cieniem na mojej duszy.

– Teraz... muszę was zostawić, Jules. Nie wracam z wami do komuny.

„Starszy brat” Alicji, który uratował jej życie po raz drugi i zrealizował w ten sposób pragnienie doktora Dionée, patrzy na mnie oszołomiony.

– Teraz?

– Tak. Muszę iść.

Akcentuję każde słowo z osobna – jakbym starała się przekonać samą siebie, że ta decyzja jest nieodwołalna.

– Ale... A co z Yannisem...?

– Powiedz mu, proszę. Jeśli odnajdę ojca, wyjaśnię mu, że Yannis nie jest terrorystą, a wokół Khronosa nie zawieszono żadnego spisku. Powiesz mu?

Jules nie rozumie tego, co mówię, ale przyrzeka pogadać z Yannisem. Obejmuję go na do widzenia. Mam ochotę powiedzieć mu, że powinien zawsze kochać Maię i Alicję. Dziewczyny mają szczęście. I że powinien uciekać z Paryża jak najszybciej razem z nimi, a więc zrezygnować ze spotkania z Khronosem.

Jednak po raz kolejny milczę.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko – mówi Jules.



## NOC Z 16 NA 17 GRUDNIA

Przez resztę dnia błąkałam się sama po całkowicie wyludnionym mieście. Kiedy przejeżdżały pojazdy opancerzone, chowałam się niemal z przyzwyczajenia. Nabrałam odruchów zbiega. Od chwili, gdy przez głupi zbieg okoliczności uciekłam przed moim ojcem w Lyonie, ciągle uciekam.

Odczuwam ogromne zmęczenie.

Zapadła noc. Dokąd mam iść? Nie mam plecaka, został mi tylko pistolet Marca. Nie ma też przy mnie przyjaciół, a ja już nie mam nadziei. Gdzie się zwrócić?

W opustoszałej i pogrążonej w ciemnościach Dzielnicy Łacińskiej poruszam się na ślepo. Jedynie czasem kieruję się nazwami ulic i placów: bulwar Saint-Germain, fontanna Saint-Michel.

Znowu leje jak z cebra.

Przemykam wzdłuż budynków, szukając schronienia przed deszczem i ludzkim wzrokiem. Na każdym skrzyżowaniu dostaję zawrotu głowy.

Dokąd mam iść?

Uśmiecham się. Jeszcze nigdy to pytanie nie miało dla mnie tak dosłownego sensu.

Ciemna woda leje się z nieba, grube krople spadają na mokry chodnik, mój płaszcz, kaptur. Niż atmosferyczny jest jak depresja wisząca nad światem. Mogłabym uznać się za ostatnią ocalałą w tym mieście, ale to oczywiście nie byłaby prawda. Kilkanaście tysięcy nastolatków tkwi w strzeżonych Z-Punktach, a dwa czy trzy tysiące wojskowych patrolują miasto z helikopterów i transporterów opancerzonych albo stoją na blokadach na rogatkach Paryża. Jest jeszcze garstka dorosłych, lekarzy i oficerów. To oni podejmują decyzje dotyczące naszej przyszłości.

A ilu spośród nas wciąż się ukrywa, zabunkrowanych w kamienicach i wieżowcach? Wszystkie te małe komuny – takie jak ta, do której należy Jules – a także samotnicy, ludzie wyjęci spod prawa i inni, stawiający milczący opór, i cienie... Ilu odmawia podporządkowania się Tymczasowym Władzom Republiki Francuskiej, narzucającym swą wolę za pomocą bomb fosforowych, krótkich, śmiertelnych serii z broni palnej i działań „antyterrorystycznych”?

Nie jestem ostatnia, ale jestem sama.

Nie płaczę, ale krople deszczu płyną mi po twarzy. Moje jasnoszare włosy pociemniały od wody. Przyklejają mi się do czoła, policzków, szyi i karku.

Zaczynam pokasływać.

Gdy opuszczałam przyjaciół Jules'a, zamierzałam udać się do pierwszego Z-Punktu tuż po wizycie u pediatry. Chcę zobaczyć mojego ojca, wytłumaczyć mu wszystko, skończyć tę farsę, a być może także się z nim pogodzić. Chciałabym znaleźć się w jego ramionach i udawać, że o wszystkim zapomnieliśmy.

Jednak dziś w mojej duszy pojawił się nowy cień. Myślę o doktorze Dionném, starym człowieku, którego ciało zostało zabrane i spalone przez wojsko. To był lekarz równie błyskotliwy jak mój ojciec i w dodatku zrozumiał wszystko wcześniej od niego. Doktor Dionée dokonał jednak radykalnie innego wyboru: poświęcił swoje życie, żeby uratować życie wnuczki. Nie uważał, że musi przeżyć, żeby uratować całą ludzkość. Nie dał się ewakuować.

Nie zasłonił się przed śmiercią tarczą racjonalnych argumentów.

Z kolei mój ojciec opuścił Lyon na pokładzie wojskowego helikoptera, bo potrzebowały go miliony ocalałych – jego nauki, jego sztuki. Tymczasem ja, jego córka, tak bardzo chciałam, żeby zapomniał dla mnie o wszystkim chociaż ten jeden raz; żeby wszystko dla mnie zaryzykował. Dla swojej córki. Tak rozpaczliwie tego potrzebowałam.

Na końcu uliczki wznosi się kościelna wieża. Dzień zmarłych, mawiała mama; dni zmarłych następują w tym roku jeden po drugim. Nie chcą się skończyć.

Pomodliłam się tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że ojciec wyjechał. A teraz?

Krata zagradzająca wejście do przedsionka jest otwarta. Popycham drzwi do świątyni. Kościół jest pogrążony w ciemności jeszcze gęstszej, głębszej niż noc na dworze. Znowu posuwam się do przodu jak niewidoma, po omacku.

## 17 GRUDNIA

Całymi godzinami siedziałam skulona w pustym, ciemnym kościele, czekając na Bóg wie co – na jakiś cud.

O świecie miejsce kultu ukazuje mi się w całym swoim zniszczeniu.

Wstaje zimowe słońce. W niepewnym, kolorowym świetle witraży dostrzegam stopniowo imiona, wyzwicka i freski namalowane na ścianach z białego kamienia. Chór został prawie w całości zasmarowany sprayem.

Cisza jest tu przytłaczająca, podniosła. Wstaję, robię kilka kroków. Poprzewracane krzesła, porąbane i spalone ławki, porozbijane świeczniki. Litografie Georges'a Rouaulta wciąż jeszcze opowiadają o marności świata. Chciałabym, żeby moje buty stukały po kamiennej płycie, ale gumowe podeszwy trampek tylko piszczą. Odkrywam tu ciągle nowe ślady obecności zrozpaczonych ocalańców. Ilu z nich modliło się tutaj, kiedy zrozumieli, że nic więcej im nie pozostało? Czyjaś ręka namazała węglem na ołtarzu wielki napis: „Boże, gdzie jesteś?”. Ktoś wypisał odpowiedź niebieską farbą na krzyżu wiszącym po drugiej stronie chóru: „Tutaj”.

Siadam przodem do krucyfiksu. Chrystus na krzyżu, symbol cierpienia, symbol zbawienia. To taki sam krzyż jak te czerwone na białym tle, przyklejone do ambulansów przemierzających miasta w pierwszych dniach epidemii; i jak ten, który Philomène wymalowała przy wejściu do naszego szpitala; i jak te z polowych ambulatoriów, w których mój ojciec zbawiał świat, zapominając o swojej córce.

Krzyż nie jest odpowiedzią. Może jest pytaniem?

Siedzę tak przez długie godziny, zatopiona w myślach. Szczękam zębami w wilgotnym ubraniu. Znalazłam pudełko papierosów wypełnione w połowie, zapomniane w konfesjonale przez graficjarza albo pokutnika. Po raz pierwszy w życiu palę, pokasłując. Dym unosi się pod sklepienie jak kadzidło. Patrzę na Chrystusa na krzyżu. Powtarzam pierwsze słowa modlitwy, której nauczyła mnie kiedyś mama, ale przerabiam ją tak, żeby stała się moja własna.

„Ojczy mój, któryś jest w Niebie – gdzie jesteś?”

Niech będzie wola Twoja?”

Przypominam sobie opowieści biblijne, których słuchałam w dzieciństwie. Nie podobała mi się idea poświęcenia. Przerzątał mnie Jezus Chrystus, krzyczący na krzyżu: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?”.

To ja jestem opuszczona.

Widzę podobieństwo mojego losu do losu tego Boga. Braterstwo. Chciałabym w niego uwierzyć, móc wybrać sobie tę postać jako jądło mojego osobistego sacrum i uwierzyć w resztę tych bajek: w zmarłych, którzy wstaną z grobów; w życie, które zatriumfuje nad śmiercią. Niestety, od jak dawna sięgam pamięcią, nigdy w to nie wierzyłam.

„Racjonalna jak ojciec” – mawiała moja matka, wdychając.

Rozpaczliwie potrzebuję jakiejś nadziei. Dlatego po prostu patrzę na tego Chrystusa. Mam wrażenie, że on też mnie dostrzega. Palę znalezione papierosy jeden za drugim, mija godzina za godziną, czasem uśmiecham się do mojego towarzysza. Być może on też się do mnie uśmiecha. Wciąż siedzę naprzeciwko niego, choć nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Przyjemnie kręci mi się w głowie, ten stan oczyszcza mnie z pytań i wątpliwości. Każdy papieros działa na mnie jak skręt z trawką – a przynajmniej tak sobie wyobrażam.

Czuję się tak jak w dzieciństwie, kiedy gwałtownie rosła mi temperatura i zaczynałam majaczyć.

„Gorączka...”

Zapalam ostatniego papierosa i zaciągam się dwa razy. Na pustym opakowaniu dostrzegam wielki napis: „Palenie prowadzi do przedwczesnej śmierci”. Uśmiecham się.

– Co to takiego, ta przedwczesna śmierć? – pytam Jezusa Chrystusa. – Może ty wiesz?

---

Wstaję i wychodzę z kościoła. Za chwilę zapadnie noc, spędziłam tu cały dzień.

Niewielkie turystyczne mapy miasta wciąż zalegają ulice. Biorę jedną i wytyczam trasę. Po drodze mijam kolumnę kilkunastu pojazdów opancerzonych, które zapewne wracają na noc do koszar.

Z pewnością mogłabym żyć całymi tygodniami i miesiącami w tym ogromnym mieście. Wystarczyłoby unikać wojskowych. Nawet jeżeli wojsko zrekrutowało tylu pomocników, żeby móc ich wszędzie powysłać, zawsze można zmieniać miejsce pobytu i uciekać choćby przez dziesięć lat. My, „terroryści”, tak wiele nauczyliśmy się zaledwie w dwa miesiące. I dysponujemy tyloma różnymi kryjówkami.

Tylko po co?

Jestem zbyt zmęczona, żeby biec. Chcę się poddać z własnej woli, po raz ostatni zdecydować o swoim losie.

W pobliżu Salpêtrière inne plakaty gdzieś przykrywają ten z naszymi czterema twarzami.

„Yannis. Obiecałam ci, miałam cię uprzedzić, zanim odejdziesz. Okłamałam cię, okłamałam nas, ale przede wszystkim ciebie”.

Jedyna osoba, której nie okłamałam, to mój ojciec. Czekałam na niego. Wierzyłam we wszystko, co mi mówił. Uwierzyłam, że wszystko będzie dobrze, że mama i Nathan żyją. Że wszyscy się spotkamy.

Ja go odszukałam, a on – czy dotrzymał jakiejś obietnicy?

Zapadła noc.

Przy wejściu do Z-Punktu Salpêtrière panuje bałaganiarska atmosfera prawie radosnego mrowiska. Podchodzę do namiotu, w którym nastolatki z opaskami rejestrują ostatnich maruderów. Wkraczam do środka.

Jakaś dziewczyna podnosi na mnie wzrok. Zdejmuję czapkę i wymachuję plakatem, który zerwałam ze ściany. „Terroryści”, „Poszukiwani żywi”.

– Jestem tą dziewczyną ze zdjęcia. Chcę się widzieć z doktorem Certaldo.

## NOC Z 17 NA 18 GRUDNIA

Oddałam im moją spluwę, pistolet Marca, zanim w ogóle zabrali się za przeszukiwanie. Czekałam prawie godzinę, zamknięta w jakimś pokoju, pilnowana przez kilka osób, podnieconych i uzbrojonych. Co trzy minuty ktoś wchodził i wychodził, ogłaszając, że wojsko za chwilę tu będzie.

Wreszcie docierają. Pięciu żołnierzy w czarnych mundurach z napisem „Żandarmeria wojskowa”, uzbrojonych w takie same karabiny, jakie mieli ich koledzy w lesie. Nie mają na sobie ani masek, ani kombinezonów ABC. Musieli już zostać zaszczepieni.

Zabierają mnie i mój pistolet, „dowód numer jeden”. Najstarszy stopniem, major, informuje mnie, że jestem od teraz „aresztowana w ramach przepisów antyterrorystycznych”, a wojsko zabiera mnie na mocy „upoważnień specjalnych stanu wojennego”.

W otoczeniu wojskowych wsiałam do transportera.

Pojazd rusza. Czy ludzie, którzy mnie eskortują, wiedzą, że jestem oskarżona o zabicie ich kolegów? Po obu stronach mam żołnierzy, a dwóch kolejnych siedzi naprzeciwko. W półmroku samochodu, rozpraszonym nieco przez światło czerwonych lampek na dachu, odczuwam mniejszą wrogość niż w tamtym pokoju w Z-Punkcie. Ci żołnierze wykonują tylko swoją pracę. I tyle.

Jedziemy długo, w nieznanym kierunku, po czym gwałtownie stajemy.

Żołnierze każą mi wysiąść. Orientuję się, że wchodzimy do podziemi jakiegoś budynku. Przemierzam długie korytarze, eskortowana przez trzech mężczyzn aż do celi.

Zabierają mi sznurowadła i pasek.

Jeden z wojskowych zostaje ze mną, dopóki nie przyniosą mi tacy z posiłkiem. Chwilę później bada mnie lekarz. To pierwsza osoba w tym bunkrze, która się do mnie odzywa. Zadaje mi kilka podstawowych pytań, pospiesznie osłuchuje. Potem wraca major i informuje mnie, że prawo do adwokata wojskowego zaczniesz mi przysługiwać dopiero po prawomocnych dziewięćdziesięciu sześciu godzinach aresztu.

Ponawiam prośbę o spotkanie z ojcem. Oficer ze ściągniętą twarzą nie odpowiada na moje nalegania.

Wychodzą z celi. Zostaję sama, wyciągnięta na betonowej leżance. Pod sufitem skwierczy żarówka, jak relikw z dawnego świata. Jest stosunkowo ciepło, to miejsce musi być ogrzewane. Gdzie jestem? W wojskowym areszcie śledczym? W więzieniu? W koszarach, w których część dorosłych przeżyła epidemię? Niegdyś surowa, dziś ta cela musi się wydawać niemalże luksusowa.

Odgłos kroków. Idą po mnie.

Dwóch uzbrojonych mężczyzn eskortuje mnie do jakiejś sali bez okien. Widzę tylko stół i dwa metalowe krzesła. Każą mi usiąść. Nogi mojego krzesła zgrzytają po posadzce. Jakiś nowy oficer, kobieta, wchodzi i po raz kolejny przypomina mi, że jestem aresztowana. Ma w ręce notes, zaczyna zadawać mi pytania dotyczące mojej obecności w lesie Morvan oraz przy stacji Gentilly.

Zadawałam się odpowiadaniem, że chcę się zobaczyć z moim ojcem i że inaczej nic nie powiem. Potrzebuję mojego ojca, głównego nadzorcy Philippe'a Certaldo.

Kobieta się nie niecierpliwi, powtarza pytania. Pyta mnie, czy wiem, gdzie znajduje się Yannis Cefai.

Po zakończeniu tej rozmowy głuchych prowadzą mnie z powrotem do celi. Po drodze muszę przytrzymywać sobie spadające spodnie, bo przecież nie mam paska. Znowu schudłam.

## 18 GRUDNIA

Kolejny posiłek. Południe? Ten sam manewr powtarza się jeszcze dwa razy, ci sami strażnicy prowadzą mnie do tej samej sali przesłuchań, a tam za każdym razem inni oficerowie zadają mi pytania. Na nic nie odpowiadam. Milczę. Pokaszuję coraz bardziej sucho. Moje przemoczone ubrania nie całkiem wyschły, pomimo letniej temperatury mojej celi. Moją klatkę piersiową rozdziera coraz bardziej szorstki kaszel.

Po trzecim przesłuchaniu znów bada mnie lekarz, po czym dostaję pozwolenie na umycie się w umywalni.

Drzę pod cienkim strumieniem zimnej wody z kranu.

Wojskowi przekazali mi czyste i ciepłe ubrania, wojskowe spodnie, T-shirt, dwa grube swetry i kurtkę z kapturem, podszytą imitacją baranka w kolorze khaki. Nie boją się już, że się powieszę, ale pasek, który mi przysłali, jest za duży, żeby utrzymać na moich biodrach zbyt szerokie i długie bojówki.

Przypominam sobie słowa mojej mamy: „Postaraj się być bardziej kobieca, jeśli nie chcesz, żeby cię brali za chłopaka”. Mamo, gdybyś wiedziała... Przez te wszystkie ostatnie tygodnie nosiłam cudze, męskie ubrania. Myślę przelotnie o Aleksie i Marcu.

Kiedy wychodzę z umywalni, eskortują mnie do nowego miejsca przesłuchań. Jest położone gdzieś wyżej, nie w podziemiach, i przypomina areszty, które widywałam na filmach: pomieszczenie bez okien, obite wykładziną; stół; cztery krzesła; notatniki bez ołówka. Szyba po mojej prawej to z pewnością lustro weneckie. A przesłuchania są nagrywane.

Pozostawiają mnie znów samą na czas, którego nie mierzę. Dlaczego zmieniliśmy miejsce przesłuchań?

Wchodzi strażniczka. Zamyka za sobą drzwi, staje z bronią przy nodze w kącie pomieszczenia. Na kogo czekamy? Po co im cztery krzesła, trzy notatniki?

Staram się skoncentrować, ale nie daję rady.

## NOC Z 18 NA 19 GRUDNIA

I wtedy wchodzi on.

– Wybacz mi, Stéphane. Nie powiedziano mi od razu o twoim aresztowaniu.

Mój ojciec.

Szanowny pan doktor Philippe Certaldo w białym fartuchu; siwe, krótko przycięte włosy, kilkunniowy zarost, nerwowa twarz. Postarzał się w kilka tygodni. Widzę napięcie w jego oczach i odczytuję emocje.

Przestałam się już spodziewać, że to się stanie. Powtarzałam sobie tę scenę tyle razy: ja wstanę, żeby go uściskać, on weźmie mnie w ramiona. A potem? Wszystko się skończy?

Opanowuję się wielkim wysiłkiem woli i tłumię uniesienie. Siedzę dalej, jak przyspawana do krzesła, i mówię możliwie najchłodniej:

– Musimy się spotykać w obecności żołnierzy?

Ojciec chwilę się waha. Jest zbity z tropu. Spogląda na strażniczkę i wyjaśnia mi, że takie są procedury.

– To nie ty ustanawiasz te procedury, panie generalny nadzorca?

Wciąż nie wstaję. On stoi, z opuszczonymi rękoma, nieco odsuniętymi od ciała. Nie wie, co odpowiedzieć.

– Tak czy inaczej, równie dobrze mogą pilnować nas zza swojej szyby. A ja, choćbym była nie wiadomo jak niebezpieczna, nie mam już broni.

Ojciec otwiera usta, zamyka je, po czym dość oschle prosi kobietę, żeby wyszła. Kiedy drzwi się zamykają, zaczynam lżej oddychać. Dopiero wtedy wstaję.

Przytulamy się do siebie. Ojciec wymawia moje imię, jak gdyby próbował się upewnić, że tu jestem. Nic nie odpowiadam.

To ja przerywam nasze przywitanie. Siadam.

– Teraz ty będziesz mnie przesłuchiwał? – pytam.

– Co się stało, Stéphane? Co ci się stało? Stałaś się taka... taka twarda.

Ojciec opowiada mi moją historię. Wie o wszystkim. Z-Punkt Tête d'Or, śmierć Aleksa, dwa tygodnie, które spędziłam jako pielęgniarzka w szpitalu, nasza ucieczka kajakami z Lyonu i podróż przez wiejskie rejony Burgundii, trzy zabójstwa w Morvan, śmierć Marca przy stacji Gentilly, aresztowanie François, jego przesłuchania, zatrzymanie w Salpêtrière, a nawet przypadkowa śmierć młodego chłopaka w Gentilly, tuż obok fabryczki, w której znaleziono wojskowy karabin.

– Były na nim twoje odciski palców, Stéphane.

– Tak. A broń, którą oddałam wojskowym, posłużyła do zabicia trzech spośród tych wszystkich ofiar. W Lyonie i w Morvan.

– Co ci się stało, Stéphane?

Ojciec wie o wszystkim, ale nie wie niczego. W tym pokoju bez okien, ogrzanym i oświetlonym dzięki agregatowi, pozostającym pod obserwacją ludzi, którzy mnie tu zamknęli, dzieli nas nie tylko stół. Między nami stoi jego odejście, jego „ewakuacja”, jego ucieczka, a także dwa miesiące strachu, smutków, rozczarowań.

Opowiadam mu o szabrownikach, dzieciakach spalonych żywcem w Lyonie, bombardowaniach, strzelaninach.

Moje słowa wprost walczą o pierwszeństwo – ale same słowa to za mało.

Yannis napadnięty przez żołnierza i Marco, który musiał strzelać, żeby go uratować. Ojciec kręci głową. Nie wierzy mi? Opowiadam mu o mojej pomyłce w Lyonie, o naszej

ucieczce, o tym, jak Marco oszalał i wpadł w paranoję. Opowiadam mu o naszych badaniach nad szczepionką, o nadziei, o operacji Jules'a, o pielęgnowaniu Yannisa, o tej nocy, kiedy uratowałam go przed utonięciem. I o śmierci Aleksa, raz jeszcze; o wilkach w lesie Morvan i o Reggie. I wreszcie o szabrowniku, którego zabiłam, jedynym, którego zabiłam sama w naszej kamienicy, ciosem łomu w serce, bo mojego ojca tam nie było, a ja wróciłam, żeby na niego czekać.

Chcę, żeby usłyszał, jak bardzo się bałam, jak bardzo go potrzebowałam, jak bardzo był nieobecny.

– Powiedziałeś mi, że wrócisz po mnie najszybciej, jak to możliwe. Powiedziałeś mi, że wszystko będzie dobrze z Nathanem i mamą. Tymczasem oni nie żyją, a ty nigdy nie wróciłeś. Ojciec spuszcza oczy. Moje oczy zachodzą mgłą zimnej wściekłości.

– Przeżyłam, tato. Wszyscy powinniśmy byli przeżyć. Nie byliśmy żadnymi terrorystami, wszyscy byliśmy niewinni, ale ty kazałeś nas ścigać, ty i twoi przyjaciele. To przez was jest tyle ofiar.

Ojciec wciąż nie podnosi na mnie wzroku. Czy chociaż się wstydzi? Rozumie?

– Przeżyliśmy tak, jak potrafiliśmy, tato. Ja, Yannis, my wszyscy.

– Ja... Rozumiem, Stéphane.

– Nie, nie rozumiesz! Przedwczoraj spotkałam małą dziewczynkę, Alicję. Siedmiolatkę, która przeżyła, bo jej dziadek, lekarz pediatra, zaszczepił ją jedyną dawką MeninB-Par, jaką udało mu się znaleźć. Jedyną, jaką udało mu się dostać, rozumiesz?

Ojciec przysuwa sobie notatnik, wyjmując ołówek, notuje dwa czy trzy słowa.

– Teraz cię zainteresowałam? Ten lekarz nazywał się Dionée. Mieszkał w alei Obserwatorium. Domyślił się, że chodzi o szczepionkę. Wcześniej niż wy. Tylko że on najpierw pomyślał o wnuczce. Nie o nauce, swoim obowiązku czy ludzkości, tylko o swojej wnuczce.

Ojciec podnosi głowę.

– Chciałabyś, żebym tak właśnie postąpił, Stéphane? Żebym się dla ciebie poświęcił?

– Nie tylko dla mnie! Dla Nathana. Dla mamy!

Obiecałam sobie, że zachowam spokój. Nie chciałam płakać. Nie przed nimi.

– Myślałem, że robię, co mogę, Stéphane. Robię to, na czym się znam. Dla was, dla... dlatego, żebyś miała jakąś przyszłość.

Stara się chwycić mnie za rękę ponad stołem.

– Pomyliłem się... być może. Ale próbowałem. Wtedy w Lyonie kazałem cię znaleźć. Potem już kazałem cię szukać wszędzie.

On też płacze.

– Kazałeś zabić moich przyjaciół.

– To nie ja, Stéphane. Uwierz mi. Oni zabili wojskowego, nie mogliśmy...

W tym momencie wchodzi jakiś oficer.

– Już wystarczy, doktorze Certaldo. Będziemy ją przesłuchiwać.

– Jeszcze kilka chwil, bardzo proszę – błaga ojciec.

Wojskowy chwyta trzecie krzesło.

– Dobrze. Może pan zostać, ale ja zaczynam przesłuchanie.

Siada, rzuca okiem na notes trzymany w ręku.

– Nazywam się major Schliefer, odpowiadam za to śledztwo kryminalne. Stéphane Certaldo, jesteś podejrzana o zabójstwa lub współudział w zabójstwie pięciu oficerów żandarmerii wojskowej.

– Pięciu?

– Wiemy, że byłaś w lecznicy Liceum Parkowego w Lyonie w momencie egzekucji



sierżanta Viernaya. Jednak przyznałaś się też, że brałaś udział w innych zabójstwach: porucznika Ruiza oraz sierżantów Haenela i Pellegaya w Morvan. Dwóch oficerów, kapitan Lévêque i porucznik Merki, straciło życie przy stacji Gentilly w wyniku strzelaniny, podczas której znajdowałaś się w towarzystwie strzelającego. Zgadza się?

Znów rzuca okiem do notesu.

– Ponadto jesteś oskarżona o zabójstwo i próbę zabójstwa dwóch pomocników władz wojskowych trzy dni temu przy ulicy Raymonda Lefebvre’a w Gentilly.

Mój ojciec zbladł, kiedy oficer odczytywał swoją listę. Mnie też wydaje się ona nierealna.

– W obecnych okolicznościach nie możemy ani nie powinniśmy robić żadnych wyjątków. Nie będziemy cię traktować z większą pobłażliwością tylko dlatego, że twój ojciec był generalnym nadzorcą.

– Nie jesteś już nadzorcą? – zwracam się do ojca. – Nie podpisujesz się już pod rozkazami?

– Nie. Zwolniłem się z tej funkcji, kiedy dowiedziałem się, że strzelali do was w Gentilly.

Wróciłem do laboratorium, żeby nadzorować produkcję szczepionki.

Robi pauzę w oczekiwaniu na reakcję z mojej strony albo ze strony majora. Cisza.

– Na tym znam się najlepiej, tak myślę – podsumowuje.

– Stéphane Certaldo – kontynuuje wojskowy – według przepisów sądu wojskowego, obowiązujących podczas stanu wojennego, powinnaś stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Niemniej jednak zostałem upoważniony przez władze wojskowe do pójścia na ugodę, jeżeli wyjawisz nam nazwiska osób odpowiedzialnych za zabójstwa tych oficerów i naszego pomocnika i jeśli udostępnisz nam środki pozwalające szybko pojmać winnych.

– I ty się na to zgadzasz? – pytam ojca. – Sądy wojskowe? Kara śmierci?

– Stéphane, taka epidemia to sytuacja wojny. Brak porządku również zabija.

Ojciec rzuca okiem na oficera.

– Ale nie, nie zgadzam się na to – dodaje zmęczonym tonem. – Zrobię wszystko, żeby to powstrzymać.

– Twój ojciec już ci nie pomoże, Certaldo – ucina major. – Masz bardzo mało czasu na decyzję.

Spoglądamy na siebie w napięciu. Philippe Certaldo. Tata. Podobno go przypominam.

Widzę, jak rozchyła usta. Gdyby mógł mówić za mnie, na pewno by to zrobił.

Zamykam oczy i błagam Marca, żeby mi wybaczył.

– François na pewno już wam powiedział: to Marco zabił tych oficerów w Lyonie, w Morvan i w Gentilly. Ale jak pan dobrze wie, on nie żyje. Waszego winnego już nie ma.

– Gdzie znajduje się Yannis Cefai? – naciska oficer. – Był razem z tobą na ulicy Lefebvre’a w Gentilly, kiedy zabito naszego pomocnika Hugues’a Nalleta? Kto wtedy strzelał?

Hugues. Ten chłopak nazywał się Hugues. Znów widzę jego zaskoczoną twarz. Nie spodziewałaś się, że strzelimy do niego, a strzeliliśmy wszyscy naraz. Kori, Yannis i ja.

Czy to możliwe, że tak szybko o nim zapomniałam?

Ile miał lat? Tyle co ja? Rok mniej?

Rzut oka na ojca. Nie spuszcza ze mnie wzroku, jak gdyby mógł mnie przekonać do oskarżenia moich przyjaciół.

– To... To ja strzeliłam na ulicy Lefebvre’a w Gentilly. Działałam w obronie własnej.

Ramiona ojca opadają, natomiast major Schliefer nie zdradza żadnych emocji.

– Tych dwóch chłopców reprezentowało siły porządkowe – kontynuuje. – Twierdzisz, że o tym nie wiedziałaś?

– Nie. Wiedziałałam o tym.

– To jeszcze dzieciak, majorze – wtrąca tata. – Przeżyła niewyobrażalne rzeczy przez te dwa ostatnie miesiące, jak my wszyscy. Była przestraszona, spanikowała.

– Gdzie jest Yannis Cefai? – naciska oficer. – I ci wszyscy, którzy mają się z wami spotkać w nocy 24 grudnia w wieży Zegarowej? Czy to prawdziwe spotkanie, czy może chodzi o jakiś kod?

– Nie jesteśmy żadnymi terrorystami – mówię. – Wiadomość zapraszająca graczy WOT na spotkanie w Paryżu została wysłana przez Khronosa, silnik gry. Khronos zbugował, wie pan o tym lepiej ode mnie. Na to spotkanie przyjdą tylko nerdy, gejmerzy, którzy...

– Gdzie jest Cefai? – ucina major.

– Niech pan ją zostawi – wtrąca ojciec zdecydowanie. – Proszę ją w tej chwili zostawić. Chcę rozmawiać z generałem Nicloux, natychmiast.

—

Wyszli z pomieszczenia. Słowa na nic się tu nie zdadzą. Według wojska wszystko się już rozegrało. Czy naprawdę myślałam, że uda mi się obronić Yannisa i uniewinnić Ekspertów?

Ojciec wraca sam.

– Rozmawiałem właśnie z generałem Nicloux, odpowiedzialnym za sądownictwo w zarządzie wojskowym Paryża. Jest mi coś winny, bo to ja kierowałem całą polityką profilaktyki w stolicy.

Słyszę w jego głosie nutkę dumy, ale nie o to mu chodzi. Chce mi tylko pokazać, że mogę mu zaufać, że zostanie wysłuchany. Chciałabym w to wierzyć.

– Zapewnił mnie, że twoi przyjaciele będą mieli prawo do sprawiedliwego procesu. I że będą mogli się bronić, jeżeli rzeczywiście strzelali w obronie własnej. Dostaną adwokatów. Sam o to zadbam, Stéphane.

Stara się uchwycić mój wzrok, przekonać mnie.

– Jeśli chodzi o ciebie – kontynuuje – to generał zapewnił mnie, że zostaniesz uwolniona, jeśli wydasz tego Yannisa i Ekspertów. Wszystkich, którzy biorą udział w spisku 24 grudnia.

– Nie ma żadnego spisku, tato – wzdycham rozgoryczona. – Eksperci naprawdę uwierzyli w wiadomość od silnika gry.

– No to wydaj chociaż tych, którzy byli z tobą na ulicy Lefebvre’a, kiedy zabiliście tego chłopca z sił porządkowych. Czyli Yannisa; tego chłopaka, którego operowałaś; i tych, którzy zajmują się wnuczką doktora Dionéego.

Zagryzam wargi. Za dużo mu powiedziałam. Mimo woli podałam informacje – a wojskowi wszystkie wykorzystali.

– Stéphane... Muszę zobaczyć tę siedmioletnią dziewczynkę. To ważne.

Nic więcej nie mogę powiedzieć, ani słowa. Inaczej ostatecznie powiem wszystko.

Milknę.

– Chciałabym zrobić to, czego się po mnie spodziewałaś – nalega. – Być tym, którego potrzebowałaś, zanim wszystko się pokręciło.

„A ja powinnam była ci zaufać, czekać na ciebie, pójść z żołnierzami w Lyonie, tato”.

– Wybacz mi, proszę. Ale jeszcze nie jest za późno, Stéphane.

Tak bardzo chciałam mu wierzyć.

– Wydaj ich. Ratuj siebie. Powiedz wojskowemu o wszystkim, co wiesz.

– Oni go zabiją.

Płaczę cicho.

– Jeżeli im powiem, zabiją Yannisa.

– Mam słowo generała. Dostaną rozkaz, żeby nie strzelać.

– Yannis nie da się złapać. A oni będą strzelać. Wiem to.

Ojciec podnosi się i staje za mną, z rękami na oparciu mojego krzesła. Czuję za plecami jego obecność. Chciałby mi pomóc, pocieszyć mnie.

Tylko że jest już za późno.

Nie wiem już, kto jest tym lepszym. Zrobiliśmy, co uważaliśmy za słuszne. Marco nie żyje. François siedzi w celi. Ja też.

Czy powinniśmy się zatrzymać, póki jeszcze jest czas? Być może.

Być może Yannis też powinien z tym skończyć. Póki jeszcze jest czas.

Nie chcę, żeby umarł. Nie on.

—

Major Schliefer wraca na miejsce.

– Opowiedz mu wszystko, Stéphane – prosi ojciec. – Możesz na mnie liczyć, wojsko dotrzyma swoich zobowiązań. Ale nic nie będę mógł dla ciebie zrobić, jeśli ty... mi nie pomożesz.

Nabieram powietrza w płuca.

– Eksperci nic nie zrobili. Nic. I Yannis też nie. Zaprowadzę was do niego – szepczę na jednym oddechu. – Nie podam wam adresu, wybiorę się z wami i będę was prowadzić. Tylko ja, pan i kilku ludzi. Żadnych helikopterów.

Schliefer pochyla się w moją stronę i patrzy uważnie. Wpatruję się w niego wyzywająco.

– Yannis nigdy nie strzelił do żadnego oficera. Do nikogo, rozumie pan?

Major zaczyna notować. Widzę, jak podkreśla jedno słowo. Co pisze?

– Będę waszym zakładnikiem. Kiedy Yannis mnie zobaczy, być może się podda.

– Stéphane... – szepcze ojciec.

– Chcę być sądzona w identyczny sposób jak on. Chcę, żebyśmy byli przetrzymywani razem, w tym samym areszcie. Nie chcę korzystać z żadnego przywileju, żadnego zwolnienia warunkowego pod pretekstem, że wam go wydałam. Jesteśmy razem. Byliśmy razem od samego początku.

Takie są moje warunki, wszystko albo nic. Nie mają wyboru.

– Jeżeli go zabijecie, to nie zapomnijcie zabić także mnie. Jeśli tego nie zrobicie, sama znajdę sposób, żeby umrzeć.

Odwracam się do ojca.

– Powiedz im, że nie dadzą rady mnie powstrzymać, jeżeli postanowię umrzeć. Powiedz im to wyraźnie, tato.

Czytam w jego przerażonych oczach, że mi wierzy. Moje życie, żeby uratować twoje, Yannis, czy to sprawiedliwe? Czy dobrze robię?

## 19 GRUDNIA, ŚWIT

Same kłamstwa. Wprawdzie za naszym pojazdem podążają tylko dwa transportery, każdy z dziesięcioma ludźmi na pokładzie, a oni obiecali mi, że nie będzie wsparcia z powietrza ani snajperów na dachach, ale z pewnością jestem okłamywana.

Pójdę sama, przodem. Sto metrów za mną będzie podążał patrol z majorem Schlieferem. Oddali mi moje ubrania, suche i czyste, żeby Yannis nie domyślił się mojej zdrady. Naprawdę go zdradziłam czy może go uratuję?

Miałam nadzieję, że ojciec będzie mi towarzyszył. Major Schliefer zdecydowanie się temu sprzeciwił. Nie chcą, żeby się narażał, za bardzo potrzebują lekarzy. Nie wszystkie istoty ludzkie mają tę samą wartość.

Tata został ze mną aż do świtu.

Kiedy już musieliśmy się rozstać, wstałam i popatrzyłam na niego. Bał się o mnie, widziałam to – bał się mnie stracić w momencie, w którym mnie odzyskał. Przytulił mnie, a ja poddałam się temu i wreszcie go uściskałam. Mój ojciec. Moja rodzina – jedyna, jaka mi została.

– Uważaj na siebie, Stéphane. Wróc. Przysięgam ci, wyjdziecie z tego.

Opieram o niego głowę, zamykam oczy. On przeczesuje mi włosy ręką. Słyszę, jak powtarza:

– Jesteśmy razem. Teraz już wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze.

---

Powietrze jest suche i mroźne. Zimowe słońce dopiero wschodzi. Wysyła białe, nasycone światło. W jego promieniach mienią się obłoki kurzu lub srebra. Mrużę oczy, oślepią. Widzę miasto jakby po raz pierwszy – a może ostatni. Dostrzegam wszystkie szczegóły: śmieci na chodnikach, ściany pokryte lizajami. Zdechłego szczeniaka w rynsztoku. Porzucone rzeczy, to tu, to tam. Do kogo należały te powiązane w pęczki listewki z drewnianych skrzynek, te puste butelki po wodzie mineralnej, tłumoki brudnych ubrań, wśród których widzę dwie absurdalnie pomarańczowe dziecięce skarpetki?

Jaki kataklizm przeżyliśmy? Jak go zmierzyć?

W jaki sposób chcieliśmy przetrwać nietknięci i samowładni?

Idę sztywnym krokiem. Pasek podtrzymujący moje spodnie boleśnie ociera się o skórę. Narastające poczucie nieuchronności wydarzeń utrudnia mi oddychanie, a może to ten suchy kaszel wciąż nie daje mi spokoju? Nie mogę nawet przełknąć śliny. Od czasu do czasu pluję.

Podobnie jak w kościele, mam wrażenie, że moje pięty powinny stukać po asfalcie – żeby ostrzec Yannisa. Jednak gumowe podeszwy wciąż nie wydają najmniejszego odgłosu.

Wojskowi maszerują mniej więcej sto metrów za mną albo trochę dalej. Zwalniam na każdym rogu ulicy, tak jak mi kazali. To dla nich gwarancja, że nie staram się uciec. Jak moglibyśmy jeszcze uniknąć tego nieszczęścia?

Za skrzyżowaniem odbija w bok ulica Benserade. Od kilku minut regularnie rzucam okiem na dachy. Nie widzę sylwetki Yannisa.

Podążam dalej, prosto w tę pułapkę, którą skonstruowałam minionej nocy dla siebie i dla niego.

Gdzie są snajperzy? Wojsko na pewno o nich zadbało, mimo kłamliwych zapewnień. Skąd podniosą się helikoptery?

Biorę głęboki wdech, moje żebra zaznaczają się na wychudzonym ciele.

„Gdybyśmy się zgubili... umówmy się, że tutaj będzie punkt kontaktowy”. Yannis. Mój przyjaciel, którego zdradziłam.

„Czy dotrzymasz słowa? Będziesz tu? Błagam, niech cię tu nie będzie. Albo mnie uratuj”. Kręcę się po ulicy, sztywna i spięta. Mam wrażenie, że jestem w filmie puszczanym w zwolnionym tempie.

Chyba dostrzegam jakąś postać pod światło – tam, na końcu ulicy, w bramie, prawie naprzeciwko naszej kryjówki.

Happy biegnie w moją stronę, gotowy radośnie się przywitać.

„Nie!”

Wymierzam mu kopniaka, jak gdyby chodziło o natarczywego zbłąkanego psa. Happy jęczy z zaskoczenia albo z bólu, a potem cofa się, powarkując. Nie mogę pozwolić, żeby nas zdradził. Serwuję mu drugiego kopniaka. Happy z podkulonym ogonem wraca do swojego pana.

Swojego pana.

Na pewno mnie rozpoznał, wyszedł na chwilę z kryjówki. Poznaje jego sylwetkę, widzę te długie nogi. Zbliżam się wielkimi krokami, nie przyspieszając. Schował się z powrotem do bramy. Zrozumiał?

Jego twarz, która na pewno się uśmiechnęła, nagle przestała się uśmiechać. Dostrzegam odblaskową opaskę na jego lewej ręce – zmyłka, Yannis nigdy by się nie poddał.

„Ja też nie, przyrzekam ci. Dziś już bym się nie poddała”.

Pytanie na jego twarzy i zwątpienie na czole, zmarszczone brwi. Nie spuszczam z niego wzroku. Nie zwalniam kroku, gdy docieram na jego wysokość. Kręcę tylko głową, lekko, niedostrzegalnie.

„Nie, Yannis. Nie rozpoznawaj mnie”.

Wyraz jego twarzy znów się zmienia. Kiedy przechodzę obok niego, prowadzimy niemy dialog spojrzeń.

„Nie rozpoznawaj mnie, Yannis. Za nic w świecie mnie nie rozpoznawaj. Uratowałam cię tyle razy. Teraz twoja kolej. Uratuj mnie, Yannis, błagam cię”.

Słyszę za plecami jego kroki – Yannis cofa się ulicą w kierunku majora Schliefera i jego ludzi. Czy zrozumiał?

Zatrzymuję się przed naszą kryjówką, odwracam głowę. Yannis odbił w prostopadłą ulicę, zanim na nich wpadł. Teraz jestem sama.

Na zawsze?

—

– Gdzie jest Cefai?

Major dołącza do mnie na klatce schodowej.

Jego ludzie zostali w hallu budynku.

– Nie wiem. Miał tu na mnie czekać. Może zapomniał o naszym spotkaniu? Może was zauważył? Może się ukrył?

Żołnierze grzebią w naszych plecakach: amunicja, baterie, lampki, prowiant, wszystko wciąż tam jest.

– Może być wszędzie. Szliście za blisko. Jeżeli was zobaczył, zrozumiał, że go zdradziłam, i uciekł.

„Co tak naprawdę rozumiałeś, Yannis? Porzuciłeś mnie, podczas gdy ja mam tylko ciebie?”

– Jeśli tu go nie ma, nie mam pojęcia, gdzie mogłabym go znaleźć.

– No cóż, poczekamy na niego – odpowiada Schliefer.

Na zewnątrz pada jakiś strzał. Od razu wiem, że to on.

Czterech żołnierzy wybiega na ulicę z bronią w ręku. Za nimi major i ja, trochę z tyłu.

Yannis tam jest, kuca oparty o ścianę. Twarz ma ukrytą za jakąś zakrwawioną szmatą, którą przyciska do czoła. Z dobrze widoczną opaską na lewym ramieniu wskazuje ręką sąsiednią ulicę.

– To był ten chłopak z listu gończego za terrorystami! – krzyczy. – Rozpoznałem go!

Moi strażnicy tłoczą się wokół niego.

– Rozpoznałem go – powtarza. – Strzelił do mnie, łajdak!

Osuwa się na ziemię, trzymając zakrwawioną twarz w obu rękach.

– Uciekł tamtędy.

Prawie chce mi się śmiać.

„Oszalałeś, Yannis! To się nigdy nie uda. Oni nigdy nie...”

Na rozkaz majora trzech ludzi biegnie w kierunku wskazanym przez Yannisa. Schliefer wydaje już polecenia przez walkie-talkie. Z oczami utkwionymi w oddali wskazuje drugiemu transporterowi ulicę, którą ten ma zablokować. Potem przez radio mówi do innych, żeby zajęli pozycje na dachach.

Snajperzy!

Czwarty z żołnierzy, ten, który z nami został, właśnie wyciąga z plecaka apteczkę, żeby opatrzeć Yannisa. Schliefer kuca przed moim przyjacielem.

– Opatrzmy cię, chłopcze – mówi. – To dobra robota, rozpoznałeś Cefaïego. Był sam? Jakie miał na sobie ubrania, jakiego koloru?

– Cholera, boli mnie – jęczy Yannis, wciąż z twarzą w dłoniach.

Jak długo to może trwać? Jak Yannis zamierza nas uratować? Co powinnam zrobić?

– Ta dziewczyna za wami... – słyszę jego głos. – Ona też jest na tym plakacie. To jego przyjaciółka?

– Tak, jestem przyjaciółką Yannisa – mówię. – To mój jedyny przyjaciel.

Major i sanitariusz odruchowo odwracają się do mnie.

– Ręce do góry!

Yannis wyciągnął z kurtki jeden z naszych pistoletów. Oni znów patrzą na niego.

– Nie przejmuj się – Schliefer próbuje go uspokoić. – Mamy ją pod kontro...

– Nic nie kumasz, facet. To było do was. Ręce do góry. Szybko.

Yannis ściąga zakrwawioną szmatę, którą zakrywał twarz.

– Cefaï! – krzyczy oficer.

Uśmiecham się. Yannis wstaje, z pistoletem oddalonym trzydzieści centymetrów od gardła majora.

– Stéphane, rozbrój ich, proszę.

Zabieram się za sanitariusza.

– Poinformuj swoich ludzi, że Cefaï ma na sobie czarny sweter i czerwoną czapkę – rozkazuje Yannis majorowi. – Powiedz, że uciekał prosto na wschód, że jest uzbrojony i niebezpieczny. I nie zapomnij użyć kodu waszej operacji. Oscar Charlie Mike Papa.

Pod groźbą Yannisa major powtarza te polecenia przez walkie-talkie. Zabrałam karabinek sanitariusza i krótką broń. Nie mam ochoty trzymać tego w rękach, ale tak trzeba.

– Dobrze – kiwa głową Yannis, wymachując automatem przed nosem majora. – Teraz oddaj mi walkie-talkie.

Yannis wolną ręką wyjmuje baterie, odrzuca walkie-talkie daleko od siebie i wsuwa baterie do kieszeni. Kiedy to robi, na chwilę spuszcza Schliefera z oczu.

Widzę, jak oficer wykonuje gest w kierunku swojej kieszeni.

W mgnieniu oka domyślam się, co się zaraz stanie.  
Powinnam strzelić, ale stoję jak sparaliżowana. Powinnam krzyknąć, ale z moich ust nie wydobywa się ani jedno słowo. Słyszę strzał. Zamykam oczy.  
Poznaję dym, zapach prochu.  
– Yannis! – Z mojego gardła wyrywa się spazmatyczny krzyk.  
Otwieram oczy. Schliefer leży na ziemi na plecach i trzyma się za nogę. Yannis strzelił mu w prawe kolano. Major wypuścił broń.  
Rozbrojony sanitariusz nie odważył się niczego spróbować.  
Yannis odwraca się do mnie.  
– Idziemy, Stéphane? Wojskowi za chwilę się tu zlecą.

---

Biegnę za nim. Wchodzimy do budynku, przed którym wcześniej dostrzegłam jego sylwetkę. Happy na niego czeka. Radośnie szczeka na widok swojego pana. Ode mnie się odsuwa, by pozostać poza zasięgiem moich kopniaków.  
On też musi mi wybaczyć.  
– Chodź. Spadamy, szybko!  
Przechodzimy przez puste mieszkanie, Yannis popycha jakieś drzwi do przechodniego pomieszczenia. Przechodzimy przez dziurę w ścianie. Z jednego budynku do drugiego. Nowa klatka schodowa. Jesteśmy po drugiej stronie kwaterału domów.  
Kiedy on to namierzył?  
Łapię oddech. Yannis odwraca się do mnie z twarzą poplamioną zaschniętą krwią.  
Uśmiecha się promiennie.  
– Dobra, teraz następny etap. Zmywamy się. Gotowa?  
Nie mamy wyboru. Niedaleko słychać odgłosy silnika. Pojazdy opancerzone, helikopter. Krzyki żołnierzy. Jeżeli teraz nas złapią, będą strzelać. Mam to gdzieś. Wolę umrzeć z nim, niż żyć z nimi.  
– Gotowa – mówię.  
– No to ruszamy. Głowa nisko.

19 GRUDNIA, 10.00

Wspinamy się na jakiś parkan, przeskakujemy do ogródka, nurkujemy do piwnicy, która łączy się z sąsiednim budynkiem. Czekamy kilka chwil, nasłuchując, po czym przebiegamy wewnętrzny dziedziniec, wspinamy się na murek i biegniemy na kolejne podwórko.

Gdzie są snajperzy? Czy jesteśmy na ich celownikach?

Instynktownie kierujemy się na zachód, jak najdalej od Charléty, tamtejszego lądowiska helikopterów, tamtejszych pojazdów opancerzonych, blokad.

Najczęściej, jak to możliwe, powinniśmy wybierać miejsca osłonięte, niewidoczne z nieba. Tym razem, mój huzarze, niebezpieczeństwo czyha na dachach.

---

Wirniki helikopterów słyszymy z bardzo daleka. Opuszczamy budynki i ogrody, żeby wybiec na ulice. Biegniemy wzdłuż samochodów, do utraty tchu, zgięci w pół – zwalniając na każdym skrzyżowaniu ze strachu, że wpadniemy na wojskowy pojazd, na patrol, na śmierć.

Happy często biegnie jako zwiadowca i szczeka.

„Droga wolna!”

Spoglądamy po sobie z ulgą po każdym pokonanym skrzyżowaniu. Yannis – z zakrwawioną twarzą potwora z karnawału. Chce mi się śmiać, kiedy na niego patrzę, kiedy przypomina mi się odegrana przez niego komedia.

Armia ośmieszona przez „terrorystów”.

Co sobie o tym pomyśli mój ojciec? Czy go jeszcze zobaczę? Nie mam pojęcia. Nie miałam czasu przewidzieć, że ostatecznie się nie poddam, że tak naprawdę żegnam się z nim na dobre.

Czy na zawsze? Nie wiem.

Yannis przebiega przez ulicę i wpatruje się w mapę miasta. Jesteśmy w Vanves. Podążam za nim.

– Wiesz, dokąd biegniemy?

– Nie. Na razie poruszamy się wzdłuż granic Paryża, ale przy każdej bramie są blokady.

Pokonaliśmy już kiedyś tę trasę, po śmierci Marca, pamiętasz?

Tak, pamiętam. Spływa na mnie natchnienie.

– Jeżeli pójdziemy wzdłuż Sekwany i nie przejdziemy na jej drugi brzeg – mówię – dotrzemy do lasu na zachodzie. To chyba Saint-Cloud. Tam będziemy mogli się ukryć.

Yannis patrzy na mnie, chwilę się waha, a potem kiwa głową.

Chwytam go za rękę i przejmuję kierowanie operacją przy przekraczaniu Issy-les-Moulineaux. Na zachód, wciąż dalej na zachód. Ciągnę go za sobą. Domyślam się, co się dzieje w jego głowie. Paryż, wieża Zegarowa, 24 grudnia.

„Zostawmy to za sobą, Yannis. Zostawmy to miasto, jego wojskowych, więzienia. Mojego ojca, twoje spotkanie, nasze złudzenia”.

---

Na odgłos lecących helikopterów nurkujemy w jakieś zarośla i przestajemy się ruszać. Nagie korony drzew nie przykrywają nas całkowicie, ale w ten sposób stajemy się niewidoczni. Helikoptery odlatują. Podnosimy się, siadamy we dwoje u stóp jakiegoś drzewa i uśmiechamy się



do siebie.

Wokół nas rozciąga się las Saint-Cloud. Ogromny, nieskończenie większy niż park Tête d'Or – w zasadzie prawdziwy las przyklejony do miasta.

Yannis rzuca okiem w stronę Paryża. Chce tam wracać? Nie pozostawię mu wyboru.

– Myślisz, że są tu lisy? – pytam.

Yannis parska śmiechem.

– Myślę, że tu – mówi – spotkamy również wilki.

Podaję mu rękę, pomagam wstać.

– Chodź...

Ruszamy dalej na zachód, zostawiając Paryż za plecami.

---

Przed nami koniec lasu. Nie da się już iść dalej wśród krzewów, chyba że zawrócimy. Przed nami znów miasto.

– Co robimy? – pyta Yannis.

Po jednej stronie widać kilka nitek autostrady. Po drugiej stronie mamy dzielnicę mieszkaniową: piękne wille otoczone ogródkami. Tablice turystyczne informują o niedalekich atrakcjach: „Pałac wersalski”, „Park pałacowy”, „Pałacyk Petit Trianon”. Słyszymy odgłos wirnika. Zbliża się jakiś helikopter.

– Znajdźmy sobie jakąś kryjówkę – mówię po odzyskaniu oddechu. – Schowamy się na dobę, a potem...

A potem nie wiem.

– OK – odpowiada Yannis.

Wspina się na jakiś parkan, przeskakuje na drugą stronę i otwiera mi najeżoną kolcami bramę. Jesteśmy w zadrzewionym ogrodzie. Krzaki bukszpanu, żwirowa alejka. Trzy prawie czarne, majestatyczne cedry. W środku ogrodu stoi wielki dom – kwadratowy, biały, z pozamykanymi okiennicami. Mam wrażenie, że zbliżam się do zamku Śpiącej Królowiny. Ogród jakby zasnął na zimę, doskonały w swojej symetrii. Dopiero na wiosnę dołączy do dzikości i chaosu miast. Uśpiona natura jeszcze nic nie wie o katastrofie.

Żwir chrzęści pod naszymi stopami. Na parkingu przed domem zaparkowano dwa samochody. Drogie marki.

Yannis wchodzi na ganek i znajduje okno z niedomkniętą okiennicą. Wybija szybę, naciska kławkę. Wślizguję się za nim do środka.

Yannis pośpiesznie idzie do kuchni się napić. Następnie wpuszcza Happy'ego.

Zaczynam obchód domu. Światło przenika przez szpary między listewkami w okiennicach. Rozsuwam zasłony, otwieram okiennice od strony ogrodu. Pokoje są obszerne, wysokie, aleumeblowane przytulnie – ani trochę mieszczańskiego klasycyzmu, którego się spodziewałam. Parkiety, boazerie, na ścianach współczesne malarstwo, marmurowe kominki, na których poustawiano zegary i bibeloty, jakieś urocze chińskie drobiazgi. Meble i fotele są przykryte pokrowcami. Nikt tutaj nie wchodził, nic nie zostało splądrowane. Wyjechali stąd latem? A może to weekendowe lokum? A może wszystko poskładali, poukładali przed śmiercią?

Na parterze nie ma żadnego zapachu poza zaduchem z powodu długiego zamknięcia. Może trochę pachnie zimnym drewnem i wilgocią. Milczące pająki utkały pajęczyny, kurz opadł jak drobny piaseczek.

Wchodzę na piętro, otwieram drzwi do pokoju. Na łóżku leży ciało. Momentalnie trzaskam drzwiami. Zapomnieć o zmarłych... Zapomnieć na kilka godzin.

Schodzę na dół.

Gdzie jest Yannis? Słyszę jakieś pluski. Rozebrany do połowy Yannis stoi w kuchni nad zlewem z butelką wody mineralnej w ręce.

– Muszę się umyć – uśmiecha się. – Wymazałem się krwią szczura.

Krzywię się z obrzydzenia.

– Ohyda, co?

Yannis śmieje się krótko, ale promiennie.

– Trzeba było szybko coś znaleźć, żeby cię uwolnić. Moja śliczna buźka by nie wystarczyła.

Kiedy Yannis dołącza do mnie w salonie, mokre włosy ma zebrane z tyłu. Z powrotem założył koszulę poplamioną szczurzą krwią i teraz ją zapina.

Bez celu krążę po salonie i nagle trafiam na lustro. Zmieniłam się. Wręcz nie poznaję swojej twarzy.

– Widziałaś się z ojcem? To dlatego żołnierze cię śledzili, a ty przysłałaś po mnie?

– Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Nie teraz.

Jego twarz momentalnie się zachmurza.

– Nie teraz? Przed chwilą mieliśmy na karku połowę wojska, helikopterów i snajperów, ale ty nie masz ochoty o tym teraz rozmawiać?

Wzruszam ramionami. Na jego twarz powraca uśmiech.

– Dobra, chodź, zobacz.

Wraca do hallu, otwiera drzwi. Happy korzysta z okazji i ucieka do parku. Yannis pokonuje dwa schodki ganku, pokazuje mi bmw, wyjmuje kluczyki. Światła samochodu dwukrotnie mrugają.

– Jeśli w baku jest paliwo, zabiorę cię, dokąd chcesz, Stéphane.

Ma ten triumfujący, dziecinny wyraz twarzy, który tak bardzo mnie czasami denerwował. „Uciekajmy stąd, Yannis. Razem. Daleko stąd”.

Wracamy do salonu. Kucam przy kominku, układam kawałki drewnianej skrzynki, żeby rozpalić ogień.

– Czyli zabierzesz mnie, dokąd chcę? – pytam Yannisa, nie patrząc na niego.

– Nie od razu, Stéphane. Najpierw musimy załatwić inną sprawę.

Odwracam się, żeby mu się przyjrzeć. Zasepił się.

– O czym ty mówisz?

– Trzeba uprzedzić wszystkich Ekspertów, że idą prosto w paszczę lwa.

„Och nie, Yannis... Nie mów o tym więcej”.

– Jules, Jérôme i Vincent tam będą – kontynuuje. – Ale uzbrojeni. To się może zamienić w krwawą łaźnię. Nie możemy ich porzucić. Kori też tam będzie i...

– A tak, piękna rudowłosa!

Yannis spogląda na mnie, zaskoczony.

– Nie chciała cię, tak?

Znów ogarnia mnie wielki smutek. Kolejny raz czuję się porzucona. Jestem pewna, że właśnie go tracę.

– Jeśli chcesz wiedzieć, chciała – mówi spokojnie. – Miała na mnie ochotę.

Moja zazdrość też powraca nietknięta, jeszcze większa niż dawniej. I moja złość, jak zarzewie ognia przysypane cienką warstwą popiołu.

– Zostawmy to. Nie dlatego odszedłem – mówi dalej.

– Tylko dla mnie? Dzięki, taki zaszczyt!

Yannis blednie.

– Spodziewałem się przynajmniej...

Czegoś innego? Lepszego? Pochwał?

– Wracaj tam, skoro z nią było ci lepiej.

Jesteśmy mniej niż metr od siebie. Yannis jest nieźle wkurzony.

– Obiecałaś, że mnie uprzedzisz, zanim sobie pójdziesz.

– Przykro mi – mówię złośliwie. – Zapomniałam.

Znów czuję złość, która mnie napędza. Przypominam sobie wszystkie te sytuacje: kiedy mnie porzucił, żeby odnaleźć François; kiedy stanął po stronie Koridwen; kiedy dał się jej wyrolować; kiedy wołał ogrzać ją, niż potrzymać mnie za rękę; kiedy wybrał pozostanie z nią w wieżowcu. Dlaczego ani razu nie powiedział tego, co było trzeba, żeby mnie zatrzymać?

– Za to ty nic nie zrobiłaś, żebym została, prawda?

Popycham go. Cofa się, z rozłożonymi rękami, jakby chciał mi pokazać, że nie chce się bić. Niewinny Yannis. Yannis bez skazy. Popycham go jeszcze raz, on się cofa i uderza o ścianę.

Robię dwa kroki w jego stronę. Patrzymy na siebie, stojąc twarzą w twarz.

Chwytam go za koszulę. Za kołnierz. Chcę walnąć go w klatkę piersiową albo...

Przyciągam go do siebie. Próbuję złączyć nasze wargi. Yannis zaskoczony odwraca głowę, zamyka oczy. Przywieram do niego niezdarnie. Splatamy się. Czy on się opiera?

Osuwamy się na podłogę.

Siadam na nim okrakiem. Chwytam za nadgarstki, przyciskam do ziemi. Patrzę na niego.

Yannis przygląda mi się oszołomiony, prawie z niedowierzaniem. Boi się?

Ja też jestem oszołomiona, ale nie boję się siebie.

– Przestań! – próbuje Yannis. – Nie jesteśmy stworzeni do... Nie jesteśmy z tej samej...

– Ależ oczywiście, że tak.

Całuję go, żeby zamilkł. Tym razem Yannis mi na to pozwala.

Czy nadal toczymy walkę, kiedy niecierpliwymi ruchami ściągamy sobie wzajemnie ubrania? Rozzłoszczeni, że tak długo czekaliśmy?

Walczymy ze sobą czy się przytulamy?

Czy to jakaś różnica?

## 20 GRUDNIA

Potem się kochaliśmy. Już nie chcieliśmy ze sobą walczyć. Zdobyliśmy się na więcej delikatności, choć złość wciąż nam jeszcze nie przeszła.

To był mój pierwszy raz. Nie wiedziałam, że jestem taka piękna. I że Yannis jest taki piękny. Zasnęłam wtulona w niego na dywanie w salonie, pod narzutą z kanapy. Oboje byliśmy nadzy, lecz nam to nie przeszkadzało. Słyszałam, jak Yannis wstaje w nocy, by rozpaścić ogień w kominku.

Otwieram oczy. Światło wpada przez okiennice. Yannisa nie ma już przy mnie. Cholera, dokąd on poszedł? Odgłos silnika za oknem. Odjeżdża? Wojsko?

Podrywam się, pospiesznie zbieram ubrania, zaplątuję się we własne majtki, a potem w spodnie. Wybiegam z domu w momencie, kiedy Yannis otwiera drzwi od samochodu.

Spogląda na mnie z uśmiechem zdobywcy.

Dziś rano mi to nie przeszkadza. A może raczej wszystko mi przeszkadza? Sceny z minionej nocy jakoś nie pasują do huzara stojącego przede mną.

„Do diabła, Yannis, kochaliśmy się! Nie do wiary!”

– Bryka ma pół baku paliwa i odpala na zawołanie.

Wygląda na podnieconego tą wiadomością, wyraźnie go to uradowało. O dziwo, jego entuzjazm działa na mnie jak zimny prysznic.

– Wciąż chcesz pojechać na spotkanie 24 grudnia?

Yannis wchodzi po schodach bez pośpiechu.

– Ja chcę tylko powstrzymać Jules’a, Kori i innych przed masakrą. Jérôme i Vincent zgromadzili arsenał, którym można by obdzielić cały garnizon. Nie zgadzam się z ich metodami, ale... być może innych nie ma.

Yannis odwraca się w stronę ogrodu, po którym biega Happy. Tak naprawdę wcale mi nie odpowiedział, ale nie chce na mnie spojrzeć. Dlaczego?

– Jeżeli wyjdą z tego cało – ciągnie dalej – opuszczą Paryż i być może stworzą jeszcze większą komunę.

– A ty? Chcesz jechać i żyć razem z nimi?

– Ja chciałbym tylko, żeby ktoś im pomógł, ale nie wiem jak.

„Ktoś”. Czego on ode mnie oczekuje? Aprobaty? Wróci tam – beze mnie – po ostatniej nocy?

– Powrót tam to samobójstwo – mówię. – Gorzej, wystawimy ich wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Czyli masz gdzieś los Ekspertów?

– Nie. Kiedy się poddałam, próbowałam przekonać wojskowych, że nie było żadnego spisku. Jednak...

– Nie uwierzyli ci, prawda? Tak samo jak nie uwierzyli François?

Nie pyta mnie o to, co się wydarzyło. Wciąż milczy. Jeżeli trzeba będzie go błagać, zrobię to.

– Nie uratujesz ich. Widziałeś, co się działo za każdym razem, kiedy próbowaliśmy stawiać zbrojny opór. Marco nie żyje.

„Nie chcę, żebyś umarł”.

– A Jules, Kori, reszta? – naciska Yannis. – Nic nie możemy dla nich zrobić?

– Znają ryzyko i dokonali świadomego wyboru. Każde z nich wie, co się szykuje, i wybiera własną drogę. Zrobiłeś dla nich wszystko, co mogłeś.

– Co się z nimi stanie?

Yannis patrzy na mnie. Czeka. Na co? Że zdecyduję za niego, za nas? Że ustąpię?

– Posłuchaj, Yannis, ja nie... Nie chcę cię zmuszać, żebyś zrezygnował. Nie będę już zmuszać nikogo. Spróbuj jednak zrozumieć, że w oczach wojskowych jesteś terrorystą. Jeśli udasz się na to spotkanie, wystawisz wszystkich innych Ekspertów na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

„Nie pojedę patrzeć, jak giniesz, Yannis. Chodź ze mną, proszę cię”.

– Ja chcę stąd wyjechać, natychmiast – mówię.

Dokąd? Nie wiem. Byle z nim. Chciałabym po prostu wyjechać razem z nim.

– Wyjedźmy oboje – odpowiada mi nagle.

„Czy ja dobrze słyszałam, Yannis? Oboje?”

Yannis chwyta mnie za nadgarstki, uśmiecha się.

– Chcę żyć tak jak Elissa, razem z Elissą. Jedź ze mną. Proszę. Będziemy szczęśliwi, zobaczysz!

Jest taki liryczny, kiedy mówi o przyszłości. Za każdym razem. A mnie się to podoba. Właściwie lubię w nim wszystko. Dziękuję mu w duchu za decyzję, którą właśnie podjął. Jak to dobrze, że zrezygnował z Khronosa.

– Zgoda, Yannis. Ale najpierw... najpierw chciałabym, żebyśmy pojechali w pewne miejsce.

– Dokąd?

– Do Dourdu – słyszę swoje słowa. – Muszę wrócić do domu w Bretanii. Chcę pochować mamę i brata.

– Pojadę z tobą. Grzebanie zmarłych to moja specjalność.

## 24 GRUDNIA

Wypakowaliśmy bagażnik konserwami, sokami owocowymi (nie znaleźliśmy wody mineralnej), kocami i dwoma plecakami turystycznymi. W schowku na rękawiczki znaleźliśmy mapę drogową. Wyjeżdżaliśmy w biały dzień, choć zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka. To jak wyzwanie rzucone śmierci.

Mieliśmy szczęście czy wojsko miało za dużo roboty gdzie indziej?

Jechaliśmy kilka godzin bez przerwy. W limuzynie było sporo płyt z muzyką fortepianową. Słuchaliśmy jednego z ostatnich nokturnów Chopina. Pamiętam, że grał nam go także François.

Do Boga, którego spotkałam w kościele, tego samego, którego porzucił mój ojciec, kierowałam podziękowania za nasze zuchwałe szczęście oraz modlitwę za François i Marca.

Mapa pozwalała nam omijać z daleka większe aglomeracje. Pozostawiliśmy za sobą Alençon, Laval. Kawałek przed Rennes samochód stanął. Brak paliwa. Pozostało nam mniej więcej 250 kilometrów do naszego celu.

Ruszyliśmy pieszo, z plecakami na plecach. Pomysł sześciodniowego marszu w samym środku zimy, z niewielką ilością prowiantu, nie wywoływał w nas już strachu. Liczył się tylko cel wędrówki, a nie przeszkody.

Ostrożnie obchodziliśmy większe miasteczka. Tam życie zdawało się stopniowo wracać do normalności. Podczas naszego długiego pobytu w kanale Koridwen opowiadała mi, że tutaj wojsko bardzo wcześnie zaczęło wszczepiać pluskwy nastolatkom. Czy takie podporządkowanie się jest warunkiem powrotu do cywilizacji?

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Byliśmy zbyt zajęci walką ze zmęczeniem, zimnem, a także układaniem sobie ciągu wydarzeń, które sprawiły, że znaleźliśmy się na tej drodze razem na kilka dni przed Gwiazdką.

Nocą kryliśmy się w odosobnionych, pustych gospodarstwach. Podejmowaliśmy ryzyko i rozpalaliśmy ogień. Trzymaliśmy wartę na zmianę. Nie wykonaliśmy wobec siebie ani jednego czulego gestu. Nie kochaliśmy się więcej, jak gdyby ta bójka zakończona miłosnym uściskiem nigdy nie miała miejsca. Czy w ogóle do niej doszło? Czy to było szaleństwo jednej nocy?

Wczoraj, w gospodarstwie, które wybraliśmy na nocleg, znaleźliśmy dwa rowery, dzięki którym zyskamy trzy dni.

—

Tej nocy zaczął padać śnieg. Pedalujemy w zimnie bez słowa.

Yannis zatrzymuje się dwa kilometry od domu mojej mamy. Opiera rower o drzewo, zaciera ręce, żeby się rozgrzać.

– Myślałaś o tym, że wojskowi mogą czekać na nas u ciebie? – pyta.

„U mnie?” Nie. Nigdy nie myślałam o domu w Dourdu w ten sposób. Ani razu nie pomyślałam też o żołnierzach. A jeśli ci młodociani szabrownicy, o których mówiła mi Kori, wciąż jeszcze tam są?

Podnoszę głowę i patrzę na spadające płatki.

– Kiedy byłam mała, zawsze modliłam się, żeby na Gwiazdkę padał śnieg. Chyba nigdy się to nie zdarzyło.

Yannis spogląda na mnie. Wydaje się zadowolony z tej dziwnej odpowiedzi bez związku z pytaniem.

– Chodźmy – dodaje.

Nasze rowery ślizgają się na zlodowaciałych koleinach. Śnieg się utrzymuje, jak cienki biały całun. Płatki opadają w nadnaturalnej ciszy. Zsiadamy z rowerów przed gospodarstwem. Nikogo nie ma.

Śnieg skrzypi pod naszymi butami. Happy idzie z wywieszonym językiem u boku Yannisa, szczęśliwy, że wreszcie skończył się jego długi bieg za rowerami. Yannis bierze mnie za rękę. Obchodzimy dom.

Na ziemi pod drzewem widać trzy małe pagórki.

Przechodzi mnie dreszcz, zatrzymuję się. Czuję na sobie spojrzenie Yannisa. Dodaje mi to otuchy.

Śnieg nie przykrył całkiem ciał pod drzewem. Poznają ich ubrania. W kwestii reszty – zimno i rozkład zrobiły swoje, skóra na twarzach i rękach jest poczerniała. Odwracam wzrok.

– Chodź, poszukamy narzędzi – mówi spokojnie Yannis.

---

Ziemia była zbyt twarda, a ciała uległy zbyt dużemu rozkładowi, żebyśmy mogli normalnie ich pochować. Ułożyliśmy nad nimi kopiec z grudek ziemi, które udało nam się oderwać od podłoża. Na nich ułożyliśmy drugi kurhan, z kamieni. Wokół nas wirują płatki śniegu. Opadają w ciszy na ramiona, włosy i groby. Czuję na twarzy ich wilgotne, miniaturowe ugryzienia. Już nie płaczę. Na moich policzkach i czole zaschły smugi ziemi, które ściągają mi skórę. Oczy mnie pieką.

Wracam myślami do Marca, który zabrał mnie na grób Aleksa, i do tamtego poczucia rozpadu.

Oni nie żyją. Nathan. Mama i jej nowy mąż.

Tam, nad tym grobem, pytam cicho Boga porzuconego na krzyżu, tego Boga, w którego wierzyła mama, czy istnieje inne życie, w którym znów ich spotkam. Czy mnie słyszy?

## EPILOG

### NOC WIGILIJNA

Zapada noc, kiedy wchodzimy do typowego bretońskiego domu, który mama odnowiła, żeby w nim zamieszkać. Przypomina mi się jej radość i radość Nathana podczas przeprowadzki, pierwszego dnia lata.

Yannis rozpała ogień w kominku. Przyjazd tutaj to z pewnością szaleństwo, a sygnalizowanie naszej obecności jest jeszcze większym szaleństwem. Yannis – taki ostrożny, taki czuły na punkcie swojej wolności – znów dla mnie ryzykuje, bez słowa skargi.

Na zewnątrz nadal pada, noc jest prawie żółta, lekkie śnieżynki osiadają na wczorajszej warstwie śniegu. Nasz kurhan już pobielał.

Yannis wraca z komórki z nowymi polanami. Kładzie je obok kominka i wrzuca jedno do ognia. Widzę, jak przegarnia rozżarzone węgle, gromadzi je, po czym dmucha, aż pojawi się płomień.

Płomień.

Wstaje i patrzy na zegarek. Przez jego zatroskane czoło przebiega cień. Na pewno myśli o Paryżu, o wieży Zegarowej. Jules, Maïa, Koridwen. Czy są na spotkaniu zwołanym przez Khronosa? Czy zapłacą za to życiem?

Teraz to ja wstaję, robię dwa kroki w jego stronę. Płomień.

– Chodź – mówię. – Mój pokój jest tam.

Siadam na łóżku, momentalnie robi mi się słabo. Stawiam świeczkę na nocnym stoliku. W jej blasku przyglądam się rzeczom, które zostawiłam u matki, gdy przeprowadzałam się do Lyonu. Co zabrać, co zostawić? Przypominam sobie te wahania, śmieszne z dzisiejszej perspektywy.

Dorośliśmy, postarzeliliśmy się.

Delikatny płomień świeczki trzęsie się, jakby chciał umrzeć na knocie. Ale nie.

Kiedy się narodził ten płomień?

Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy – milczącego, nieobecnego – w domu Aleksa? Kiedy uratowałam cię od utonięcia, wyciągnęłam z rzeki i poczułam, jak moje serce zabiło szybciej, gdy otworzyłeś oczy? Kiedy wzięłeś moje ciało w ramiona, żeby osłonić mnie przed wilkami?

Czekałam na ciebie w naszym „pałacu”, kiedy poleciałeś na pomoc François, i w kanale, kiedy przytulałeś się do Koridwen.

Wojskowi zaproponowali mi układ: moje życie za twoje, moje za twoje. A jutro? Czy będzie wreszcie i po prostu: moje życie razem z twoim?

Rozpoznałam cię wtedy, przy ulicy Benserade, we wschodzącym słońcu. Tak bardzo się bałam, że nas nie uratujesz. Wiedziałam, że będziesz próbował, dostrzegłam to, kiedy cię zobaczyłam.

Wszystko zrozumiałam, kiedy cię zobaczyłam.

Wstaję, odsuwam pościel z mojego łóżka – łóżka nastolatki, w którym będziemy dziś spać. Patrzę na ciebie. Uśmiechasz się do mnie bez nieśmiałości, w półmroku, w półcieniu. W takim świetle wyglądasz jeszcze wspanialej.

Zaczynam się rozbierać, nie spuszczając z ciebie wzroku.

Moje ubrania spadają na podłogę prawie tak lekko i cicho jak śnieg za oknem. Ty też się rozbierasz z naszych tułaczyh ciuchów, kradzionych to tu, to tam, po drodze.

Nie jest mi już zimno. Nie boję się stać przed tobą nago. Mam na to ochotę. Jestem



piękna, widzę to w twoich oczach.

Będziemy się kochać bez pośpiechu i bez walki. Potem, jutro, wyruszymy razem w dalszą drogę; dokąd nas wiatr poprowadzi. Ale jutra jeszcze nie ma. Na razie są tylko noc i płomień w twoich oczach.

<sup>1</sup> We francuskim systemie szkolnictwa wyższego uczniowie, którzy planują studia na elitarnych uczelniach (tzw. *grandes écoles*), takich jak pojawiająca się w powieści ENS, po maturze uczęszczają jeszcze przez rok lub dwa do klas przygotowawczych – *przyp. tłum.*

## PODZIĘKOWANIA

Playlista tego tomu mogłaby zawierać wyłącznie kilka utworów zespołu Fauve: *Blizzard*, *De ceux*, *Lotterie* i przede wszystkim *Tunnel*. To dzięki nim tekst zyskał swój kolor, swoją niezłomność, wściekłość, a także swoją delikatność.

Podczas pisania codziennie czerpałem energię z płyt zespołów Gorillaz i Garbage, a także z płyt Saeza – co zresztą często mi się zdarza.

Dopóki nie wyładował się jej iPod, Stéphane włóczyła się po Lyonie, słuchając utworów PJ Harvey, a także zespołów Massive Attack, Portishead i Chinese Man...

Marilyn Manson i jego wersja *Sweet Dreams* odgrywały szczególną rolę podczas naszych wieczorów w domu pracy twórczej w Marsylii.

*Blind Willie McTell* Boba Dylana (Bootleg Series Volume 3) była piękną koadą dni wypełnionych pracą i wątpliwościami.

Dziś chciałbym podziękować wszystkim, którzy towarzyszyli mi w tej dwuletniej przygodzie z pracą nad *Stéphane*: wydawcom, którzy uwierzyli w ten projekt i wspierali go od początku do końca; przyjaciółom i bliskim, którzy znosili moje humory (oraz humory współautorów serii) podczas letniego pisania; Sarze M., która wiernie czyta moje teksty, a także oczywiście, wszystkim najbliższym mi osobom: Juliette, Théophilowi, Madelaine, Sarze, Louanne, którzy mnie czytają albo słuchają, poprawiają, a czasem pozwalają mi błędzić, gubić się, ale nie pozwalają mi zupełnie się zatracić.

Dziękuję też wszystkim w wydawnictwach Nathan i Syros, którzy nas przyjęli, dbali o nas, karmili nas i dopingowali (w sposób zgodny z prawem), a także towarzyszyli nam, czytali nasze utwory, przygotowywali do zdjęć i fotografowali, poprawiali, a potem jeszcze raz poprawiali, a nawet karmili ciasteczkami...

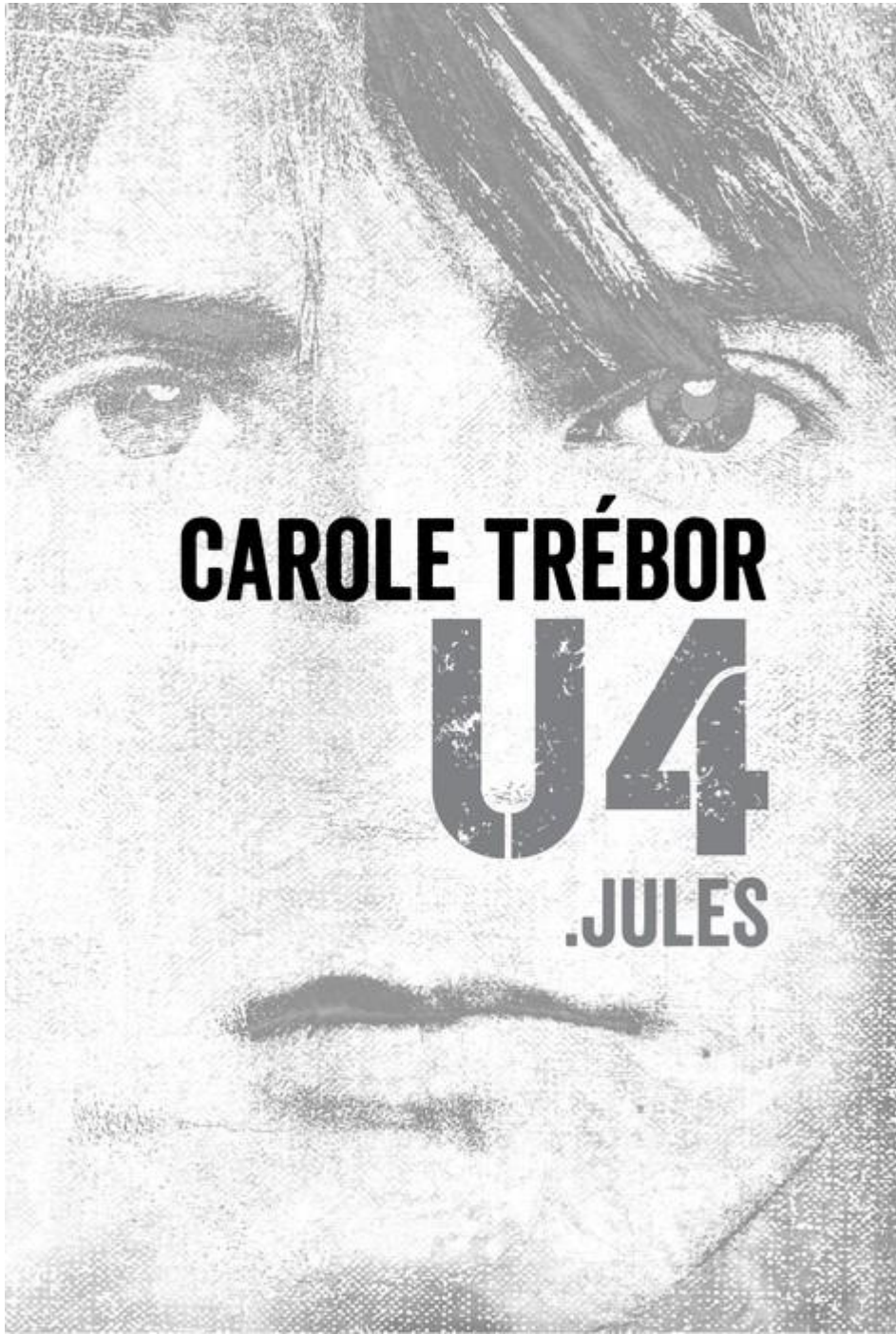
Szczególne podziękowania kieruję do Pascala J. i całej ekipy La Marelle – za umożliwienie pobytu w domu pracy twórczej w Marsylii. Pobyt tam był bardzo inspirujący.

Moja największa wdzięczność należy się jednak zwłaszcza trójce współautorów tego wyjątkowego projektu.

Florence, Carole, Yves – dziękuję Wam bardzo za wszystko, co udało nam się razem zrobić. Za wytrwałość, negocjacje (czasem bardzo trudne), uniesienie, złość, życzliwość i przede wszystkim wiele trudu.

*Well done...*

Pozdrowienia dla Kori, Jules'a i Yannisa, którzy wprosiłi się do tej powieści i jakoś ją zmienili. Yannis, zabrałeś Stéphane w rejony, w które się wcale nie wybierała. Dziękuję.



**CAROLE TRÉBOR**

**U4**

**.JULES**

## 4 LISTOPADA, WCZESNE POPOŁUDNIE

Głodny jestem. W kuchni nie ma już nic do jedzenia.

W kranie od rana brak wody, gazu nie ma od wczoraj, prądu od trzech dni. Na próżno po omacku przesuwałem ręką po ścianie, próbując zapalić światło w salonie. Wszystko na nic – nadal panowały egipskie ciemności. Od zmierzchu, czyli mniej więcej od siódmej wieczorem, mieszkanie tonie w mroku.

Na szczęście w komodzie przy wejściu znalazłem dwie latarki. Muszę szybko zdobyć do nich baterie, a także świece. Poza tym trzeba zrobić zapasy węgla drzewnego i zapalek, żeby podtrzymać ogień na kominku. Zaczyna być zimno. Potrzebuję żywności.

Lego bez przerwy miauczy. Skończyły się chrupki dla kota. On też umiera z głodu. Ze złości, żeby się zemścić, drapie fotele i kanapy. Łapie wszystko, co się rusza, porwał mi nawet zegarek, który kupiłem sobie przez internet. Wydałem na ten zegarek całe kieszonkowe i zrobiłem z niego przedmiot kolekcjonerski – wygrawerowałem z tyłu nożykiem litery WOT. Teraz nie mogę go znaleźć, więc potrzebuję też baterii do budzika – inaczej nie będę nawet wiedział, która jest godzina.

Okropnie boję się wyjść z domu. Muszę jednak stawić czoła Paryżowi, zanim noc zagarnie ulice. Miasto, na które patrzę przez okno, nie jest już moje. To jest miasto nie do zniesienia.

Wczoraj widziałem ludzi w kombinezonach astronautów oraz czymś w rodzaju masek przeciwgazowych. Zbierali trupy i wrzucali je na opancerzone ciężarówki. Dokąd zwieźli te wszystkie splątane ze sobą ciała? Do grobów zbiorowych? A może je spalą? Może oni wiedzą, co wszystkich zabija? Co to za cholerny wirus, który atakuje i uśmierca w ciągu kilku godzin? Czy mogą mi powiedzieć, dlaczego wciąż żyję? Miałem ochotę pobiec i dołączyć do nich, ale nie ruszyłem się od okna, nie byłem w stanie nic zrobić. Prośba o pomoc zmusiłaby mnie do uznania, że wszyscy naprawdę umarli, do zaakceptowania tej ciszy i tego smrodu. A tego nie mogę zrobić. I nie chcę.

Wyjść.

Muszę wyjść, muszę poszukać jedzenia.

Trudno, najwyżej się zarazę.

Nawet gdybym miał umrzeć, wolę umrzeć na zewnątrz z powodu epidemii niż w domu z głodu.

Dziadek mówił, żebym nie wychodził. Ale może jestem odporny na tego wirusa? Może zachowałem życie, by wypełnić misję Khronosa i pozostałych Ekspertów? Muszę wytrzymać do 24 grudnia i pójść pod najstarszy zegar w Paryżu, żeby przekonać się, czy powrót do przeszłości jest możliwy.

Co to za dźwięki w salonie?

Cholera, chrobot się nasila. Idę tam.

Kolejna inwazja szczurów! Są olbrzymie. Jak dostały się do mieszkania? Boże, co za koszmar!

– Spieprzajcie, wstrętne bydlaki! A kysz!

Mój histeryczny głos brzmi dziwnie. Czy to naprawdę ja mówię? Szczury są megaagresywne, jakby zmutowane. Jeden wgryza się mi w kostkę. Kopię, żeby mnie puścił. Bardzo się boję, ruszam biegiem w stronę drzwi i wypadam z mieszkania.

Zbiegam po schodach między chmurami szczurów. Na wycieracze na czwartym piętrze potykam się o coś lepkiego i wilgotnego. Padam na marmurową podłogę. Z całej siły zaciskam

oczy, przerażony smrodem zgnilizny, który gryzie mnie w gardło i wyciska łyzy. Nigdy w życiu nie czułem równie okropnego zapachu. Oddychanie staje się nieznośne. Dostaję drgawek, przestaję kontrolować swoje ciało.

Wiem, o co się potknąłem, i wiem, że muszę szybko się podnieść. Inaczej czeka mnie śmierć.

Ten miękki, gąbczasty przedmiot, o który zawadziłem, to trup. Jedna z ofiar wirusa. Wirusa, który być może właśnie mnie atakuje.

Podnoszę się na kolana. Nogi mam jak z waty, nie mogę nawet wstać. Jak zahipnotyzowany wpatruję się w ciało: to moja sąsiadka z piętra niżej. Obok leży jej syn. Też nie żyje. Czuję się ogłuszony. Jestem niezdolny do odczuwania czegokolwiek. Szumi mi w uszach. Twarz kobiety jest zupełnie biała, aż zielonkawa, na szyi widać sine ślady. Jej skóra wygląda, jakby ktoś naciągnął ją na kości. Gałki oczne ma zapadnięte, jakby pokryte plastikową błoną. Jest zupełnie sztywna. Można by pomyśleć, że to figura woskowa z muzeum Grévin, ale najgorsze są larwy i robaki, które do żywego mięsa objadły skórę na brzuchu. Dlaczego umarła na wycieraczkę? Dlaczego nie w domu? Nie musiałbym jej oglądać. Ale co to za głupie myśli, czy mi padło na mózg? Biedaczka, pewnie chciała zaprowadzić synka do lekarza na drugim piętrze i nagle dopadła ją choroba. Zmarła tu, na klatce schodowej, z dzieckiem u boku.

Pod koniec października, gdy jeszcze działała sieć, widziałem ofiary wirusa w internecie. Chorych powalała gorączka, a później dochodziło porażenie ciała, wymioty, plucie krwią, krwawienie ze wszystkich porów skóry. Nie mogę oderwać wzroku od ciała sąsiadki. Rączka chłopca nadal tkwi w dłoni matki, jakby kobieta chciała trzymać go do ostatniej chwili życia. Które z nich umarło pierwsze? Groza tego pytania wywołuje u mnie skurcze żołądka i mdłości. Miotają mną gwałtowne torsje. Wymiotuję. Samą żółcią. Pewnie matka odeszła pierwsza, mały złapał ją za rękę, zanim umarł. Znowu mam torsje, zginam się wpół. Nic już nie jestem w stanie z siebie wyrzucić, tylko rozpacz i obrzydzenie.

Wstaję chwiejnie i zaraz chwytam się poręczy. Czuję w głowie pustkę. Ten stan chroni mnie przed światem równie skutecznie jak warstwa waty. Kiedy docieram na parter, przypominam lunatyka.

Gdy tylko wychodzę na aleję Obserwatorium, zaczyna mnie dusić ten sam wszechobecny smród rozkładającego się mięsa, zepsutych jaj i nieświeżych ryb.

Mam wrażenie, że te wyziewy żyją, wnikają wszędzie, osaczają mnie jak dementorzy. Asfalt jest usiany wzdętymi, sztywnymi ciałami. Z bliska wszystko wydaje się jeszcze bardziej nierzeczywiste niż z piątego piętra. Z góry ulice wyglądały jak zastygłe pod chmurą czarnych ptaszysk. Nie chcę wierzyć własnym oczom, ale nie mogę dłużej ignorować tego, co widzę. One tam są, te potworne trupy. Ich obecność napędza mnie grozą. Nigdy wcześniej nie widziałem martwego człowieka, a teraz nawet nie zdołałbym ich policzyć. Nie mają już w sobie nic ludzkiego, zaczęły się rozkładać, unoszą się nad nimi roje much. Czy to jeszcze w ogóle są ludzie? Czy tylko ludzkie szczątki?

I ta cisza... Cisza, która ogłusza mnie bardziej niż ruch uliczny, odgłosy autobusów ruszających na zielonym świetle, krzyki dzieci, warkot skuterów. Brakuje mi dźwięków Paryża. Od kilku dni nie słychać nawet syren. Gdzie podziiali się ludzie w kombinezonach, których widziałem wczoraj? Czy tylko oni, w specjalnych skafandrach, przeżyją epidemię? I kim są?

Dlaczego na ulicach nikogo nie ma? Nie widzę żadnych przemykających postaci. Nikogo, z kim można by zamienić słowo.

Lękliwe poszczekiwanie psa przerywa ciszę. Odwracam się. To bardzo łagodny biały labrador naszych sąsiadów z trzeciego piętra. Zbliżam się do niego pełen nadziei, ale na widok zielonkawej rzeczy, którą trzyma w pysku, znowu robi mi się słabo. To ręka. To kiedyś była ręka.

Żołądek mi się skręca, w gardle czuję palący smak żółci. Przykładam do nosa chusteczkę i przechodzę przez bulwar pełen wywróconych koszy na śmieci. Plastikowe torebki, zawilgocone foldery reklamowe, opakowania z McDonalda i puszki po piwie muszą wystarczyć za ozdoby pogrzebowe. Taki sam chaos panuje w parku Wielkich Odkrywców. Uczepione drzew i metalowych krat fragmenty plastiku szeleszczą na wietrze. Gruba warstwa zeschniętych liści pokrywa alejki małego Ogrodu Luksemburskiego, jak nazywamy tę oazę zieleni w naszej dzielnicy.

W powietrzu na pewno roi się od wirusów, bakterii i innych tego rodzaju świństw. Przydałaby mi się maska gazowa albo przynajmniej maseczka higieniczna. Mógłbym znaleźć ją w aptece. Powiew wiatru przynosi nieznośne wyziewy zgnilizny. Nie jestem w stanie oddychać, jakbym zamiast serca miał kamień, który nie pozwala krwi krążyć w żyłach. Kaszlę, żeby pozbyć się z gardła smaku gęstej pleśni.

Czy wszyscy paryżanie umarli? Chciałbym sprawdzić, czy moi koledzy przeżyli, ale nie mam odwagi, za bardzo boję się natrafić na ich ciała.

A rodzice? Brat? Czy ich odnajdę? Nie ma nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Za bardzo się boję.

Trzy dni temu udało mi się jeszcze skontaktować z Ekspertami WOT na forum internetowym. Na samą myśl o tym wstrząsa mną dreszcz. A jeśli oni też umarli od czasu ostatniej wiadomości od Khronosa?

Zmuszam się do pójścia w stronę Ogrodów Luksemburskich. Mam nadzieję, że tam będzie mniej trupów, a powietrze bardziej rześkie. Na ulicy stoją porzucone samochody. Nie mogę uwolnić się od smrodu, który wnika w moje ubrania. Cuchnę teraz śmiercią. Wejście do parku, naprzeciw liceum Montaigne'a, jest zamknięte. Ruszam ulicą Auguste-Comte w kierunku bulwaru św. Michała. Próbuję nie potykać się o ciała leżące przed Akademią Górniczą, nie zemdlec na chodniku. Mam ochotę położyć się między tymi... sam już nie wiem, jak ich nazywać. Mam ochotę zwinąć się obok na betonie, zasnąć i więcej się nie obudzić, opuścić tę pustkę, poddać się uczuciu wyczerpania, które opanowało mnie i sprawia, że każdy krok staje się wysiłkiem nie do zniesienia.

Mimo wszystko idę dalej. Po drodze nie spotykam żywej duszy.

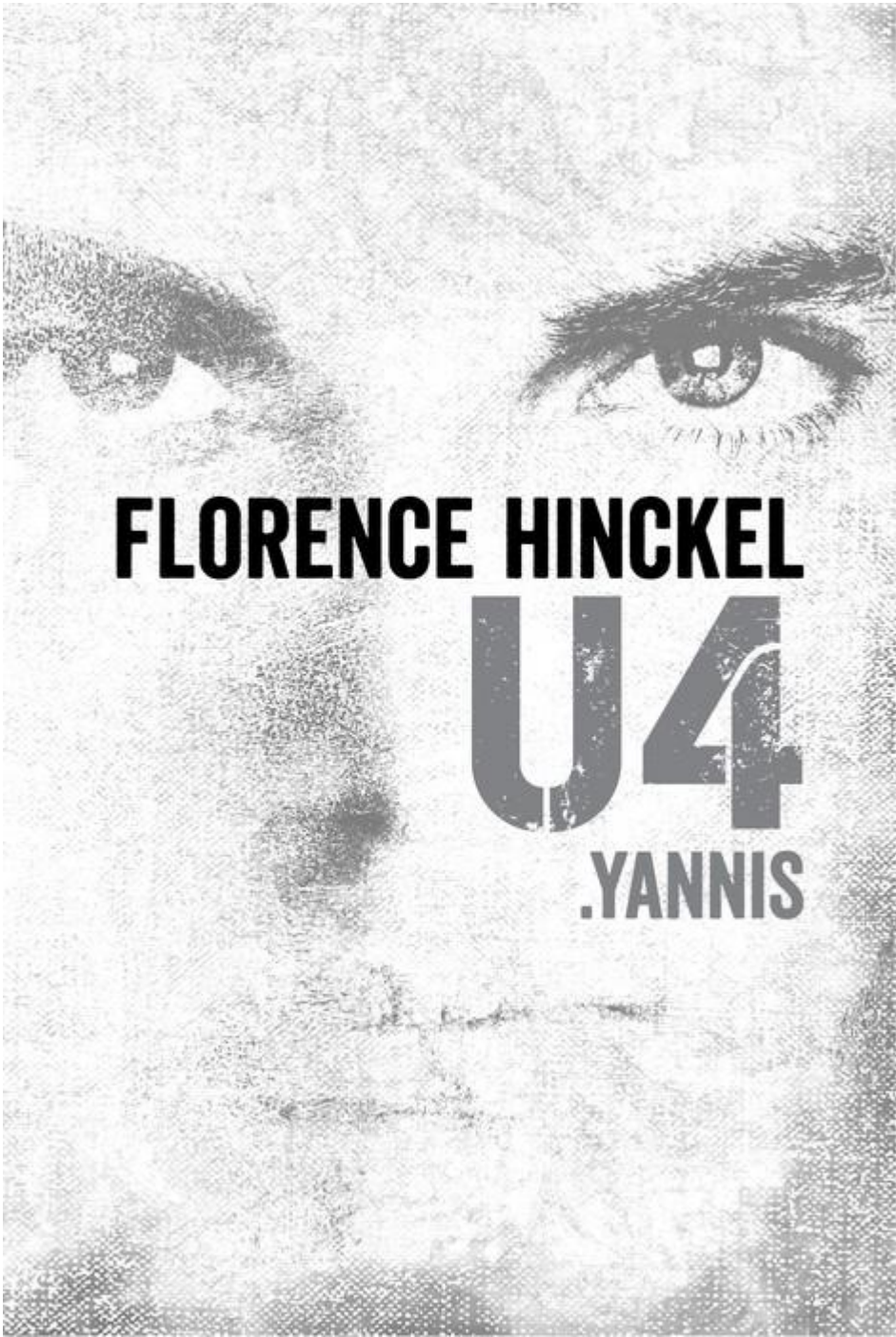
Mijam autobus, który uderzył w ogrodzenie parku. Rozbite samochody wbiły się w jego tył.

Zbliżam się do supermarketu przy ulicy Monsieur-le-Prince.

Najgorsze – poza smrodem i ciszą przerywaną okrzykami żarłocznych sępów – jest całkowite znieruchomienie wszystkiego, co tu kiedyś żyło. Życie to ruch, a teraz panuje zupełny bezruch... Jeśli nie liczyć chmar czarnych ptaków i stad szarych szczurów.

Nagle orientuję się, że jestem tuż obok merostwa 5. dzielnicy. Ostatecznie postanawiam wrócić na ulicę Soufflot – muszę zdobyć jakieś informacje. Być może uda mi się nawiązać kontakt z innymi ocalałymi, a także sprawdzić, czy ktoś nie wywiesił jakiegoś afisza albo Odezwy do ocalałych.

Niewzruszony, majestatyczny Panteon jak zawsze osłania grobowce sławnych ludzi. Jakie to dziś śmieszne! Na skrzyżowaniu ulicy Saint-Jacques mam wrażenie, że obok kamiennego mauzoleum stoi jakiś człowiek. Czy ja śnię? Po chwili znika mi z oczu, ale kiedy przemierzam szybkim krokiem plac Panteonu, serce wali mi w piersi – nie jestem sam!



**FLORENCE HINCKEL**

**U4**

**.YANNIS**



## 1 LISTOPADA, GODZINA 8.00

Coś unosi się na wodzie.

Świat właśnie się kończy. Płomienie tańczą, ich jęzory sięgają aż do nieba. A ja nie mogę oderwać wzroku od dryfującego czegoś.

Moje serce rozpadło się na miliardy kawałków, nogi odmawiają posłuszeństwa, zimne słońce nie ogrzewa twarzy.

Przedmiot mojej obserwacji jak zagubiona łódka powoli zbacza z kursu na wysokości pałacu Pharo. Słońce oświetla port i nagle zauważam coś błyszczącego. To guzik kurtki martwego człowieka, którego ciało płynie z nurtem rzeki.

Wcześniej żadnego nie widziałem. Trupy dopiero po kilku dniach wypływają na powierzchnię. Wkrótce pojawią się kolejne i port zmieni się nieodwracalnie. Na bulwarach też już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Śmiechy, spacerowanie nad brzegiem morza, przesiadywanie na ławkach, zjadanie lodów, łowienie ryb na przynętę z chleba, zagadywanie rybaków na kutrach, gonienie mew, podziwianie skrzących się fal... To wszystko się skończyło. Na zawsze.

Gdyby nie wiadomość od Khronosa, nic nie zmusiłoby mnie do opuszczenia domu. Nie mógłbym się od nich oderwać – od taty, mamy, Camili, mojej rodziny.

Wiedziałem, że w końcu będę musiał wyjść – w przeciwnym razie zostałbym na zawsze w swoim pokoju i umarł z głodu po zjedzeniu wszystkich herbatników, jabłek, pomarańczy i jogurtów przechowywanych w chłodzie pod parapetem. I po wypiciu wszystkich puszek coli. A może umarłbym z zimna, bo zaczęło się robić chłodno, prąd został odcięty na dobre, a w domu nie mogłem już znaleźć nic do spalenia, bo nie śmiałem niczego dotknąć.

Gdyby nie ta wiadomość, przez całe dni siedziałbym przybity, i choć słońce codziennie by wschodziło, czy zdołałbym liczyć kolejne dni? Z pewnością straciłbym rachubę czasu. Pozwoliłbym, aby pochłonęła mnie nicość.

Gdyby nie ta wiadomość i Happy, nigdy by mi się nie udało stamtąd wyjść. Mój wierny pies leżał obok mnie. Co jakiś czas zniknął, pewnie żeby poszukać jedzenia, ale zawsze wracał, skamlał i kładł pysk na moich nogach. W jego błyszczących oczach widziałem niezliczone pytania. Zanurzałem dłonie w jego gęstej, czarnej sierści i białym kołnierzu na szyi, lecz milczałem, bo słowa mnie opuściły. W myślach nadal byłem Ekspertem Warriors of Time – gry, której poświęcałem cały wolny czas, zanim to wszystko się zaczęło. Tak dałem się wciągnąć w wirtualny świat, że mój najlepszy kumpel RV, z którym w dzieciństwie włóczyłem się całymi dniami, skarżył się, iż wcale już mnie nie widuje.

W ostatnim czasie, przerażony martwą ciszą, zapomniałem o Yannisie, słabowitym chłopaku, zagubionym w rozpadającym się świecie, by stać się jego awatarem z WOT, potężnym Adriałem, rycerzem podróżującym w czasie i wychodzącym cało z licznych wojen.

Od czasu do czasu dochodziły do mnie krzyki. Łkania rozlegały się nagle, a po chwili zamierały. W sąsiednich mieszkaniach rozbrzmiewały kroki. W świetle dnia wszystko było nieruchome, ulica ożywała po zapadnięciu mroku. Zapalałem trzy świece stojące obok podręczników szkolnych i słuchałem dobiegających zza okna odgłosów. Kroków, najpierw powolnych, później szybszych, a w końcu oszalałych ze strachu. Rozdzierających wołań. Czasem odległych wybuchów. Pif! Co to było? Paf! Można by pomyśleć, że to strzały z broni palnej. Ale kto strzelał? Do czego? Do kogo? Wycie rozdzierało powietrze. Z całej siły zatykałem uszy, zamykałem oczy, chciałem zniknąć...

Kiedy znów pojawiał się prąd, mrużyłem oczy w świetle lampy. W różnych częściach dzielnicy nagle rozlegała się muzyka, puszczona na cały regulator, wywołująca fałszywe i

nerwowe śmiechy. Myślałem tylko o jednym: żeby wejść w świat WOT, gdzie kolekcjonowaliśmy broń i techniki walki z przyszłości, by zdobyć przewagę w przeszłości. Czasem działało to także w przeciwnym kierunku – przeszłość mogła pomóc przyszłości. Byłem bardzo dobry w tej grze. O wiele lepszy niż w życiu czy nauce... Od wybuchu epidemii łączyłem się z internetem tylko po to, żeby skontaktować się z kolegami Ekspertami i dowiedzieć się, czy dostali wiadomość od Khronosa, który ponad tydzień wcześniej jakby zapadł się pod ziemię. Wszyscy Eksperci mówili to samo, bez względu na to, czy pochodzili z Bretanii, Paryża, Tuluzy, Metz czy Lyonu. Wirus niepodzielnie panował nad Francją. Cały kraj opanowała panika.

SuperThor3: o co w tym wszystkim cho, ja pier\*\*\*lę, to istny koniec świata, czy co? tu jest jak w piekle...

Laféedhiver: ja mieszkam w megaodizolowanej wiosce. Ale wirus tu też dotarł...

Adrial: w tele mówią, że to się dzieje na całym świecie...

Lady Rottweiler: taaa, to samo w Lyonie, uważajcie na siebie, posłuchajcie. Przede...

Lady Rottweiler z Lyonu zdawała się mieć jakieś takie pojęcie o medycynie i w pierwszych dniach zdążyła przekazać nam kilka zaleceń dotyczących higieny. Później zgiełk sieci też umilkł i każdy z nas został sam. W samym sercu apokalipsy.

Myślałem, że oszaleję, kiedy okazało się, że nie można połączyć się z WOT. To było moje ostatnie źródło informacji na temat tego, co dzieje się na zewnątrz. I ostatnie źródło otuchy.

Wiem, że za słowami Ekspertów, nawet Lady Rottweiler, kryły się smutek, żaloba, rozpacz, łzy, strach, poczucie opuszczenia. Ja też nie poruszałem tych tematów. Chcieliśmy nadal zachowywać się jak bohaterowie, nawet w tym kurewsko rzeczywistym świecie.

Zachowywać się jak bohaterowie! A tymczasem nie miałem odwagi nawet ruszyć się z domu! Za bardzo mnie rozpieszczano i dziś nie umiałem sobie poradzić. Rodzice nigdy nie pozwalali mi ugotować niczego poza makaronem ani dotknąć gwoźdźca czy młotka. Woleli, żebym się uczył. A ja nie należałem do chłopców, którzy za wszelką cenę chcą wstąpić do skautów. Tylko podczas grania w WOT nie czułem, że tracę czas. Świat wirtualny był moją przyszłością i jedynym miejscem, w którym zdobywałem znaczenie towarzyskie, oczywiście z przekonaniem, że w dłuższej perspektywie wyjdzie mi to na dobre. Szkoła nie była moją mocną stroną. Zamiast zakuwać, ukradkiem ćwiczyłem swoje umiejętności no-life, które – byłem tego pewien – miały mi się kiedyś przydać w życiu.

Gdyby rodzice się dowiedzieli! Myśleli, że dobre oceny z francuskiego zawdzięczam godzinom ciężkiej pracy. To prawda, że francuski był moim ulubionym przedmiotem, choć nikt nie pomagał mi w lekcjach, bo rodzice dobrze mówią, ale kiepsko piszą. A właściwie...

Dobrze mówili, ale kiepsko pisali.

– Opanuj się, Yannis – rozkazuje mi Adrial.

A ja wyobrażam sobie jego postać w zbroi, jego długie włosy, stalowe mięśnie, miecz w dłoni i kałasznikow na ramieniu. Dwa razy uderzam się pięścią w klatkę piersiową i z wściekłością powstrzymuję łzy.

– OK, tylko mnie nie opuszczaj, proszę. Zostań ze mną, zostań ze mną...

## 1 LISTOPADA, GODZINA 9.00

Dziś, śledząc wzrokiem trupa tańczącego na falach, rozmawiam ze Śmiercią. Ona, której imię wcześniej ledwie śmiałem wymówić, jest teraz moją przyjaciółką. Hej, Śmierci, jak życie? Ile osób dziś pocałowałaś? Ach tak, jednak...

Śmierć... Trzęsąc się pod kołdrą, czekałem, aż zapuka do moich drzwi. Fascynował mnie błękit nieba, kpiącego ze wszystkich: żywych, martwych, konających, a przede wszystkim ze mnie. Niebo zajmowało się przybieraniem elegancko stonowanych barw, blaknących na początku i pod koniec każdego dnia. Woda w porcie odbijała jego kolory tak jak wcześniej, maszty statków uderzały o siebie jak wcześniej, mewy krzyczały jak wcześniej, tylko nie było słyhać żadnego słowa, okrzyku, warkotu motoru, muzyki. Żadnego sygnału ludzkiej obecności.

Gdy nadchodził wieczór, przerażał mnie dźwięk ciał rzucanych do wody. Idioci... Chociaż nie wiem zbyt wiele o życiu, rozumiem, że woda jest cenna. Ojciec powtarzał to często, a matce z dzieciństwa spędzonego w Algierii pozostał zwyczaj oszczędzania każdej kropli. Śmiejąc się z samej siebie, zawsze podkładała miskę pod kran – na wypadek, gdyby zaczął przeciekać. Wrzucanie trupów do wody to najgorszy sposób pozbywania się martwych. Tą drogą najłatwiej rozprzestrzenić wszelkie możliwe świństwa i jeszcze bardziej zatruć powietrze w mieście.

Dziś w nocy obudziłem się, szcękając zębami. Sprawdziłem godzinę na zegarku taty. Przedwczoraj założyłem ten zegarek na rękę, bo zorientowałem się, że bateria w moim telefonie wkrótce się wyczerpie. Była dokładnie pierwsza jedenaście nad ranem. Początkowo myślałem, że obudziłem się z zimna, ale wtedy usłyszałem piknięcie, które uświadomiło mi, że przez sen słyszałem ten sam dźwięk. Włączono prąd! Najpierw położyłem rękę na kaloryferze obok łóżka. Był ciepły, przyjemnie rozgrzewał w tym arktycznym klimacie. Piknięcie oznaczało, że uruchomił się termostat. Natychmiast rzuciłem się do komputera. Dostałem wiadomość z WOT. Wiadomość od Khronosa.

*Znam sposób na cofnięcie czasu. Zawsze go znałem. Jednak sam nie mogę nic zrobić.*

*Dołączcie do mnie. Razem możemy uniknąć katastrofy, napisać przeszłość na nowo. Uwierzcie we mnie, uwierzcie w samych siebie, a pokonamy naszego najpotężniejszego wroga: wirusa.*

*Spotkanie 24 grudnia o północy pod najstarszym zegarem w Paryżu.*

Zaraz pomyślałem sobie: „Oby tylko inni Eksperci też ją dostali i przeczytali!”. Poczułem ogromną falę nadziei, która stworzyła cieniutką zasłonę oddzielającą mnie od śmierci. Ponownie przeczytałem słowa Khronosa i sam nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. „Znam sposób na cofnięcie czasu...”

Cały ten chaos musiał wkurzyć mistrza gry. Nieważne. Liczy się tylko spotkanie. Odnalezienie się. Zjednoczenie. Bohaterowie świata wirtualnego, tak samo jak rzeczywistego, zwykli walczyć. Bez względu na to, czy istnieje sposób na cofnięcie czasu czy nie – będziemy toczyć bój. Żeby przeżyć. Żeby odbudowywać. Żeby uniknąć samotności.

Nic lub prawie nic nie wiem o pozostałych Ekspertach, ale jako znak rozpoznawczy posłuży nam wspólny gest: dwukrotne uderzenie prawą pięścią w klatkę piersiową.

Kiedy zaczęło dnieć, zdecydowałem się ruszyć z domu. To ja, Yannis, do wewnętrznej kieszeni puchówki włożyłem zdjęcie naszej rodziny, zrobione podczas dziewiątych urodzin mojej

młodszej siostry. Jesteśmy na nim razem: tata, mama, Camila i ja. Wsunąłem tam też kopertę, którą tata – kiedy poczuł się chory – położył na moim biurku z taką delikatnością, jakby był to kruchy kwiat. „Przeczytasz te słowa, kiedy nie będziesz już wiedział, kim naprawdę jesteś. Zrozumiałeś?” Oczy mu błyszczały nie tylko z powodu gorączki. Nic nie rozumiałem, ale z powagą pokiwałem głową. Przed wyjściem z domu wziąłem komórkę i ładowarkę. Nie mogłem się też powstrzymać przed zabraniem jednej z figurek z *Władcy pierścieni*. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, bym mógł porzucić Froda wymachującego mieczem, gdy stawiam czoła całemu światu.

Natomiast to Adrial dał Happy’emu znak do wyjścia. To on wyszedł z mojego pokoju, żeby skonfrontować się ze zgrozą i smrodem w salonie. On w trybie przeżycia spakował mój plecak: ubrania na zmianę, mydło, sznurek. Wziął też zapalniczkę, pudełko zapalek, scyzoryk, śpiwór, prowiant. To on przeszedł obok ciał moich rodziców, nadal leżących na kanapie, podczas gdy mnie atakowały złowrogie wspomnienia: oczekiwanie na lekarza, desperackie starania, które podjąłem, żeby ich uratować, a później moje pełne rozpaczki krzyki... Doskonale panujący nad swoimi emocjami Adrial otworzył drzwi i wybiegł z mieszkania.

Moja zbroja rycerska zniknęła na klatce schodowej. Nagle zaatakował mnie bezmiar obrazów. Obładowana zakupami mama wchodzi po schodach, uśmiecha się do mnie albo mnie ochrzania, ale nie złości się na mnie. Mama niesie w ramionach malutką Camilę albo trzyma ją za rękę. Camila pokazuje mi język i zaśmiewa się podczas zabawy w pomidora. Spokojny tata przeciąga dłonią po niemal łysej głowie – taki miał zwyczaj. Dostrzega mnie, oczy zaczynają mu błyszczeć, uśmiech rozjaśnia jego twarz. Mówi: „Mój syn...”.

Zszokowany zakryłem twarz ramieniem. Otarłem łzy. Happy niespokojnie popiskiwał. Pociągnąłem nosem i czym prędzej zszedłem na niższe piętro. Od dwóch dni byłem chyba jedynym żywym człowiekiem w kamienicy, ale chciałem przynajmniej mieć czyste sumienie. Z całej siły zacząłem dobijać się do drzwi pod dziesiątką.

– Franck! Jesteś tam, Franck?

Happy poszczekiwał. Franck często przychodził do nas, żeby dawać mi korepetycje z matematyki. Uwielbiał przekomarzać się z Camilą. W zamian za lekcje tata wykonywał w jego mieszkaniu drobne prace remontowe. Zanim tata zaczął prowadzić sklep spożywczy, był murarzem. Franck studiował na uniwerku. Ile mógł mieć lat? Może wcześniej zaczął studia? Był przecież taki zdolny. Filowirus U4 nie oszczędza nikogo poniżej piętnastego i powyżej osiemnastego roku życia, to szybko stało się oczywiste. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje, wiadomo tylko, że unicestwia każdego, kto stanie mu na drodze. W panice zawołałem:

– Ile masz lat, Franck? Ile miałeś? Odpowiedz! W jakim jesteś wieku?

Cisza. W całej kamienicy nie było żywej duszy. Ile czasu spędziłem pod dziesiątką?

Adrial obudził się skulony pod ścianą, gdy promień słońca padł na jego policzek. Happy tulił się do niego. Rycerz pospiesznie się rozprostował i głęboko odetchnął przed zejściem po schodach. Zanurzył się w chłodzie ulic oświetlonych listopadowym słońcem i smaganych wiatrem – zimnym, porywistym mistralem. Adrial zebrał śmieci zawałające wejście do mojego domu i sąsiednich kamienic, a potem zrobił z nich stosy – na korytarzu, klatce schodowej, a przede wszystkim przed moim mieszkaniem. Znów wyszedł na ulicę i krzyknął:

– Nikogo tu nie ma? Jeśli ktoś jest, niech wyjdzie!

Czekał.

– Niech ktoś wyjdzie, na Boga! Franck! Jesteś pewien, że cię tam nie ma? Pani Tibaut? Younis? Majda?

A nieustannie zrzedzący staruszek z laską? A pochodząca z Komorów rodzina o nazwisku niemożliwym do wymówienia? Czy naprawdę ich tam już nie ma?

Wiatr hulał po ulicach. Adrial wyczuwał za plecami czyjeś ruchy, szepty, obecność. Zapewne obserwowano go zza potłuczonych szyb. Być może był przedmiotem drwin, jako ktoś, kto rozmawia z umarłymi. Trudno. Tym lepiej. Niech wezmą z niego przykład. Niech przestaną rzucać ciała do wody. Niech go naśladują.

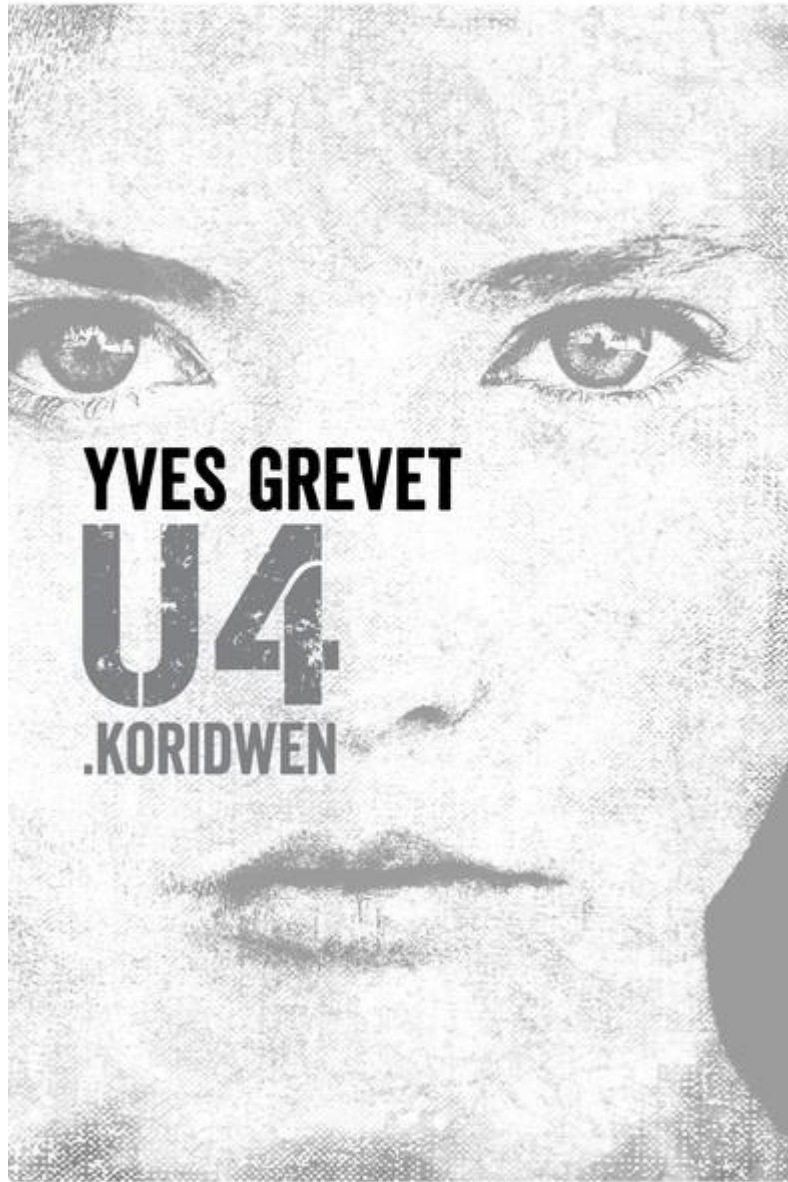
Adrial wyjął zapalki. Zapalił jedną z nich i przez kilka sekund obserwował płomień, a później rzucił ją na stos gazet i innych papierów. Patrzył na rosnące, wznoszące się ku niebu płomienie, głaszcząc przerażonego Happy'ego. Dla niego prawdziwym wyrazem szacunku było spalenie całej kamienicy wraz z tymi, którzy przeżyli tu momenty radości i smutku, chwile żaloby i szczęścia. W dzielnicy Panier stare budynki paliły się jak słoma, zwłaszcza że wiał silny wiatr.

Adrial poczuł łzy na policzkach. Modlił się do znanych sobie bogów. Połączył nadludzkiem wysiłkiem ostatnie okruczności woli. O ileż łatwiej byłoby zginąć na ulicy albo rzucić się w płomienie. Tak byłoby znacznie łatwiej, ale on tego nie zrobił. Wstał, bo nazywał się Adrial, był rycerzem WOT. Później biegł aż do tego miejsca, na ten brzeg, nad wodę w porcie, która skrzyła się w podmuchach mistralu. Za jego plecami tańczyły płomienie.

Ja, Yannis, płacę teraz gorzkimi łzami. Religia, w której zostałem wychowany – lecz wcale nie jestem pewien, czy mogę ją uznać za swoją, bo od pięciu dni nie wierzę już w nic – mówi, że nie pali się zmarłych. Ciało musi wrócić do ziemi, żeby bezpośrednio i możliwie najszybciej połączyć się z naturą. Spalenie ciała uniemożliwia jego powrót w wielkim cyklu życia i przysparza cierpienie duszy. Błagałem boga moich rodziców, aby uwierzył, że chodzi o zupełnie wyjątkową sytuację, i zrozumiał, iż nie miałem wyboru. Skąd miałbym wziąć siły, żeby przetransportować trzy ciała na cmentarz za centrum handlowym Bourse i wykopać tam groby?

– Boże, kimkolwiek jesteś i jakkolwiek byłaby religia tego walącego się świata, wybacz mi i zachowaj dusze moich bliskich!

Za moimi plecami płonie kamienica. Przede mną rozciąga się morze wymiotujące trupami. Naprzeciwko, na wzgórzu, wznosi się nieruchomy, złożony posąg Matki Boskiej, tej, która ma chronić Marsylię. U moich stóp leży psiak, mieszanka border collie i nieznanego rasy. Myśli zaprzęta mi kwestia zegara w Paryżu, o którym nic nie wiem. A w sercu przechowuję obraz mojej rodziny.



**YVES GREVET**

**U4**

**.KORIDWEN**

## 7 LISTOPADA

Jak zwykle wstałam wcześniej, żeby nakarmić zwierzęta. Dziś rano kosztowało mnie to jednak bardzo dużo wysiłku. Przez całą noc praktycznie nie zmrużyłam oka. Wraz z upływającym czasem moje myśli stawały się coraz bardziej ponure i pełne rozpacz. Około czwartej czy piątej nad ranem odkorkowałam fiolkę z trucizną i zbliżyłam ją do ust. Przed pierwszym łykiem postawiłam sobie ultimatum: „Koridwen, jeżeli w ciągu minuty nie znajdziesz ani jednego powodu, żeby ze sobą nie skończyć, to pij!”.

I wtedy, po długich sekundach całkowitej ciemności, gdzieś w zakamarkach mojego mózgu zobaczyłam wielką głowę starej Bergamotki. Nie ma szans, żeby poradziła sobie z porodem beze mnie. Znam ją. Towarzyszyłam jej poprzednim razem i nie była to przyjemna sprawa. Jeżeli zabraknie mnie obok, z pewnością zdechną oboje. Ona i jej cielaczek.

Właśnie dzięki tej krowie wciąż jeszcze żyję. Kiedy już się ocieli, będę musiała ponownie zadać sobie zasadnicze pytanie. Odkąd jestem jedyną żyjącą osobą w całej osadzie, funkcjonuję jak robot, bez chwili zastanowienia. Na zmianę przeżywam momenty wzmożonej aktywności i całkowitej martwoty, kiedy kucam w kącie i płaczę albo pozwalam sobie na odrobinę snu.

Nadal doję zwierzęta, ale mleko wylewam do koryta. Powinnam przestać to robić – krowy pomęczą się chwilę, ale później mleko zniknęłoby z ich wymion. Jednak te czynności pozwalają mi zająć czymś głowę, mogę łudzić się, że życie toczy się dalej w prawie niezmiennym rytmie. Wymieniam im ściółkę. Ładuję obornik na taczkę. Mocno śmierdzi, ale to pocieszające. Ciężar ładunku czuję w całych ramionach. Szybko mnie to wyczerpuje, więc wieczorem łatwiej jest mi zasnąć. To nudne i męczące zajęcie, ale od razu widać postępy, a na koniec ma się poczucie wypełnienia konkretnego zadania. Wiejskie odgłosy zmieniły się przez te dwa tygodnie. Ciszy nie zakłóca już hałas samochodów i maszyn rolniczych.

A jednak kilka minut temu zdawało mi się, że słyszę nadjeżdżający samochód. Potem już nic. Wyszłam to sprawdzić, ale nikogo nie zobaczyłam. Pomyślałam, że być może zaczynam tracić rozum.

Wykładam teraz czystą słomę na ziemię w oborze. Nagle zwierzęta robią się nerwowe jak przed burzą albo kiedy latem nękają je gzy. Wzdrygam się, czując za plecami czyjąś obecność. To dwóch chłopaków, niewiele ode mnie starszych. Są do siebie podobni, może to bracia. Jednego z nich poznaję. Nieraz widywałam go w mieście przed katastrofą. Kręcił się razem z innymi przed wejściem do marketu. Sączyli piwo i zebrali. Czyli nie tylko ja przeżyłam w tej okolicy. Doznaję czegoś w rodzaju ulgi, jednak ich towarzystwo nie rozproszy mojej samotności. Sposób, w jaki na mnie patrzą, przyprawia mnie o dreszcz. Czuję w powietrzu wrogość i niechęć. Starszy z nich mówi z grymasem:

– Potrzebujemy narzędzi w stylu wiertarkowkrętarki, piły tarczowej, młotka, siekiery, piły łańcuchowej. Mamy w okolicy trochę drzwi i rolet do sforsowania.

– Nie jesteście tutaj u siebie i nie macie prawa – oznajmiam, groźnie podnosząc widły.

– Hej, dzieciaku – gniewnie odwarkuje chłopak. – Żyjesz na innej planecie czy co? To już koniec. Wszyscy poumierali, poza kilkoma młodymi w naszym wieku. Teraz nic już do nikogo nie należy. Jeśli chcesz przetrwać, trzeba z tego korzystać. Kto będzie chciał pozostać uczciwy, ten zdechnie.

– Czemu nie pójdziecie gdzieś indziej? Przecież w okolicy nie brakuje opuszczonych osad.

– Bo wiedzieliśmy, że tutaj znajdziemy towarzystwo – rzuca młodszy. – Wygląda na to, że pod tymi ogrodniczkami ukrywa się boskie ciało.

– Skończ te wygłupy, Kev! Nie po to tu przyszliśmy. A ty, mała, odpowiadaj zaraz, bo pożałujesz!

– Klucz do przybudówki wisi na drzwiach.

– Dzięki, piękna.

Młody Kevin rzuca mi spojrzenie, które oznacza, że i tak się doigram. Udaję, że wracam do pracy, i spuszczam wzrok. Starszy wychodzi, a młodszy mnie pilnuje. Podchodzę, żeby porzucić słomę kilka metrów od niego. W końcu nudzi mu się patrzeć na mnie i odwraca wzrok w stronę podwórka. Wtedy rzucam się na niego z widłami i wbijam mu dwa zęby w lewe udo. Chłopakowi z bólu uginają się kolana i pada u moich stóp. Zdaje się, że zabrakło mu tchu i nie jest w stanie krzyknąć. Omijam go i biegnę do szafki na broń ukrytej w schowku w komórce za kuchnią. Chwytam jedną ze strzelb myśliwskich, z których ojciec uczył mnie strzelać. Ładuję do niej naboje znalezione w skrzyni w salonie. Wybiegam na zewnątrz, wchodzę do przybudówki i strzelam dwa razy ponad głową rabusia, który rzuca to, co wziął, i robi się szary na twarzy.

– Idź zabrać swojego kolesia i spadajcie stąd. A jak nie, to powystrzelam was jak kaczkę.

Zrozumiał i kieruje się do obory, żeby zabrać swojego brata, który ryczy teraz jak małe dziecko. Udaje mu się podnieść rannego i wsunąć mu rękę pod ramię. Oddalają się w kierunku samochodu, zaparkowanego poniżej drogi powiatowej.

Nie mogę się powstrzymać przed udzieleniem mu rady:

– Oczyszczyć tę ranę, inaczej dojdzie do zakażenia.

Chłopak, nie odwracając się, podnosi lewą rękę z wyciągniętym w górę środkowym palcem.

Od dwóch dni nikogo nie widziałam. Ostatni miejscowy zmarł wczoraj. Nazywał się Yffig. Był pragmatycznym człowiekiem. Kiedy tylko usłyszał w telewizji o rozmiarach epidemii spowodowanej wirusem U4, przygotował się na najgorsze. Pojechał do marketu budowlanego i wypożyczył koparkę z łyżką dostosowaną do kopania rowów.

Z pomocą jego maszyny pochowaliśmy dziewięćdziesiąt pozostałych mieszkańców osady. Pokazał mi, jak obchodzić się z koparką, gdyby zaszła taka potrzeba. Dobrze zrobił, bo to ja musiałam złożyć go do grobu. Skorzystałam z okazji i wykopałam jeden dla siebie. Kiedy dopadnie mnie choroba albo nie będę już mogła wytrzymać, rzucę się do niego. Szkoda, że nie będzie już wtedy nikogo, kto mógłby mnie pogrzebać.



## 8 LISTOPADA

Kolejna praktycznie bezsenna noc. Od kiedy pojawili się tu ci złodzieje, czuję się zagrożona. Poznałam po ich nienawistnych spojrzeńiach, że wrócą ukarać mnie za to, jak ich upokorzyłam. Teraz dzielę łóżko z nabitą strzelbą i nasłuchuję najcichszych odgłosów.

Nadal nawiedza mnie myśl, żeby dołączyć do reszty i umrzeć. Przed skończeniem ze sobą nie powstrzymuje mnie strach przed wielkim krokiem, tylko poczucie, że popełniłabym błąd, naruszyłabym naturalny porządek, według którego nikt nie decyduje sam o końcu własnego życia. Babka zawsze uczyła mnie, że życie jest cenne, zarówno gdy chodzi o ludzi, jak i o zwierzęta czy nawet rośliny. Możemy sobie pozwolić na odbieranie go tylko w przypadku najwyższej konieczności. Mawiała, że wszyscy jesteśmy żyjącymi komórkami wielkiego organizmu zwanego Ziemią, że każdy gra w nim pewną rolę. Odczuwam to co rano, zajmując się zwierzętami. Ich ciepło, zapach, porykiwanie, wszystko wydaje się na swoim miejscu.

Co stałoby się z moimi zwierzętami, gdybym je porzuciła? Nigdy nie doświadczyłam cierpienia krowy, której się nie poi albo pozostawia samą przy cieleniu się. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę mojego ojca co rano i co wieczór opiekującego się zwierzętami. Widziałam, jak zajmował się nimi, nawet kiedy ledwo trzymał się na nogach, bo przez całą noc pił z kumplami. To było jak święty obowiązek, od którego nic nie może zwolnić.

Teraz, kiedy pozostały już tylko zwierzęta, powinnam być zadowolona – ja, która powtarzałam wciąż, że wolę je od ludzi, bo łatwiej je zrozumieć i zadowolić. Zwierzęta nie chowają się za stodołę, żeby popłakać, ani nie wpadają w histerię z powodu plamy po winie, która nie znikła w praniu.

Brakuje mi rodziców. Jeszcze kilka tygodni temu nie pomyślałabym, że kiedyś wypowiem to zdanie. Od czterech czy pięciu lat miałam w głowie tylko jedną myśl: uciekać z tej ponurej chaty, którą określiłam nawet mianem grobu. Dziś, kiedy prawie cała ludzkość wymarła, wstydę się tego słowa. Czuję się winna, że używałam go z taką łatwością. Ktoś, kto wierzy w znaki, mógłby się nawet posunąć do stwierdzenia, że to moja wina – moja osada rzeczywiście zamieniła się w cmentarz.

O piątej trzydzięci postanawiam wstać. Biorę latarkę i idę przez pole do Bergamotki, która oddzieliła się od reszty. Patrzą jej prosto w oczy. Wydaje się taka spokojna. Czuję, jaki wysiłek ją czeka, ale wie, że może na mnie liczyć. To nie będzie pierwszy raz ani dla niej, ani dla mnie, ale zawsze – aż do teraz – wiedziałam, że ojciec jest w pobliżu i w razie czego będzie mógł interweniować albo wezwać weterynarza.

Mówię do niej spokojnie, by dodać jej otuchy, i prowadzę w kierunku domu. Bergamotka daje się prowadzić, a ja dziękuję jej za to, drapiąc sierść między rogami. Łatwiej będzie mi jej doglądać. Przywiązuję ją w oborze i szepczę do ucha:

– No, stareńka, bardzo cię proszę, nie ociążaj się zbytnio.

Biorę się za generalne porządki w kuchni. Matka stwierdziłaby z zadowoleniem, że wreszcie idę za jej przykładem. Przypominają mi się soboty, kiedy marzyłam o odespaniu całego tygodnia spędzonego w internacie, lecz regularnie budził mnie hałas nieuważnie przestawianych naczyń. Nie było lepszego sposobu na to, żeby przeszkodzić mi w spaniu. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego matka lubiła szorować szafki od środka i czyścić lodówkę. Dzięki temu mniej się kombinuje. Człowiek się męczy i upaja uderzającym do głowy zapachem detergentów. Na komodzie dostrzegam truciznę, którą przygotowałam sobie po pochowaniu Yffiga. Utałam pół na pół antydepresanty taty z tymi mamy, po czym rozpuściłam je w kolorowej, słodkiej wodzie z syropem z grenadyny. Od tego czasu wygląd mikstury znacznie się zmienił. Gruby kredowy osad

opadł na dno, przykrywa go cienka czerwona warstwa. Wyżej woda jest ledwo zmacona. Nie mogę się powstrzymać i chwytam za buteleczkę. Potrząsam nią gwałtownie, żeby płyn znów nabrał jednolitego wyglądu syropu. Przez kilka minut nieruchomo przyglądam się, jak poszczególne warstwy układają się na nowo. Następnie ostrożnie odstawiam naczynko. Być może pewnego dnia mi się przyda.

Po dwóch godzinach ciężkiej pracy czuję się wyczerpana. Siadam przy stole w kuchni. Herbata się zaparza, a tymczasem moje powieki się zamykają i zapadam w sen. Budzi mnie ból pleców spowodowany niewygodną pozycją. Nie słyszę już pocieszającego pochrapywania lodówki. Otwieram ją. W środku nie zapala się światło. Pstrykam przełącznikiem górnej lampy, nic z tego. Skończył się prąd. Po tym jak ponad tydzień temu zniknął najpierw internet, a potem telewizja, można się było tego spodziewać.

Wychodzę na świeże powietrze, żeby do końca się obudzić. Pada drobny deszcz, ledwo skrapiający ziemię. Gdy zdejmuję fartuch matki, nagle czuję jej zapach. Zamykam oczy. Kiedy widziałam ją ostatni raz, wydawała mi się odmieniona. Biła z niej jakaś energia, której nigdy wcześniej u niej nie dostrzegłam. Właśnie dowiedziałyśmy się, że mój ojciec zmarł powalony wirusem w barze w Morlaix, wśród swoich kompanów od kieliszka. Nie pozwolono nam zobaczyć go po raz ostatni. Przy takim tempie rozprzestrzeniania się epidemii władze zrezygnowały z rozpoznawania ciał i indywidualnego grzebania zwłok. Byłam zszokowana śmiercią taty i nie rozumiałam, dlaczego matka nie chce mnie przytulić. Dziś myślę sobie, że już wtedy czuła się chora i bała się mnie zarazić. Sytuacja, w której się nagle znalazłyśmy, musiała nią wstrząsnąć. Mówiła do mnie długo, jak nigdy przedtem. Powtarzała, że jestem odważną dziewczyną i że będę wiedziała, co zrobić ze swoim życiem.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nie rozwodziła się nad odejściem ojca, bowiem tego, jak mawiała, nie można już zmienić i trzeba iść naprzód. Ja chciałam, żebyśmy powspominały szczęśliwe chwile spędzone we trójkę i razem przeżywały smutek. Ona wolała napomknąć o istnieniu listu, który moja babka napisała do mnie tuż przed śmiercią, rok wcześniej. „Ojciec nie chciał, żebyś go otwierała – wyjaśniła. – Wahał się, czy go nie spalić. Dlatego schowałam go pod moim materacem”. Wówczas ta informacja wydała mi się zupełnie bez znaczenia. Była tak odległa od dramatu, który przeżywałyśmy. „Póki co – kontynuowała matka – musimy przygotować się na najgorsze. Kocham cię, Koridwen, i zawsze będę w twoim sercu, nawet jeśli znajdę się daleko od ciebie”. „Czemu tak mówisz?” zapytałam.

Zostawiła mnie wtedy, żeby ugotować coś do jedzenia. Następnej nocy już nie żyła. Odtąd jestem sama na świecie.